

CZARNA SERIA
KRYMINAL

Anders de la Motte

**KONIEC
LATA**



Anders de la Motte

**KONIEC
LATA**

Przełożyła Milena Hadryan

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: Slutet på sommaren

Redakcja językowa: Krystian Gaik

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcia na okładce:

© Margie Hurwich / Arcangel Images

© Robin-Lee Vieira / Arcangel Images

© Karina Vegas / Arcangel Images

Korekta: Piotr Królak

Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © Anders de la Motte 2016

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-673-9

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Mojemu ojcu – za wszystko, czego próbowałeś mnie nauczyć

*I stood in the disenchanted field
Amid the stubble and the stones,
Amazed, while a small worm lisped to me
The song of my marrow-bones.
Blue poured into summer blue,
A hawk broke from his cloudless tower,
The roof of the silo blazed, and I knew
That part of my life was over.
Already the iron door of the north
Clangs open: birds, leaves, snows
Order their population forth,
And a cruel wind blows.*

Fragment wiersza *End of Summer* Stanleya Kunitza

PROLOG

Lato 1983

Króliczek kulił się w wysokiej trawie. Futerko miał wilgotne i lśniące od rosy, która przed chwilą wraz ze zmrokiem opadła na ogród.

Właściwie powinien pójść do domu. Mama nie lubiła, gdy był sam na dworze, zwłaszcza kiedy robiło się ciemno. Ale on był już duży, za kilka tygodni miał skończyć pięć lat, i bardzo lubił porę po zmierzchu. Już wkrótce zaczną pokazywać się nocne zwierzęta. Jeże wyjrzą ostrożnie spod dużych krzaków i zaczną dreptać w trawie, robiąc śmieszne zakrętasy. Nietoperze poszybują między wysokimi drzewami... Od wylotu kasztanowej alei za domem słychać już było pierwsze pohukiwania sów.

Najbardziej jednak chciał zobaczyć króliki. Własny króliczek zajmował pierwsze miejsce na jego liście życzeń. Mały, mięciutki króliczek, właśnie taki jak ten, który tam siedział w trawie. Zwierzątko spojrzało na niego i lekko poruszyło noskiem, jakby nie było pewne, czy jego zapach oznacza zagrożenie, czy nie. Ostrożnie postąpił kilka kroków w kierunku króliczka. On nie ruszał się z miejsca; wyglądało na to, że nie potrafił się zdecydować.

Od kilku miesięcy nie mógł się doczekać dnia urodzin. Bardzo chciał, żeby Mattias dał mu w prezencie latawiec. Widział, jak starszy brat godzinami buduje te zabawki w warsztacie taty. Dokładnie odmierzał listewki na korpus latawca, naciągał między nimi linki i całość pokrywał lekkim, błyszczącym materiałem, który zwędził z pudełek przechowywanych na strychu. To były kawałki sukni, które kiedyś należały do babci i których mama jeszcze się nie pozbyła.

Wiele razy tego lata przyglądał się zawodom w puszczeniu własnoręcznie zrobionych latawców, jakie urządzali Mattias i jego koledzy. Latawce Mattiasa zawsze wznosiły się najwyżej, za każdym razem. Szybowały bezszelestnie nad polami, zupełnie jak kanie.

Królik ukryty w trawie nadal mu się przypatrywał, więc postąpił jeszcze parę kroków do przodu. Zatrzymał się, gdy zwierzątko uniosło trochę głowę. Właściwie miał ochotę ruszyć biegiem, popędzić do królika, chwycić go... Ale wujek Harald zawsze mówił, że dobry myśliwy się nie spieszy, zatem chłopiec stał spokojnie i myślał o swojej liście życzeń.

Od starszej siostry chciał dostać czerwone auto, które widział w sklepie we wsi. Na bokach miało namalowane płomienie, a kiedy pociągnęło się je do tyłu, a potem puściło, samo jechało do przodu. Autko było na pewno drogie, ale Vera i tak by je kupiła. Tata dałby jej pieniądze, gdyby poprosiła.

Nie był pewien, czy Vera wybaczyła mu tę historię z jastrzębimi jajkami, o której wolał nie myśleć. Mattias już się na niego nie gniewał, ale co do Very trudniej było się rozeznać.

Króliczek nieco zniżył głowę. Wziął do pyszczka źdźbło trawy. Jego wąsiki tak milutko się ruszały, że chłopiec był bliski złamania zasad wujka Harald. Ale musiał jeszcze trochę poczekać; zaczekać na chwilę, w której królik zupełnie się odpręży i nie będzie już spoglądał w jego stronę.

Od mamy i taty chłopczyk chciał dostać rower. Zaczął już ćwiczyć na starym rowerze Mattiasa, chociaż właściwie nie wolno mu było tego robić na własną rękę. Parę dni temu przewrócił się i otarł sobie skórę na kolanie. Nie bardzo mocno, ale na tyle, że pokazała się krew. Rozpląkał się i schował do kryjówki na drzewie. Wujek Harald go znalazł i skrzyczał: „Co twoja mama na to powie? Nie rozumiesz, że będzie się martwiła?”

Dobrze to rozumiał. Mama ciągle się o niego martwiła. „Bo jesteś moją malutką myszką”, powtarzała. „Bo nie mogę znieść myśli, że mogłoby ci się stać coś złego”. To dlatego schował się wtedy i nie odważył się wejść do domu.

Wujek Harald dał mu burę, a potem nakleił plaster na kolano i powiedział mamie, że chłopiec przewrócił się na żwirowej ścieżce między domem a stodołą („To się łatwo może zdarzyć, kiedy się biega w drewniakach”). Skłamał nie ze względu na niego, lecz na jego mamę. Odtąd chłopcu nie wolno było chodzić w drewniakach, chociaż Mattias i Vera je nosili. Uważał, że to niesprawiedliwe.

Króliczek nagle się poruszył. Pokicał kawałek w jego stronę, szukając wyższej trawy. Chłopiec nie podbiegł w kierunku zwierzątka; stał zupełnie bez ruchu. Czekał, dokładnie tak, jak radził wujek Harald.

Wujek Harald był najlepszym myśliwym w okolicy, wszyscy o tym wiedzieli. W jego kotłowni prawie zawsze wisiały pod sufitem jakieś zabite zwierzęta: bażanty, sarny, zające o nieruchomych oczach i zeszywniałych ciałach. Wujek Harald miał wielkie dłonie. Pachniał tytoniem, olejem, psami i jeszcze czymś innym. Chłopiec nie wiedział, co to za zapach, ale domyślał się, że to woń czegoś niebezpiecznego. Wielu ludzi bało się wujka Harald. Z całą pewnością obawiali się go Vera i Mattias, chociaż Vera udawała, że tak nie jest. Czasem sprzeciwiała się wujkowi, ale było wtedy słychać, że głos jej lekko drży. Mattias za to nic nie mówił, tylko patrzył w ziemię i robił, co mu wujek kazał. Przynosił wujkowi fajkę i karmił jego psy. To nie były takie psy, z którymi można się bawić. Nie mieszkały w domu, tylko w dużych kojcach na podwórzu, i jeździły z tyłu na furgonetce, a nie w kabinie samochodu. Miały szorstką sierść i czujne, lękliwe oczy, którymi śledziły każdy najmniejszy gest wujka Harald.

Jakiś tydzień temu chłopiec był w łaźni z tatą i Mattiasem. Siedział w saunie i przysłuchiwał się rozmowom dorosłych panów. Kiedy wszedł wujek Harald, wszyscy, nawet tata, przesunęli się na ławkach. Oddali wujkowi najlepsze miejsce na środku ławki. Patrzyli na niego w taki sam sposób jak jego psy.

Tylko mama nie bała się wujka Harald. Mama nie bała się nikogo, może z wyjątkiem Pana Boga. Czasem mama i wujek Harald się kłócili. Chłopiec słyszał, jak mówili do siebie różne rzeczy: trudne słowa, których nie rozumiał. Wiedział jednak, że nie były miłe.

Jednak to z urodzinowym prezentem od wujka Harald wiązały się jego największe nadzieje. Mały króliczek, który będzie należał tylko do niego – to obiecał wujek. Może króliczek będzie taki sam jak ten, który teraz siedział tylko o kilka metrów od chłopca? Gdyby go złapał, miałyby dwa króliki. I wujek Harald byłby z niego dumny. Dumny z tego, że chłopiec okazał się prawdziwym myśliwym.

Wystarczająco długo już czekał, więc ostrożnie zrobił krok do

przodu. Króliczek w dalszym ciągu skubał wysoką trawę, nie zwrócił uwagi na to, że chłopiec się zbliża, a on postąpił jeszcze jeden krok, powoli wyciągając przed siebie ręce. Mogło się udać.

– Billy! Czas do domu!

Królik uniósł głowę; zdawało się, że słucha głosu dobiegającego z góry, od strony domu. Potem odwrócił się i pokicał w przeciwnym kierunku.

Chłopiec poczuł w sercu ukłucie rozczarowania. Ale królik nagle się zatrzymał i obejrzał, jak gdyby się zastanawiał, gdzie zniknął chłopczyk. Ten nie był pewien, co powinien zrobić. Mama zaniepokoiłaby się, gdyby nie przyszedł. Sowy pohukiwały coraz głośniej, zapaliły się lampy przed domem, a cienie w ogrodzie zgęstniały w ich świetle. Królik nadal patrzył na chłopca. Wydawało się, że pyta: „Przyjdiesz do mnie?”.

Chłopiec zrobił parę kroków, potem jeszcze kilka.

– Billy! – wołała mama. – Billy, chodź natychmiast do domu!

Polowanie trwało. Królik pokicał przed siebie; jeżeli chłopiec miałby szczęście, zwierzak zaprowadziłby go do swojej norki. Do miejsca pełnego malutkich króliczków o wielkich oczach i mięciutkim futerku; króliczków, które można by było zabrać ze sobą do domu. Mogłyby mieszkać w klatce, którą obiecał chłopcu wujek Harald.

– Billy! – Głos mamy rozwiął się w oddali. Króliczek dalej kicał przed chłopcem i na pewno bez trudu mógłby uciec, mimo że chłopczyk miał na nogach swoje najlepsze buty do biegania. Może królik **chciał** zostać złapany? Chciał, żeby chłopiec go przytulił, chciał zostać jego króliczkiem?

Chłopiec podązał za królikiem pomiędzy rzędami starych drzew owocowych o grubych, powykręcanych gałęziach. Potem wbiegł w zarośla dziczających krzewów. Właściwie nie lubił tej odległej części ogrodu. Wcześniej tego lata jego kolega Isak znalazł na ziemi pod gęstymi gałęziami szczękę – biały kawałek kości z czterema poślódkowymi zębami. Wujek Harald powiedział, że dziadek zakopywał tam różne rzeczy, takie, których chciał się na zawsze pozbyć. Że szczęka z pewnością należała do świni i że pewne rzeczy trzeba zakopywać bardzo głęboko, żeby nie znalazły ich lisy.

Chłopiec tylko raz w życiu widział lisa. To było wtedy, gdy wujek Harald, tata i inni panowie rozłożyli na podwórzu upolowaną zwierzynę. Wąskie ślepia, lśniące rude futro, ostre zęby wystające z poplamionego krwią pyska. Psy obchodziły go szerokim łukiem. Wydawały się niespokojne, prawie wystraszone. „Do lisów strzela się, kiedy tylko jest po temu okazja”, powiedział wujek Harald. „To jest obowiązek każdego myśliwego, bo lisy są chytre i podstępne, dokładnie takie, jak w bajkach. Potrafią poruszać się tak, żeby nie zostawiać żadnego śladu”.

„Lisy mają doskonały węch”, mówił wujek. „I uwielbiają zapach królików i małych chłopców, więc trzymaj się z dala od ogrodowego płotu, Billy!”

Wujek Harald roześmiał się tym swoim huczącym śmiechem, który brzmiał jednocześnie serdecznie i groźnie, i po chwili chłopiec też zaczął się śmiać. Jednak nie mógł przestać myśleć o lisach, odkopujących w ogrodzie szkielety. Czasem nawet śniły mu się w nocy. Ostre zęby, łapy rozgrzebujące ziemię, błyszczące, wilgotne, wężące nosy, zwrócone w stronę domu. Węszyły za małym chłopcem.

Odtąd unikał tej odległej części ogrodu. Nie zaprotestował, kiedy Isak zabrał świńską szczękę do domu, chociaż właściwie powinna należeć do Billy’ego.

Ale teraz nie powstrzymałyby go żadne lisy ani szkielety. Królik kicał między suchymi krzakami, a chłopiec w pogoni za nim coraz dalej zagłębiał się w zarośla. Rękaw jego bluzy zaczepił się o jakąś niską gałąź, więc musiał się zatrzymać na parę sekund, a kiedy się uwolnił, królik zniknął.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zawrócić i nie pójść do domu, ale napięcie, wzbudzone polowaniem, nie chciało go opuścić. Dzięki niemu odważył się ruszyć dalej. Jeszcze dalej w zarośla. Jak prawdziwy myśliwy.

Kolejne gałęzie wyciągały się ku niemu. Kolczastymi palcami starały się chwycić jego ubranie. Zdawało mu się, że gdzieś daleko w ciemności dostrzega poruszający się biały ogonek. Może był już blisko króliczej nory? Na myśl o tym przyspieszył i o mało nie wbiegł prosto na płot na końcu ogrodu.

Zatrzymał się jak wryty. Kilka metrów za płotem rosła gęsto pastewna kukurydza. Długo jeszcze nie miała być zbierana. Tata mówił, że zbiera się ją z pola dopiero wtedy, kiedy wyschnie i całkiem żółknie.

Między liśćmi grały świerszcze, spletały swoje melodie w szmerzący dywan dźwięków, tak że niemal zagłuszały myśli chłopca. Królik był po drugiej stronie płotu. Siedział u stóp zielonej ściany kukurydzy i przyglądał się chłopcu. Czekał na niego.

Płot był wysoki, chyba wyższy nawet od wujka Haralda – z pewnością za wysoki, aby chłopiec mógł przedostać się na drugą stronę. Koniec polowania. Nie zobaczy króliczej norki. Mimo to poczuł pewną ulgę. Nigdy nie był tak daleko w ogrodzie zupełnie sam. Na niebie pozostała tylko jedna blada smuga wieczornego światła, a cienie między krzakami nie wiadomo kiedy zmieniły się w całkowity mrok.

Chłopczyk postanowił wrócić do domu. Już zawracał, gdy nagle coś zauważył: podkop pod płotem, przez który mały chłopiec mógłby przedostać się na drugą stronę. Popatrzył na królika. Siedział w tym samym miejscu.

Powiew wiatru zaszeleścił w polu kukurydzy, przedostał się przez zardzewiałe oka siatki płotu i dotarł do ciemnych zarośli. Chłopiec obejrzał się przez ramię, przykląkł, a potem położył się na brzuchu. Przeczłapał się ostrożnie pod końcówkami stalowych drutów, wstał i otrzepał ziemię z kolan i dłoni. Czuł dreszczyk podniecenia. Był poza ogrodem, pierwszy raz wyszedł z niego na własną rękę. W poniedziałek opowie o tym Isakowi. Może Mattiasowi i Verze też. Powie im, jaki był dzielny i jak sam złapał królika, ale poprosi, żeby nic nie mówili mamie.

Kukurydza zaszeleściła; w pierwszej chwili pomyślał, że to znowu wiatr, ale zobaczył biały ogonek znikający między wysokimi łądogami. Królik już nie kicał spokojnie, ale pędził, pędził! Położył uszy po sobie, spod łapek tryskały grudki ziemi. Dopiero gdy króliczek zniknął mu z oczu, chłopiec pojął, co się stało. Wrażliwy nos zwierzątka wyczuł oprócz zapachu chłopca woń kogoś innego. Kogoś, kto bez trudu mógł podkopać się pod płotem. Kogoś o rudym futrze i ostrych zębach, kto uwielbiał zapach królików... i małych

chłopców...

Serce biło tak szybko, tak szybko, jakby należało do małego, przerażonego królika. Łodygi kukurydzy wznosiły się nad głową chłopca jak mroczne, słaniające się na boki olbrzymy; napierały na niego, przyciskały go do płotu. W gardle nabrzmiewał płacz. Kątem oka chłopiec dostrzegł coś, co się poruszało, coś rudego. Odwrócił się i uświadomił sobie, że w tej samej chwili ucichły wszystkie świerszcze.

Mamo! – zdążył pomyśleć. Mamo...

Kochanie,

to jest początek naszej historii. Opowiadanie moje i Twoje. Były próby oporu, próby, by oddalić się od Ciebie, a jednak nie upaść, ale teraz poddaję się, kochanie, i liczę na to, że mnie podtrzymasz, uratujesz przed upadkiem. Czy to zrobisz? Czy też upadniemy oboje?

Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Tak bardzo chcę wierzyć, że nasze opowiadanie będzie miało szczęśliwe zakończenie.

Ona jest jesienną osobą, zawsze taka była. Albo prawie zawsze. Kiedyś życzyła sobie, by lato nigdy się nie kończyło, aby światło słońca, ciepło i wysokie błękitne niebo były wieczne. Ale to było dawno. W innym miejscu, w innym życiu.

Zgodnie ze wskazówkami ściennego zegara spotkanie ma się rozpocząć za jedenaście minut. Jak dotąd wszystko idzie dobrze. Razem z Ruudem zrobili kanapki i napełnili termosy kawą. Ustawili krzesła w porządne kółko na szarej wykładzinie; dwanaście odrapanych, metalowych składanych krzeseł – prawdopodobnie za dużo, ale nie na tyle, żeby w kręgu powstały zbyt duże luki; na siedzeniu każdego z nich umieścili paczkę tanich chusteczek higienicznych.

Gdy wszystko było przygotowane, Ruud otworzył podwójne drzwi hallu. Wpuścił dwoje uczestników, którzy przyszli za wcześnie. Wraz z nimi pojawił się zapach rozgrzanego, zroszonego deszczem asfaltu. Lubiała ten zapach najbardziej ze wszystkich woni miasta. Być może dlatego, że miał w sobie coś oczyszczającego. Nowy początek. Właśnie taki, jaki miał być dzisiejszy dzień.

Pierwszy uczestnik spotkania, którego wpuścił Ruud, był mężczyzną w jej wieku, między trzydziestką a czterdziestką. Miał tatuaże na ramionach, pogniecione ubranie i głowę jakby trochę za dużą w stosunku do reszty ciała. Prawdopodobnie do tego wrażenia przyczyniała się broda. Była gęsta, nierówno przystrzyżona i zaniedbana; sponad niej patrzyły pozbawione blasku, zaczerwienione oczy; podobnych par oczu będzie dziś więcej.

Druga osoba to starsza, siwowłosa kobieta, niewiele młodsza od Ruuda. Włosy ma splecione w długi warkocz zwisający na plecach. Oczy za okularami patrzą łagodniej niż oczy wytatuowanego brodacza, niemniej spojrzenia obojga są do siebie podobne.

Ruud troskliwie prowadzi przybyszów do stolika z kawą, a ona ma właśnie zamiar podejść i się przedstawić, gdy naraz ogarnia ją to uczucie: przeświadczenie, że popełniła wielki błąd i że nic się nie

uda, absolutnie nic.

Cholera jasna!

Wypada do kuchni, ląduje na krześle, dokładnie sekundę wcześniej, nim nogi odmówią jej posłuszeństwa. Twarz w dłonie, głowa między kolana, głębokie, powolne oddechy.

Wdech

Wydech

Wdeeeech

Wyyydech

Przez wahadłowe drzwi przenika głos Ruuda prowadzącego uprzejmą wstępną pogawędkę. Owija się wokół jej mózgu, miesza się z rytmem pulsu w skroniach.

– Przyjechała pani autobusem?

Łup, łup.

– Aha, metrem.

Łup, łup.

– A pan Lars jak zwykle samochodem?... Dało się zaparkować w pobliżu?... Tak, w tej dzielnicy trzeba uważać, gdzie się zostawia samochód. Straż miejska jest nadgorliwa.

Łup, łup, łup.

Teraz słyszy inne odgłosy, kolejni uczestnicy stają na szorstkiej wykładzinie, zatrzymują się, patrzą lekko przymrużonymi oczami w górę, na jarzeniówki, dopóki Ruud ich nie odnajdzie i nie zachęci do przyłączenia się do grupy za pomocą przynęty, której mało kto potrafi się oprzeć:

– Zapraszam, tam są kanapki i kawa.

Ociągające się, niepewne kroki, cichy trzask oddzielanych od siebie plastikowych kubków, sapanie pompki termosu. Jej oddech staje się lżejszy, ale jeszcze nie ma odwagi się wyprostować. Patrzy w dół, na płytki w podłodze. Wpatruje się w jedno ze spojeń między płytkami, szarobrunatne od tłuszczu i brudu. Wszystko tu jest tłustawe, nawet powietrze. Zastane opary gotowania z ostatnich trzydziestu lat, pozostawiające słone, lepkie uczucie w gardle.

Szmer rozmów za drzwiami przybiera na sile, odbija się echem od ścian dużego pokoju.

– Autobus, metro, parking?

– Dobrze, że trochę popadało. Dobrze dla trawników. Poza tym wspaniałą pogodę mieliśmy tego lata, prawda? Prawie jak nad Morzem Śródziemnym.

– Macie jakieś plany na weekend?

Żałuje, że nie postąpiła inaczej. Żałuje, że nie wzięła świadectwa pracy, które jej proponowano, i nie zwała. Rozsądny człowiek tak by zrobił. Rzuciłby wszystko i zaczął od nowa w innym miejscu. Obojętnie gdzie. Inne miasto, inny region kraju. Może nawet inny kraj, czemu nie?

Jeszcze nie jest za późno.

Tylne wyjście z budynku jest dokładnie przed nią. W kieszeni ma klucze. Między drzwiami a ulicą są cementowe schody i kilka pojemników na śmieci. Mogłaby uciec w ciągu minuty. Ale podpisała umowę, przekonała ich, że zasługuje na jeszcze jedną szansę. Przekonała samą siebie, że to będzie ostatnia szansa.

Gwar w pokoju zebranych coraz bardziej się nasila. Termos z pompką nadal syczy. Im bardziej się opróżnia, tym głośniejszy jest ten dźwięk. Zaczyna brakować tematów do rozmowy.

– Tak, tak... Na pogodę w tym roku naprawdę nie można narzekać...

Prostuje plecy, spogląda na tylne wyjście. Przymyka oczy. Jej palce wędrują po prawym przedramieniu, paznokcie skrobią biały materiał bluzki, mankiet zaczyna przesuwac się w kierunku łokcia. Za minutę mogłaby znaleźć się na mokrym od deszczu asfalcie. Na wolności. Coraz dalej od tego miejsca.

Otwierają się wahadłowe drzwi i wchodzi Ruud. Przykuca, dotyka jej kolana.

– Wszystko w porządku, Veronica?

Jego wielka dłoń jest ciepła, wyraźnie odznaczają się na jej grzbiecie starcze znamiona. Ile on właściwie ma lat? Prawdopodobnie bliżej mu do siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki. Pracuje tu od dwudziestu lat, zetknął się ze wszystkimi niedolami i niepowodzeniami, z jakimi można się zetknąć. Zasłużył na swoją emeryturę, bez wątplenia. Jednak nie odchodzi, pracuje dalej. Dlaczego? „Bo mam w pracy darmową kawę”, mówi. Wybuch śmiechu po tej odpowiedzi zawsze uwalnia go od dalszych pytań.

Sprytna metoda. Powinna sama ją wypróbować.

Spogląda mu w oczy, zmusza się do uśmiechu. Obciąga rękaw bluzki na przegub. Ruud sądzi, że ona się boi, i w pewnym sensie ma rację. Ona straszliwie się boi. Jest sparaliżowana strachem. Jednak nie jest to cała prawda.

– W porządku. Próbuje się tylko trochę skupić. Powtórzyć sobie w myślach cały proces – mówi i lekko stuka w notatnik, który trzyma na kolanach.

– To dobrze. – Ruud wyciąga rękę, pomaga jej wstać. – Kiedy ostatnio pracowałaś? Trzy miesiące temu?

Mimo że mają ze sobą do czynienia prawie od tygodnia, Ruud nadal zachowuje się tak, jakby nie znał umowy w najdrobniejszych szczegółach. Jakby to nie on miał sprawdzać, czy Veronica dokładnie wypełnia wszystkie warunki.

A ona, tak jak wcześniej, gra w tę samą grę.

– Minęły dwa miesiące, dwa tygodnie i cztery dni. Co nie znaczy, że liczę dni.

Ruud odpowiada śmiechem.

– Właściwa odpowiedź. Zobaczysz, że tu jest prawie tak samo, jak w twoim dawnym miejscu pracy.

Wprowadza ją do sali zebrania, delikatnie trzymając za łokieć. Puścił go, zanim uczestnicy spotkania zdążyli się odwrócić.

Dziewięć osób, trochę więcej niż spodziewała się zobaczyć w piątkowe popołudnie. Umykające spojrzenia, krzywe uśmiechy, lekkie skinienia głów. Unosi się nad nimi uczucie beznadziei, jak lepka błona, mocno przyklejona do ciemnych kątów, do których nie całkiem dociera światło jarzeniówek; hamuje dopływ powietrza.

Veronica wymusza z siebie jeszcze jeden uśmiech, siada na krześle i otwiera notatnik. W gardle czuje uderzenia serca, co przyprawia ją o lekkie mdłości, a na sobie wzrok Ruuda, ale nie patrzy w jego stronę. Próbuje nie myśleć o tym, dlaczego Ruud jest tu obecny.

Głęboki wdech. Wsłuchuje się w uczucie w płucach. Bez trudu sięga do krawędzi lodu.

– Dzień dobry, witam wszystkich. Nazywam się Veronica Lindh i jestem terapeutką specjalizującą się w terapii rozmową dla osób, które przeżywają stratę kogoś bliskiego. Wcześniej przez cztery lata

pracowałam w ośrodku terapii w północnym rejonie miasta, a od dziś zacznę pracę w rejonie południowym.

Zdziwiona jest pewnym, spokojnym tonem własnego głosu. Brzmi obco, tak jakby głos Veroniki Lindh nie był jej głosem – co się w pewnym sensie zgadza.

– Ta grupa terapeutyczna przeznaczona jest dla nas, dla ludzi, z których każdy stracił bliską, kochaną osobę.

Wszystkie spojrzenia skierowane są na nią. Serce tłucze się o lód tuż pod żebrami. Wyobraża sobie, że z każdym uderzeniem lód trochę ustępuje. Uderzenie po uderzeniu – aż wreszcie powstanie wąska szczelina, przez którą będzie można dojrzeć strużkę czarnej wody.

– Kiedy miałam czternaście lat, straciłam matkę. Pewnego wieczoru napełniła kieszenie swojego zimowego płaszcza kamieniami i weszła na lód na jeziorze.

Teraz nie wolno jej się wahać. Nie wolno się zatrzymywać, nie wolno spoglądać w dół. Kolejny wdech. Lodowate zimno powoli wypełnia klatkę piersiową.

– Na przeciwległym brzegu jeziora stał jakiś mężczyzna. Powiedział później, że mama szła prosto przed siebie, chociaż wyraźnie słychać było, że lód pęka i trzeszczy. Kiedy krzyknął do niej, zatrzymała się na chwilę na środku jeziora i popatrzyła na niego. A potem nagle już jej nie było.

Zmusza się, aby nie myśleć o szczelinie w lodzie. Wyobraża sobie, jak lód zamyka się na nowo, nad mamą i nad szczeliną pod jej sercem. Zmienia się w twarde pancerz.

Odchrząkuje, ostrożnie obejmuje okładkę notatnika. Nikt nie zdążył dostrzec, że drżą jej ręce, nawet Ruud.

– Mama nas zostawiła – mówi. – Zostawiła mojego ojca, mojego starszego brata i mnie. Musieliśmy radzić sobie sami. Potrzebowałam wielu lat, bym przestała być na nią zła. Bym przestała zadawać sobie to pytanie, które wy wszyscy sobie zadajecie.

Przełyka ślinę, kilka razy; czuje, że jej żyły wypełniają się czymś miłszym od lodowatej wody jeziora. Dała sobie radę. Poświęciła się, a teraz pora na wytęsknioną nagrodę. Liczy do dziesięciu, a potem zwraca się do siedzącej najbliższej uczestniczki. To ta siwa kobieta

z warkoczem.

– Proszę.

Zachęcająco kiwa głową w kierunku kobiety i słyszy, jak ta nabiera powietrza do płuc. Nowa opowieść, a jednak dobrze znana.

Córka, nowotwór, nie skończyła trzydziestu lat.

Przybiera współczujący wyraz twarzy, bazgrze kilka słów w notatniku. Długopis szybko się porusza, zamienia cierpienie na tusz. Siwa pani płacze. Podczas gdy jej opowieść się rozwija, łzy toczą się cicho, zatrzymują się na chwilę przy dolnej krawędzi okularów i płyną dalej po policzkach. Kolejne słowa.

Niesprawiedliwe, całe życie miała przed sobą. Tak mi jej brak.

Siwa kobieta kończy opowiadanie, zdejmuje okulary i wyciera je tanią chusteczką higieniczną. Powoli ją składa i wkłada do torebki, ostrożnie, jakby łzy były ze szkła i jakby zamierzała zabrać je do domu i położyć w witrynce, niczym przezroczyste perełki smutku.

Ta myśl rozprasza Veronicę, tymczasem zaczęła mówić następna osoba. Lars, ten brodaty. Kolejne słowa, twardszy głos. Veronica pospiesznie notuje. Jego opowieść też wciąga w tusz długopisu.

Żona, wypadek, pijany kierowca, uszkodzenie mózgu, zła opieka lekarska, nigdy nie wróciła do zdrowia.

Tu nie ma łez. Jest tylko gniew. Rozgoryczenie. Veronica uzupełnia nim notatki. Jej ręka wyraźnie lżej porusza się nad kartką.

Nienawidzę, wyobrażam sobie zemstę, chcę skrzywdzić. Oko za oko... Dostanę za swoje, wszyscy. Pijak za kierownicą, lekarze, wszyscy!

Lars milknie, łąpczywie wciąga powietrze. Wygląda na to, że mu ulżyło, ale zaraz potem zaczyna sprawiać wrażenie zawstydzonego. Mamrocze coś, co nie dociera do Veroniki, i spogląda w dół, na swoje dłonie. Są duże, toporne, spękane; pęknięcia w skórze są tak głębokie, że nie da się z nich wypłukać brudu i resztek smarów. Dłonie taty, dłonie wujka Haralda. Dłonie Veroniki są gładkie i miękkie, o długich palcach, które najbardziej nadają się do trzymania długopisu. Piszące dłonie. Dłonie mamy. Veronica odpędza od siebie te myśli i skinieniem głowy daje znak następnemu uczestnikowi, że ma zacząć swoją opowieść.

Udziela głosu w kręgu zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Słowa

mieszają się ze szlochami i z szelestem papierowych chusteczek. Długopis coraz szybciej sunie po papierze i coraz szybciej bije puls, pompujący hormony nagrody.

Takie nieszczęście, moja rodzina nigdy się z tym nie pogodzi. Nigdy, do końca życia.

Minutnik przesuwa się po pośliskłej tarczy ściennego zegara. Wskazówka zacina się trochę co pięć minut, zatrzymuje się na kilka sekund, po czym uwalnia się z trzaskiem.

Gdy wszystkie historie już zostały opowiedziane, pozostaje jedno słowo na dole ostatniej kartki, napisane wielkimi literami; słowo, które wszyscy powtarzają. Pytanie, które krąży pod sufitem i na które nikt nie potrafi odpowiedzieć, choćby powtarzał swoją opowieść w nieskończoność.

Dlaczego?

Veronica podkreśla to słowo, pogrubia długopisem litery i znak zapytania tyle razy, że długopis w końcu przebija papier. Przestaje, dopiero gdy minutnik ściennego zegara potrzaskuje po raz ostatni, na znak, że terapia na dziś skończona.

Ulga jest bezmierna, miesza się z endorfinami, które już zalały jej mózg. Lewa ręka znów trafia na prawe przedramię, skrobie z lekkim roztargnieniem materiał bluzki i podłużną bliznę, która się pod nim kryje.

To już koniec? – myśli Veronica. I zaraz potem: Kiedy będzie więcej?

Lato 1983

Właściwie był to dobry deszcz. Nie burzowa ulewa, kładąca na ziemię dojrzałe zboże, lecz miękki, spokojny deszcz, który delikatnie zwilżał ziemię i ustawał o wschodzie słońca, tak że kłosa i liście do południa wysychały. Żniwny deszcz, jak mawiali okoliczni rolnicy. To był dobry deszcz, który każdej innej letniej nocy ucieszyłby komendanta Kristera Månssona i mężczyzn zebranych wokół niego na podwórzu gospodarstwa Backa.

Månsson zsunął furażerkę na tył głowy i powiódł dłonią po czole. Niebieska mundurowa koszula lepiała mu się do karku, chociaż przed dobrą chwilą rozluźnił krawat.

Zdarzało mu się już szukać zaginionych, wmawiał sobie. W każdym razie ćwiczył poszukiwania kilka lat temu, na kursie dla wyższych funkcjonariuszy policji. Najważniejsze było planowanie, organizacja i kierowanie akcją. Należało metodycznie przejść wszystkie możliwe opcje, by na koniec natrafić na tę właściwą. Jednak w ciemności i w deszczu łatwiej było to powiedzieć niż wykonać.

Część mężczyzn zostawiła włączone silniki w samochodach, ustawionych kręgiem wokół Månssona na podwórzu przed domem Nilssonów. Reflektory oświetlały powiększającą się grupę ludzi, zmieniając ich w cieniste postaci o wyraźnie oświetlonych nogach i podbrzuszach oraz widmowych twarzach, których rysów nie dawało się odróżnić. Ale to ostatnie nie było potrzebne. Wszyscy rozpoznawali siebie nawzajem. Wszyscy się znali.

Månsson zwrócił uwagę na ich spojrzenia. Lekko obciągnął pogniecioną, trochę przyciasną kurtkę munduru, która przestawała stawiać opór deszczowi, poprawił furażerkę i uniosł rękę nad głowę.

– Bacność!

Ani okrzyk, ani gest nie uciszyły szmeru głosów wokół niego. Zastanawiał się, czy nie powinien wdrapać się na platformę stojącej

obok niego furgonetki, ale uznał, że metalowe obramowanie jest zbyt wysokie i zbyt śliskie, i że akurat teraz nie powinien ryzykować wystawiania na szwank swojego autorytetu. Spróbował zatem jeszcze bardziej podnieść głos i nadać mu ton odpowiedni dla przedstawiciela władzy.

– Baczość, wszyscy!

Efekt był tylko nieznacznie lepszy.

– Zamknijcie mordy, do cholery! Månsson ma coś do powiedzenia. Czas ucieka, a wy gładzicie o pierdołach!

Ostry głos należał do wysokiego, chudego mężczyzny, który bez trudu wskoczył na platformę furgonetki za plecami Månssona. To był Harald Aronsson, wuj chłopca. Rozmowy natychmiast ucichły, a grupa mężczyzn stanęła ciasniejszym kręgiem wokół policjanta i samochodu.

Månsson odchrząknął, z aprobatą skinął głową Aronssonowi, który na ten gest nie odpowiedział.

– Większość z was już wie, co się zdarzyło, i chce jak najszybciej rozpocząć poszukiwania – zaczął Månsson. – Ale wszyscy powinniśmy mieć taki sam punkt wyjścia, dlatego krótko podsumuję, co na razie wiemy.

Przerwał na chwilę, aby ci, którzy przybyli ostatni, mogli podejść wystarczająco blisko, by go słyszeć.

– Szukamy małego chłopca, Billy’ego Nilssona, blisko pięcioletniego. Ostatni raz był widziany przez swoją matkę wkrótce po godzinie ósmej, co znaczy, że nie widziano go od...

Månsson spojrzął na zegarek, kwadratowy elektroniczny zegarek, który Malin dała mu w prezencie na dwudziestolecie ślubu. Miał cztery wystające metalowe przyciski; Månsson znał działanie tylko jednego z nich – tego, który włączał oświetlenie ekraniku; to się bardzo przydało teraz, w ciemności.

– ...niecałych pięciu godzin. Rodzina przeszukała ogród, dom mieszkalny, stodołę i oborę, zanim około godziny jedenastej zawiadomiła policję. Tuż przed północą zaczęliśmy przeszukiwać ogród z psem policyjnym.

Wskazał dłonią na dom po przeciwległej stronie podwórza, co sprawiło, ku jego zadowoleniu, że większość mężczyzn zwróciła

głowy w tym kierunku.

– Pies doprowadził nas do podkopu pod płotem na końcu ogrodu, od strony pola kukurydzy. Potem niestety stracił trop, prawdopodobnie wskutek deszczu albo dlatego, że chodzili tamtędy rodzice i rodzeństwo Billy’ego.

Opuścił dłoń i odczekał do chwili, w której znów skupił się na nim wszystkie spojrzenia.

– Wygląda więc na to, że chłopiec przeczłgał się pod płotem i zabłądził wśród kukurydzy. Dobrze wiecie, że kukurydza urosła na wysokość dorosłego człowieka, toteż nietrudno się w niej zagubić, szczególnie w ciemności. Dlatego potrzebujemy waszej pomocy. Utworzymy cztery tyraliery...

Månsson zakończył wydawanie instrukcji i stwierdził z satysfakcją, że wszyscy obecni na podwórzu się do nich zastosowali. Podzielili się sprawnie na grupy i oddalili pieszo albo samochodami. Każdą grupą dowodził jeden z umundurowanych policjantów.

Wszystkim zależało na szybkim rozpoczęciu poszukiwań. Prawie wszyscy mężczyźni mieli dzieci i bez trudu mogli sobie wyobrazić straszny dramat, jaki przeżywają w tej chwili Nilssonowie. Ale w tej akcji chodziło też o zbiorowe uczucie ulgi, jakiego dozna cała okolica, kiedy mały Billy wróci do swojej mamy – przemoknięty, zmarznięty i wystraszony, ale cały i zdrowy. Bo tak oczywiście miało się stać. Wszyscy na to liczyli, a niektórzy może nawet czerpali przyjemność z pełnej napięcia sytuacji, myślał Månsson. Niejeden pewnie wręcz cieszył się na myśl, że to właśnie on odnajdzie chłopca. Ten, kto znalazłby Billy’ego Nilssona, nigdy już nie musiałby płacić za piwo w gospodzie ani za bilet wstępu do parku rozrywki; Harald Aronsson na sto procent by o to zadbał.

Månsson pracował na posterunku w Reftinge od czterech lat. Przeniósł się tu z rodziną, bo zbrzydły mu nocne zmiany, pijacy i psychopaci w Norrköping. Sprzykrzyło mu się patrzeć, jak młodszy, bardziej pazerni koledzy ciągle wyprzedzają go we wspinaczce po szczeblach kariery. W Reftinge, na skraju skańskiej równiny, nie był na to wszystko narażony. Tu był szefem dla dwunastu policjantów

i dwóch pań, które odbierały telefony, przyjmowały zgłoszenia i wydawały zezwolenia na broń.

Urodził się i wychował w podobnej rolniczej okolicy na równinach Wschodniej Gotalandii i rozumiał, jak funkcjonują wiejskie społeczeństwa; prawdopodobnie między innymi dlatego dostał pracę w Reftinge. Z doświadczenia wiedział, że na wsi ludzie ciężko pracują i pomagają sobie nawzajem. W większości przypadków przestrzegają dziesięciu przykazań, co oznaczało, że lista przestępstw popełnianych w Reftinge obejmowała włamania, kłusownictwo oraz prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym albo bez prawa jazdy. Co do przestępstw za kierownicą, wiedział, że jego podwładni lubili przymykać na nie oczy. Działo się tak na podstawie swego rodzaju niepisanej umowy między mieszkańcami a siłami porządkowymi, która została zawarta na długo przed przybyciem Månssona. Na wsi samochód był niezbędny. Bez samochodu nie było pracy, a w konsekwencji chleba, Månsson zaś nie należał do ludzi, którzy chcą pozbawiać czyjąś rodzinę pieniędzy i jedzenia. Wystarczająco trudno było nie należeć do miejscowych – było to niełatwe nie tylko dla niego samego, ale także dla Malin i dzieci. Potrzeba było sporo czasu, aby się dostosować i zostać zaakceptowanym, zwłaszcza gdy mówiło się innym dialektem.

Månsson naprawdę starał się jak mógł. Przyzwyczał się do tego, że jego nazwisko wymawiano *Månssenn*. Przestał pić kawę Gevalia i przeszedł na lokalną Skånerost, przyzwyczał się też nazywać lunch obiadem. Zapisał się wraz z całą rodziną do klubu piłkarskiego i chodził do łaźni dokładnie o siódmej wieczorem w każdy czwartek, żeby w saunie pogadać z miejscowymi facetami. Te wysiłki się opłaciły. Zeszłego lata Malin została wybrana na zastępczynię skarbnika w klubie, a on sam – na trenera młodszych nastolatków. A wiosną zaproponowano mu dołączenie do jednego z większych klubów łowieckich. Cieszył się na jesienny sezon polowań, wręcz trudno mu było się doczekać.

Zanim nadejdzie jesień, prawdopodobnie zrobi się trochę bardziej niespokojnie, bo pod koniec żniw mężczyźni zwykle byli zmęczeni i drażliwi. Bójki, pijaństwo i niszczenie mienia, być może jakiś przypadek cięższego pobicia albo przemocy domowej. Gorsze rzeczy

na ogół się tutaj nie zdarzały. Faktem było, że podczas ostatnich czterech lat pracy – aż do dzisiejszego wieczoru – nie zaistniała żadna sytuacja wymagająca szczególnego zaangażowania, za co był wdzięczny losowi. Wolał trzymać się z tyłu, nie wysuwać na pierwszy plan, popijać spokojnie poranną kawę, czytając lokalną gazetę oraz miesięczniki „Kraj” i „Szwedzkie Łowiectwo”, uczęszczać na zebrania stowarzyszenia przedsiębiorców, Czerwonego Krzyża i Rady Gminy. Albo na szkolnej wywiadówce spalić trochę listków haszyszu, żeby rodzice wiedzieli, jak pachnie – na wypadek gdyby jakiś przedsiębiorczy nastolatek przywiózł sobie trochę zioła z Danii. Czy też organizować – dla rowerzystów i kierowców – coroczny dzień bezpieczeństwa na drodze. Tego rodzaju zadania policyjne lubił i był w nich dobry.

Uświadomił sobie, że spojrzenia wszystkich skierowane są na niego, gdy podwórze zaczęli zapełniać stawiający się na wezwanie ochotnicy obrony terytorialnej. Ta świadomość zebrała się w twardą, kwaśną grudę w żołądku, rosnącą w miarę jak rosła grupa mężczyzn na podwórzu. Wszyscy patrzyli na niego, wszyscy wierzyli, że pomoże im uwolnić Nilssonów od koszmaru.

Månsson zwrócił wzrok w stronę wielkiego domu Nilssonów, w którym zapalone były chyba wszystkie światła. W jednym z okien dostrzegł dwie sylwetki. Dziewczynka i chłopiec, rówieśnicy jego dzieci. Poszukał w pamięci imion brata i siostry Billy’ego. Pamiętał, że ich ojciec miał na imię Ebbe. Ebbe Nilsson był spokojnym, zrównoważonym człowiekiem, który też nie lubił wysuwać się na pierwszy plan. W saunie zwykle siedział w milczeniu na jednej z niższych ławek, podczas gdy w rozmowie udzielali się inni – na przykład szwagier Ebbego, Harald Aronsson.

Wszyscy rzecz jasna znali matkę dzieci, Magdalenę Nilsson, z domu Aronsson. Była pierwszą Miss Groszku w lokalnym konkursie piękności. Czarno-biała fotografia z jej koronacji nadal wisiała w hallu Urzędu Gminy, chociaż konkurs odbył się ponad dwadzieścia lat temu. Zdjęcia nie usunięto nie tylko ze względu na urodę Magdaleny, lecz także z powodu jej nazwiska. Aronssonowie mieli wiele do powiedzenia we wsi i w okolicy. To dodatkowo komplikowało sytuację.

Månsson nadal szukał w pamięci imion dzieci, które stały w oknie na piętrze, ale mimo usilnych starań nie mógł ich sobie przypomnieć. Uniósł dłoń i pomachał dzieciom, nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi. Nie odpowiedziały na jego gest. Czekały, aż znajdzie ich braciszka. Aż wszystko znowu będzie dobrze.

Veronica uważa się za całkiem przyzwoitego człowieka. Segreguje śmieci, płaci rachunki w terminie i od czasu do czasu ofiarowuje jakąś niewielką kwotę na cele charytatywne.

Do kościoła natomiast nie chodzi od wielu lat. Nie lubi wspomnień, jakie wzbudzają w niej kościoły. Z powodu tych wspomnień dzwoni do ojca najwyżej raz na miesiąc. Zwleka z wybraniem jego numeru, odkłada to na później, aż do chwili, kiedy nie może już uciszyć wyrzutów sumienia. Ojciec zawsze odbiera telefon po najmniej ośmiu sygnałach. Potem słyhać, jak podnosi słuchawkę, i następuje kilka sekund ciszy, podczas których oboje, wbrew zdrowemu rozsądkowi, żywią nadzieję, że na drugim końcu połączenia odezwie się głos kogoś innego. A jeszcze później – rozczarowanie przy zderzeniu z rzeczywistością, rozczarowanie, którego ani ojciec, ani ona nie potrafią ukryć i na które nie może zaradzić żadna grzecznościowa pogawędka.

Veronica nie była w Reftinge od lat, nawet na urodzinach, chrzcinach i pogrzebach, chociaż oczywiście powinna była pojechać. Wie, że mieszkańcy wsi zwracają uwagę na takie rzeczy. Komentują.

To ją drażni, a jednocześnie drażni ją świadomość, że ciągle myśli o Reftinge jako o swojej rodzinnej miejscowości, chociaż wprowadziła się stamtąd przed piętnastoma laty.

Stoi z Ruudem na szerokich schodach przed szarą bryłą ośrodka, wybudowaną w latach sześćdziesiątych. Przestało padać. Ciepło nagromadzone wokół nich w asfalcie, metalu i betonie sprawia, że wilgoć szybko wyparowuje. Rzeński zapach znikł, wyparł go odór sfermentowanych śmieci, oparów kuchennych i spalin – zwykły letni strój wielkiego miasta. Veronica na parę sekund przymyka oczy, rozkoszuje się dobrym samopoczuciem, które też powoli wyparowuje.

– Dziękuję za dzisiejsze spotkanie i do zobaczenia w przyszłym

tygodniu? – Pożegnalne zdanie siwej pani jest stwierdzeniem, któremu w jakiś sposób zdołała nadać ton pytania, tak jakby kobieta nie była pewna, czy następne spotkania się odbędą.

Veronica kiwa głową, ściska dłoń siwej pani – dłoń o drobnych, kruchych kostkach, delikatnych jak u pisklęcia.

– Tak, widzimy się za tydzień – odpowiada.

Siwa pani pokonuje cztery stopnie w dół, odwraca się i unosi dłoń w nieśmiałym geście. Potem mocno przyciska do piersi torebkę z perełkami smutku i powoli się oddala.

Veronica i Ruud w ciszy obserwują siwą kobietę podążającą ku stacji metra.

– Jak poszło twoim zdaniem? – pyta Ruud, nie odrywając wzroku od oddalającej się w stronę metra starszej pani.

Veronica wzrusza ramionami.

– Okej – odpowiada; jest to prawie w równym stopniu prawdą, jak i kłamstwem.

– Mhmmm. – Ruud wyjmuje z kieszeni puszczkę ze snusem, umieszcza paczuszkę tytoniu pod górną wargą i poprawia jej ułożenie czubkiem języka. – Niewiele pytań zadawałaś.

Veronica ponownie wzrusza ramionami.

– Nie chciałam zaburzać rytmu. – Spogląda z ukosa na Ruuda i żałuje szorstkiego tonu swojej odpowiedzi. Należałoby okazać trochę więcej samokrytyki. Przecież będzie oceniana. – Oczywiście cenię sobie twoją opinię – dodaje.

Ruud trochę się krzywi, a może znów poprawia położenie paczuski pod górną wargą.

– Jeżeli ty zaczniesz zadawać pytania, to inni też odważą się pytać – mówi. – Ważne jest, żeby grupa zaczęła rozmawiać, żeby spotkanie nie było serią monologów. Wszyscy powinni być aktywni. Na tym przecież polega terapia grupowa. – Patrzy na nią i uśmiecha się nieco złośliwie. – Zresztą dobrze to wiesz, tylko trochę zardzewiałaś. Jeszcze parę spotkań i wszystko zacznie się toczyć jak trzeba.

Veronica przytakuje, unikając wzroku Ruuda, aby nie dostrzegł, jaką ulgę poczuła. Siwa pani znikła z pola widzenia. Skryła się między budynkami jak wystraszona myszka.

– Słuchaj, to z twoją matką... – mówi cicho Ruud. – Nie wiedziałem, że ktoś widział, jak...

– Któryś z pracowników jej szukał. – Veronica jest zdziwiona tym, że jej głos brzmi tak spokojnie, że udało jej się odpowiedzieć na pytanie, zaznaczając jednocześnie, że nie życzy sobie dalszego indagowania.

Ruud nie daje się jednak powstrzymać.

– Straszna historia...

Wyraźnie chce, aby opowiadała dalej, aby mu się zwierzyła, chociaż znają się dopiero od tygodnia. Ale Veronica nie ma ochoty stawiać czoła nowym wyzwaniom, ani dla Ruuda, ani dla nikogo innego. Dalej wpatruje się w ulicę. Po chwili Ruud pojmując jej zachowanie, odwraca się i spluwa przez zęby.

Stoją w milczeniu; cienie między domami wydłużają się. Z przebiegającej opodal obwodnicy słychać odgłosy popołudniowego ruchu samochodów.

– Dasz sobie radę, Veronica – mówi cicho Ruud. – To, co zdarzyło się wiosną, to była tylko chwilowa przeszkoda, którą musiałś pokonać. Zachowaj spokój i koncentruj się na pracy, a wszystko wkrótce wróci do normy.

Veronica znów nie odpowiada. Jest w pewien sposób zadowolona z tego, że skończyła się trwająca od tygodnia zabawa w ciuciubabkę. Jej kolega wreszcie przestał udawać, że nie wie, dlaczego przesunięto ją do innego miejsca pracy, ale ona nie chce o tej sprawie rozmawiać. Podczas ostatnich miesięcy chyba ze sto razy wyrzuciła samą siebie na wewnętrzną stronę.

Jak sądzisz, dlaczego tak postąpiłaś, Veronica? W jaki sposób możesz uniknąć powtórzenia się takiej sytuacji? Jakie uczucie łączyło się z twoim zachowaniem?

Na ulicę tuż przed nimi wjeżdża motocykl. Silnik brzmi głucho, chrapliwie. Motocyklista ma na sobie niebieskie dżinsy i brązową skórzaną kurtkę. Kask jest matowoczarny, z nieprzezroczystą, ciemną osłoną twarzy. Motocykl mija ich bardzo powoli, niemal się zatrzymując. Kierowca zwraca głowę ku Veronice. Spogląda jej prosto w oczy.

Veronica nie ma urody modelki, cokolwiek by to znaczyło. Jest

jednak zgrabna, wytrenowana, ma długie nogi i coś szczególnego w ustach i oczach – cechy, które odziedziczyła po matce i które stają się wyraźniejsze, gdy nakłada makijaż i rozpuszcza włosy. Cechy świadczące o wrażliwości, o tym, że została kiedyś zraniona. Zadziwiająco wielu mężczyznom to się podoba. Korzystała z tego, kiedy była młodsza, ale to było dawno temu, w innym mieście, w innym kraju. Teraz zaciska usta i wysoko unosi głowę. Mówi miękko, ale stanowczym tonem, i patrzy ludziom w oczy. Jednak nadal zadziwiająco mało trzeba, żeby przyciągnąć mężczyzn. Jeden gest, jeden ruch głowy. Czasem wystarczy jedno spojrzenie.

Mężczyzna na motocyklu wciąż patrzy na nią przez ramię; wydaje się, że lekko skinął głową, jakby się znali. Ruud chyba też to zauważył.

– Znasz go? – usiłuje zadać pytanie rozbawionym tonem, ale brzmi w nim cień irytacji.

– Nie. – Veronica potrząsa głową, aby przekonać i Ruuda, i siebie, ale z jakiegoś powodu serce znów zaczyna jej bić szybciej.

Odprawia wzrokiem mężczyznę, patrzy, jak jedzie dalej ulicą. Motocyklista nagle dodaje gazu. Veronica podskakuje na odgłos gwałtownego jazgotu silnika. Hałas odbija się od ścian budynków, brzmi jak ryk dzikiego zwierza i stopniowo cichnie, w miarę jak motocykl szybko się oddala.

– Może to ktoś, kto zbiera się na odwagę? Może chciał sprawdzić, jaka jesteś groźna, zanim zdecyduje się dołączyć do grupy terapeutycznej? – Ruud szturcha ją w bok i szeroko się uśmiecha.

Veronica oddaje mu szturchańca, czuje ulgę i wdzięczność.

– Jeżeli pomożesz mi zamknąć lokal, to odwiezę cię do domu – mówi Ruud. – Umowa stoi?

– Stoi!

Ruud odwraca się i idzie w kierunku drzwi. Veronica jeszcze przez parę sekund nie rusza się z miejsca. Spogląda w stronę, w którą odjechał motocykl. Słysząc jeszcze odgłos jego silnika, przypominający odległe powarkiwanie.

Lato 1983

Månsson zorganizował punkt dowodzenia na werandzie z tyłu domu. Stamtąd miał widok na ogród, a przynajmniej tę jego niewielką część, którą można było zobaczyć w ciemności. Od czasu do czasu docierały do niego nawoływania szukających, przypominające głosy duchów. Dobiegały z pól otaczających gospodarstwo Backa.

– Bil-ly!

– Biiil-lyyy!

Månsson rozłożył wielką mapę na drewnianym ogrodowym stole i postarał się o lampę sztormową, którą powiesił na markizie nad swoją głową. Policyjne radio nastawione było na umówiony kanał. W miarę jak grupy poszukiwawcze mijaly ustalone punkty, policjant zaznaczał je na mapie. Tak jak przewidział, wysoka kukurydza, ciemność i deszcz utrudniały orientację w terenie. Policjanci dowodzący tyralierami ochotników zmuszeni byli często przystawać, aby zmienić kierunek marszu albo pozbierać zabłąkanych poszukiwaczy.

Ktoś ostrożnie otworzył drzwi werandy za jego plecami. Pojawił się Ebbe Nilsson, niosący tacę z termosem, paroma kubkami i półmiskiem kanapek. Postawił to wszystko na tej części stołu, której nie zakrywała mapa.

– Pomyślałem, że pewnie przyda ci się coś ciepłego do picia – powiedział.

Månsson przyjął z wdzięcznością kubek kawy. Na kilka sekund ogarnęły go wyrzuty sumienia. Nilssonom zaginął synek, cała rodzina była w szoku, a Ebbe mimo to znalazł czas na zaparzenie kawy dla policjanta i nawet na przygotowanie czegoś do jedzenia. Ukradkiem przyglądając się mężczyźnie, sięgnął po kanapkę z kiełbasą.

Oczy Ebbego błyszcząły niezdrowo, twarz była blada

i pobrużdżona. Cienie i blade światło latarni pogłębiały wrażenie przemęczenia. Trzymał się jednak prosto i wyglądało na to, że w miarę panuje nad nerwami.

– Jak idzie? – spytał Nilsson.

Månsson machnął ręką w kierunku ogrodu i pola kukurydzy.

– Działamy. Ciemność i deszcz przeszkadzają. Ale zobaczysz, na pewno znajdziemy Billy’ego.

Ostatnie zdanie wymknęło mu się, zanim zdążył ugryźć się w język. Oczywiście nie powinien był go wypowiedzieć. Był policjantem wystarczająco długo, aby wiedzieć, że nie wolno obiecywać rzeczy, nad którymi nie ma się kontroli, a jednak niemal to zrobił. Ze współczucia, tłumaczył sam sobie, ale podejrzewał, że nie była to cała prawda.

Zatrzeszczało radio. Obejrzał się. Nie było nowej wiadomości, z głośnika dobiegał tylko szum, który zresztą prawie natychmiast ucichł. Przełknął ostatni kęs kanapki.

– Jak z Magdaleną? – Wskazał głową w kierunku piętra domu.

– Śpi – odburknął Nilsson. Zapewne uświadomił sobie, że zabrzmiało to trochę opryskliwie, bo pośpiesznie zmienił ton. – Była taka roztrzęsiona, że wzięła środek na uspokojenie. Ze zdenerwowania pomyliła się i zażyła podwójną dawkę, więc teraz twardo śpi. Może to dobrze, że na trochę straciła kontakt ze światem. Billy jest dla niej wszystkim... – Nilssonowi załamał się głos i dalszy ciąg zdania zagłuszył deszcz bębniący o markizę nad werandą.

– A starsze dzieci? – spytał Månsson i uświadomił sobie, że można było to pytanie zrozumieć na różne sposoby. Na szczęście Nilsson wybrał właściwą interpretację.

– Mattias i Vera poszli do łóżek, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, aby zasnęli. Gdyby nie oni, też bym teraz tam był. – Wskazał na pole kukurydzy, od czasu do czasu rozświetlane błyskami latarek.

Jedna z grup poszukiwawczych najwyraźniej zawróciła i szła w kierunku domu Nilssonów. Månsson rzucił okiem na mapę i westchnął, stwierdzając, że grupa B zaczynała na nowo przeszukiwać teren wzdłuż płotu, chociaż ten odcinek sprawdzono już wcześniej tej nocy. Podniósł odbiornik radiowy, ale zamarł,

trzymając go w dłoni. Nilsson przygarbił się, jego wzrok błędził po ziemi, a usta były wpółotwarte, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Jednak z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Mężczyzna wyglądał na całkowicie załamane, sprawiał wrażenie kogoś, kto za chwilę upadnie.

Månsson odkaszlnął. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć.

– Tu jesteś bardziej potrzebny, Ebbe – rzekł.

Po chwili wahania niezgrabnie poklepał Nilssona po ramieniu.

– Każdy inny może przeszukiwać pola, ale ty musisz czuwać nad Magdaleną i dziećmi. Poza tym ktoś tu przecież musi być, kiedy znajdziemy Billy’ego.

Znów obiecał więcej, niż mógł, ale jego słowa i gest w każdym razie trochę poskutkowały. Ebbe zamknął usta, potem powoli skinął głową.

Radio ponownie zatrzeszczało.

– Jesteś tam, Månsson?

– Słucham! – zawołał.

– Mówi Berglund, grupa B. Przewodnik z psem znaleźli coś na polu, mniej więcej dwadzieścia metrów od tego zagłębienia pod płotem.

– Co? – Månsson wstrzymał oddech. Spojrzał na Nilssona, który wyprostował plecy i zdawał się trochę odzyskiwać siły.

Radio jeszcze parę razy zaskrzypiało i głos Berglunda zaczął zanikać.

– ...cik – dało się wysłyszeć.

– Powtórz! – rzucił Månsson, pochylił się nad mapą i usiłował ocenić, o którym miejscu była mowa. – Co znaleźliście, Berglund?

– Biało-niebieski bucik.

Ruud zatrzymuje swoje volvo przed jej domem. Woń żółtej choinki zapachowej, kołyszącej się pod lusterkiem, jest tak ostra, że kręci w nosie. Ruud odpina pas bezpieczeństwa. Veronice przychodzi na myśl, że kolega być może zamierza wprosić się do niej na kawę.

Już ciśnie się jej na usta jakaś kiepska wymówka, kiedy zauważa, że Ruud szuka czegoś w kieszeni spodni i po chwili z pewnym mozołem wydobywa puszczkę snusu, po czym znów zapina pas bezpieczeństwa.

– Do poniedziałku – mówi Ruud. – Spotykamy się o dziewiątej, przy śniadaniu.

– Dokładnie tak – odpowiada Veronica.

Wysiada z samochodu, zanim Ruud zdąży umieścić tytoń pod wargą. Zatrzymuje się, z ręką na klamce.

– Dziękuję – mówi.

– Nie ma sprawy, dużo drogi nie nadłożyłem.

Veronica chce jeszcze coś powiedzieć, ale Ruud przymruża oko.

– W przyszłym tygodniu będzie łatwiej, Veronico. Mogę dać ci słowo.

Jej mieszkanie mogłoby należeć do kogokolwiek. Czterdzieści metrów kwadratowych umeblowanych mieszanką mebli z Ikei i okazjami z pchlich targów. Na prawo kuchnia i pokój dzienny, na lewo sypialnia. Praktycznie, czysto i rozsądnie. Żadnych rodzinnych zdjęć, obrazów ani plakatów. Nie ma też świec zapachowych, posążków pyzatego Buddy, suszonych bukietów ani magnesów na lodówce, takich z sentencjami w rodzaju *Carpe diem* albo *Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia*.

„Zadziwiająco bezosobowe jest to mieszkanie”, stwierdził pewien wytatuowany na karku głupek, z którym spotykała się dawno temu, jeszcze przed Leonem. To był facet z gatunku „Jakim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie masz”. Tacy ludzie uważają się za

szczerzych, naturalniejszych i lepszych od wszystkich innych tylko dlatego, że brak im zwykłej przyzwoitości i podstaw dobrego wychowania. Poza tym tatuowany kark był w łóżku taki, jak się można było spodziewać. „Narcystyczne beztalencie” – tak mu powiedziała, wywalając go za drzwi.

Niezbyt dobrze przyjął tę krytyczną uwagę. Jej rozklekotany stary samochód do tej pory ma na przednich drzwiach długie zadrapania wykonane kluczami tego faceta, ale zdążyły pokryć się rdzą tak bardzo, że prawie zlewają się z kolorem lakieru. Stanowią mgliste przypomnienie dawnej pomyłki.

W mieszkaniu jest gorąco i duszno. Veronica rozpina bluzkę pod szyją, otwiera jedno z okien w saloniku i lekko wychyla się przez parapet. Poprzez liście drzewa rosnącego pod oknem widzi oddalające się volvo Ruuda.

Na zewnątrz jest tylko o kilka stopni chłodniej niż w pokoju, i prawie tak samo duszno. Otwiera więc drugie okno, a potem wąskie, wychodzące na podwórze okienko w sypialni, w dość beznadziejnej próbie wywołania przeciągu.

Żarówka w lodówce mruga niepokojąco. Pewnie niedługo się przepali, trzeba dopisać jeszcze jeden punkt do listy rzeczy do załatwienia. W lodówce stoi butelka wody mineralnej, parę opakowań z soją i stare pudełko z gotowym jedzeniem o nieznanym dacie przydatności do spożycia. Veronica stoi przez chwilę przy otwartych drzwiach lodówki, rozkoszując się chłodem, po czym wyjmuje wodę mineralną. Gaz się ulotnił, woda ma słonawy smak.

Chwilowa przeszkoda.

Ruud dobrze jej życzy. I on, i pracownicy działu personalnego uważają, że doskonale wiedzą, kim ona jest i co jest dla niej najlepsze. Tak naprawdę nie mają o tym pojęcia.

Zatem dlaczego daje się tak protekcjonalnie traktować? Dlaczego zgodziła się na wszystkie warunki umowy, które wynegocjował dla niej związek zawodowy? Przecież mogła po prostu pożegnać się i odejść.

Dobre pytania, szczególnie na ten wieczór. A odpowiedź jest i pozostanie ta sama: dlatego, że postanowiła przestać uciekać, gdy położenie staje się zbyt trudne. To brzmi sensownie, świadczy

o dojrzałości i poczuciu odpowiedzialności, ale prawdziwy powód, dla którego nie odeszła, dla którego zaakceptowała wszystkie ich wymagania, jest znacznie mniej szlachetny.

Spogląda na telefon stojący na przeciwległym krańcu kuchennego stołu. Czerwone światełko nie mruga. Nie ma żadnych wiadomości. Niczego innego się nie spodziewała, a jednak to nieruchome czerwone oczko sprawia jej przykrość. Ożywienie, jakie dała jej grupowa terapia, już się rozwiało, po ciełe rozlewa się drętwo i przygnębienie. Przez chwilę bawi się myślą o podniesieniu słuchawki. O tym, by pozwolić palcom wybrać zakazany numer, po to tylko, aby usłyszeć głos Leona. Oczywiście tego nie robi. Nie jest idiotką i wścieka się na samą siebie za to, że mimo tej świadomości nie ma odwagi korzystać z telefonu komórkowego, ponieważ SMS-y piszą się i wysyłają prawie same.

Wchodzi do łazienki. Na podłodze leży stos ciuchów: biała bluzka z długimi rękawami – wygląda w niej jak zakonnica – czarne spodnie, bawełniane majtki, które kupuje w H&M w opakowaniach po pięć sztuk. Tanie, zwyczajne szmatki, równie bezosobowe jak jej mieszkanie.

Woda jest letnia, nawet gdy ustawi się kran na najniższą temperaturę. Pozwala spływać strumieniowi po całym ciełe, także wzdłuż zębatej czerwonej blizny biegnącej przez niemal całe prawe przedramię. Za kilka lat nawet ta szrama zblednie, wtopi się w tło, tak jak rysy na drzwiach samochodu. Zmieni się w zamglone wspomnienie dawnej pomyłki.

Teraz czuje się lepiej, jakby woda spłukała ponure myśli. Owija się białym frotowym szlafrokiem, który ukradli z Leonem z przytulnego hoteliku w miasteczku Trosa, gdzie Leon pierwszy raz wyznał jej miłość. Bierze papierosy i popielniczkę i siada przy wąskim okienku sypialni. Właściwie rzuciła palenie. To część jej własnego planu terapii. Żadnych używek, ani nikotyny, ani alkoholu. Przede wszystkim – nie korzystać z tego ostatniego.

Na ulicy zapalono już latarnie. Widać rojące się wokół nich owady. Przez moment Veronica myśli o ćmach, które w jej rodzinnym domu czasem wlatywały przez drzwi werandy i szeleszcząc skrzydłami, zataczały taneczne kręgi wokół kuchennej lampy. A potem

przypomina jej się wyraz niepokoju na twarzy mamy na widok tańca owadów.

Dziwi ją to wspomnienie. Zapala papierosa, wydmuchuje dym prosto w letni wieczór. Próbuje skierować myśli na inny szlak. Taki, który nie zaprowadzi jej na lód.

Papieros spala się szybciej, niż sądziła, zdusza więc niedopałek w popielniczce i zastanawia się nad zapaleniem kolejnego. Zanim zdąży podjąć decyzję, dostrzega coś na ulicy. Słaby płomyczek błyska, drży przez kilka sekund, po czym znika i zostaje zastąpiony przez żarzący się punkcik. Pewnie jakiś sąsiad wyszedł ukradkiem na wieczornego dymka.

Zaciekawiona, wychyla się trochę dalej, usiłuje dostrzec przez liście drzewa, kto pod nim stoi. Jedyne, co zdradza obecność palacza, to kropeczka żaru, która przygasa i rozpala się na nowo w rytm zaciągania się dymem.

Veronica wyobraża sobie, że ten ktoś pod jej oknem wymknął się na papierosa, chociaż obiecał, albo obiecała, swojej drugiej połowie, że przestanie palić. Widzi oczyma duszy, jak ta osoba usiłuje wywietrzyć ubranie z tytoniowego dymu. W kieszeni ma miętówki, które mają ukryć woń wykroczenia.

Lekko uśmiecha się do tych myśli. Podoba jej się, że siedzi tu, wysoko, niesłyszalna i niewidoczna, a palacz na ulicy kryje się ze swoją tajemnicą. Veronica ma uczucie przewagi, kontroli, zbliżające się do przyjemnego podniecenia, tak jak podczas terapii grupowej tego popołudnia.

Żar papierosa rozjaśnia się jeszcze raz, potem leci łukiem do rynsztoka. Przerwa na palenie chyba się skończyła, palacz powinien wejść do bramy. Ale nic takiego się nie dzieje. Osoba, która paliła papierosa, zapewne nadal stoi pod oknem. Veronica wychyla się jeszcze bardziej; wydaje jej się, że rozpoznaje zarys ciemnej sylwetki pod drzewem. Widzi jaśniejszą plamę – twarz zwróconą nieco ukośnie w jej stronę. Gwałtownie się cofa, całym ciałem. Czuje się zdemaskowana. Przejrzana.

Kochanie,

nigdy nie czułam się tak pełna życia, jak teraz. Jest tak, jakbym niedawno obudziła się z długiego odrętwienia, jakbym dotychczas znajdowała się w jakiejś szarej przestrzeni na pograniczu snu i jawy. Teraz nareszcie się zbudziłam. Nareszcie z Tobą.

Żyję dla naszych wyjazdów. Naszych krótkich wspólnych wycieczek, podczas których możemy być sobą.

Na pewno wiesz, że czasami o Tobie mówią. Mówią niemiłe rzeczy. Ukradkiem śmieję się z tego, bo wiem, że ludzie nie mają racji. Znam Cię lepiej niż ktokolwiek inny i wiem, kim naprawdę jesteś za tą maską twardego człowieka. Jednak musimy być ostrożni, mój kochany. Spojrzenia wszystkich skierowane są na nas, a nikt nam dobrze nie życzy. Nikt.

Lato 1983

– No nieee, zasuwały tak od ponad godziny. Pora przepłukać gardło, jak myślisz?

– Jasne, że nie odmówię. – Sailor przyglądał się Raskowi, który wyciągnął z wody kotwicę i przewiesił ją przez burtę plastikowej łódki. Młodszy z mężczyzn trzepnął się dłonią w kark i wytarł o nogawkę mieszankę potu i zabitych meszek, po czym wygrzebał z torby stojącej między ich stopami, na dnie łodzi, butelkę wódki.

– Gorąco jak w Afryce – stwierdził, co było całkowicie zbędne, i podał flaszkę Sailorowi. Upał był nieznośny, chociaż wpool zarośnięty stawek nie miał więcej niż dziesięć metrów średnicy, dzięki czemu zawsze ocieniały go rosnące na jego brzegach drzewa. Owady tańczyły nad stojącą wodą, od czasu do czasu odważając się wlatywać w plamki światła powstające w miejscach, gdzie promienie słońca przedostawały się przez gąszcz gałęzi i zmieniały barwę wody z czarnej na ciemnozieloną.

Sailor nie odpowiedział; odkręcił butelkę i pociągnął kilka sporych łyków. Zauważył przy okazji, że alkohol nie pochodzi ze sklepu monopolowego. Oddał flaszkę Raskowi i pochylił się nad krótkimi wiosłami. Młodszy mężczyzna wypił prawie dwa razy tyle co on, Sailor jednak nic nie powiedział. Butelka należała do Raska, bimber był jego, więc nie wypadało krytykować pragnienia częstującego.

– Aaa, to dobrze robi – powiedział Rask. Przeciągnął się, unosząc ramiona nad głowę i ukazując plamy potu pod pachami. – Teraz prawie nie czuję, jak to cholerne bajoro śmierdzi. Trzeba było się wzmocnić, zanim zaczęliśmy.

Sailor mruknął potakująco.

– Ty się powinienes tu czuć jak w domu – odezwał się znów Rask.

– Kiedy wróciłeś z rejsu?

– Zeszłej wiosny.

– A jak długo tym razem byłeś na morzu?

– Siedem lat.

– A poprzednio?

– Wypłynąłem w sześćdziesiątym drugim, jak zamknęli kopalnię. Wróciłem dopiero w siedemdziesiątym szóstym, jak matka umarła.

– No to kawał czasu pływałeś. Pewnie w każdym porcie miałeś narzeczoną. Prawdziwy wilk morski z ciebie.

Sailor wzruszył ramionami. Wiedział, że Rask pokpiwa sobie z niego, tak jak większość ludzi we wsi. Drwili z jego milczkowatości, jego nieokrzesań, jego zamięłowania do butelki. Rzucił ukradkowe spojrzenie na flaszkę tkwiącą między buciorami Raska.

Rask wyjął puszkę snusu i wskazał głową na zielony przesmyk między polem a wodą, oddalony o kilka metrów. Wśród trawy i pokrzyw leżały ubłocone resztki roweru, dwa na wpół zmurszałe pnie drzew i przerdzewiałe wiadro.

– Jak dotychczas, świetny połów. Te stare glinianki to przecież śmietniki, od czasów wojny. Nie rozumiem, czemu Aronsson tej dziury nie zasypał. On nie jest z tych, którzy przejmują się pamiątkami z przeszłości.

Rask włożył pod wargę solidną porcję snusu, tym razem nie częstując Sailora. Sailor ponownie zerknął na butelkę. Pomyślał, że w każdym razie woli łyk bimbru od prymki tytoniu.

– Aronsson pewnie czeka, aż gmina zdecyduje się opłacić zasypanie tej glinianki – kontynuował Rask. Schował puszkę ze snusem do kieszeni, otarł palce o kraciastą flanelową koszulę. – Kapujesz w ogóle, czemu Månsson chciał, żebyśmy szukali właśnie tutaj? Czy on na poważnie myśli, że ten mały od Nilssonów najpierw gramolił się dwa kilometry przez kukurydzę, w deszczu i po ciemku, przelazł przez trzy kamienne murki i przez drogę, a potem jeszcze ze sto metrów przez buraki? – Wskazał kciukiem przez ramię na pole, na którym między zielonymi liśćmi odznaczały się wyraźnie koleiny po przeciąganiu łódki. – Przecież każdy gówniarz w okolicy wie, że trzeba trzymać się z daleka od zbiorników przeciwpożarowych i glinianek. Mój stary nieźle mnie nastraszył gadkami o gliniankach; mówił, że są bez dna i pełno w nich pijawek.

Sailor znów wydał potakujący pomruk. Nadal zerkał na butelkę

z bimbrem. Może Rask zauważy jego spojrzenie i zaproponuje jeszcze jedną kolejkę, zanim na nowo zaczną przeczesywać dno glinianki? Niestety, jego towarzysz był zajęty kontynuacją wywodów o Aronssonach.

– No i ta pastewna kukurydza. Jakby Ebbe Nilsson posiał groch na tych zagonach za domem, jak każdy normalny rolnik, toby chłopaczyna nie zabłądził. Ale oczywiście to Aronsson decyduje, co trzeba siać. Nilsson chyba ani razu w życiu niczego sam nie postanowił. Kurde, on chyba nawet wysrać się nie pójdzie, jak mu szwagier nie da pozwolenia... albo przynajmniej żona.

Rask chrząknął i splunął żółto-brunatną śliną w ciemną wodę. Sailor milczał.

– Widziałeś, jak nas mało było rano na zbiórce? Mniej niż połowa tych, co przychodzili w pierwszych dniach. Teraz już nikt nie chce być tym, co znajdzie chłopaka, więc najgorszą robotę przydzielają takim jak ty i ja. Zależnym od Aronssona. Wszyscy, co jeszcze szukają, albo są zatrudnieni u Aronssona, albo od niego wynajmują mieszkania, albo są jego klientami czy dzierżawcami, albo po prostu wiszą mu kasę.

Rask znowu splunął. Gęsta ślina plusnęła o powierzchnię wody, wystraszyła kilka wodnych pajaków i utworzyła parę powolnie rozszerzających się małych kręgów, które wkrótce rozplynęły się w mętnej wodzie. Podniósł butelkę z dna łódki.

– Jeszcze jedna rzecz mi przyszła do głowy. – Rask znieruchomiał z butelką bimbrowa w dłoniach.

– Jaka? – spytał Sailor, kiedy pojął, że flaszka nie zostanie odkręcona, póki on nie zada jakiegoś pytania.

– Prawie tydzień przeczesujemy teren wzdłuż i wszerz, policjanci szukają z psami, a tej ofermie Månssonowi nawet udało się sprowadzić policyjny helikopter z Malmö. A poza tym jednym butem nikt nie znalazł ani śladu po dzieciaku. Jakby się ten mały zapadł pod ziemię.

Rask odkręcił korek butelki i pociągnął z zamyśloną miną parę łyków, nie częstując Sailora.

– Mhm. – Sailor oblizwał wargi.

– Myślę sobie, że coś innego się wydarzyło. – Rask łyknął jeszcze

raz i wyczekująco popatrzył na towarzysza.

Sailor usiłował odgadnąć, na jaką jego reakcję czeka Rask. Upłynęło kilka sekund, zanim wpadł na pomysł.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś wprowadził chłopaka? Kto by to mógł być?

Rask wzruszył ramionami i podał butelkę Sailorowi, który natychmiast wlał w siebie parę solidnych łyków. Zaraz potem pociągnął z flaszki jeszcze raz, dla pewności, na wypadek gdyby nie wystarczyło na następną kolejkę. Bimber palił w gardle, skąd miłe ciepło promieniowało w dół, aż do żołądka.

– Nie brak takich, co nie lubią Aronssonów – powiedział Rask. – Większość forsy, za którą Harald Aronsson wykupuje całą okolicę, wzięła się z interesów, jakie jego ojciec robił podczas wojny. Wszyscy to wiedzą. Assar Aronsson to był pazerny typ. Nigdy nie zrobił kiepskiego interesu. Ale Harald jest jeszcze cwańszy niż jego stary. Słyszałem, że ma dojścia w banku i dobrze wie, kto ma kłopoty i nie ma innego wyboru, niż zgodzić się na złodziejską cenę za las, ziemię czy dom. Aronsson bogaci się na takich ludziach, a i tak cała rodzina zasiada w kościele w pierwszej ławce: Aronsson, jego siostra, jej ofermowaty mąż i ich dzieciaki. Wszyscy gładko przyczesani i elegancko ubrani. Świętoszki. Ale nikt słówka na nich nie piśnie. A z tą siostrą to była jeszcze jedna historia, i też nikt o niej nie mówi.

Rask zrobił ponagląjący gest, po którym Sailor niechętnie oddał mu butelkę.

– Chodziłem do szkoły z Magdą Aronsson. Już wtedy była diabelnie ładna: rude włosy, długie nogi, to i owo ładnie rozwinięte. Wielu z nas się koło niej kręciło, a ona nie była taką znowu świętą dziewczyną, rozumiesz?

Rask wyszczerzył zęby, obnażając do połowy prymkę snusu. Sailor spróbował uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Magda lubiła, jak się chłopcy do niej zalecali, lubiła poflirtować – ciągnął Rask. – Ale jej stary razem ze starszym bratem pilnowali jej jak dwa brytany. Harald i jego kumple porządnie włali i mnie, i paru innym, co się za śmiało przystawiali do Magdy. Musiałem skłamać w domu, powiedziałem, że miałem wywrotkę na skuterze i stąd się

wzięły siniaki. A mimo to Magda mnie dalej zachęcała, wdzięczyła się do mnie. Po śmierci starego Aronssona pewnie nie tylko ja miałem nadzieję, że teraz już droga wolna... – Rask splunął po raz trzeci. – Ale Magda związała do Kopenhagi. Pewnie szukała kogoś fajniejszego od zwykłych wiejskich chłopaków. I, no co za ironia losu, skończyło się tym, że wyszła za Ebbego Nilssona. Za najlepszego kumpla swojego brata. To prawie jak kazirodztwo, nie?

Rask wypił resztę bimbrowa i cisnął pustą butelkę do wody. Sailor powiódł za nią tęsknym spojrzeniem.

– Nooo... – Rask wziął w ręce linę, odczepił kotwicę od burty i opuszczył ją do wody. – Niejeden w tej okolicy chciałby dać Aronssonom po nosie. Gdyby ten nasz komendant był policjantem z prawdziwego zdarzenia, to zrobiliby listę i po kolei odhaczał nazwiska, zamiast zmuszać nas do takich bzdur jak teraz. Obaj wiemy, od kogo trzeba by było zacząć, nie? Od tego twojego kumpla od polowań, Toma Rootha.

Sailor nie odpowiedział. Przypatrywał się linie przesuwającej się między dłońmi Raska, centymetr po centymetrze, aż wreszcie kotwica dotarła do dna błotnistej wody. Ujął wiosła, poruszył nimi bez entuzjazmu. Łódka przesunęła się jakieś pół metra po ciemnej powierzchni wody i gwałtownie się zatrzymała; lina była naprężona.

– Ryba bierze – orzekł Rask. – Jak myślisz, jakie gówno tym razem będzie? Pies czy wydra, czy coś na kształt świdra?

Pociągnął linę, ale stawiała silny opór.

– Cofnij się trochę – zakomenderował. Wparł stopy w dno łodzi i ponownie szarpnął linę, ale to coś, o co zaczepiła się kotwiczka, nie poddawało się.

– Kurwa!

Rask wyprostował się, znów zapał się nogami i pociągnął linę.

Łódka się przechyliła. Przez moment Sailor myślał, że się wywróci, ale jednak powróciła do poprzedniego położenia.

– Coś dużego – sapnął Rask, ciągnąc linę. – Pewnie pień.

Dalej wciągał linę. Oblepiona była lepką, zieloną masą, która skapywała do wnętrza łódki.

Sailor dostrzegł jakiś ruch na powierzchni wody. Nieznaczący, jakby glinianka nie chciała uwolnić tego, co uczepiło się kotwicy. Wbrew

woli wstrzymał oddech.

– Te-raz – wydusił Rask.

Woda zabulgotała. Prześwitywało przez nią coś ciemnego, potem coś jasnego. Jakiś niekształtny tobołek, na widok którego Sailora chwycił kurcz żołądka. Tobołek miał głowę, ramiona i coś, co przypominało rękę.

Nagle ciężar zsunął się z kotwiczki, a Rask upadł na plecy. Uderzył głową w ławkę, a łódź gwałtownie przechyliła się na prawą burtę. Przełała się przez nią fala ciemnej wody. Sailor błyskawicznie się podniósł, aby przenieść ciężar na przeciwną stronę łódki, ale było już za późno. Woda wypełniła łódź, a po chwili pochłonęła ją ciemna, cuchnąca, błotnista maź – razem z Raskiem i nim samym.

Wie, że jest uzależniona. Między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia przetestowała prawie wszystkie możliwe środki: ecstazy i kokainę dla podkręcenia nastroju, haszysz i benzodiazepiny dla uspokojenia. Potem też nie była zupełnie czysta, jeśli miałyby być szczerza. Ale dopiero gdy zaczęła kształcić się w zawodzie terapeuty, odkryła, jakiego rodzaju narkotyk był dla niej najlepszy. Smutek innych ludzi.

Piątkowa grupa składa się z ośmiu osób, mniej więcej tych samych, które przychodzą także w poniedziałki. Dzięki temu zdążyła się nauczyć imion większości uczestników. W ubiegłym tygodniu poza terapią po stracie były też dwie grupy alkoholików, jedna grupa uzależnionych od gier i jedna grupa bezrobotnych cierpiących na depresję. Nawet jeśli ten typ smutku nie jest tym samym co czysta żaloba, to miesiące nieobecności w pracy uczyniły ją wystarczająco podatną na przepływ endorfin. Teraz opanowuje chłód prawie perfekcyjnie. Potrafi rozsunąć szczelinę na tyle, by grupa uważała ją za jedną z nich, a potem szybko ją domknąć, zanim zagrozi jej wciągnięcie w głąb.

Ruud niekiedy kręci się z tyłu sali, ale nie nadzoruje jej już tak intensywnie jak wcześniej i najczęściej siedzi w swoim biurze. To bardzo jej odpowiada, daje więcej możliwości skoncentrowania się na swojej pracy.

Elsa, siwowłosa kobieta z perełkami smutku, znowu opowiadała o swojej córce, która umarła na raka, a jej smutek zapełnił nową stronę w notatniku.

W momencie, gdy głos dostaje Sture, emeryt z rzadkimi włosami i łuszczącą się skórą, otwierają się drzwi i do sali wchodzi około dwudziestopięcioletni mężczyzna o blond włosach. Nie zatrzymuje się i nie dociska niepewnie drzwi od wewnątrz, jak robili wszyscy inni przed nim, lecz pewnym krokiem przechodzi po zniszczonym dywanie. Wydaje się wiedzieć dokładnie, dokąd i po co zmierza.

Sture opowiada o swym smutku po stracie brata, lecz Veronica już

go nie słucha. Jest coś w tym nowo przybyłym, co przyciąga jej uwagę. Jest przystojny, nie można zaprzeczyć. Ma szerokie barki i szczupłe ciało. Skóra mężczyzny jest opalona słońcem, oczy jasnoniebieskie, a gdy dostrzega jej spojrzenie, uśmiecha się. Jeden rękaw jego T-shirtu jest podwinięty i widać pod nim czworokątny kontur paczki papierosów. Musiał podpatrzeć ten trick w jakimś filmie z Jamesem Deanem, ale w odróżnieniu od większości innych jego naśladowców jest na tyle pewny siebie, że nie robi tego celowo.

Veronica przez krótką chwilę czuje łaskotki pod przeponą, a suchy głos w jej głowie odlicza, od ilu miesięcy nie uprawiała seksu z kimś innym niż ona sama.

Mężczyzna kiwa głową w jej kierunku, wyciąga jedno ze składanych krzesel i siada obok niej. Ona zmusza się, by nie patrzeć w jego stronę, próbuje skoncentrować się znowu na Sturem i jego zmarłym bracie. Każde długopisowi wsysać jego historię. Lecz teraz nie daje jej to takiego uczucia zadowolenia jak przed zaledwie kilkoma minutami. Smutek nie chce osiąść na stronie notatnika. Jej spojrzenie wędruje co chwilę w stronę mężczyzny o blond włosach. On siedzi pochylony do przodu na swoim krześle, z łokciami na kolanach, i wydaje się uważnie słuchać tego, co Sture ma do powiedzenia. Promieniuje od niego coś, co wyraźnie odróżnia go od pozostałych uczestników, tak że uwaga grupy ciągnie ku niemu jak ćma do latarni za oknem jej mieszkania.

Wreszcie Sture spostrzega, co się dzieje. Milknie i przez kilka sekund patrzy cieleńcem wzrokiem przed siebie, jakby nie bardzo wiedział, co ma robić. Veronica ratuje go, zanim sytuacja staje się nieprzyjemna.

– Dziękuję, Sture.

Słysząc ciche mamrotanie pozostałych uczestników. Według kolejności głos powinna teraz dostać Mia, której mąż zginął w wypadku przy pracy i której tragedia zajęła wcześniej prawie całą stronę notatnika. Wszyscy jednak patrzą na mężczyznę o blond włosach, nawet Mia, Vera postanawia więc odstąpić nieco od zasad.

– Mamy nowego uczestnika, witamy. Nazywam się Veronica Lindh i specjalizuję się w terapii rozmową.

Kiwa głową w kierunku blondyna; w odpowiedzi dostaje uśmiech,

trochę zbyt rozbawiony jak na te okoliczności.

– Może już wiesz, ale wszyscy w tej grupie stracili kogoś, kto był im bardzo bliski – kontynuuje Veronica. – Dzieląc się naszym smutkiem z innymi, próbujemy przepracować żalobę i pójść dalej. Zadajemy sobie pytania, ale nigdy nie dotyczą one szczegółów, tylko uczuć. Okazujemy sobie szacunek i współczucie.

Veronica przerywa, prawie oczekuje, że jego uśmiech zgaśnie, że mężczyzna wstanie, przeprosi i oświadczy, że pomylił zarówno grupę, jak i termin.

On jednak uśmiecha się dalej, tym swoim nieco zbyt czarującym uśmiechem, jak gdyby chciał pokazać, że znajduje się dokładnie tam, gdzie powinien być. Veronica otwiera notatnik na nowej stronie, rozgląda się, czy w pobliżu jest Ruud, ale na szczęście go nie ma.

– Czy masz ochotę przedstawić się i opowiedzieć o swoim smutku? – Przykłada długopis do bloku, czeka.

– Cześć wszystkim. Nazywam się Isak... – Mężczyzna waha się, jakby nie mógł się zdecydować, czy zdradzić swoje nazwisko. – Gdy miałem pięć czy sześć lat, straciłem najlepszego przyjaciela. Zniknął, a ja nigdy się nie dowiedziałem, co się właściwie stało. Po tym zdarzeniu już nic nie było takie jak przedtem, ani w mojej rodzinie, ani w wiosce, w której mieszkałem. Tak jakby utworzyła się dziura, której nikt nie był w stanie wypełnić. Wciąż dużo o nim myślę. Zastanawiam się, co mu się przydarzyło.

Dialekt Isaka pochodzi z regionu leżącego dobry kawałek na północ, jednak w melodii jego zdań jest coś, co się z nim nie zgadza. Patrzy na nią przez moment, jakby czekał na jakieś instrukcje, zanim będzie kontynuował. Ona jednak siedzi nieruchomo i milczy. Dobre samopoczucie, które zyskała dzięki poprzednim opowieściom, nagle znika, zamiast niego pojawia się odgłos ruszającego się lodu.

Isak czeka jeszcze kilka chwil, aż Veronica coś powie, i już chce mówić dalej, gdy brodaty, zgorzkniały mężczyzna o imieniu Lars nagle otwiera usta.

– Co masz na myśli, mówiąc, że twój kolega zniknął? – Jego ton jest ostry, ale zarazem słychać w nim zaniepokojenie. Lars nie odezwał się słowem do nikogo w grupie od czasu, gdy sobie ulżył, wyrzucając z siebie złość i fantazje na temat zemsty.

Isak odchyła się do tyłu na krzesło. Na jego twarzy już nie maluje się taka pewność siebie, a uśmiech wydaje się nieco zakłopotany.

– A więc... Pewnego wieczoru bawił się na dworze. Gdy zawołała go jego mama, nie przyszedł. Cała wieś szukała go przez ponad tydzień, ale nigdy go nie odnaleziono. Jego po prostu... nie było.

Odgłosy lodu rosną w siłę, połykają to, co pozostało z energii płynącej z poprzednich opowieści. Veronica chce właśnie przekazać głos kolejnej osobie, gdy Lars stawia nowe pytanie, które zmienia wszystko.

– Masz na myśli, że zniknął tak jak Billy Nilsson? – Lars wydaje się rozbawiony. Omiata wzrokiem pozostałe osoby w kręgu. – Chyba go sobie przypominacie? Tego chłopca, który zniknął na początku lat osiemdziesiątych?

Uczestnicy zaczynają szemrać. Chyba powinna zareagować, odzyskać kontrolę nad rozmową. Ale nie potrafi.

Lars wstaje, jego puste oczy odzyskały życie. Robi krok do środka kręgu, szuka wsparcia u pozostałych.

– O zniknięciu Billy’ego Nilssona pisały gazety wieczorne. Ludzie prawie nie rozmawiali o niczym innym. Chłopak właśnie miał skończyć pięć lat, mieszkał w jakiejś zapadłej dziurze w Skanii. Czy to jego masz na myśli? Czy to Billy był twoim przyjacielem?

Isak wierci się i szuka jej wzroku. Lars złamał zasady. Poza tym zachęca innych, żeby zrobili to samo, a ona powinna już była go powstrzymać. Siedzi jednak zupełnie nieruchomo na krzesle. Jej głowa i ciało są sztywne od chłodu, który przepływa przez żyły.

– On został porwany, czy to nie było tak? – odzywa się piskliwy głos z prawej strony. Należy do przyszczatej kobiety w wieku około pięćdziesięciu lat. Anniki albo może Anity. Mózg Veroniki nagle pogubił imiona.

Lars potrząsa żywo ramionami, żeby się przekonać, czy ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia. Kilka głosów miesza się ze sobą, podczas gdy szczelina w jej piersiach ciągle rośnie.

– Moi rodzice przez wiele miesięcy nie pozwalali mi samej wychodzić z domu.

– Czy zapłacili okup?

– Czy kiedykolwiek wydało się, kto go porwał?

Veronica zauważa, że Isak patrzy prosto na nią. Wyraz jego oczu jest prawie proszący, ale jest w nich coś jeszcze. Coś, czego ona nie potrafi rozpoznać. Może ból albo wręcz współczucie?

- Straszna historia.
- Biedna rodzina.

Szczelina rozszerza się coraz bardziej, odsłania ciemną wodę. Veronica otwiera usta, z trudem łapie powietrze, żeby móc krzyknąć. Krzyknąć do nich wszystkich, żeby się zamknęli. Że ona nie chce iść przez lód. Że ona nie...

– Siadaj, Lars! – Zdecydowany ton Ruuda ostro przerywa kakofonię głosów.

Lars stoi dalej, uparcie patrzy na Ruuda, który powoli zbliża się do kręgu rozmawiających.

– Chyba mamy prawo stawiać pytania?

– Wiesz przecież, o co chodzi. Pytajcie o uczucia, nie o szczegóły.

– Okej, przepraszam. – Lars podnosi rękę. Zwraca się następnie do Isaka i wskazuje na niego grubym, zrogowaciałym palcem. – Jak się czułeś, gdy twój przyjaciel Billy zaginął? Czy wiesz, kto go porwał?

Veronica usiłuje zmusić swoje ciało do posłuszeństwa, próbuje coś zrobić albo powiedzieć, cokolwiek. Ale stać ją jedynie na to, by gapić się jak zauroczona na Isaka, tak jak inni uczestnicy.

Ruud robi szybki krok do środka kręgu, staje między Larsem a Isakiem.

– Dosyć tego, Lars.

Lars patrzy na Ruuda świdrującym wzrokiem. Jego oczy są czerwone, skóra wokół nich ciastowata i przezroczysta. Delikatna sieć przerwanych naczynek powoduje, że jego policzki i nozdrza zmieniają kolor z różowego na niebieski.

Obaj mężczyźni są mniej więcej tego samego wzrostu, ale Lars ma trzydzieści lat mniej i jest w zdecydowanie lepszej formie. Mimo to Ruud nie wydaje się ani trochę przestraszony.

– Piłeś, Lars – mówi Ruud cicho, prawie uprzejmie. – Wiesz, że to nie jest dozwolone. Muszę cię prosić, żebyś stąd wyszedł.

Lars otwiera usta, zaciska pięści i robi pół kroku do przodu. Przez chwilę wygląda, jakby chciał przyłożyć Ruudowi. Veronica wstrzymuje oddech i cała sala robi chyba to samo. Ruud nie rusza się

z miejsca. Patrzy tylko uporczywie na młodszego mężczyznę. Lars zaczyna wędrować wzrokiem. Zerka na Isaka, na nią, potem znowu na Ruuda.

– Niech was wszystkich szlag trafi! – rzuca w końcu.

Ruud czeka, aż drzwi wejściowe zatrzaskną się za Larsem.

– Te zasady są po to, żeby wszyscy czuli się bezpiecznie – mówi.
– Każdy z was sam decyduje, czym chce się podzielić z innymi. Nikt nie ma prawa tego kwestionować ani prowadzić przesłuchania. Czy to jest jasne?

Wodzi wzrokiem po kręgu. W odpowiedzi dostaje zawstydzone i aprobujące skinienia od wszystkich uczestników.

– Myślę, że pora skończyć na dzisiaj, jak sądzisz, Veronico?

Jej imię przerywa paraliż. Wydobywa z siebie aprobujące „mhm”. Bierze głęboki, chłodny wdech i dodaje mechanicznie:

– Widzimy się w następnym tygodniu.

Veronica podnosi się i robi kilka chwiejnych kroków. W tym momencie Isak jest już w połowie drogi do drzwi.

– Przepraszam, Veronico. Mam tylko jedno pytanie. – To Sture z zaczeską, który najwyraźniej zauważył, że nie dano mu dokończyć opowieści o jego zmarłym bracie. Zatrzymuje ją na dalszych długich pięć minut, a ponieważ Ruud ją obserwuje, Veronica wysila się jak może, by wyglądało na to, że bardzo uważnie słucha Sturego. W istocie jednak nie dociera do niej ani słowo z tego, co mężczyzna mówi. Jedyne, co słyszy, to śpiewny metaliczny dźwięk, który przypomina pełne napięcia brzęczenie szyn metra chwilę przed tym, zanim pędzący pociąg wjedzie na stację. Dźwięk wydawany przez grubą lod, który ma się za chwilę załamać.

Lato 1983

– Jesteście całkowicie pewni, co widzieliście?

Obaj mężczyźni siedzący na trawie przed Månssonem mieli zarzucone na ramiona żółte szpitalne koce. Letnie powietrze trochę ich przez kilka godzin osuszyło, ale nadal wyglądali jak zmokłe kury. Ich twarze były umazane na szaro, włosy i ubrania przesiąknięte mieszaniną błota i glonów. Śmierdzieli wskutek tego gorzej niż kurze gównu.

– To był ten dzieciak – powiedział Rask. – On jest tam w wodzie, prawda, Sailor?

Drugi mężczyzna nie odpowiedział, wrzucił tylko ramionami w trudny do zinterpretowania sposób.

– Ty, zdaje się, nie jesteś taki pewien, co, Olsson? – zapytał Månsson i trochę bardziej się schylił.

Sailor unikał jego spojrzenia, wpatrywał się w trawę.

– Jesteśmy pewni – odparł opryskliwie Rask. – Czemu mielibyśmy kłamać?

Bo jesteście najgorszymi pijusami w całej okolicy i śmierdziecie wódką mocniej niż mułem, pomyślał Månsson, ale postanowił na razie nie wypowiadać tej myśli na głos. Nawet zepsuty zegarek wskazuje właściwy czas dwa razy na dobę, upomniał sam siebie.

Za jego plecami kilku mężczyzn mozoliło się z wyciągnięciem zatopionej łodzi przy pomocy traktora. Łódka była niemal całkowicie pokryta błotem. Na środku glinianki widać było inną, większą łódź. Od blisko trzech kwadransów bezskutecznie zarzucano z niej dwie kotwiczki w miejscu wskazanym przez Raska.

Månsson wskoczył do samochodu, gdy tylko otrzymał wiadomość. W ciągu godziny sprowadził nową łódź z wyposażeniem do przeszukiwania dna. Teraz, gdy obserwował działania ludzi na łodzi, stawało się dla niego jasne, że ich pierwotna determinacja i zaangażowanie zostały wyparte przez narastające zwątpienie. On

sam też je zresztą czuł.

– Widzieliśmy go tak wyraźnie, jak ciebie widzimy – zapewniał Rask, który prawdopodobnie zaczął dostrzegać, że jego wiarygodność podawana jest w wątpliwość. – Ale ta glinianka jest prawie bez dna. Ciało może leżeć nie wiadomo jak głęboko.

– Trzy metry – powiedział Månsson.

– C-co?

– Niecałe trzy metry w najgłębszym miejscu, według tych chłopaków. – Wskazał na łódź. – Nie zauważyliście tego podczas kąpieli?

– To chyba można wypompować wodę? – Rask nie zwrócił uwagi na ironię w słowach policjanta. – Wezwać strażaków i wypompować całe to gówno.

– Może – burknął Månsson. Zastanawiał się już nad takim rozwiązaniem, myślał też o sprowadzeniu nurków. Wątpił jednak, czy ktokolwiek dobrowolnie zanurzyłby się w gęstej, zamulonej wodzie, aby na ślepo obmacywać dno. Kto wie, jakich odpadów nawrzucono do glinianki przez te wszystkie lata? Gdyby nawet znalazł się ochotnik, to Månsson nie był pewien, czy pozwoliłby mu się narażać tylko na podstawie relacji takich świadków, jak ci dwaj tutaj.

Månsson spojrział na zegarek, a potem – surowo – na obu mężczyzn. Sailor ciągle wpatrywał się nieobecnym wzrokiem w trawę, a oczy Raska błędziły niespokojnie po otoczeniu. Jeszcze pół godziny, powiedział do siebie. Potem przerwie akcję i pośle tych dwóch moczymordów do domu.

Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i odwrócił się. Ruchy ludzi w łódce nagle zmieniły charakter, stały się szybkie, zdecydowane. Lina była napięta.

– Coś znaleźliśmy! – zawołał jeden z mężczyzn w łodzi. – Coś dużego!

Månsson postąpił kilka kroków w stronę brzegu, osłaniając ręką oczy, aby lepiej widzieć. Łódź była oddalona od niego o nie więcej niż cztery metry. Widział, że ratownicy usiłują zahaczyć przedmiot na dnie glinianki jeszcze jedną kotwiczka. Po kilku próbach udało im się to.

– Podnosimy!

Obie liny naprężyły się, a potem zaczęły się powoli nawijać na bęben wciągarki.

Rask zerwał się na nogi, stanął obok Månssona i w podnieceniu wszedł jedną nogą w wodę.

Nadal nawijano liny. Łódka chybotąca się pod wpływem uczeponego u kotwiczek ciężaru. Rask splunął nerwowo. Månsson poczuł szybsze bicie serca.

– T-tam – wydyszał Rask. – To on!

Ciemny kształt wynurzył się z wody. Oblepiony był czarnym mułem, ale wyraźnie dało się odróżnić tułów i ręce. Månsson głęboko wciągnął powietrze. Serce podchodziło mu do gardła.

Znaleźli chłopca! Znaleźli małego Billy’ego!

Poczuł się tak, jakby zdjęto mu z serca wielki ciężar. Śmierć Billy’ego była skutkiem wypadku. To był okropny, tragiczny wypadek, o którym nikt w okolicy nigdy nie zapomni, ale on, Månsson, w każdym razie spełnił swój obowiązek. Wykonał zadanie. Nikt nie będzie mógł temu zaprzeczyć.

Ciało powoli wznosiło się nad powierzchnię. Zawisło na burcie rozkołysanej łodzi, z nogami zanurzonymi w wodzie.

Månsson nagle pojął, że coś jest nie w porządku. Proporcje się nie zgadzały. To nie był mały chłopczyk, raczej dorosły człowiek lub coś, co miało przypominać człowieka. Głowa była zrobiona z wypchanego worka, brakowało dłoni. Przez dziury podartego kombinezonu wystawały na zewnątrz strzępy gałganów.

– Strach na wróble! – krzyknął jeden z mężczyzn w łodzi.
– Cholerny strach na wróble!

Pudełko stoi na najwyższej półce w garderobie sypialni i Veronica musi stanąć na stołku, żeby do niego dosięgnąć. Grube, szare damskie futro leży na pokrywce i gdy przesuwa ku sobie pudełko, chmura pyłu oraz pół butelki wina, które wypila, żeby zebrać się na odwagę, prawie doprowadzają ją do upadku.

Stawia pudełko na stoliku przy kanapie, siada i patrzy na nie w ciszy przez długie minuty. Czerwone wino przeciwdziała wewnętrznemu chładowi, ale musi wypić jeszcze kilka łyków, zanim odważy się podnieść pokrywę.

Na górze leży spięty spinaczem zwitek pożółkłych wycinków z gazet. Nagłówek pierwszego wycinka i zdjęcia o rozmazanych pikselach powodują, że sopol lodu przebija ciepło czerwonego wina.

Kto porwał małego Billy'ego? Tajemnica, która po 15 latach w dalszym ciągu dręczy całą wieś.

Veronica podnosi nowy kieliszek wina, wypija go prawie do dna. Ciepło powraca. Wycinek jest datowany na 1998 rok. A więc minęło pięć lat od czasu, gdy ostatni raz otworzyła ten karton. Pięć lat od czasu, gdy ostatnio powiększała swoją prywatną żalobną kolekcję. To musiało być chwilę przedtem, zanim się tu wprowadziła. Zanim zaczęła pracować jako terapeutka. Długo przed Leonem.

Oczywiście powinna była wyrzucić wszystkie stare wycinki, zamiast je tutaj przewozić i ukrywać w garderobie. Jej terapeuta z pewnością potrafiłby wyjaśnić, jaki psychologiczny mechanizm jej w tym przeszkodził, ale chociaż spotykali się dwa razy w tygodniu podczas jej zwolnienia, nie opowiedziała mu o Billym. Z nikim nie rozmawia o Billym. Trzymała jego i mamę ukrytych pod lodem i myślała, że jest bezpieczna.

Odkłada szeleszczące wycinki z gazet, nie czytając kolejnych. Pod nimi znajduje w pudełku brązową kopertę. Szybko opróżnia kieliszek. Czeką, aż wino zmiękczy przestrzeń i dopiero wtedy otwiera kopertę. Pierwsze zdjęcie zostało zrobione u fotografa w ich wsi i przedstawia jej młodszego brata. Billy jest elegancko ubrany

i siedzi na stylowym starym krześle. Blond włosy, jasnoniebieskie ciekawskie oczy i mały zadarty nosek. Chłopiec śmieje się w stronę obiektywu, prawdopodobnie dlatego, że fotograf robi zabawną minę. Podobne zdjęcia, jej i Mattiasa, leżą bliżej dna pudełka. Zostały zrobione, gdy byli mniej więcej w tym samym wieku. To samo krzesło, to samo brązowoszare tło, ten sam radosny, beztroski śmiech. Odwraca zdjęcie Billy'ego. Jest datowane na 3 lutego 1982 roku, półtora roku przed jego zniknięciem.

Butelka wina w jakiś magiczny sposób opróżniła się do końca, Veronica idzie zatem do kuchni po nową. Czerwone oczko telefonu patrzy na nią z wyrzutem.

Odwraca aparat i znów idzie na kanapę.

Następna fotografia jest portretem rodzinnym, który zrobiono prawdopodobnie przy tej samej okazji. Mama siedzi na krześle z nią i Mattiasem po obu stronach, na kolanach zaś usadziła Billy'ego. Tata stoi za mamą, położył rękę na jej ramieniu. Ten sztuczny gest to pomysł fotografa, jej rodzice zdecydowanie nie dotykali się w ten sposób. Prawdziwe jest za to dumne spojrzenie taty, skierowane prosto w kamerę. Mama spogląda trochę na ukos w dół, na Billy'ego. Na zdjęciu musi mieć trzydzieści trzy lata, prawie tyle samo, ile Veronica teraz. Są jeszcze bardziej podobne do siebie, niż sobie przypominała; podobieństwo jest niemalże przeraźliwe. Kolor włosów, kształt twarzy, postawa. Mama patrzy na Billy'ego w tak miękkim sposób, że sprawia to Veronice ból. Zaciska oczy na kilka sekund, wmawia sobie, że ich podobieństwo dotyczy tylko wyglądu.

Odkłada zdjęcie, strząsa z siebie emocje. To jest prawdopodobnie imaginacja. Rekonstrukcje i alkohol tworzą wzburzony koktajl. Mimo to nie może oderwać oczu od tego spojrzenia sprzed ponad dwudziestu lat.

Musi znowu napełnić kieliszek i chwyta za butelkę. Orientuje się, że jest pijana, gdy nie trafia i rozlewa odrobinę czerwonego wina na stolik przy kanapie. Wykazując się refleksem, przeciąga rękawem bluzy po plamie i pozwala, by sprana bawełna spiła wino. Następnie podnosi rękaw i przygląda się zafascynowana powiększającej się plamie. Czuje wilgoć na skórze, na bliźnie pod rękawem. Od razu zauważa, że plama po winie przypomina krew. Wstrząsa nią dreszcz,

szybko wkłada fotografie do pudełka i podnosi się na chwiejnych nogach.

Wychodzi do kuchni, żeby przynieść ściereczkę do mycia naczyń i wytrzeć resztę plamy. Staje przy telefonie, którego oczko nadal świeci, bardziej z troską niż oskarżeniem. Ostatnia wiadomość od Leona jest ciągle nagrana na sekretarce, choć obiecała sobie, że ją usunie. Wszystkiego poza tym się pozbyła: jego rzeczy, szczoteczki do zębów, golarki. Karteczek, które zostawiał na stole w kuchni, i prezentów, które kupował dla niej w czasie ich podróży. Wszystko spaliła na grillu, godzinę drogi samochodem na południe. Zanurzyła te rzeczy w płynnej podpałce, aż płomień wszystko zdławił. Zniszczyła wszystkie ślady czegoś, co kiedyś mieli.

Wciska kod, przesuwa taśmę do przodu, słucha ostatniego zdania.

– Musisz skończyć... – Głos Leona nie jest nawet rozgniewany, wyraża tylko rezygnację. – Droga Veronica. Musisz z tym skończyć.

Lato 1983

Månsson ociągał się, jak tylko mógł. Próbował wynajdować sobie inne rzeczy do zrobienia, ważne rzeczy. Niestety faktem było, że nie mógł już odkładać tej rozmowy na później.

Przeszukali wszystkie pola, pastwiska, stodoły, szopy, studnie, glinianki, strumienie i studzienki kanalizacyjne w promieniu pięciu kilometrów od gospodarstwa Backa, wiele z nich po kilka razy. Policjanci rozmawiali ze wszystkimi sąsiadami i mieszkańcami wioski, którzy mogli cokolwiek wiedzieć o zniknięciu chłopca. Teraz Månsson uznał, że musi pojechać do Ebbego i Magdaleny i powiedzieć im to, co wiedziała już cała okolica: że policja nie znalazła żadnego śladu ich synka, oprócz bucika zgubionego wśród kukurydzy.

Månsson wstał z obrotowego krzesła i uchylił żaluzję. Nieśmiały reporter z lokalnej gazety miał od kilku dni liczne towarzystwo. Był sezon ogórkowy i ludzie mieli dość czytania o rosyjskich łodziach podwodnych u szwedzkich wybrzeży. Na szczęście, o ile tak można powiedzieć, w Smalandii rozszalał się duży pożar lasu, dzięki czemu zyskał kilka dni spokoju. Zwykle nie miał nic przeciwko dziennikarzom, starał się odpowiadać na ich pytania na tyle, na ile mógł, w każdym razie w tej fazie, kiedy poszukiwania jeszcze trwały, ale w ostatnich dniach reporterzy z popołudniówek zwietrzyli nowy obrót sprawy. Starali się kontaktować z sąsiadami i krewnymi Nilssonów o każdej porze dnia i nocy, poza tym zjawiali się niezapowiedziani w Backa z aparatami fotograficznymi i teleobiektywami. Musiał przez to umieścić radiowóz przy wjeździe do gospodarstwa Nilssonów. Fundusze na nadgodziny były już w zasadzie niemal wyczerpane, a całodobowy dyżur pochłonał ich resztki. Jakby tego było mało, dziennikarze zaczęli prześladować również jego, tak że Malin musiała wyłączyć domowy telefon. Trochę to pomogło, ale tego ranka przy wejściu służbowym czekało

na niego dwóch reporterów, którzy nie dali za wygraną, póki nie zgodził się na zorganizowanie konferencji prasowej. Przedtem musiał jednak porozmawiać z Nilssonami, powiadomić ich, czego mogą się spodziewać.

Ruszył do wyjścia. Ostrożnie wyjrzał przez okienko przy drzwiach, aby się upewnić, że droga jest wolna. Kłusem pokonał niewielką odległość dzielącą go od niebieskiego volvo.

Gdy otworzył drzwiczki samochodu, uderzyła go fala gorącego powietrza. Nie tracił jednak czasu na wietrzenie samochodu. Szybko usiadł za kierownicą, włączył silnik i wyjechał z parkingu w takim tempie, że koła zapiszczały na miękkim asfalcie. Plastik kierownicy parzył dłonie, ale Månsson nie otworzył okna, dopóki samochód nie rozwinął pełnej prędkości.

Włączył radio, przez parę chwil przesuwał ustawienia między stacjami z Malmö i Kristianstad – obie nadawały piosenki Caroli Häggkvist – aż ostatecznie zdecydował się na Program 1. Trwała relacja na żywo z gaszenia pożaru lasu w Smalandii.

– *Robimy, co możemy* – mówił do reportera zmęczony komendant straży pożarnej – *ale czasami zadania po prostu przerastają ludzkie siły.*

Månsson zatrzymał się na drodze wjazdowej do Backa i zamienił parę słów z policjantami w radiowozie. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że powinien był przywieźć im choćby termos z kawą, kilka drożdżówek i parę zimnych puszek Coca-Coli – coś, co choć trochę pomogłoby chłopakom znieść upał i ponurą nudę, a jednocześnie świadczyłoby o jego dbałości o podwładnych. Szybko zakończył rozmowę, żeby wyglądało na to, że jest zbyt zajęty, by zajmować się drobiazgami.

Brama wozowni, teraz używanej jako garaż, była otwarta na oścież. Wewnątrz stał samochód Ebbego Nilssona, a obok niego, w cieniu, widoczne były sylwetki siostry i brata małego Billy'ego. Månsson znał już ich imiona. Vera, lat czternaście, i starszy o dwa lata Mattias. Vera i najstarszy syn Månssona uczyli się w szkole w równoległych klasach.

Gdy Månsson wysiadł ze służbowego samochodu, dziewczynka powoli do niego podeszła. Osłaniała oczy dłonią; opuściła ją, kiedy rozpoznała policjanta. Podobna jest do matki, pomyślał. Wysoka, szczupła, o rudoblond włosach i jasnej, piegowatej cerze. Ma w oczach i wokół ust szczególny wyraz, jakby jednocześnie wrażliwości i determinacji, i badawcze spojrzenie, które trudno rozszyfrować.

– Dzień dobry, Vero. Rodzice są w domu?

Dziewczynka skinęła głową i wskazała na główny budynek.

– Znaleźliście coś? – zapytała wysokim, cienkim, jeszcze dziecięcym głosem.

Månsson potrząsnął głową. Potarł kark dłonią, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Szukał słów, które dałyby nadzieję i pociechę.

– Jeszcze nic nie znaleźliśmy – rzekł wreszcie; to było w każdym razie lepsze niż milczenie. – Ale robimy, co możemy – dodał i uświadomił sobie, że jego głos brzmi niemal dokładnie tak, jak głos strażaka w radiowym reportażu.

Dziewczynka patrzyła na niego bez słowa.

– Jak cię czuje twoja mama? Trochę lepiej? – Månsson usiłował podtrzymać rozmowę.

Vera wzruszyła ramionami i powędrowała spojrzeniem w kierunku bramy garażu. Jej starszy brat siedział w kucki przy skuterze, odwrócony plecami do Månssona, i wydawał się trochę nazbyt zajęty; nie wyglądało to wiarygodnie.

Månsson pochylił się lekko w stronę dziewczynki, uśmiechnął się i zniżył głos.

– Mattias podrasował sobie skuter, co?

Vera rozwarła szeroko oczy, jakby nagle się przeraziła. Månsson uspokajająco uniósł dłoń; nie miał zamiaru nikogo straszyć.

– Nic się nie bój, to zostanie między nami. Każdy ma swoje małe tajemnice, prawda? – Mrugnął do dziewczynki. – Chcesz poznać moją?

Wpatrywała się w niego przez chwilę, potem z jej buzi znikło napięcie. Uśmiechnęła się niepewnie i kiwnęła głową.

– Mam zwyczaj podkraść z restauracji kostki cukru – powiedział Månsson. – Mam ich pełne pudełko na komendzie. Właściwie nie są

mi potrzebne, ale jakoś nie potrafię się powstrzymać.

Uśmiech Very rozszerzył się i przeszedł w cichy chichot. Månsson też się roześmiał, jakby byli dwójgiem przyjaciół wymieniających się zwierzeniami.

– Mattias chciał sobie kupić taki lekki motocykl, kiedy skończył szesnaście lat. Sam zaoszczędził pieniądze, ale mama mu nie pozwoliła. Dlatego podrasował skuter.

– Aha. Powiedz mu tylko, żeby uważał, jak jeździ. – Månssonowi nagle coś się przypomniało. – Tamtego wieczoru, kiedy Billy zaginął, ty i Mattias wróciliście razem do domu. Mówiłaś, że jechałaś na rowerze? – Uniósł pytająco brwi.

– Jechałam na przyczepkę – odparła Vera bez namysłu. – Mattias jechał obok mnie na skuterze, a ja trzymałam go za ramię. W alei zawsze go puszczam i on jedzie pierwszy, żeby mama i tata nie zauważyli. Ja wiem, że tak nie wolno. Pan chyba nikomu nie powie?

– Jasne, że nie. – Månsson znów się uśmiechnął. Vera Nilsson miała w sobie coś szczególnego. Udawała obojętną i trochę zblazowaną, ale sądził, że niewiele rzeczy uchodziło jej uwadze.

– I co było dalej, kiedy wróciliście do domu? Postawiliście rower i skuter tam... – Wskazał na wozownię.

Vera przytaknęła.

– Tata przybiegł z dużą latarką i powiedział, że nie mogą z mamą znaleźć Billy’ego. Poprosił, żebyśmy przeszukali wszystkie budynki. My czasem bawiliśmy się z Billym w chowanego.

– Więc przeszukaliście wszystkie jego kryjówki?

Znów przytaknęła.

– Szukaliśmy w wozowni, w oborze i na strychu w stodole. Bardzo dokładnie, bez pośpiechu, tak jak tata nam kazał. Mattias nawet otworzył drzwi do starej dojrni, chociaż tam Billy’ego absolutnie nie mogło być. – Przerwała i lekko się wzdrygnęła, jakby stara dojrnia wzbudziła w niej jakieś nieprzyjemne skojarzenie.

– Ale nic nie znaleźliście – dokończył Månsson.

– Nie.

– I co było dalej?

– Potem przyjechał pierwszy samochód policyjny.

– Pamiętasz, o której to było?

Vera potrząsnęła głową.

– Dokładnie to nie wiem. Wróciliśmy z Mattiasem do domu o wpół do dziesiątej, tak jak przyrzekliśmy, więc policja przyjechała sporo później.

– Aha.

Månsson dobrze znał odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, bo pierwszy patrol, który dotarł do Backa kwadrans po dziesiątej, w niemal podręcznikowy sposób przesłuchał Ebbego Nilssona, a potem dzieci. Miał jednak świadomość, że musi postępować ostrożnie i bez pośpiechu, jeśli chce się dowiedzieć tego, na czym mu zależało.

– Kiedy wracaliście do domu, ty i twój brat... – Månsson zawahał się, ale postanowił dokończyć. – Czy spotkaliście kogoś po drodze?

– Ma pan na myśli kogoś w samochodzie?

– W samochodzie, na rowerze, na skuterze... Może kogoś na spacerze z psem?

Dziewczynka najwyraźniej się zastanawiała.

– Napotkaliśmy parę samochodów. Jeden to był niebieski saab Lindgrena, tego jestem pewna. – Zmarszczyła czoło. – Drugi samochód był chyba czerwony. Nie pamiętam dokładnie, byłam zajęta... pan wie czym. – Znow się uśmiechnęła, trochę niepewnie, i zrobiła gest, jakby trzymała kogoś za ramię.

Månsson odpowiedział uśmiechem.

– Niczego innego sobie nie przypominasz?

– Nie. – Zmierzyła go tym swoim badawczym spojrzeniem. – Dlaczego pan o to pyta?

Månsson miał właśnie odpowiedzieć, gdy dostrzegł Ebbego Nilssona, który zszedł ze schodów i kierował się ku niemu szybkim krokiem. Policjant zastanawiał się, czy Ebbe usłyszał, o czym mówił z Verą.

– Vera, czy możecie z Mattiasem iść do domu i przygotować kolację? – powiedział Ebbe.

Dziewczynka skinęła głową i rzuciła Månssonowi ostatnie, niespokojne spojrzenie, a potem pobiegła do brata.

Månsson uściśnął dłoń Ebbego i czekał na zaproszenie do domu, ale Nilsson stał przed nim bez ruchu. Wyglądał na jeszcze bardziej

wyczerpanego niż tamtej nocy, gdy Billy zaginął. Oczy miał zaczerwienione i głęboko zapadnięte, a twarz jednocześnie ogorzała od słońca i bladą. Kraciasta koszula zwisała luźno na przygarbionych ramionach, spodnie miał na kolanach ubrudzone ziemią, jakby przed chwilą na klęczkach modlił się do Boga o pomoc. Månsson wiedział, że Nilssonowie, podobnie jak wielu innych w okolicy, uczęszczali na niedzielne nabożeństwa. Jemu samemu tylko raz udało się namówić Malin i chłopców, aby poszli z nim do kościoła; to była jedna z wielu prób dostosowania się do tutejszych zwyczajów. Ale na tym jednym razie się skończyło. Malin zwykle była skora do ustępstw, ale dzień święty święciła najchętniej w szlafroku nad filiżanką herbaty, co też wyraźnie mu oznajmiła. Z tego powodu rodzina Månssonów pojawiała się w kościele tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Właściwie nie sprawiało mu to różnicy, nie był zbyt religijny. Bardziej zajmowały go ludzkie czyny niż niezbadane ścieżki Boże.

Mógł za to bez problemu wyobrazić sobie Ebbego Nilssona, jak klęka, składa ręce i wznosi oczy ku niebu w modlitwie za swojego synka. On sam prawdopodobnie zachowałby się tak samo, gdyby był na miejscu ojca Billy'ego.

Månsson odchrząknął i spróbował skoncentrować się na swoim zadaniu. Przygotował sobie wszystko, co miał powiedzieć, i przećwiczył to parę razy podczas jazdy samochodem.

– A więc... – zaczął. – Mam zamiar zwołać jutro konferencję prasową. To znaczy, komisarz wojewódzki uważa, że tak będzie najlepiej. Ci diabelni dziennikarze... – Machnął ręką i trochę się skrzywił, ale nie wywołało to spodziewanej reakcji. – W każdym razie... – przełknął ślinę – chciałem powiedzieć, że na razie wstrzymaliśmy poszukiwania. Badamy inne możliwości.

– Jakie? – Głos Nilssona brzmiał łagodniej, niż można było oczekiwać, choć mimo wszystko był w nim jakiś twardy ton.

Månsson się obejrzał. Dziewczynka i jej starszy brat stali w bramie wozowni i uważnie mu się przyglądali. Zastanawiał się, czy słyszeli, co powiedział.

– Może wejdziemy do środka? – Zrobił gest w kierunku domu. – Magdalena powinna być przy tej rozmowie.

Ebbe zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

– Magdalena musi odpoczywać. Dziś rano znów był u niej lekarz.

– Rozumiem – odparł Månsson. Pojął, dlaczego nie został zaproszony do środka. Już wcześniej słyszał, że Magdalena Nilsson nie wychodzi z sypialni, że nie może nawet o własnych siłach wstać z łóżka. Najwyraźniej nie były to tylko plotki.

Znów przełknął ślinę, starając się skoncentrować. Jeszcze raz spojrzął na dzieci, a potem wymówił słowa, których bardzo nie chciał wypowiadać.

– Od kilku dni pracujemy, wychodząc z założenia, że zaszło coś innego, niż sądziliśmy; że Billy nie zabłądził, lecz został uprowadzony. Uprowadzony przez kogoś, kto chciał skrzywdzić jego lub was wszystkich.

Isak przyszedł tym razem punktualnie, ale prawie w ostatniej chwili. Spóźnił się zatem na pogaduszki przy kawie i kanapkach. Nie pojawił się na poniedziałkowym spotkaniu i Veronica niecierpliwie czekała przez cały roboczy tydzień. Odhaczała dni, próbując się skoncentrować na swoich grupach terapeutycznych. Prawdopodobnie z połowicznym sukcesem, jeśli sądzić po minie Ruuda.

Zwykła grupa piątkowa jest już zebrana w kręgu; brakuje tylko Larsa. Ruud zadzwonił do niego i wyjaśnił mu, że nie jest mile widziany przez miesiąc. Lars nie przyjął tego zbyt dobrze. Twierdził, że wszystko było jej winą, wyrażając to słowami, których Ruud nie chciał powtarzać.

Isak siada na tym samym krześle co ostatnio, z grzecznym skinieniem głowy w jej kierunku. Jego oczy są bardziej niebieskie, niż zapamiętała. Veronica uśmiecha się i zauważa, że on też odpowiada uśmiechem.

– Witaj – mówi Veronica i czuje, że jej oddech staje się płytki.

– Dziękuję.

On dalej patrzy na nią, pochyla się do przodu. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim zdąży to zrobić, pojawia się Ruud i stawia krzesło naprzeciw niej.

– Chciałbym dziś posiedzieć z wami. Chyba można, co? – To raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Naturalnie – odpowiada Veronica.

Znowu kieruje się w stronę Isaka, on jednak prostuje się i odwraca. Niech to diabli! Próbuje ukryć swój zawód, zanim Ruud go zauważy.

Rozmowa płynie w dobrym kierunku, przynajmniej na powierzchni. Uczestnicy dzielą się swym smutkiem, a ona wtrąca zwykle pytania, jeśli potrzebują pomocy, by zacząć opowiadać. Długopis porusza się po notatniku, ale podobnie jak na początku tygodnia nie jest już tak efektywnym narzędziem jak zwykle. Zamiast wciągać w siebie smutek i ból, ubija je jak śmietaną i zwykły dopływ energii nie następuje.

Jej frustracja rośnie i Veronica zauważa, że przede wszystkim życzy sobie, by inni uczestnicy skończyli mówić, tak by mogła udzielić głosu Isakowi. Obecność Ruuda powoduje, że jest zmuszona przestrzegać zasad, pohamować się i pozwolić wszystkim wypowiedzieć się do końca. Leif, około pięćdziesięcioletni biznesmen, który stracił całą rodzinę w wypadku samochodowym, wykorzystuje zbyt dużo czasu dla siebie. Płacze i trwoni cenne minuty, a Veronica musi się starać, by nie dało się usłyszeć zniecierpliwienia w jej głosie, gdy pomaga mu się wypowiedzieć.

Gdy przychodzi wreszcie kolej na Isaka, na zegarze zostaje już tylko kilka minut. Otwiera blok na nowej stronie, czuje, jak drżą jej ręce.

– Cześć, mam na imię Isak – zaczyna. Podobnie jak ostatnio pomija nazwisko. – Gdy byłem mały, straciłem najlepszego przyjaciela, który zaginął i nigdy się nie dowiedziałem, co się stało. Dużo o nim myślałem przez te lata. Czasami mi się śni.

Wydaje się, że już skończył, bo rozgląda się dookoła, oczekując na pełne współczucia kiwnięcia głowami pozostałych członków grupy.

– Co zwykle czujesz po takim śnie? – pyta Veronica. Próbuje utrzymać głos na neutralnym poziomie, chociaż jej serce uderza mocno w łód wewnątrz klatki piersiowej.

Isak wzrusza ramionami. Spotyka jej spojrzenie.

– Różnie.

– Możesz dać jakiś przykład? – Pytanie jest dwuznaczne. Może odnosić się do jego emocji, ale, dokładnie tak jak miała nadzieję, Isak rozumie ją opacznie i podaje jej szczegóły, choć ona wcale o nie nie pytała.

– Czasami śni mi się, że bawimy się w chowanego w jego ogrodzie. – Uśmiecha się lekko, jakby do siebie, spogląda w dół i na boki, jak gdyby używał szarej wykładziny jako ekranu do wyświetlania wspomnień. – Ogród jest wielki, w każdym razie tak go pamiętam. Zdziczały, prawie jak las. Zamykam oczy i liczę do stu. Słyszę, w którą stronę pobiegł, bo kukurydza szeleści i chrzęści, gdy on biegnie przez pole. – Isak przerywa, spogląda w górę.

– A potem? – pyta Veronica. Jej gardło jest suche i podrażnione od tytoniu. Zauważa, że Ruud zerka w jej stronę. Przekroczyła granicę,

ale nie może teraz przerwać.

– Potem, gdy już kończę odliczanie i zaczynam szukać, nie mogę go znaleźć, chociaż sprawdzam wszystkie możliwe kryjówki. Spróchniały wiąz, domek, który jego starsza siostra zbudowała na jednym ze starych drzew owocowych, stodołę. Poddaję się, krzyczę w przestrzeń dookoła. Wołam go, raz za razem.

Isak robi wdech. Cisza jest gęsta, wszystkie oczy wpatrują się w niego. Jej długopis od dawna przestał się poruszać, a serce – wydaje się, że też stanęło na chwilę. Isak powoli otwiera usta, jakby miał krzyknąć, jak w swoim śnie.

Minutnik na zegarze bije, wskazując, że sesja się skończyła, ale ona tego nie zauważa. Oczy Isaka szukają jej oczu. Usta się poruszają, wydają się kształtować bezdźwięczne słowa. Dwie ciche sylaby, które Veronica dobrze rozpoznaje. Które rozrywają lodowy pancerz na przerębli. Biiil-lyyy!

Veronica siedzi zupełnie cicho, zmrożona. Niezdolna do powiedzenia czegokolwiek ani do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Po kilku sekundach z pomocą przychodzi jej Ruud.

– Okej, dziękuję za tę opowieść, Isak – mówi. – Pora skończyć na dzisiaj.

Krzeseła wokół niej trzaskają, uczestnicy wstają, ale jej paraliż nie ustępuje, póki Ruud nie położy ręki na jej ramieniu i nie zapyta, jak się czuje.

– Veronica! – woła Ruud.

Ona jednak się nim nie przejmuje. Musi zdążyć złapać Isaka, musi dowiedzieć się czegoś więcej.

Popołudniowe słońce oślepia ją na schodach, zmusza, by trzymała rękę przy twarzy jako osłonę.

Coś przejeżdża obok. Motocykl, który wyje, mijając ją w świetle zmiernych, i znika na drodze.

Lato 1983

Wszystko zaczęło się dobrze. Brita, jedna z sekretarek, zarezerwowała na konferencję prasową małą szkolną aulę, w której niekiedy odbywały się pokazy filmów. Zainteresowanie konferencją wyraziło czternastu reporterów i fotografów, ale na godzinę przed rozpoczęciem przed szkołą pojawił się wóz transmisyjny. Technicy wyjęli anteny, zaczęli przeciągać kable na wszystkie strony, bombardowali woźnego pytaniami o regulatory napięcia i złącza trójfazowe. Gorączkowy nastrój w jakiś sposób rozprzestrzenił się na całą wieś. Pół godziny przed wyznaczonym czasem przed aulą ustawiła się kolejka.

Månsson nie spodziewał się, że mieszkańcy gminy okażą jakiegokolwiek zainteresowanie konferencją, dlatego nie wydał żadnych poleceń co do zakazu wstępu. Teraz, zamiast spoglądać na dwa rzędy krzeseł zajęte przez dziennikarzy, patrzył na wypełnioną do ostatniego miejsca aulę. Ludzie tłoczyli się nawet za drzwiami, w nadziei, że coś usłyszą. W sali było niemożliwie gorąco, z pewnością ponad trzydzieści stopni. Wchodząc na podest, poczuł strumyki potu pod pachami. Reflektory oślepiały go i utrudniały mu rozpoznawanie twarzy tych, którzy siedzieli dalej niż w dwóch najbliższych rzędach. Widział tylko zaciśnięte szczęki i napięte rysy.

Odkasznął i spojrzął na notatki. Na kanciaste, urzędowe słowa, których wymawianie ćwiczył przed lustrem. Błysnął flesz, po nim następny. Mężczyzna z wielką kamerą telewizyjną na ramieniu postąpił parę kroków naprzód.

– Jak wszyscy wiedzą – zaczął – minął ponad tydzień od zniknięcia Billy’ego Nilssona.

Månsson zaczerpnął powietrza. Błysnął kolejny flesz.

– Po przeprowadzeniu dokładnych, sumiennych poszukiwań uznaliśmy, że dalsze akcje tego typu nie są uzasadnione.

Nie planował przerw w wypowiedzi ani oczekiwania na reakcje

słuchaczy, jednak zrobił teraz pauzę. Przez salę przeszedł nasilający się szmer.

– Podjąłem decyzję o przerwaniu poszukiwań – dodał.
– Kontynuujemy dochodzenie.

– Czy w dalszym ciągu sądzicie, że Billy zabłądził?! – zawołał ktoś z pierwszego rzędu.

Månsson próbował rozpoznać pytającego, ale błyski fleszy aparatów fotograficznych nadal go oślepiały.

– Zatem... Pracujemy bez żadnych założeń i nie wykluczamy żadnych możliwości.

Szmer głosów zbliżał się do granicy hałasu.

– Myślicie, że chłopiec został porwany?! – krzyknął inny dziennikarz.

– Tak jak powiedziałem... – Månsson czuł, jak koszula przylepia mu się do pleców. Uniósł ręce, aby uciszyć gwar publiczności.

– Powiedziałem, że pracujemy bez założeń...

– Czy jest jakiś podejrzany? – przerwał mu jeden z reporterów.

Månsson osłonił oczy dłonią, usiłując rozpoznać pytającego.

– Po-postępujemy...

– Oczywiście, że jest podejrzany – rozległ się czyjś głos. – Cała cholerna gmina wie, kto to zrobił. Dlaczego Tom Rooth jeszcze jest na wolności?

Månsson od razu rozpoznał ten głos. Harald Aronsson. Zanim zdążył odpowiedzieć, hałas się nasilił, ludzie krzyczeli, popierali Aronssona. Kilku dziennikarzy wstało, przepychali się w kierunku podestu.

Podniósł dłonie w bezskutecznej prośbie. Chciał nakłonić słuchaczy, aby wrócili na miejsca i pozwolili mu odpowiadać na pytania spokojnie, po kolei. Nikt go nie słuchał. Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki: pytania pomieszane ze stwierdzeniami.

– Macie podejrzanego?

– Zamknij tego skurwysyna, Månsson!

– Jaką macie hipotezę?

– Rooth to kawał sukinsyna! Zawsze taki był!

– Czy chodzi o szantaż? Czy zażądano okupu?

– Dzieciaków nie sposób z domu wypuścić, dopóki go nie

zamkniecie!

– Czy sądzicie, że Billy jeszcze żyje?

Månsson uznał, że stracił kontrolę nad sytuacją, i postanowił się poddać.

– Kurwa mać – mrucał, wycofując się ze sceny w asyście jednego ze swych potężnie zbudowanych podwładnych. – Kurwa mać.

Nie jest dobrą córką. Ani dobrą siostrą. Do tego stopnia nie jest pewna, czy pamięta numer domowego telefonu Mattiasa, że musi wygrzebać z szuflady swój stary sfatygowany notatnik, by sprawdzić, zanim do niego zadzwoni.

W roku, w którym zniknął Billy i umarła mama, ona skończyła czternaście lat, a Mattias szesnaście. Dorastali w okolicy, którą jej brat nazwał kiedyś Krainą Cieni. Podoba jej się to określenie, dużo o nim myślała, ale dopiero w ostatnich latach wpadła na to, że musiał je usłyszeć w jakimś filmie.

Kraina Cieni jest gigantyczna, mimo to prawie nigdy nie pokazują jej w wiadomościach, chyba że zdarzyło się tam coś strasznego. W pozostałym czasie kryje się za nazwami stacji, które przemykają za oknem pociągu, lub za zjazdami z trasy, których nigdy się nie wybiera, wszystkimi tymi na pół znanymi miejscami, które się mijają, by dokąds dojechać.

Mattias mawiał, że w Krainie Cieni dorastają dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy odchodzą, i ci, którzy zostają. A oni oboje, ona i on, powinni odejść tak szybko, jak tylko się da.

Jej brat poszedł do Wyższej Szkoły Policijnej w Sztokholmie, gdy tylko skończył osiemnaście lat, dzięki czemu był najmłodszy na swoim roku. Zostawił ją na dwa długie lata w tym wielkim domu, razem z ojcem i pustymi pokojami. Była na niego zła z tego powodu. Mimo to tęskniła za weekendami, kiedy przyjeżdżał do domu. Tęskniła za jego opowiadaniem o mieszkaniu w Sztokholmie, które mieli dzielić. Odliczała dni do tego momentu, odhaczała je w swoim notatniku, jak więzień, który odlicza czas do wyjścia na wolność.

– HalotumówiCeciliaNilsson!

Odpowiedź na drugim końcu linii telefonicznej brzmi jak wesoły okrzyk. Cecilia jest jej bratową. Pierwszą i jedyną dziewczyną Mattiasa. Mimo wszelkich przeszkód Cecilii udało się utrzymać ich związek, gdy Mattias się wyprowadził. Była mądra, nie stawiała wymagań, oferowała mu tylko łóżko i swoje objęcia, gdy tego

pragnął. A Mattias był na tyle głupi, by ich chcieć.

Gdy pozostało już tylko pięć dni do wykreślenia w notatniku, Veronica stała na schodach kościoła i sypała ryżem na egzaminacyjny garnitur Mattiasa i suknię ślubną Cecilii. Błyszczący biały materiał na lekko zaokrąglonym brzuszku ciężowym. Mattias dostał stałą pracę w komisariacie policji we wsi, a wujek Harald dał im w prezencie ślubnym szeregowy domek. Zdjęcie ślubne także leży gdzieś na dnie pudełka znajdującego się w garderobie, ale Veronica nie potrzebuje go wyjmować, by wiedzieć, że mina Mattiasa na tym zdjęciu jest mniej więcej taka, jak na zdjęciu rodzinnym. Bo Mattias jest posłusznym chłopcem, który zawsze robi to, czego się od niego oczekuje.

Tydzień później Veronica spakowała swoją walizkę i zostawiła wszystko za sobą. Krainę Cieni, mamę, tatę, Billy'ego. I Mattiasa.

– Cześć, mówi Veronica. – Alkohol w jej oddechu odbija się od słuchawki telefonicznej.

Cisza trwa kilka sekund za długo.

– Vera – dodaje.

– O, cześć! Nie poznałam cię po głosie.

To oczywiście kłamstwo. Tak naprawdę jej bratowa na swój biernie agresywny sposób czyni jej zarzut, że nie mówią już tym samym dialektem. To należy do gry, tak jak i to, że Cecilia zmusza ją do przedstawienia się imieniem, którego nie używa już od ponad piętnastu lat.

– Czy jest Mattias? – pyta, zanim bratowa zdąży powiedzieć kilka przewidywalnych zdań o tym, że dawno się nie odzywała (prawda), i o tym, że dziewczynki tęsknią za cicią (kłamstwo).

Cecilia wstrzymuje oddech, prawdopodobnie ze złości, że została uprzedzona.

– Ma nadgodziny. Duże dochodzenie prowadzone z policją z miasta. Franzén zasypuje Mattiasa robotą. Za rok odchodzi z pracy.

– Mattias? – Veronica spostrzega swój błąd myślowy w tym samym momencie, gdy wypowiada imię brata. Zrzuca to na hormony stresu i alkohol, który wiruje w jej mózgu. Lub na myślenie życzeniowe.

– Nie, Franzén oczywiście. Wczesna emerytura. – Cecilia śmieje się, zadowolona z odzyskania przewagi. – Mattias go zastąpi,

zostanie najmłodszym komisarzem gminnej policji w całym województwie.

– Świetnie – mamrocze Veronica. – Nie wiesz, gdzie zastanę Mattiasa? Muszę z nim porozmawiać, możliwie szybko.

– Próbowalaś zadzwonić na jego komórkę? A może nie masz numeru? – Cecilia oczywiście zna odpowiedź na to pytanie, zanim je postawi. To jasne dla odpowiedzialnej żony.

Veronica nie ma innego wyjścia, musi przełknąć gorzką pigułkę.

– Nie, byłabym wdzięczna, gdybyś podała mi ten numer.

Mattias odbiera po trzecim sygnale. Jest zdumiona, jak twardo i dorośle brzmi jego głos. Mięknie trochę, gdy dowiaduje się, kto dzwoni.

– Cześć, Vera. Nie wiedziałem, że znasz ten numer. – Wydaje się rzeczywiście cieszyć, że zadzwoniła. W każdym razie trochę.

– Cecilia mi go dała. Przeszkadzam?

– Teraz nie, prowadzimy śledztwo w terenie. Nie sądzę, żeby coś się wydarzyło przed północą. Jak się czujesz? Dawno się nie słyszeliśmy.

– Dobrze. – Veronica słyszy, że to brzmi fałszywie. On też słyszy ten fałsz.

– Czy coś się stało?

Veronica wciąga powietrze, zbiera się w sobie.

– Czy przypominasz sobie Isaka Sjölina?

– Kogo?

– Najlepszego przyjaciela Billy’ego... – Imię ich młodszego brata jak zwykle nieco otwiera szczelinę w lodzie, nie tylko u niej.

– Jak przez mgłę. Bo co?

– Bo sądzę, że go spotkałam.

– Gdzie? – W głosie Mattiasa znów brzmi ton policjanta.

– Możesz mi uwierzyć albo nie, ale jest w jednej z moich grup terapeutycznych. Praca nad żałobą.

– A skąd wiesz, że jest właśnie ten Isak Sjölin?

– Tego nie wiem. Ale opowiada takie rzeczy, że nie mam pojęcia, kim innym mógłby być.

Na kilka sekund zapada cisza. Potem w słuchawce rozlega się silniejszy niż przedtem głos Mattiasa:

– Co powiedział?

– Że stracił najlepszego przyjaciela, gdy był małym chłopcem. Jego przyjaciel zaginął i potem już nic nie było takie jak przedtem. Opowiadał o naszym ogrodzie, o spróchniałym wiązcie, domku, stodole. – Pociąga łyk wina z kieliszka, żeby zatrzymać ten potok słów; odsuwa trochę słuchawkę od ust, żeby Mattias nie usłyszał, jak przeflyka.

– Czy wymienił Billy’ego? Czy powiedział, że to jego dotyczyło?

– Nie, nie wprost.

– Jak to rozumiesz? – Jego pytania padają szybko, nie pozwala jej się zastanowić.

– Inny uczestnik zapytał, czy chodzi o Billy’ego, ale Isak nie powiedział ani tak, ani nie.

– Czyli nie wiesz na pewno?

– Na pewno czego? – Jej serce znowu zaczyna bić wolniej.

– Czy to był Isak Sjölin. Czy rzeczywiście chodziło o Billy’ego.

Veronica nie odpowiada. Jej brat policjant bezlitośnie obnażył słabe punkty jej opowieści. Nawet ciche słowo, które – jak jej się wydawało – usłyszała z ust Isaka, niczego nie zmienia, i dlatego nie opowiada tego Mattiasowi. Wie, co by powiedział: „Przypuszczenia nie są dowodem. Hipotezy nie są dokładnie tym samym co fakty”.

Zamiast suchego policyjnego stwierdzenia pada nowe pytanie. Pytanie, które ją zaskakuje. Pytanie, nad którym nie zdążyła się zastanowić.

– Myślisz, że on wiedział, kim jesteś?

Veronica nie odpowiada od razu, musi chwilę pomyśleć.

– Tego rzeczywiście nie wiem. Ale skąd miałby to wiedzieć? Zmieniłam nazwisko, nikt z rodzinnych stron nie wie, gdzie mieszkam ani gdzie pracuję.

Nawet moja rodzina ledwo to wie, dodaje w myślach.

Mattias wydaje buczący dźwięk. Veronica wie, co myśli jej brat policjant: nie istnieje coś takiego jak przypadek.

– Jak on wyglądał? – pada następne pytanie.

– Blondyn, średniego wzrostu. Niebieskie oczy.

– W jakim jest wieku?

– Około dwudziestu pięciu lat, dokładnie tyle... – urywa w połowie zdania.

– ...ile miałby teraz Billy – dopowiada Mattias.

Cisza trwa kilka sekund. Veronica słyszy, jak brat kręci się na siedzeniu samochodu, następnie dobiegają jej strzępy jakiejś rozmowy z policyjnego radia.

– Muszę kończyć – mówi Mattias. Jego głos brzmi, jakby był nieco zirytowany. Jakby chciał kontynuować rozmowę. – Rodzina Sjölinów wyprowadziła się stąd dawno temu, ale spróbuję się dowiedzieć, dokąd się przenieśli.

– Dziękuję.

Policyjne radio znowu gada na drugim końcu linii. Otwierają się drzwi samochodu, potem słychać kobiecy szept.

– Muszę już kończyć – powtarza Mattias. – Trzymaj się z daleka od tego Isaka, dopóki się nie dowiem, kim on jest i czego chce. To może być reporter, który próbuje się zaczepić, albo w najgorszym przypadku jakiś szaleniec. Wkrótce minie dwadzieścia lat. Okrągłe rocznice skłaniają ludzi do różnych rzeczy.

– Okej.

– Dobrze. Dbaj o siebie, Vera. Sprawdzę co nieco i zadzwonię do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem. Fajnie było cię usłyszeć.

Rozmowa zostaje nagle przerwana, Veronica nie potrzebuje zatem szukać odpowiedniej odpowiedzi.

Odkłada telefon na bazę. Wypija ostatnie krople z kieliszka, podchodząc do okna. Jej wzrok wędruje do miejsca, gdzie stał pałac. Ale nie może wypatrzeć żaru papierosa. Dziwne, ale jest tym zawiedziona.

W chwili, gdy chce opuścić żaluzje, zauważa ruch pod oknem. Rozpoznaje to, na co patrzy, zanim zdąży się wystraszyć. Jakieś zwierzę ostrożnie porusza się w cieniu, z nosem przyciśniętym do ziemi. Najpierw myśli, że to pies, ale potem zwierzę wchodzi w krąg światła rzucanego przez uliczne lampy. Siada, spogląda do góry, na jej okno, i przekrzywia trochę głowę, jakby patrzyło prosto na nią.

Czarny nos, biała pierś, rude futro.

Lis.

Lato 1983

Månsson wrócił do domu – ceglanej willi stojącej przy ulicy Algatan – dopiero po dziesiątej wieczorem. Na trawniku jego gadatliwego sąsiada kręcił się zraszacz, a Månssonowi wydało się, że dostrzega jakiś ruch za troskliwie przystrzyżonym tujowym żywopłotem. Umknął zatem tak szybko, jak tylko mógł.

Wytrwał na posterunku do końca wieczornych wiadomości telewizyjnych, kiedy to po raz ostatni pokazano fragment tej nieszczęsnej konferencji prasowej. Nadkomisarz zadzwonił kilka minut później, zgodnie z oczekiwaniami Månssona. Był bardzo miły; oświadczył, że wysłał kilku specjalistów z komendy wojewódzkiej do pomocy przy tej sprawie. Månsson w uprzejmych słowach podziękował swojemu zwierzchnikowi: powiedział, że cieszy się na współpracę z komendą wojewódzką i jest wdzięczny za wzmocnienie sił policyjnych. Oczywiście wiedział, o co chodzi. Odebrali mu sprawę Billy’ego. Jego sprawę.

Malin czekała w kuchni. Przygotowywała grzanki; właśnie wkładała blachę do piekarnika, kiedy usłyszała odgłos silnika jego samochodu. Gdy poczuł zapach stopionego sera, gorącej szynki i ananasów, zaburczało mu w brzuchu i uświadomił sobie, że nie jadł od rana. Opadł na kuchenne krzesło i pociągnął łyk mleka ze szklanki, którą postawiła przed nim żona.

– Chłopcy śpią? – zapytał.

Malin skinęła głową.

– Chcieli na ciebie poczekać, ale powiedziałam, że późno wrócisz. Johan prosił, żebym go obudziła, kiedy przyjdiesz. Chce ci opowiedzieć o meczu.

– Aha. Jak poszło? – Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, o jaki mecz chodziło. Podejrzewał, że żona zdawała sobie sprawę z jego niewiedzy, ale udawała, że jej nie zauważa.

– Dwa do zera. Johan strzelił jednego z tych dwóch goli.

– To świetnie! A jak z Jakobem?

Wyraz twarzy Malin zmienił się w sposób, który doskonale znał. Westchnął.

– Znów mu dokuczali?

– Nic nie mówi. Zamknął się w swoim pokoju.

– Mhm. – Månsson wypił kolejny łyk mleka. – Którzy?

– Na pewno ci sami, co poprzednim razem. Synowie sklepikarza, Patrik Brink i jeszcze jakiś inny.

– Sądzisz, że powinienem zadzwonić do ich rodziców? Sören to przyzwoity gość, Olle Brink właściwie też jest w porządku... na ogół.

– Nie uważam, żeby to mogło pomóc. W każdym razie nie teraz.

– Może i nie – mruknął Månsson.

Dzieciaki powtarzają po prostu to, co rodzice mówią w domu przy kolacji, pomyślał. Że on i jego podwładni nigdy nie odnajdą Billy'ego. Że nie odważył się zaarrestować jedyne podejrzanego. Że po prostu boi się Toma Rootha.

Månsson oczywiście znał źródło tych pogłosek. Sklepikarz i Brink pozostawali w ścisłych kontaktach z Haraldem Aronssonem. Gdyby do nich zadzwonił i zażądał, żeby przywołali swoich synów do porządku, utwierdziłby tylko ich opinię o nim jako policjancie.

Malin usiadła na krześle obok niego.

– Widziałam cię w telewizji – rzekła tonem, którego używała, pocieszając chłopców, kiedy byli mali. – Jak się czujesz?

Månsson poczuł jej dłoń na swoim ramieniu. Wymamrotał coś, zwracając się bardziej do szklanki z mlekiem niż do żony. Intuicja podpowiedziała mu w pierwszej chwili, aby stwierdzić, że jest w porządku, ma wszystko pod kontrolą i nie trzeba się o niego niepokoić. Malin zaakceptowałaby to i nie stawiałaby kolejnych pytań. Pochyliłaby głowę i zrobiła tę lekko smutną minę, którą przybierała zawsze, gdy wiedziała, że mąż kłamie. Postanowił zaoszczędzić jej i sobie tego przedstawienia. Zmienił temat.

– Nilssonowie – powiedział. – Magdalena jest w złym stanie, nawet nie wstaje z łóżka. Lekarz przychodzi do niej codziennie. Ebbe wygląda jak żywy trup, a rodzeństwo Billy'ego...

Znów opuścił wzrok, pokręcił szklanką, wpatrzył się w resztki

mleka na jej dnie. Malin bez słowa uściśniła jego ramię.

Månsson spojrział na żonę. Byli ze sobą od prawie dwudziestu pięciu lat i znali się na wylot. Twarz Malin była teraz nieco okrągłejsza niż wówczas, gdy zawarli znajomość; jej ciało też się zaokrągliło. Fałdki przy kącikach ust i między brwiami wyraźniej się odznaczały, a gdy dokładnie przyjrzał się jej włosom, wypatrzył trochę siwych kosmyków. Stawała się coraz bardziej podobna do swojej matki, ale o tym oczywiście nigdy by nie wspomniał. A jednak to właśnie w tej chwili kochał żonę mocniej niż kiedykolwiek. Za to, że po prostu siedziała przy nim i ścisnęła jego ramię.

Poczuł nagły przypływ wdzięczności. On i Malin siedzieli w kuchni, a Johan i Jakob leżeli w łóżkach, bezpieczni i spokojni. Był bliski opowiedzenia żonie o tym uczuciu; chciał wyznać, że się wstydzi – nie tego, że nie sprawdził się w roli policjanta i dowódcy, lecz tego, że czuje ulgę, bo to nie jego synek zniknął w ciemnościach sierpniowej nocy i nie jego rodzina zapadła się w ciemność. Ale zanim zaczął to wyznanie, na okapie kuchenki zadzwonił timer na znak, że kolacja jest gotowa.

Månsson pochłonął w szybkim tempie trzy gorące grzanki i napoczął czwartą, ale w tej chwili poczuł pieczenie w gardle. Odbiło mu się; dyskretnie stłumił odgłos dłonią. Soki trawienne paliły przetyk. Odłożył sztucce i odsunął się nieco od stołu.

– Syn i córka Nilssonów – rzekł. – Pewnie widziałas ich w szkole?

– Tak. – Malin wstała i zebrała ze stołu talerz i sztucce. – Mattias Nilsson skończył w tym roku dziewiątą klasę. To miły i dobrze wychowany chłopiec, niezbyt rzucający się w oczy.

– Pójdzie do szkoły średniej w mieście?

– Tak. Wybrał dwuletni program ukierunkowany na wiedzę o społeczeństwie. Możliwe, że chce zostać policjantem albo strażakiem.

– A dziewczynka? Vera?

Malin znów usiadła przy stole i lekko pokręciła głową.

– Kiedy jest się doradcą wyboru zawodu, nie ma się właściwie do

czynienia z dziećmi młodszymi niż ósmoklasiści. Wiem, jak Vera wygląda, czasem widuję ją na korytarzu. No i słyszę, co nauczyciele o niej mówią.

– A co mówią?

– Że jest zdolna, ma dobre stopnie. – Głos Malin brzmiał tak, jakby nie chciała powiedzieć całej prawdy.

– Ale? – Månsson znał żonę równie dobrze, jak ona jego. Wiedział, kiedy należy wtrącić pytanie.

Malin wzruszyła ramionami.

– Podobno czasami sprawia kłopoty.

– Jakie? – Przed oczami stanęła mu sylwetka dziewczynki. Nogi podlotka i dziecinny głos.

Malin rzuciła szybkie spojrzenie w stronę korytarza, jakby się obawiała, że któryś z chłopców tam stoi i słucha ich rozmowy. Pochyliła się w stronę męża.

– Najwyraźniej pozwala sobie na różne rzeczy, na które jest za młoda. Chłopcy, alkohol... Szkoła skontaktowała się z kuratorem, tylko tyle wiem.

Månsson skinął głową. Pomyślał o oczach Very. Była w nich bystrość, inteligencja... i coś jeszcze. Niepokój.

Kochanie,

pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Już wtedy wiedziałam, że jesteś mi przeznaczony. Wiedziałam to, gdy pierwszy raz popatrzyliśmy sobie w oczy. Pewnie brzmi to śmiesznie, wyrażam się jak zakochana nastolatka, ale tak właśnie się czuję. Jesteś dla mnie wszystkim. Wszystkim!

Śniłeś mi się dziś w nocy. Śniłam, że jesteś tu, tuż przy mnie, w moich ramionach, i że już zawsze będziesz ze mną. Jednak muszę zadowalać się krótkimi chwilkami szczęścia. Mogę tak żyć. Czekam cierpliwie na Ciebie, ponieważ wiem, że nasz czas wkrótce nadejdzie.

Po raz pierwszy od długiego czasu śni jej się mama; sen jest ten sam co zawsze. Gdy budzi się w sobotę rano, ma obolałą głowę i ciężkie ciało.

Idzie na krótki spacer, żeby się dobudzić, przy okazji szuka śladów lisa z poprzedniego wieczoru. Nie znajduje żadnych. *Bo lisy są sprytnie. Wiedzą, jak się poruszać, żeby nie zostawiać śladów.*

Gdy byli mali, wujek Harald czasami opowiadał jej i Mattiasowi bajki. Zawsze po kryjomu, żeby mama ich nie słyszała. Były to straszne opowieści, wszystkie bez wyjątku o dzieciach, które spotkał zły los. Dzieciach, które utonęły, które umierały z głodu lub zamarzały na śmierć. Czasami z ich powodu budziła się przerażona w środku nocy, w nocnej koszuli wilgotnej od potu. Mimo to żadne z nich – ani ona, ani Mattias – nie zdradziło przyczyny nocnych koszmarów. Wiedzieli, że wujek Harald nie wybaczał temu, kto nie potrafił dochować tajemnicy.

Podąża chodnikiem aż do miejsca, w którym jednego z poprzednich wieczorów widziała osobę palącą papierosa. Palacz nie jest tak sprytny jak lis, bo Veronica znajduje niedopałki w rynsztoku. Pięć sztuk, wszystkie z czerwoną koroną wyciśniętą w papierze, zaraz nad filtrem. Czerwone prince'y, takie same, jakie paliła mama.

Myśli o paczce papierosów pod starannie podwiniętym rękawem T-shirtu Isaka, w stylu Jamesa Deana. Wyobraża sobie, że była biało-czerwona, potem myśli o silnym zapachu tytoniu w jego oddechu, co o dziwo trochę ją podnieca. Wyrzuca niedopałek na ziemię i spieszenie oddala się w stronę domu.

Gdy wchodzi do mieszkania, zauważa przyjaźnie mrugające czerwone oczko telefonu. Już zaczyna mieć nadzieję, że to Leon, ale po wciśnięciu cyfr kodu automatycznej sekretarki rozlega się głos Mattiasa:

– Znalazłem Isaka. Zadzwoń do mnie.

Podniecenie wzrasta, gdy wybiera numer.

– Cześć, Vera, zostań na linii.

Słyszy głosy w tle, domyśla się, że to jego kroki, po chwili trzaskają zamykające się drzwi.

– No więc tak, odnalazłem rodzinę Sjölinów. Jak mówiłem, wyprowadzili się stąd. Ich ojciec stracił pracę, gdy zamknęli cegielnię, i w końcu trafili do Kristianstad...

– A Isak?

– Od dwóch lat studiuje architekturę w Oslo. Dostałem jego numer, ale nikt nie odbiera telefonu. Jego matka powiedziała, że rzadko rozmawiają o Billym, ale przypomina sobie, że gdy był w domu na wiosnę, dyskutowali o tym artykule prasowym o zaginięciu. I że Isak wyraźnie posmutniał z tego powodu.

– W takim razie to może być on? – Jej puls znowu zaczyna przyspieszać.

– To niewykluczone. Dla pewności poprosiłem jego mamę, żeby przefaksowała mi jego zdjęcie. Mam je teraz przed sobą.

– Jak wygląda? Jest blondynem?

– Faks jest czarno-biały i jakość zdjęcia nie jest najlepsza, tak że trudno rozstrzygnąć. Ale z całą pewnością ma jasne włosy.

Czuje takie napięcie, że zagryza dolną wargę. Zaraz potem wpada na pomysł.

– Słuchaj, mamy faks w pracy. Pojadę tam. Zadzwonię, gdy będę na miejscu.

Bogowie metra są łaskawszy niż zwykle i już trzydzieści pięć minut później otwiera drzwi i wyłącza alarm w ośrodku terapii. Duża, pusta sala zebrań wygląda jeszcze smutniej niż zwykle.

Biuro Ruuda znajduje się w dalszym końcu sali. Chociaż biuro to za dużo powiedziane; kłitka – to określenie pasowałoby znacznie lepiej do tego pokoiku bez okna. Plastikowa wykładzina podłogowa na pewno nie ma więcej niż cztery czy pięć metrów kwadratowych, a tablice ogłoszeniowe, które wiszą na wszystkich ścianach, są pełne zdjęć, folderów i informacji dotyczących różnych seminariów, spotkań i grup.

Jest trochę zdenerwowana, że przyszła tutaj, wślizgnęła się do najświętszego miejsca Ruuda, nie pytając go o pozwolenie. Kłitka

nawet pachnie jak on. Snus, kawa i coś jeszcze, co trudno opisać.

Na biurku dominuje klawiatura i ogromny monitor, prawie cały obklejony karteczkami z zapiskami. Na bocznej kolumnie biurka stoi faks. Veronica dzwoni do Mattiasa z telefonu Ruuda i podaje mu numer, który jest zapisany na plastikowym pasku naklejonym przy włączniku urządzenia. Niecierpliwie czekając na połączenie, odchyła karteczki na tablicach ogłoszeń. Wydaje się, że zamiast usuwać nieaktualne, Ruud tylko przypina nowe ogłoszenia na starych, co przekształca tablice w swego rodzaju retrospektywny kolaż z historii ośrodka. Wstrząsa nią, gdy widzi swoją twarz na jednym z folderów z ośrodka terapii w północnej części miasta. *Veronica Lindh, terapeutka grupowa*. Zdjęcie ma już wiele lat i zrobiono je w czasie, gdy zaczęła tam pracować. Myśl, że jej fotografia jest dostępna w setkach, może nawet tysiącach egzemplarzy, jest w osobliwy sposób nieprzyjemna. A może straszna jest tylko myśl o Leonie i jej dawnym miejscu pracy.

Naraz ciszę przerywa nieoczekiwany dźwięk i Veronica podskakuje. Faks obudził się do życia i zaczął powoli przeżuwać papier. Veronica staje przed urządzeniem, czeka. Prawie wstrzymuje oddech.

Mattias ma rację. Zdjęcie jest rozmazane i jego jakość z pewnością nie poprawiła się dzięki ponownemu faksowaniu. Ale jedno jest w każdym razie jasne jak słońce i niezmiennie, nieważne, jak długo wpatrywałyby się w ciepły papier.

Wypuszcza powietrze, ciężko siada na krześle Ruuda i przyciąga do siebie telefon. Mattias odbiera po pierwszym sygnale. Nie zadaje sobie nawet trudu, żeby powiedzieć „cześć”.

– I co?

Veronica patrzy na zdjęcie po raz ostatni. Isak Sjölin wygląda zupełnie zwyczajnie: przedziałek, lekko odstające uszy i miłe, prawie nieśmiałe spojrzenie. Nie ma najmniejszego podobieństwa między nim a blondynem w jej grupie terapeutycznej.

– To nie on.

– Jesteś całkowicie pewna?

– Na mur-beton.

– Okej. – Zapada cisza. Kilka sekund, podczas których Mattias

wydaje się zastanawiać nad tym, co powinien teraz powiedzieć. – Ile razy ten facet odwiedził twoją grupę?

– Dwa razy, ostatnio wczoraj.

– Czy rozmawiał z tobą bezpośrednio? Pytał o coś?

– Nie. – Potrząsa głową; głupi gest, Mattias przecież nie może jej zobaczyć. – Zniknął zaraz po zakończeniu spotkania.

Zastanawia się, czy powiedzieć bratu o motocyklu i niedopałkach na jej ulicy. Dawno temu zawierzała Mattiasowi wszystkie swoje tajemnice. Ale to było dawno temu. Zanim on został, a ona wyniosła się z rodzinnych stron.

– Kiedy będzie następne spotkanie? – pyta Mattias.

– W poniedziałek.

– Czy możesz poprosić o zmianę grupy? – Mattias patrzy na problem w praktyczny sposób, dokładnie tak, jak się spodziewała. Zejdź z drogi, ukryj się na chwilę, może wszystko rozwiąże się samo z siebie.

– Nie. – Znowu prawie potrząsa głową.

– Dlaczego nie?

– To po prostu nie jest możliwe. – Veronica nie ma ochoty tłumaczyć mu, że nie ma możliwości takiego manewru. Zapytałby zaraz: „Dlaczego?”, a ona nie chce opowiadać mu o swoim załamaniu. O Leonie, terapii i o tym, że pracuje pod nadzorem Ruuda. Zmienia zatem temat rozmowy.

– Miałam dziś w nocy sen o mamie. Jaja jastrzębia na silosie.

Mattias nic nie mówi, mimo to Veronica wyczuwa, że się wierci. Wydaje jej się, że prawie słyszy, jak jego krzesło skrzypi.

– Wiesz, Vera... – Brzmi teraz o wiele mniej zdecydowanie. Dostatecznie niepewnie, by Veronica zdecydowała się mu przerwać.

– Jak myślisz, dlaczego mama to zrobiła?

– Bo to, co zrobiliśmy, było złe. Bo nie rozbija się ptasich jaj.

– Nie o to mi chodzi. Jezioro, lód. Dlaczego odebrała sobie życie? Lekarze mówili, że właśnie jej się poprawia.

– Skąd mam wiedzieć? Mama przestała się mną interesować na długo przedtem, zanim książątka...

Natychmiast pozałował swoich słów, Veronica wyraźnie to słyszy. Ale jest za późno. Słowa zostały wypowiedziane. Mattias dalej wisi

na telefonie.

– Miałem na myśli to, że nie byliśmy sobie szczególnie bliscy. Skończyłem przecież dopiero szesnaście lat, nie miałem pojęcia, co się działo w jej głowie. – Chrząka. – Poza tym to ty w rodzinie jesteś terapeutką. Dlaczego ludzie popełniają samobójstwo?

– Bo nie mają po co żyć. – Odpowiedź przychodzi odruchowo, zanim ją przemysli.

Znowu zapada cisza. Coś trzeszczy w słuchawce, jakby Mattias się prostował. Veronica słyszy, że brat robi wdech, zamierza coś powiedzieć. Wtem w słuchawce rozlega się słabe pukanie, potem dźwięk otwierających się drzwi. Kobięcy głos mamrocze coś, czego Veronica do końca nie rozumie.

– Okej – mówi Mattias w głąb pokoju. – Przyrowadź samochód, spotkamy się przed budynkiem.

Po chwili mówi znowu do słuchawki:

– Coś się wydarzyło. Niestety muszę się zmywać. Zadzwoń do mnie, jeśli ten facet pojawi się w poniedziałek, i pod żadnym pozorem nie rozmawiaj z nim o Billym. Zrozumiano?

Brzmi to tak, jakby policjant wydawał komuś rozkaz, a nie brat rozmawiał z siostrą. Zanim zdążyła mu to powiedzieć, połączenie zostało przerwane.

Przez kilka sekund siedzi w ciszy przy biurku Ruuda. Blondyn nie jest Isakiem Sjölinem, co w pewnym sensie jest dla niej rozczarowaniem. W głębi duszy miała nadzieję, że jej podejrzenie zostanie potwierdzone. Miała nadzieję, że będzie mogła usłyszeć, co Isak przypominał sobie na temat Billy’ego. I może też dowie się czegoś o mamie.

Tak jednak nie będzie, bo blondyn nie jest starym znajomym, lecz obcym mężczyzną. Kimś, kogo cel i motywy są w dalszym ciągu niejasne.

Nagle w jej głowie pojawia się pewna myśl. Mattias powiedział, że Isak Sjölin i jego mama rozmawiali wiosną o artykule na temat Billy’ego. Włącza komputer Ruuda i cierpliwie czeka, aż uruchomi się przeglądarka.

Odnalezienie artykułu zabiera jej chwilę; przewija szybko tekst, nie czytając, do nazwiska autora. Ale autorem artykułu okazuje się kobieta, a nie nadmiernie ambitny młody blondyn, jak sobie wyobrażała. Wraca na górę, do tytułu artykułu. Jest niezwykle trafny. Streszcza całą historię w zaledwie sześciu słowach.

Lato, które nigdy się nie skończyło.

Zaraz pod nagłówkiem znajdują się trzy zdjęcia. Pierwsze to ten sam portret Billy'ego, który ma w domu w pudełku. Policja prawdopodobnie używała tego zdjęcia w dochodzeniu, a gazeta uzyskała kopię. Drugie zdjęcie przedstawia Toma Rootha i musi pochodzić z jego prawa jazdy. Widać na nim jasnowłosego mężczyznę o intensywnie niebieskich oczach i aroganckim uśmiechu. Jest przystojny, musi przyznać. W ten trochę niebezpieczny sposób, jaki lubią niektóre kobiety.

Trzecie zdjęcie jest symulacją komputerową. Przedstawia mężczyznę, który przypomina żywego człowieka, ale brakuje mu czegoś nieokreślonego, co uczyniłoby go prawdziwym.

Wpatruje się w zdjęcie, czyta podpis. Pokój się kołysze, potem jeszcze raz, a ona chwytą się biurka, żeby nie upaść.

Tak wyglądałby obecnie Billy Nilsson.

Z monitora patrzy na nią blondyn o martwych oczach.

Lato 1983

Månsson przerzucał papiery, które pokrywały jego biurko. Segregował je – głównie po to, aby przekonać samego siebie, że robi coś sensownego.

Po lewej stronie, na skraju blatu, piętrzył się wielki stos sprawozdań z przeprowadzonych czynności służbowych, takich jak wykorzystanie psów tropiących czy sprowadzenie helikoptera z Malmö. Obok leżały raporty z poszukiwań z udziałem ochotników, a na nich – podniszczona mapa, na której zakreślił zasięg działania poszczególnych grup. Trzeci stos tworzyły protokoły przesłuchań, które przeprowadził: ojca zaginionego chłopca, rodzeństwa, sąsiadów i wszystkich, którzy mogli coś wniesić do sprawy, chociaż tych ostatnich było niewiele.

Prawą stronę biurka zajmował stos notatek i listów z dodatkowymi informacjami i radami, w dziewięćdziesięciu pięciu procentach nadesłanych przez osoby, których noga w tych okolicach nigdy nie postąpiła i które widziały Billy’ego Nilssona tylko na zdjęciu. Ludzie ci tworzyli mieszkankę wariatów, samozwańczych ekspertów, domorosłych Sherlocków i osamotnionych biedaków, którzy po prostu pragnęli, aby ktoś choć przez chwilę zainteresował się tym, co mają do powiedzenia.

Pozostałe pięć procent też nie miało dużej wartości. Trochę doniesień o obcych samochodach i ludziach, którzy jakoby dziwnie się zachowywali, a także sugestie życzliwych mieszkańców wsi, na kogo i z jakiego powodu należałoby zwrócić uwagę. Jakby on sam tego nie wiedział! W prawie co drugim zdaniu powtarzało się nazwisko Toma Rootha, co Månsson świetnie rozumiał, bo noszący je mężczyzna był doskonale znany na komisariacie. Månsson zdążył dobrze poznać całą historię jego wykroczeń. Już jako uczeń często rozrabiał: podrasowany skuter, akty wandalizmu i tym podobne, zwykłe sprawy. Potem doszło prowadzenie samochodu bez prawa

jazdy, pijaństwo i bójki w parkach i na zabawach tanecznych. Najczęściej popadał w konflikty z zazdrosnymi chłopakami dziewczyn, które podrywał bądź przez które był podrywany. Tom był przystojny. Miał kanciastą, opaloną twarz i jasną grzywkę, która ciągle opadała mu na jedno oko. Jego oczy miały w sobie coś szczególnego, ich spojrzenie wyrażało pewność siebie, było niemal bezczelne, tak jak sposób bycia tego chłopaka. Tutejsi mężczyźni, jeżeli sobie nie wypili, byli na ogół małomówni i nieśmiali. Nietrudno więc było zrozumieć, dlaczego Rooth wydawał się kobietom taki atrakcyjny.

Rooth zaciągnął się na statek, gdy skończył osiemnaście lat. Wrócił w 1974 roku, gdy zmarł jego ojciec. Przyjechał z kobietą, którą poznał w Malmö. Wprowadził się do gospodarstwa ojca i założył rodzinę. Wiosną i latem pracował przy asfaltowaniu dróg lub przy młóceniu grochu, jesienią i zimą utrzymywał się z różnych przypadkowych prac i z tego, co mógł wydusić ze swojego niedużego gospodarstwa. Nie trzymał się przy tym niepisanych zasad, jakie obowiązywały w okolicy; nie akceptował swojego miejsca w hierarchii, co działało ludziom na nerwy i dawało powody do plotek. Mówiono o kradzieżach benzyny, o kłusownictwie, o tym, że matka Rootha włóczyła się kiedyś po kraju z bandą podejrzanych typów, że ojciec Toma wyrzucił go z domu, a nawet o tym, że Tom kogoś zabił, kiedy pływał na statkach.

Månsson odszukał krótki protokół z przesłuchania Rootha. Drwiący ton przebijał się przez napisane na maszynie litery.

Jestem tutaj tylko przez to, co się zdarzyło zeszłej jesieni z samochodem Aronssona. Wasz szef staje na baczność przed Aronssonem, tak jak wszyscy we wsi. Nawiasem mówiąc, dlaczego nie ma tu Månssona? Nie ma odwagi ze mną rozmawiać? A ja myślałem, że całkiem dobrze się znamy...

Månsson zaczerwienił się z poczucia upokorzenia, czytając przedostatnie zdanie. Nie dość, że Rooth to powiedział, to jeszcze wpisano to do protokołu... Ale najbardziej dokuczał mu fakt, że w słowach przesłuchiwanego tkwiło ziarenko prawdy. Rooth nie czuł żadnego respektu przed władzą, łącznie z policją. Månsson nie lubił mieć do czynienia z takimi ludźmi. Wolał unikać konfliktów,

zwłaszcza takich, w których mógłby przegrać, dlatego nie uczestniczył w przesłuchaniu Rootha.

Przeglądał główny raport, w którym zebrane były wszystkie dane o sprawie. Jeszcze raz go przeczytał i porównał z każdym dokumentem leżącym na biurku. Wykonywał tę czynność po raz dwudziesty piąty i kolejny raz doszedł do tych samych wniosków.

Dokładnie i szczegółowo stosował się do przepisów służbowych. Przeszukał wszystkie możliwe miejsca i rozszerzył teren poszukiwań tak, że znacznie przekroczył obszar, który mógł przemierzyć pięcioletni chłopiec w jednym buciku, w deszczu i ciemnościach. Przesłuchał wszystkich, którzy w jakiś sposób mogli przyczynić się do wyjaśnienia zaginięcia dziecka, wziął nawet pod uwagę wypowiedzi tych, którzy twierdzili, że potrafią nawiązać kontakt z zaświatami. Poniósł jednak porażkę. Mały Billy nie został odnaleziony, a Månsson nie znajdował się ani o milimetr bliżej rozwiązania tajemnicy, niż był tamtego dnia, kiedy na werandzie domu w Backa obiecywał Ebbemu Nilssonowi, że znajdzie jego synka.

Månsson podniósł z biurka kubek, pociągnął łyk i zaraz tego pożałował. Jego niespokojny żołądek zdecydowanie nie potrzebował teraz wystygłej kawy; o wiele lepiej zrobiłby mu lunch, na który już od dawna była pora. Zwykle cieszył się na południową przerwę w pracy. W gospodzie podawano duże porcje solidnego, domowego jedzenia. Dzisiaj jednak jakoś nie miał ochoty tam iść.

Wstał i uchylił drzwi prowadzące na korytarz, z którego widać było pokój zebrania. Siedziało tam dwóch policjantów z komendy wojewódzkiej, każdy nad sporą pizzą. Zapach jedzenia sprawił, że odruchowo dotknął brzucha. Cholerny niezbyt żołądka, przez niego czuł na zmianę mdłości i dojmujący głód.

Przez kilka sekund ukradkiem przyglądał się obu mężczyznom. Nosili nazwiska Burg i Borg, a na dodatek mieli tak podobne rysy twarzy, fryzury i ciemne garnitury, że nie bardzo potrafił ich rozróżnić. Może zresztą wcale się nie wysiłał. Była to forma małej zemsty za to, że został odsunięty, że ci dwaj kolesie w garniturkach przejęli jego dochodzenie, jego pokój zebrania i jego komisariat.

Månsson zacisnął szczęki. Znów zaburczało mu w brzuchu.

Dziennikarze z popołudniówek okupowali obie pizzerie, co oznaczało, że w odróżnieniu od Burga i Borga nie mógł pójść po pizzę. Mógł w zasadzie zjeść coś w domu, ale Malin była w pracy, a on niezbyt dobrze radził sobie w kuchni. Istniała też opcja wysłania którejś z sekretarek po coś do zjedzenia, ale w ostatnich dniach kilkakrotnie prosił o taką przysługę i był pewien, że podwładni zaczynają się domyślać, dlaczego unika wychodzenia na lunch.

Pozostawała zatem budka z hot dogami na skraju wsi albo gospoda po drugiej stronie ulicy. Scylla lub Charybda.

W poniedziałek rano Veronica jest na miejscu dużo wcześniej, niż musi. Wcześniej nawet niż Ruud.

– Ranny ptaszek – stwierdza Ruud i wychodzi do kuchni, żeby włączyć ekspres do kawy.

Veronica powinna mieć wyrzuty sumienia, że skorzystała z jego biura bez pozwolenia, ale to uczucie tonie w tumultie, który panuje w jej głowie. Ledwo sobie przypomina, jak stąd wyszła w sobotę. I jak udało jej się przetrwać godziny dzielące ją od dzisiejszego poranka. Jedyne, czego jest pewna, to trzy puste butelki wina w domu na zlewozmywaku i to, że jej kac miesza się z uczuciem podniecenia i chaosu. Dziwne, ale niczego z tego nie da się wyczytać z jej wyglądu. Ruud zagaduje uprzejmie, a ona, nękana mdłościami, odwraca się, gdy on otwiera zamek w drzwiach do swojego biura i przez chwilę kręci się w środku. Nie wygląda jednak na to, żeby coś zauważył.

Schodzą się stali uczestnicy poniedziałkowej grupy; Veronica tym razem stoi w drzwiach i podaje każdemu dłoń. Co chwila dyskretnie wyciera wewnętrzną część dłoni w nogawkę spodni, żeby nie była zbyt lepka. Choć wie, że blondyn przychodził do tej pory tylko na spotkania piątkowej grupy, jest jednak trochę zawiedziona, gdy wybija dziewiąta, a jego nie ma. Blondyn. Tak o nim myśli po rozmowie z Mattiasem. Blondyn, nie Isak.

Siada na swoim miejscu, napełnia płuca tlenem i wertuje notatnik, by dojść do czystej strony. Frustracja powoduje, że jej ruchy są niecierpliwie. Skinieniem głowy w stronę siwowłosej Elsy z perełkami smutku daje sygnał, żeby zaczęła opowiadać o swojej córce. Odpowiada jej zdumiony wyraz twarzy i dopiero po chwili wysłuchiwanie kobiety pojmuje, że musi to wynikać z tego, że zapomniała się przedstawić i rozpocząć sesję od swojej własnej historii, co zwykle czyni. Zerka w stronę jednej ze ścian, z nadzieją, że Ruud tego nie zauważył. Na szczęście nie ma go tam.

Elsa jest w połowie swojego opowiadania o córce, gdy otwierają się

drzwi wejściowe i blondyn wślizguje się do środka. Jest ubrany tak samo jak ostatnio i, gdy początkowe zdumienie lekko opadło, Veronica przyłapuje się na tym, że gapi się na jego twarz.

Mężczyzna skłania głowę w przepaszającym geście i ześlizguje się cicho na jedno z wolnych krzeseł, a ona zmusza się, żeby patrzeć w dół. Przewraca szybko kartki, by dotrzeć do kopii komputerowej symulacji, którą ukryła z tyłu notatnika.

Podobieństwo jest całkiem wyraźne, chociaż jej oszołomiony mózg zdążył je od soboty zwielokrotnić. Jeśli się dokładnie popatrzy, można dostrzec, że linia nosa i czoła jest trochę inna i że oczy na symulacji znajdują się nieco bliżej siebie.

Jeśli jednak patrzyłoby się na zdjęcie z odległości mniej więcej metra, to zapewne prawie wszyscy stwierdziliby, że chodzi o tę samą osobę. Veronica jednak nie może tego sprawdzić na sobie. Wszystko, co może teraz zrobić, to zerkać na blondyna, udając jednocześnie, że słucha opowieści Elsy. Spróbować przypomnieć sobie gesty i miny Billy'ego i porównać je z zachowaniem i mimiką blondyna. Ale on siedzi spokojnie, nie wykonuje żadnych ruchów, które byłyby pomocne. Dodatkową trudnością jest to, że Veronica próbuje porównać dziecko z dorosłym mężczyzną.

Mija kilka sekund, zanim spostrzega, że Elsa skończyła mówić. Przeprasza, wydobywa z siebie kilka sztywnych pytań, przekazuje głos drugiemu uczestnikowi. Następnie odsiada siedem kolejnych męczących wyznań, wysilając się, by nie wpatrywać się w blondyna. I chociaż pogania opowiadających i kilkakrotnie bardzo szybko podsumowuje ich historie, to i tak na ściennym zegarze znów pozostaje tylko kilka minut, gdy nadchodzi w końcu jego kolej.

W tym momencie koszula klei jej się do pleców, a dłonie są tak wilgotne, jak usta suche.

Blondyn rozpoczyna swe zwykłe opowiadanie:

– Cześć, mam na imię Isak. Gdy byłem mały, zaginął mój najlepszy przyjaciel. Nic już potem nie było takie jak przedtem...

Veronica słucha jego opowieści i orientuje się, że wszystko wskazuje na to, iż on zakończy w tym samym miejscu co poprzednio. Widzi, że również on zerka na zegar. Robi zatem coś, czego absolutnie robić jej nie wolno – przerywa mu, zadając pytanie

o szczegóły.

– Gdzie dorastałeś, Isaku?

On milknie, przez chwilę wygląda na zaskoczonego. Następnie uśmiecha się do niej. Ma piękny uśmiech, a ona ledwo zauważa, że prawie natychmiast zaczyna mu odpowiadać uśmiechem.

– Na wsi. Dość daleko stąd.

– A twoi rodzice, czy rozmawiali kiedyś z tobą o twoim zaginionym przyjacielu?

– Nie, zupełnie nie. Dorastałem w rodzinie zastępczej. Wszystko, co jest związane z...

Isak unosi nieco dłoń; Veronica łapie oddech, sądzi, że za chwilę on wypowie imię jej młodszego brata – ale nie robi tego.

– ...moim przyjacielem, wydarzyło się, zanim zostałem adoptowany. Właściwie są to tylko strzępy wspomnień, zagadka, która nigdy nie została wyjaśniona. Może właśnie dlatego tak trudno mi się od tego uwolnić.

Ostatnie zdanie trafia ją w klatkę piersiową jak sopel lodu. Mężczyzna zawiesza swoje jasnoniebieskie oczy na niej, a jej się wydaje, jakby cały pokój się rozpuścił. Nie ma składanych krzeseł z siedzącymi na nich uczestnikami i jedyne, co zostaje, to on i ona. Jej oczy napełniają się łzami, czuje, że otwiera usta...

– Zatem dziękujemy za dzisiaj. – Głos Ruuda brzmi surowo i gdy Veronica patrzy na niego, zaskoczona i przestraszona, jej spojrzenie napotyka twarde wyraz jego twarzy.

Ruud zachodzi jej drogę, uniemożliwiając zbliżenie się do blondyna. Chwyta ją lekko, acz zdecydowanie za ramię i powstrzymuje przed zrobieniem kroku. Uśmiecha się przyjaźnie do uczestników opuszczających salę. Veronica zmusza się, by robić to samo. Nie pozwolić spojrzeniu podążać za plecami oddalającego się blondyna. Nie próbować rozstrzygać, teraz natychmiast, zanim drzwi się za nim zamkną, czy paczka papierosów, którą skrywa na piersi, to czerwone prince'y.

– Musimy porozmawiać, Veronico – mówi Ruud.

Lato 1983

Natychmiast po otwarciu drzwi gospody Månsson zorientował się, że popełnił błąd. Powinien był przyjrzeć się samochodom na parkingu, domyślić się, kto siedzi w środku, i wywnioskować, gdzie powinien pójść na lunch. Ale spieszył się, nie chciał się natknąć na reporterów, dlatego narzucił cywilną kurtkę na mundur i prawie biegiem udał się na drugą stronę rynku.

Teraz stał w drzwiach, a twarze niemal wszystkich gości zwrócone były w jego stronę. Znał większość z nich: sklepikarz Möller, malarz Kurt, Kristin z banku i jej koleżanka, ta z długimi, polakierowanymi na czerwono paznokciami. Trochę dalej, w głębi lokalu, siedziało kilku pracowników Urzędu Gminnego. Jednak największy niepokój wzbudził w Månssonie widok towarzystwa przy stole obok wejścia. Jadł tam lunch wuj Billy'ego, Harald Aronsson, Brink, brygadzysta z firmy Aronssona, oraz dwaj bracia Stridowie. Cała czwórka zdawała się prowadzić ożywioną dyskusję; przerwali ją na widok policjanta.

Månsson zrobił głęboki wdech i ruszył przed siebie, do wolnego stolika w głębi sali. Po drodze kiwnął głową w kierunku Aronssona i jego towarzyszy, dodając „dzień dobry” z nadzieją, że wymówi pozdrowienie spokojnie i z pewnością siebie, co mu się oczywiście nie udało.

– Månsson! – usłyszał.

Przystanął i niechętnie się odwrócił. Aronsson wskazywał na wolne krzesło przy swoim stole.

– Siadaj! – powiedział. Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak zaproszenie.

Månsson wahał się przez chwilę, zastanawiając się nad jakąś stosowną wymówką, ale Aronsson go ubiegł.

– Alf! – zawołał do właściciela gospody. – Podaj komisarzowi danie dnia, na mój rachunek!

Ponownie wskazał na krzesło, lekko unosząc ciemne brwi. Jego głęboko osadzone oczy i wydatny nos zawsze przywodziły Månssonowi na myśl jastrzębia.

Usiadł naprzeciw Aronssona i rozpiął kurtkę. Alf postawił przed nim talerz z gulaszem. W normalnej sytuacji zabrałby się do tego dania z wielkim apetytem, ale teraz głód minął mu jak ręką odjął. Z trudem przełknął pierwszy kęs. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich kompanów Aronssona.

Brink był potężnym i prawie całkiem łysym gościem po pięćdziesiątce. Bracia Stridowie, mniej więcej o dziesięć lat młodszy od Brinka, rudowłosi i muskularni, byli lokalnymi celebrytami. Obaj swego czasu trenowali zapasy, a jeden z nich zdobył nawet tytuł mistrza Szwecji. Kilka lat temu przejęli warsztat po ojcu mechaniku. Dobrze prosperował pod ich kierownictwem. Wykonywali właśnie zamówienie Aronssona na trzy turbiny wiatrowe, chociaż większość wsi uważała to za idiotyczny pomysł.

– Jak wam idzie? Trochę ci ostatnio dali popalić, nie? – zagadnął Aronsson.

Månsson zauważył kątem oka, że kumple Aronssona lekko się uśmiechnęli.

– Nadal prowadzimy dochodzenie – odparł, przełknął przeżuty kęs i popił bezalkoholowym piwem. – Dostaliśmy wsparcie z komendy wojewódzkiej...

Aronsson przerwał mu niecierpliwym gestem. Miał niezadowoloną minę.

– O tym czytałem w gazecie. Chcę wiedzieć, co konkretnie robicie, żeby znaleźć mojego siostrzeńca. Jakimi tropami idziecie, z kim rozmawiacie. – Aronsson pochylił się w stronę policjanta. – Kiedy zamkniecie winnego?

– Widzisz – Månsson unikał wzroku rozmówcy – to są sprawy objęte tajemnicą służbową...

Aronsson walnął pięścią w stół.

– W dupie mam wasze tajemnice!

Po tym okrzyku w gospodzie zapanowała całkowita cisza.

Oczy Aronssona pociemniały, na jego skroni pulsowała gruba, błękitna żyła. Månsson usiłował przełknąć ślinę, mimo że gardło

miał suche, i przeklinał sam siebie za to, że nie umiał ukryć swojej niepewności.

– Prowadzimy przesłuchania, idziemy różnymi tropami... – zaczął, nie bardzo wiedząc, jak kontynuować.

– Przesłuchaliście Toma? – spytał jeden z braci Stridów.

– Toma Rootha – uzupełnił Brink. – Przesłuchaliście go? Wszyscy wiedzą, że coś ma do Haralda. Ta historia z zezwoleniem na polowanie w zeszłym roku, a potem przestrelona szyba w samochodzie Haralda.

Månsson spojrział na Brinka, potem przeniósł wzrok na Haralda Aronssona.

– Rozmawialiśmy z Roothem. Wszystkiemu zaprzecza. Mówi, że nic nie wie o Billym.

– Nic nie znaleźliście w gospodarstwie Rootha? – odezwał się drugi z braci Stridów.

Månsson przymknął na chwilę oczy, potem wziął do ust kęs mięsa, aby zyskać na czasie. Nie powinienem być w ogóle z nimi gadać, myślał. Niepotrzebnie był taki cholernie uprzejmy i uległy.

Odłożył widelec.

– Dawne kłótnie nie stanowią wystarczającej podstawy do przeprowadzania u kogoś rewizji. Poza tym tego strzału w szybę samochodu nie udało się mu udowodnić. Przetestowaliśmy wszystkie jego strzelby i żadna nie pasowała. Rooth to sprytny gość. – Wstał od stołu i rozłożył ręce. – Muszę się trzymać przepisów, zwłaszcza teraz, kiedy mam tu tych z województwa. Nic nie mogę zrobić bez dowodów na powiązania między Roothem a Billym. Dzięki za lunch, Harald, ale muszę wracać do pracy.

Siedział od jakichś dziesięciu minut przy biurku, usiłując uspokoić żołądek herbatnikami ze wspólnej kuchni, gdy nagle zabrzączał telefon. Ktoś dzwonił bezpośrednio do niego, nie przez sekretariat. Podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, tu Laila ze stacji benzynowej. Mam panu coś do powiedzenia.

Månsson usiłował przypomnieć sobie tę kobietę. Krótkie włosy,

okulary, dość tęga sylwetka... trochę podobna do Malin. Zawsze uśmiecha się, z wesołym błyskiem w oczach. Zwykle kierował tego rodzaju rozmowy do sekretarek, lecz w głosie Laili usłyszał coś, co nakazało mu osobiście z nią pomówić.

Zmiótł dłonią okruchy herbatników z blatu biurka, wydobył z szuflady arkusz papieru i długopis.

– Tak. Co chciała mi pani powiedzieć?

W słuchawce przez kilka sekund trwała cisza. Ta krótka chwila wystarczyła, by zrozumiał niepewność i wątpliwości swojej rozmówczynie. Wreszcie usłyszał jej głos:

– To dotyczy Toma Rootha.

Czasami, gdy wielokrotnie powtarza pewne słowa, sama dla siebie, zaczynają one w końcu brzmieć dziwnie. Tak jakby sylaby ścierały się ze sobą. Wówczas ich znaczenie się odwraca i w pewien sposób stają się swoim przeciwieństwem.

Tym razem nie jej słowa się zniekształcają, tylko słowa Ruuda.

Wszystko się ułoży. Wszystko się ułoży.

...się ułoży.

...się ułoży.

Ruud mówi też mnóstwo innych rzeczy. Że dzwoniła pod zabroniony numer z jego telefonu biurowego, że złamała tym samym zakaz zapisany w umowie, mimo że o nim nie pamięta. Bardzo to było głupie, oczywiście. Ośrodek terapii nie ma, w odróżnieniu od niej, zastrzeżonego numeru i telefonowanie stamtąd jest pewnym sposobem, żeby zostać zidentyfikowanym. Ruud nie pyta natomiast, co robiła w jego biurze w tamtą sobotę, za co jest mu wdzięczna. Z drugiej strony nie może opędnąć się od myśli, dlaczego tego nie zrobił. Może po prostu nie chce znać odpowiedzi?

W każdym razie Ruud podkreśla, że będzie próbował namówić dział personalny, by dali jej ostatnią szansę. Ale w takim wypadku musi znów spotkać się z terapeutą, przekonać go, że ta rozmowa telefoniczna była jednorazowym zdarzeniem, a nie jakimś nawrotem. Veronica zgadza się, lecz nie rozumie, że według Ruuda ma się to wydarzyć natychmiast. Nie pojmuje tego aż do chwili, gdy Ruud parkuje samochód przed poradnią i po raz ostatni tłumaczy jej, że wszystko **się ułoży**.

Jej terapeuta, który właściwie nie jest jej terapeutą, ponieważ płaci mu jej pracodawca, nazywa się Bengt; jest wysokim, przygarbionym mężczyzną. Wygląda tak, jakby wstydział się swojego wzrostu i próbował sprawiać wrażenie niższego, pochylając się do przodu, co powoduje, że jego twarz za bardzo zbliża się do jej twarzy.

– Opowiedz, co się wydarzyło, Veronico.

Terapeuta siedzi w skórzanym fotelu naprzeciwko jej fotela.

Przyjaźnie się uśmiecha, a koniuszek jego języka ucieka do kącików ust. Veronica słyszy, jak jego wieczne pióro skrzypi na kartce notatnika, gdy ona opowiada o rozmowie telefonicznej z Leonem, której absolutnie nie powinna była przeprowadzić. Gdy walczy z instynktem, by wbić paznokcie w przedramię i wydrapać głębokie rany w ciele. Żeby ukarać samą siebie za swoją przeklętą głupotę.

Potem Ruud odwozi ją do domu. Nie stawia żadnych pytań, pozwala jej siedzieć cicho i patrzeć przez boczną szybę samochodu. Ustawia nawet radio na średnią głośność, żeby cisza była łatwiejsza do zniesienia.

– Masz tydzień zwolnienia z pracy – mówi Ruud, gdy po tej jeździe, która wydawała się wiecznością, skręcają w jej ulicę. – Bengt obiecał wysłać informację na początku przyszłego tygodnia. Jak tylko dział personalny ją otrzyma i porozmawiam z nimi, dam ci znać. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Rozumiesz?

– Oczywiście – mamrocze Veronica. Po kilku sekundach dodaje: – Dziękuję.

Ruud zatrzymuje samochód na podjeździe. Odwraca się do niej.

– Musisz się pozbierać, Veronico.

To oczywiście wezwanie brzmi jednocześnie żałośnie i troskliwie; Veronica nie jest pewna, co jej się mniej podoba.

– Żadnego alkoholu, nawet kieliszka wina w weekend. Absolutnie żadnych telefonów do Leona Santosa, wtedy nie będę ci mógł więcej pomóc. I trzymaj się z daleka od ośrodka, rozumiesz?

Veronica wie, że Ruud ma na myśli blondyna. Być może zauważył, że jest na niego napalona. Może nawet jest trochę zazdrosny. Albo zły. Bo miała czelność zrobić coś takiego na jego oczach.

Nie ma siły odpowiedzieć Ruudowi, wysiada tylko z samochodu. Patrzy odruchowo w głąb ulicy, w stronę miejsca, gdzie stał męczyzna palący papierosa. Jest puste, tak samo jak wcześniej.

Lato 1983

W małym, pozbawionym okien pokoju przesłuchań było gorąco i zaczynało robić się potwornie duszno. Siedzieli w nim we czterech, co najmniej o jednego za dużo. Månsson przycisnął pięść do ust, bo znów mu się odbiło. Jego dolegliwości żołądkowe rozwinęły się w regularny nieżyt; niewiele godzin przespał tej nocy, ale nic nie powstrzymałoby go od uczestniczenia w tym przesłuchaniu.

– No to jedziemy – powiedział jeden z policjantów z województwa, opierając się o ścianę. To był ten trochę wyższy, Burg albo Borg.

Współpracownik Månssona wcisnął klawisz magnetofonu i przesunął mikrofon w stronę Rootha.

– Przesłuchanie Tommy’ego Rootha, urodzonego dwudziestego pierwszego października tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Obecni: ja, aspirant Burg, aspirant Borg z komendy wojewódzkiej, aspirant Månsson...

– Komisarz – poprawił Månsson.

– Komisarz.

Månsson nieznacznie chwycił się za brzuch. Burg równie nieznacznie porozumiał się wzrokiem ze swoim kolegą.

– Komisarz – powtórzył Månsson głośniej i bardziej zdecydowanym tonem. Wiedział, że tamci nie chcieli, aby był obecny przy przesłuchaniu. Sugerowali nawet, że je utrudni. On jednak się uparł.

– Ko-mi-sarz Månsson... – odezwał się ironicznie Burg.

Otworzył leżący przy magnetofonie skoroszyt i zwrócił się do przesłuchiwanego.

– No, panie Rooth, dla pana to nie pierwszyczna. Wie pan, jak przebiega przesłuchanie?

Tom wzruszył ramionami.

– Dwa wyroki za pobicie, jeden za groźbę karalną, stawianie oporu władzy, znieważenie funkcjonariusza, przywłaszczanie pojazdów,

pijaństwo. Przez pewien czas był pan regularnym gościem w komisariacie.

– To było dawno, zanim zostałem marynarzem. Grzechy młodości, każdy to panu może powiedzieć. – Głos Rootha brzmiał arogancko i prowokująco, jak zwykle. Wyraz jego twarzy szedł w parze z głosem.

– Właśnie, każdy mógł powiedzieć, i powiedział – rzucił spod ściany Borg. – Wielu ludzi pytaliśmy o to, kto miał jakieś zatargi z Aronssonem i Nilssonem. Niech pan zgadnie, czyje nazwisko od razu wszystkim przychodziło na myśl? Pana tu jakoś ludzie nie lubią.

– Pieprzą głupstwa – burknął Rooth. – Zawsze tak było. Ale te sprawy to odległa przeszłość.

– Odległa przeszłość? – Burg odwrócił kartkę skoroszytu. – Tu jest napisane, że piątego października ubiegłego roku przyszedł pan do domu Haralda Aronssona. Zgodnie z relacją świadka był pan pijany i groził panu Aronssonowi.

– Pijany... groził! Kurwa, kłamstwo na kłamstwie! Aronsson się wścieka, bo ktoś ma odwagę mu się postawić. Cała okolica liże mu buty, Månsson też!

Månsson odwrócił głowę, unikając wzroku Rootha.

– Zatem przyznaje pan, że był u Aronssona i doszło do kłótni? – kontynuował Burg.

Rooth wskazał na Månssona. Jego smukłe, ale silne palce były brązowe od słońca, tak jak twarz.

– O tym już rozmawiałem z Månssonem w zeszłym tygodniu. Chociaż nie, to nie on mnie przesłuchiwał, tylko któraś z jego kukiełek. On sam nie miał odwagi.

Månsson zacisnął szczęki.

– Wiemy, że był pan przesłuchiwany tydzień temu – powiedział Burg. – Ale teraz **my** pana przesłuchujemy. Czy przyszedł pan do domu Haralda Aronssona piątego października ubiegłego roku?

Rooth uniósł brwi i nadał twarzy wyraz komicznej uległości.

– Przyszedłem, a jakże. Kłóciłem się z Haraldem. Ten sukinsyn kupił jesienią Las Północny od właściciela majątku i od razu wypowiedział mi prawo do polowania. Twierdził, że nie miałem pisemnej umowy. Nie pozwolił mi nawet polować dla własnych

potrzeb. A ja przecież mieszkam na skraju lasu, mój dziadek był kiedyś leśniczym u właściciela majątku, po dziadku ojciec odziedziczył prawo do polowania, a ja po ojcu. Żadne pisemne umowy nie były potrzebne! Las to połowa mojego zarobku. Bez polowania nie utrzymam rodziny, więc chyba jasne jest, dlaczego się wściekłem.

– Wściekł się pan tak bardzo, że tamtej nocy strzelił pan w samochód Aronssona? – spytał Burg.

Rooth skrzyżował ramiona przed sobą i uśmiechnął się szyderczo.

– Dochodzenie zostało zakończone. Kula nie pochodziła z mojej broni. Niech pan spyta Månssona, jego ludzie sprawdzili wszystkie moje strzelby. Sprawa została umorzona, prawda?

– Zgadza się – mruknął Månsson mimo woli. Twarze policjantów z województwa wyraźnie zdradzały, co sobie myśleli: beznadziejny wiejski pies...

– Samochód Aronssona stał na podwórzu – mówił dalej Burg – zatem sprawca musiał podejść na małą odległość i użyć broni z tłumikiem, takiej, jaką posługują się kłusownicy.

Rooth uśmiechnął się jeszcze szerzej, w oczach zamigotały mu wesołe isierki.

– Co ja mogę o tym wiedzieć?

– To pan nie uprawia kłusownictwa w Lesie Północnym? Nie uprawia go pan wspólnie z kolegą z rejsów, niejakim Olssonem, znanym jako Sailor?

Rooth teatralnie westchnął.

– Wy, miastowi, zupełnie nie rozumiecie, jak sprawy funkcjonują na wsi.

Żaden z policjantów z komendy wojewódzkiej nie odpowiedział. Rooth pochylił się nad stołem.

– Jest tak: Harald Aronsson jest wkurzony, bo moja ziemia graniczy z Lasem Północnym i strzelam do jeleni, które on miał zamiar sprzedać duńskim kolekcjonerom trofeów. Poluję, do diabła, na moich gruntach, na co chcę, przede wszystkim na zwierzęta, które mi robią szkody w uprawach. Zwierzyna należy do tego, na czyjej ziemi została ustrzelona. Wszyscy wiedzą, że racja jest po mojej stronie, ale nikt nie ma odwagi nic powiedzieć, bo wszyscy boją się

Aronssona. – Rooth znów rozparł się na krześle. – A ja się Aronssona nie boję. Może sobie iść do wszystkich diabłów. Cholera wie, czy to nie on sam przestrzelił tę szybę we własnym samochodzie, żeby mnie oskarżyć i żeby Månsson miał pretekst do wtykania nosa we wszystkie kąty i zagładania do mojej szafy ze strzelbami. Aronsson liczył pewnie na to, że będę miał jakąś nielegalną broń, a wtedy można by było odebrać mi strzelby i licencję myśliwską. Ale ja taki głupi nie jestem. Powinniście raczej dokładniej przyjrzeć się Aronssonowi. W tej rodzinie są różne sprawy, które należałoby wydobyć na światło dzienne, ale nikt się oczywiście na to nie odważy. Nawet tacy miastowi ważniacy w garniakach jak wy.

Rooth znów bezczelnie się roześmiał i nonszalancko założył nogę na nogę. Månsson zauważył, że Borg poruszył się pod ścianą. Można było niemal wyczuć jego wściekłość. Czuł to samo.

Burg natomiast zachowywał spokój. Uznał najwyraźniej, że czas na zmianę tematu, bo zapytał:

– Nie brał pan udziału w poszukiwaniach Billy’ego Nilssona. Dlaczego?

– Miałem co innego do roboty. Są żniwa.

– Gdzie był pan tego dnia wieczorem, gdy zaginął Billy?

– Na to pytanie odpowiadałem już wiele razy. W lesie albo na polu.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Rooth potrząsnął głową.

– Chyba tylko moje psy. Możecie je wezwać na przesłuchanie.

Kolejny arogancki uśmiech nie wytrącił Burga z równowagi. Nie dał się sprowokować.

– Kilku świadków zeznało, że widzieli pana samochód w miejscach, w których prowadzono poszukiwania, w dniach po zaginięciu Billy’ego. Co pan tam robił?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Nie wiedziałem, że nie wolno jeździć swoim samochodem po okolicy, w której się mieszka. Miałem różne sprawy do załatwienia, a przy tym byłem ciekawy, jak się rozwija sytuacja, zwłaszcza że dni mijały, a rezultatów nie było. Zastanawiałem się, czym właściwie zajmuje się policja, skoro nie może znaleźć dzieciaka.

Månsson zacisnął zęby i za plecami zwinął dłoń w pięść. Borg postąpił krok przed siebie.

– Dziecko, tak. Billy Nilsson. On pana też interesował?

– Co takiego? – Rooth odwrócił się w stronę Borga. Teraz miał czujniejszy wyraz twarzy.

– Rozmawiałeś kiedykolwiek z Billym Nilssonem?

Rooth pokręcił głową. – Nie, nigdy.

– Nigdy? Przecież ma pan syna w tym samym wieku. Nigdy nie natknęliście się we wsi na Billy’ego i jego rodzinę, nie zamieniliście paru słów? Jest pan tego całkowicie pewien?

– Tak. Dziećmi zajmuje się moja żona. Tego chłopca widziałem na odległość, ale oczywiście wiem, czyje to dziecko.

Borg i Burg spojrzeli po sobie. Teraz przejdą do rzeczy, pomyślał Månsson.

– Wiarygodny świadek widział Billy’ego Nilssona w pana towarzystwie na dzień przed zaginięciem – wypalił Borg.

Wyraz twarzy Rootha się zmienił. Trwało to tak krótko, że Månsson zastanawiał się później, czy nie uległ złudzeniu. Jednak przez parę sekund w tym dusznym pokoiku był przekonany, że Rooth się przestraszył.

– To kłamstwo – odparł.

Borg i Burg znów porozumieli się wzrokiem. Månsson zrozumiał, co chcieli sobie przekazać: złapali Rootha na mataczeniu. A gdzie było jedno kłamstwo, tam na ogół były i inne.

– Rozmawiał pan z Billym na stacji benzynowej, tuż po godzinie piątej, podczas gdy jego matka płaciła za paliwo – powiedział Burg.

– Chłopiec siedział w samochodzie, a pan rozmawiał z nim przez uchylone okno. Świadek twierdził, że wyglądało na to, że sięga pan do klamki i próbuje przekonać Billy’ego, aby wysiadł, i że prawdopodobnie by się panu udało, gdyby nie pojawiła się matka chłopca.

Rooth milczał przez dłuższą chwilę. Drwiący uśmiezek znikł bez śladu. Jego wargi zacisnięte były tak mocno, że tworzyły białą linię. Månsson wstrzymał oddech.

– Chcę rozmawiać z adwokatem – odezwał się wreszcie Rooth. W jego głosie brzmiało zmęczenie i rezygnacja.

Obaj policjanci z województwa nie posiadali się z radości. Sukces uderzył im do głowy. Klepali się nawzajem po plecach i ściskali sobie ręce. Nastrój stał się pogodniejszy, bardziej przyjazny. Månsson czuł się zdezorientowany i nie potrafił uporządkować myśli.

Borg zadzwonił do dyżurnego prokuratora, a Burg wyjął małą piersiówkę z duńską kminkówką i nalał dla każdego po kieliszku. Atmosfera stała się jeszcze swobodniejsza, ale Månssonowi jakoś nie udzieliła się radość kolegów. Myślał o twardych oczach Rootha, o jego długich, silnych palcach. I o małym Billym Nilssonie. Ziołowa wódka paliła w gardle, ciepło rozprzestrzeniało się w piersiach i rozchodziło po całym ciele.

W tle słyszał rozmowę Borga z prokuratorem.

– Jest wrogo nastawiony do rodziny zaginionego. Podejrzany o wykroczenie skierowane przeciw wujowi chłopca. Bardzo interesował się przebiegiem poszukiwań. Próbował zwabić chłopca wieczorem, przed zaginięciem. Samochód Rootha jest świeżo umyty, wewnątrz też wydało mi się posprzątane, gdy zajrzałem przez okno do środka.

To ostatnie było nieprawdą. Burg zdążył już otworzyć samochód kluczykiem, który zabrał Roothowi, i stwierdzić, że rdzawoczerwone volvo amazon kombi o zamalowanych na czarno szybach było w środku wysprzątane, ale przy dokładniejszych oględzinach bagażnika w jednym zakątku znaleźli coś, co z wszelkim prawdopodobieństwem było śladem krwi.

Burg w dalszym ciągu przekonywał prokuratora:

– Rooth został wezwany na przesłuchanie. Był karany za przestępstwa z użyciem siły. I ostatni gwóźdź do trumny: nie ma alibi na noc popełnienia morderstwa.

Noc popełnienia morderstwa – tego określenia teraz używali, mówiąc o wieczorze, kiedy Billy zaginął. Teraz był wieczorem, kiedy Billy został zamordowany.

Koszula lepiła się Månssonowi do pleców. Nagle poczuł, że trudno mu oddychać; musiał rozluźnić służbowy krawat i rozpiąć

kołnierzyk. Borg odłożył słuchawkę, uśmiechając się szeroko, i uniósł kciuk w geście zwycięstwa.

– Rooth jest od tej chwili zatrzymany. Mamy nakaz przeszukania jego samochodu, domu, budynków gospodarczych i najbliższej okolicy, więc dzwońmy po techników i resztę policjantów. Za dwa, najpóźniej za trzy dni znajdziemy miejsce, gdzie ukrył ciało chłopca.

Burg dolał wszystkim kminkówki. Ponownie unieśli kieliszki. Alkohol znów zapiekł w gardle. Månsson zakaszłał i głośno mu się odbiło.

Borg postukał go w plecy. Teraz Månsson był jednym z nich. Wspólnie rozwiążali sprawę. Poczuli nagłą, obezwładniającą ulgę. Znikła obręcz, która do tej pory ścisnęła mu piersi, i przez chwilę obawiał się, że się rozplacze.

Śni jej się dźwięk otwieranych skośnych drzwi do garderoby w jej pokoju, który mniej więcej rok później stanie się pokojem Billy'ego. Pazury, które drapią sucho po podłodze. Pyski, które węszą za małym dzieckiem.

Naciąga kołdrę na głowę, krzyczy, aż kończy się powietrze, a w głowie kręci jej się z powodu braku tlenu. Ktoś chwytą kołdrę i ściąga ją z niej. Pojawia się mama, drzwi do garderoby są zamknięte i przez chwilę wszystko wydaje się lepsze. Wtula się w objęcia mamy, wciska twarz w jej szyję, obejmuje tak mocno, jak tylko są w stanie jej ramiona pięciolatki. Ale nagle odkrywa siwe kosmyki w długich rudoblond włosach, spotyka nieobecne spojrzenie i czuje zapach lekarstw, papierosowego dymu i szpitala. To jest mama po zaginięciu Billy'ego.

Mama nic nie mówi, prawie zawsze milczy w jej snach. Głaszcze ją tylko po policzku i patrzy na nią z wyrazem rozczarowania i troski w oczach. Tak jakby to Veronica ją zawiodła, jakby to ona zasmuciła mamę, a nie odwrotnie. Słowa pieką w gardle, ale jak zwykle nie wydostają się z jej ust, zanim sen się nie skończy.

Zrobiłam, co mogłam, mamó. Szukałam wszędzie, ale go nie znalazłam.

To nie była moja wina.

Kocham Cię.

I na końcu pytanie. To pytanie, które stawiają sobie wszyscy uczestnicy jej grupy terapeutycznej.

Dlaczego?

Gdy się budzi, w samochodzie jest gorąco jak w piekarniku. Opuszcza szybę o dalszych kilka centymetrów, żeby wypuścić zapach ciepłego plastiku, ale na zewnątrz jest prawie bezwietrznie, tak jak w większość dni tego lata. Powietrze faluje nad asfalem, a po drugiej stronie ulicy, przy fasadzie szarego, betonowego gmachu

ośrodka terapii, chwasty są żółte i suche. Jest piątek, zbliża się piąta i jeszcze dużo czasu pozostało do zmierzchu, gdy powietrze schładza się na tyle, że można jakoś w nim wytrzymać. Obraca się w fotelu i próbuje strząsnąć z siebie sen. Drzemka nie mogła trwać dłużej niż kilka minut, ale jej rzeczy zdążyły się prawie przykleić do tapicerki.

Analizuje swój sen. Z początku się uśmiecha. Dlaczego właściwie wujek Harald opowiadał im te przerażające bajki? Co miał z tego, że straszył małe dzieci? Zastanawia się, czy te same bajki opowiadał Billy'emu, gdy ona i Mattias już z nich wyrosli. Czy opowiada je swojemu synowi, teraz, gdy na stare lata został ojcem? Czy Timothy również budzi się z płaczem i jego mama musi go pocieszać?

Wyciąga się, by sięgnąć między siedzenia po butelkę z wodą, pije kilka łyków ciepławego płynu i widzi osoby ze swojej grupy, jak jedna po drugiej wchodzi po schodach do wejścia: Else z perełkami smutku, Mię od zmarłego męża i emeryta Sturego z zaczeską. Ani śladu po blondynie, który każe się nazywać Isakiem.

Ostatnie dni były czystą torturą, a ona zmuszała się do tego, by poświęcić się wszelkim możliwym zajęciom, żeby zapełnić czymś czas. Kino, wyprawy na pchli targ, oglądanie telewizji, intensywne, aż do bólu każdego, najmniejszego nawet mięśnia, ćwiczenia na siłowni. A teraz siedzi tutaj, nie potrafi trzymać się od tego miejsca z daleka.

Czeka dalej, pije wodę małymi łydkami, żeby nie poczuć parcia na pęcherz, co zmusiłoby ją do przerwania śledztwa. „Pij, gdy jesteś spragniona, a nie z nudów” – tak mawiał Leon, gdy robili wspólne wycieczki. Dalarna, Värmlandia, wytwornie szkła w Smalandii. Leon lubił prowadzić samochód. Albo lubi prowadzić samochód. On przecież mimo wszystko żyje, jest tylko poza zasięgiem. Nieosiągalny.

Ją samą samochody nie interesują. Jej marny golf ma dziesięć lat i ma zwyczaj zagotowywać się, jeśli od czasu do czasu nie doleje się płynu do chłodnicy.

Za dwie piąta wydaje jej się, że słyszy motocykl, zmienia więc ustawienie wstecznego lusterka, żeby go w nim zobaczyć. Przez kilka sekund siedzi w najwyższym napięciu, opuszcza szybę jeszcze niżej; chce się zorientować, w którą stronę odjechał. Ale dźwięk

tonie w ogólnym zgiełku i żaden motocykl nie skręca w ulicę.

Wybija piąta, dziesięć po, kwadrans po; w tym momencie dwóch uczestników zdążyło już opowiedzieć swoje historie. Blondyna nadal nie widać.

Taktyka popijania wydaje się jednak nie działać, bo odzywa się jej pęcherz, czego w końcu nie może już ignorować. Dwadzieścia po piątej zapala silnik i rusza w stronę domu. Dużo częściej, niż potrzeba, zerka we wsteczne lusterko.

Ma szczęście, znajduje miejsce parkingowe dokładnie za rogiem, blisko swojego mieszkania. Pędzi schodami na górę, otwiera drzwi i w ostatniej chwili udaje jej się opuścić spodnie i majtki. Siedzi na sedesie przy otwartych drzwiach i zamyka oczy na kilka sekund, podczas gdy zapach moczu powoli rozchodzi się po małej łazience. Blondyn się nie pojawił. Nie miała okazji zobaczyć, jakie papierosy on pali, ani spisać numeru rejestracyjnego jego motocykla albo wręcz pojechać za nim do jego mieszkania. A następna sesja terapeutyczna jest dopiero w poniedziałek. Czy wytrzyma tak długo?

Pozostaje kwestia, czy po weekendzie będzie w ogóle miała jeszcze pracę. To zależy od tego, czy ten trochę-za-wysoki Bengt dał się przekonać.

Nagle wzdryga się na dźwięk dochodzący z głębi mieszkania. Słaby i nieregularny dźwięk, który trochę przypomina deszcz stukający o parapet.

Wstrzymuje oddech. Dźwięk powraca i teraz słyszy go wyraźniej. Ktoś tam jest. Ktoś albo coś. Wydaje jej się, że rozpoznaje te stukające odgłosy. Słyszała je w swoich koszmarach sennych. Pazury, które drapią podłogę.

Wstaje, podciąga spodnie i rzuca się w kierunku kłamki. Jednym pociągnięciem zamyka drzwi i zasuwa skobelek. Jej serce próbuje wydostać się z klatki piersiowej. Migocze jej przed oczami. Przyciska plecy do ściany i osuwa się na podłogę. Zmusza się do zrobienia kilku głębokich, długich wdechów. Wyczuwa małe wibracje, gdy ten ktoś przemieszcza się po podłodze mieszkania. Blisko, coraz bliżej. Chce zgasić światło, bo nie ma kołdry, którą mogłaby naciągnąć na głowę, ale szybko pojmuje, że ciemność i zamknięte pomieszczenie jeszcze bardziej by ją przeraziło.

Łazienka nie ma okien. Jediną drogą ucieczki są drzwi, potem trzy metry korytarza dzielące łazienkę od drzwi wejściowych i nareszcie wolność.

Ostrożne kroki zatrzymują się przy drzwiach do łazienki. Pochyla się do przodu, próbuje wyjrzeć na zewnątrz przez szczelinę pod drzwiami. Przeczuwa, że zobaczy tam ciemne pole padające na podłogę. Cień tego kogoś lub czegoś, stojącego za drzwiami.

Wpatruje się w klamkę i mały mosiężny skobel ponad nią. Wstrzymuje oddech. Zamyka oczy.

Nic się nie dzieje. A gdy otwiera oczy, cień na zewnątrz znika.

Sama nie wie, skąd czerpie siły, gdy podnosi skobelek, energicznie otwiera drzwi i biegnie w kierunku wyjścia z mieszkania, nie odwracając się za siebie. Wydaje jej się, że słyszy dźwięki za plecami. Gwałtowne oddechy, pazury lub stopy, które drapią po podłodze. Po omacku manipuluje przy zamku, instynktownie trzymając zwieszoną głowę. Przygotowuje się na ugryzienie, ciepły oddech, zęby, które przenikają przez skórę. Lub – co bardziej prawdopodobne – silną dłoń, która chwyci ją za ramię i wciągnie z powrotem do mieszkania.

W tym momencie drzwi się rozwierają, a ona rzuca się na łeb na szyję na klatkę schodową. Wpada prosto na mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce i z ciemnym kaskiem motocyklowym na głowie, który stoi przed drzwiami. Jest duży, góruje nad nią jak olbrzym. Ona krzyczy, kopie, bije. Silne ręce chwytają jej nadgarstki, wykręcają jej pięści i przyciągają ją mocno do siebie. Dusi ją zapach skóry i spalin.

– Vera! – krzyczy mężczyzna do jej ucha. Jego głos, zniekształcony przez kask, brzmi głucho i ochryple. – Vera, to ja.

A ona nagle rozpoznaje ten głos.

Mattias.

Kochanie,

oboje wiemy, że to niebezpieczne, że możemy utracić wszystko, a jednak nie możemy się rozstać. Jesteśmy jak dwie ćmy, które lecą do ognia, krążą nad płomieniami, a ich cieniutkie skrzydełka stają się z sekundy na sekundę coraz gorętsze.

Czy ogień nas pochłonie? Nie wiem i nie chcę o tym myśleć. Wiem tylko, że muszę być przy Tobie.

Jestem Twoja, tylko Twoja. Teraz i na zawsze.

Lato 1983

Gospodarstwo Rootha leżało przy końcu wąskiej żwirowej drogi, oddalone tylko o kilkaset metrów od Lasu Północnego. Trzy małe budynki tworzyły chroniącą przed wiatrem podkowę. Ich ściany i dachy pokryte były brudnobrunatnym eternitem, okna o popękanych ramach od dawna nadawały się do wymiany.

Kilka kundli o szarej sierści kręciło się po brukowanym podwórzu. Szczekały, obnażały zęby i zmusiły policjantów do pozostania w samochodzie, dopóki żona Rootha nie zamknęła ich w kojcu przy ścianie stodoły.

Nilla Rooth sprawiała wrażenie nieśmiałej, unikała patrzenia rozmówcom w oczy. Månsson widywał ją we wsi, mówił „dzień dobry”, natykając się na nią w sklepie albo u krawca, gdzie od czasu do czasu pracowała, ale nigdy dotąd z nią nie rozmawiał.

W małej kuchni z oknem wychodzącym na podwórze czuć było wilgoć i opary gotowania. Przy stole siedziało dwoje jasnowłosych dzieci: siedmioletnia dziewczynka i chłopiec mniej więcej w wieku Billy’ego Nilssona. Szeroko otwartymi oczami przyglądały się policjantom.

– Mamy nakaz rewizji – powiedział Burg, zdecydowanie zbyt ostrym tonem. – Proszę na razie pozostać w kuchni. Zrozumiano?

Nilla Rooth wytarła dłonie o nogawki spodni i wymamrotała coś ze spuszczoną głową, podczas gdy dzieci nadal ze zdumieniem wpatrywały się w niezwykłych gości.

Burg i Borg z zapalem ruszyli przed siebie, uzbrojeni w klucze Rootha. Szarpali się z wypaczonymi drzwiami, które niemal wrosły w swoje ramy. Månsson został w kuchni. Popatrzył na dzieci i uśmiechnął się tak miło, jak potrafił. Dziewczynka opuściła wzrok, ale chłopiec odpowiedział nieśmiałym uśmiechem. Månsson

usiłował nie myśleć o Billym Nilssonie i silnych palcach Toma Rootha.

– Jeśli można prosić, to chętnie napiłbym się kawy – powiedział do Nilli. – Dzieci mogą iść do swoich pokoi i zostać w nich, dopóki nie skończymy.

Pił kawę, pozwalając policjantom z województwa działać na własną rękę. Wiedział, że nie zobaczą nic poza pustą chlewnią i zaśmieconym warsztatem, ale równie dobrze mogli przekonać się o tym na własne oczy. Rooth nie przechowywał w gospodarstwie niczego, co mogłoby go wiązać z jakimkolwiek przestępstwem. Månsson stwierdził to zeszłej jesieni, kiedy prowadził dochodzenie w sprawie uszkodzenia samochodu Aronssona. Rooth był piekielnie arogancki, ale miał najwyraźniej dość rozumu, aby rozdzielać swoje legalne przedsięwzięcia od nielegalnych, dlatego komisarz był pewien, że Burg i Borg niczego dziś nie znajdą. W każdym razie nie tutaj.

Nilla Rooth podeszła do niego z dzbankiem kawy. Månsson uniósł obtłuczony kubek.

– Tak, poproszę jeszcze łyżeczek. Dziękuję. Bardzo dobra kawa.

Żona Rootha zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Chyba nie przywykła do pochwał.

Gdy Månsson był tu poprzednim razem, Tom Rooth był w domu. Cały czas deptał im po piętach, podśmiewywał się z nich, gdy brudzili sobie mundury. Nilli i dzieci prawie nie dało się zauważyć, dostrzegł tylko jakieś wystraszone twarze w oknie na piętrze.

Przyglądał się stojącej obok niego kobiecie. Niegdyś prawdopodobnie była atrakcyjna, ale to było przed laty, zanim utkwiała tu z mężem, zanim jednostajna praca i rodzenie dzieci wyniszczyły jej ciało. Nilla Rooth nie miała chyba więcej niż trzydzieści lat, jednak wyglądała na co najmniej czterdzieści pięć.

– Co Tom zwykle robi z upolowaną zwierzyną? – zagadnął.

Ręka trzymająca dzbanek zadrżała i trochę płynu wylało się na stół.

– Wiem, że nie przywozi tu ustrzelonych zwierząt, na to jest za sprytny. Więc co z nimi robi, pani Nillo?

Kobieta odwróciła się do niego plecami, odstawiła dzbanek i zaczęła zmywać, niepotrzebnie hałasując naczyniami.

– Kłusownictwo właściwie nas nie obchodzi – ciągnął Månsson.
– Jesteśmy tutaj, ponieważ podejrzewamy, że pani mąż tym razem zrobił coś naprawdę poważnego, wyrządził krzywdę małemu Billy’emu Nilssonowi. Wszyscy wiedzą, co pan Rooth sądzi o wuju Billy’ego.

Na chwilę umilkł, aby dać jej możliwość przemyślenia jego słów.

– Pani mąż łatwo wpada w gniew. Zdarzało mu się robić rzeczy, których później żałował, prawda?

Brzęk naczyń ucichł. Månsson mówił dalej, tak łagodnym tonem, jak tylko potrafił:

– Musimy znaleźć Billy’ego. Jego matka odchodzi od zmysłów, zamknęła się w sypialni i nie chce z nikim rozmawiać. Niech mi pani pomoże, pani Nillo. Niech pani sobie wyobrazi, co by pani czuła, gdyby zaginął pani syn. Pani malutki... – nie mógł sobie przypomnieć imienia chłopca, wskazał więc tylko na sufit i dokończył – ...synek.

Zamilkł. Nilla Rooth stała bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w wypaczone drzwiczki kuchennej szafki.

– Mąż nie dowie się, że pani coś nam powiedziała – podjął cicho Månsson. – Daję pani słowo, że nigdy się nie dowie. Proszę mi pomóc.

Ramiona Nilli z wolna się rozluźniły. Wypuściła z płuc powietrze z odgłosem podobnym do szlochu.

Veronica siedzi na zewnątrz na schodach z kaskiem Mattiasa na kolanach. Jej dłonie i uda drżą. Ma krótki oddech i jest bardzo spięta, gdy Mattias wchodzi do mieszkania z pistoletem w dłoni.

Przez otwarte drzwi słyszy, jak Mattias metodycznie przeszukuje mieszkanie. Łazienkę, kuchnię, pokój dzienny. Wreszcie garderobę na końcu sypialni. Nie słyszy żadnych krzyków, żadnego zamieszania, huku wystrzału. Tylko odgłos jego ostrożnych kroków. Wodzi palcami po kasku, podnosi i opuszcza ciemny wizjer. Kiedy Mattias zaczął jeździć na motocyklu? I co robi sześćset kilometrów od domu, z pistoletem pod kurtką?

Mattias wygląda przez otwarte drzwi. Mówi to, co ona już pojęła:

– Nikogo tu nie ma.

Veronica wstaje, wraca do mieszkania na chwiejnych nogach. Podążając za jego szerokimi plecami, wchodzi do pokoju dziennego.

– Czy możesz stwierdzić, że coś zginęło? – pyta Mattias.

Veronica obraca się wokół. Telewizor stoi, jak stał, również to tanie małe radio, które rzadko włącza, jest na swoim miejscu. Komoda w sypialni wydaje się nietknięta i gdy wysuwa najwyższą szufladę, widzi, że puzderka z jej nieliczną biżuterią leżą dokładnie w takim porządku, w jakim je zostawiła.

Wszystko wydaje się takie, jak powinno, mimo to wie, że tak nie jest. Coś w tym pokoju się nie zgadza.

– Czy masz zwyczaj zostawiać je otwarte? – Mattias wskazuje wąskie okno na dalszej ścianie sypialni.

– Czasami. Bo co?

– Nie jest porządnie zamknięte.

Ma rację. Okienko jest zamknięte, ale obie metalowe klamki z jednego boku skierowane są do góry, zamiast leżeć na widelkach. Mattias otwiera okno i wystawia głowę na zewnątrz. Do ściany obok okna jest przymocowana drabina pożarowa, która kończy się na dole na ciemnym podwórku. Przygląda się jej dokładnie. Następnie przechodzi do badania klamek i futryny.

Veronica próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio otwierała okno od podwórka. Pewnie wczoraj wieczorem. Przeciąg to jedyny sposób, żeby zażyć trochę chłodu. Zamyka oczy, robi głęboki wdech i usiłuje sobie przypomnieć, czy zamknęła okno.

– Na futrynie nie ma żadnych śladów włamania – mówi Mattias i zamyka okno. – Nie ma też żadnych widocznych śladów na drabinie. Czy jesteś pewna, że słyszałaś kroki? Czy nie mogło to być okno, które uderzało o futrynę w przeciagu?

Już prawie mu odwarkuje, że jest na sto procent pewna, iż ktoś był w mieszkaniu. Ale się powstrzymuje; uświadamia sobie, że zaledwie przed kilkoma minutami sądziła, że goni ją potwór z koszmarów, które miała w dzieciństwie.

– Co ty tu właściwie robisz? – pyta, zamiast się oburzać.

– Mam spotkanie. Myślisz, że zapomniałaś zamknąć porządnie okno?

– Może. Jakie spotkanie?

– W związku ze sprawą dotyczącą narkotyków, w której prowadzimy dochodzenie. Będzie w nim uczestniczyć krajowa policja kryminalna. Poprosili mnie, żebym przyjechał. Ewentualnie może to mieć związek z czymś, czym oni się zajmują.

– Przyjechałeś sam? – Sama właściwie nie wie, czemu o to pyta. Zauważa, że Mattias trochę sztywnieje.

– Z kolegą. Decyzja zapadła nagle, nie zdążyłem dać znać.

Odwraca się do niej plecami i sprawdza okno sypialni, które wychodzi na ulicę. Potem kontroluje okna w pokoju dziennym. Wszystkie są zamknięte, poza tym mieszkanie znajduje się na trzecim piętrze.

– Chciałem tylko wpaść i zapytać, czy słyszałaś coś nowego na temat tego Isaka. Czy dowiedziałaś się, kim on jest i czego chce?

Znowu mówi głosem policjanta. A może jest to głos starszego brata? Nieważne, który to – istotne, że daje jej do zrozumienia, iż powinna zrezygnować ze stawiania jakichkolwiek pytań na temat jego sprawy i osób mu towarzyszących.

– Nie, nie przyszedł na ostatnie spotkanie – mówi Veronica i jest to najprawdziwsza prawda. Jej brat nie musi przecież wiedzieć, że jej również tam nie było i dlatego.

Mattias przysiadła na oparciu kanapy. Pod kurtką Veronica dostrzega pas od kabury pistoletu. Jego barki opadają, napięte szczęki trochę się rozluźniają. Veronica zauważa, że schudł. Wygląda na dobrze wytrenowanego i sprawnego. Ma też nową fryzurę, która jej się podoba. Próbuje nie myśleć, jak długo się nie widzieli.

– Czy jesteś zupełnie pewna, że ktoś był w środku?

Pytając, trochę przekrzywia głowę, tak jak zwykł robić, gdy się o nią niepokoił. Od lat nie widziała tego gestu, który teraz sprawia, że odczuwa przypływ wewnętrznego ciepła. Mattias ma solidne powody do niepokoju. Jej zachowanie w ostatnich dniach nie było normalne, można wręcz powiedzieć, że graniczyło z szaleństwem. Co by się wydarzyło, gdyby się nie pojawił? Czy dobiegałyby się do drzwi sąsiadów? Zadzwoiłaby na policję? A może do Ruuda?

Veronica spuszcza wzrok. Mamrocze na swoje usprawiedliwienie, że może się przesłyszała. Że może przeciąg, który powstał, gdy otworzyła zewnętrzne drzwi, spowodował, iż okno wychodzące na podwórko zaczęło stukać i pobudziło jej wyobraźnię. Jednocześnie próbuje wmówić sobie, że wszystko inne – dźwięk kroków i cień na zewnątrz łazienki – było tylko wytworem jej umysłu, zmęczonego stresem i brakiem snu. Mimo to nie potrafi strząsnąć z siebie nieprzyjemnego uczucia. Coś w mieszkaniu jest inne. Coś, co tylko przeczuwa, co wywołuje słaby dreszcz u nasady włosów na karku.

Próbuje namówić Mattiasa, żeby został na kolacji. Chce mu opowiedzieć o symulacji obecnego wyglądu Billy’ego, przypominającej blondyna, który każe nazywać siebie Isak. Pragnie uczynić to spokojnie, w sposób, który nie kojarzy się z szaleństwem. Poza tym nie chce być sama w mieszkaniu.

Mattias jest jednak zajęty. Mówi to w sposób nieznoszący sprzeciwu. Oznajmia również, że nie odpowie na więcej pytań. Zatem Veronica wyprowadza go przed dom.

Jego motocykl jest duży, czarny i wygląda na nowy. Siodło ma dwa miejsca siedzące przypominające małe fotele i gdy Mattias otwiera jedną z sakw, Veronica dostrzega u góry dodatkowy kask. On podąża za jej spojrzeniem i szybko zamyka sakwę.

– Zadzwoń, gdyby coś się działo, masz numer komórki – mówi.

Veronica odpowiada mu skinieniem głowy i obejmuje go niezdarnie.

– Czy masz wolny weekend, Vera?

– Jak najbardziej. – Sądzi, że Mattias zaproponuje lunch albo kolację. Pojmuje, że wpadła w pułapkę, jeszcze przed jego ponownym atakiem.

– Czy nie mogłabyś pojechać do domu na kilka dni? Już dawno tam nie byłaś. Tata by się ucieszył. W niedzielę są urodziny mamy. Wiesz, co to dla niego znaczy.

– Może – mamrocze Veronica. Rozumie, że nie wyłga się żadną ze swoich zwykłych wymówek. Dużo trudniej jest kłamać komuś prosto w twarz niż przez telefon.

– Dobrze – mówi Mattias, jakby sprawa była już rozstrzygnięta. – Zatem widzimy się jutro po południu w domu, wtedy trochę więcej sobie pogadamy. Teraz muszę uciekać.

Odpala silnik motocykla, uprzedzając jej protest. Opuszcza wizjer kasku i macha do niej, powoli odjeżdżając.

Veronica stoi przez dłuższą chwilę na ulicy. Zbiera się na odwagę przez prawie dziesięć minut, zanim decyduje się wrócić do mieszkania. Nieprzyjemne uczucie wisi w powietrzu jak niewidzialne igły. Otwiera okna, żeby trochę przewietrzyć. Przynosi przybory do sprzątania i myje podłogi mopem tak długo, aż pokoje cuchną szarym mydłem. Poci się z wysiłku, wchodzi do sypialni i zdejmuje koszulę. Staje w oknie tylko w staniku. Przechyla się przez ramę i stoi tak kilka minut, czekając, aż napięcie ustąpi. Blizna na prawym ramieniu jest wściekle czerwona, ale teraz nie swędzi.

Zamierza zadzwonić do Mattiasa – za chwilę, może za godzinę – i oświadczyć, że niestety wynikły pewne przeszkody i nie może pojechać do domu, by obchodzić urodziny mamy, także tym razem. Nie będzie zdumiony, pewnie tylko ledwo zawiedziony.

Idzie do garderoby po suchą koszulę. Pod jedną z półek stoi stołek z Ikei – wyciągnięty, a przecież dobrze pamięta, że ostatnio odstawiła go do kąta.

Jeden narożnik pudełka z jej żalobnym zbiorem wystaje poza krawędź półki. Igdy uważnie, trzęsącymi się rękami podnosi pokrywkę, odkrywa, że nie leży ona na pudełku, tak jak powinna.

Lato 1983

Wąska żwirowa dróżka była niemal niemożliwa do odnalezienia, jeśli nie wiedziało się, gdzie jej szukać. Dwie prawie niewidoczne koleiny biegnące wzdłuż niskiego kamiennego murku, wciśniętego między dwa pola. W okolicy wiele było takich na pół zarośniętych dróg, którymi niekiedy jeździły traktory i które nie były zaznaczone na żadnych mapach.

Jedno z kół saaba wjechało w dołek i zielsko rosnące między koleinami zaszorowało o podwozie.

– O kurwa – zaklął Burg. – Nowy wóz... Pewien jesteś, że to babsko od Rootha nas nie nabrało?

Månsson osłonił oczy dłonią i wpatrzył się w ciemny brzeg lasu przy końcu pola.

– Tam! – Wskazał na zarysy niskiego dachu, trudne do wypatrzenia na tle koron drzew.

Zaparkowali na środku drogi i ostatni odcinek pokonali pieszo. Znaleźli odcisk grubej opony w błocie przy brzegu kałuży. Mógł to być ślad należącego do Rootha volvo amazon. Burg zabrał się za fotografowanie odcisku, a Månsson w międzyczasie rozglądał się wokół. Mały budynek pompowni stał na granicy pola i lasu, tak jak powiedziała Nilla Rooth.

Ściany zbudowane były z żółtobrązowych cegieł, ale czas pokrył je zielonym nalotem. Dach zapadł się pod ciężarem grubej warstwy mchu, w wielu miejscach ocierały się o niego gałęzie drzew. Budynek wyglądał tak, jakby się schylał i chował w cieniu lasu.

Z małej, pozbawionej okien pompowni i z ciemnej ściany lasu promieniowało coś, co sprawiało, że Månsson czuł się nieswojo. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, co wywołuje to niemiłe uczucie. Cisza. Nie grały świerszcze, nie ćwierkały ptaki. Słyszać było tylko lekki szum wiatru między liśćmi drzew.

Dopiero gdy zbliżyli się do drzwi w krótszej ścianie budynku, ciszę

przerwał jakiś odgłos: chrypliwe szczęknięcie, przypominające okrzyk, dobiegło z leśnego mroku. Obaj policjanci z Malmö wzdrygnęli się gwałtownie.

– Co za cholera? – spytał Borg.

– Lis – powiedział Månsson. – To żaden powód do niepokoju dla dorosłego faceta.

Borg rzucił mu pełne złości spojrzenie, a jego kolega się uśmiechnął.

Månsson poczuł, że pot znów spływa mu wzdłuż kręgosłupa. Było gorąco i parno. Przez całe tegoroczne lato człowiek czuł się jak w saunie.

Na drzwiach był stalowy skobel ze sporą kłódką; Borg od razu znalazł między kluczami Rootha ten właściwy. Drzwi otwały się bezszelestnie. Ze środka wypłynęła na nich fala wilgotnego powietrza i duszący odór, który Månsson dobrze znał. Smród gnijącego mięsa.

Bez słowa spojrzali na swoich towarzyszy. Burg włączył latarkę, którą zabrał z bagażnika, i pierwszy wszedł do wnętrza budynku.

Pomieszczenie miało około trzydziestu metrów kwadratowych. Nie było tu sufitu, nad głowami mieli jedynie więźbę dachową. Pompa, która kiedyś tu stała, została usunięta – prawdopodobnie w latach sześćdziesiątych, kiedy w gminie zainstalowano wodociągi dla wszystkich gospodarstw. Ściany były jednak nadal przesiąknięte wilgocią i chłodem źródła, które biło głęboko pod podłogą. Woń wilgoci mieszała się z odorem zgnilizny i krwi.

Z dachu zwisały trzy zwierzęce tusze. Wąskie szyje przebito hakami z nierdzewnej stali, a potem wciągnięto zwierzynę na górę przy pomocy łańcuchów i bloczków umocowanych na belkach. Brzuchy i klatki piersiowe ubitych zwierząt ziały pustką, racice zwisały kilkadziesiąt centymetrów nad poplamioną krwią podłogą. Światło latarki odbijało się w martwych, szklistych oczach.

Obaj policjanci z miasta stanęli jak wrzyci.

– Dwie młode sarny i jeleni – stwierdził Månsson. – Nie wolno do nich strzelać o tej porze roku.

Snop światła latarki przesuwiał się po ścianach. Burg znalazł wreszcie przełącznik. Rozległo się pstryknięcie i zaświeciły się dwie

jarzeniówki. W ich świetle ukazała się poobijana zamrażarka pod dłuższą ścianą i niskie drzwi naprzeciw wejścia. Burg schował latarkę do kieszeni i wyjął aparat fotograficzny. Trzaski migawki odbijały się echem od ceglanych ścian.

Månsson podszedł do zamrażarki. Była tak duża, że zmieściłby się w niej dorosły mężczyzna. Bez trudu można było ukryć w niej ciało pięcioletniego chłopca. Na białym wieku widniały odciski zakrwawionych palców. Månsson ostrożnie je uchylił. Głęboko wciągnął powietrze, przygotowując się na to, co zobaczy.

Wnętrze zamrażarki podzielone było na dwie części. Po prawej stronie znajdowało się około dwudziestu paczek różnej wielkości, zawiniętych w papier i starannie opisanych.

Bazant, lipiec 83. Comber sarni, lipiec 83. Polędwica z jelenia, czerwiec 83. Szynka z jelenia, czerwiec 83.

W drugiej przegrodzie leżały duże, przezroczyste worki plastikowe. Månsson podniósł jeden z nich i zobaczył czarno-białe futro borsuka.

Borg zajrzał Månssonowi przez ramię.

– I co?

Månsson potrząsnął głową.

– Tylko mięso i skóry, których Rooth nie zdążył sprzedać.

Naprzeciw zamrażarki umieszczony był blat z nierdzewnej stali, też pokryty śladami krwi; wisiało nad nim kilkanaście noży i tasaków rzeźnickich w różnych rozmiarach. Na elektrycznej kuchence stał wielki garnek. Borg podniósł jego pokrywkę i natychmiast się cofnął.

– Cholera jasna, co to za świństwo?!

Månsson zajrzał do garnka. Z szaroczarnej mazi wystawało poroże sarny. Smród był nie do zniesienia.

– Głowa kozła. Samca sarny – wyjaśnił. – Porozę jest całkiem ładne, trzeciej albo nawet drugiej kategorii. Rooth gotował czaszkę, żeby oczyścić ją z mięsa, a potem zamontować na podkładce i sprzedać.

– Mhm – Mruknięcie Borga zabrzmiało tak, jakby dowiedział się czegoś nowego.

Månssonowi sprawiło to pewną satysfakcję. Ostatecznie to jego zasługą było, że tu trafili i zbliżali się do ostatecznego rozwiązania sprawy. Jego koledzy z miasta powinni to wreszcie przyznać.

– Chodźcie tu, popatrzcie! – zawołał Burg, któremu udało się otworzyć niskie drzwiczki w głębi pomieszczenia. Za nimi znajdowała się mała komórka, o powierzchni nie większej niż pięć, sześć metrów kwadratowych.

Nie docierało tu światło jarzeniówek, więc Burg ponownie włączył latarkę. Oświetlił stare, żelazne łóżko, na którym leżał poplamiony materac, a na nim koc. Przy łóżku stał elektryczny grzejnik, a pod nim – pusta butelka po wódce. Obok niej widniał stos magazynów pornograficznych o pofałdowanych od wilgoci stronach.

W lesie znów zaszczekał lis, tym razem bliżej, głośniejsze i ostrzej. Brzmiało to niemal jak krzyk dziecka. Månsson wzdrygnął się mimo woli. Burg nakierował światło latarki na ramę łóżka i zaczepiony o nią metalowy przedmiot.

Z ramy zwisały kajdanki.

Jedną z pierwszych rzeczy, na które zwraca uwagę, gdy opuszcza lasy i wyjeżdża na wielką równinę, są turbiny wiatrowe. Białe stalowe wieże, wysokie na prawie sto metrów, stojące w prostych liniach, z czerwonymi oczami, które błyskają rytmicznie nocą. Władcy wiatru, tak zwykle o nich myśli. W wietrzne dni uderzenia ich serc można usłyszeć z odległości wielu kilometrów. Przytłumiony grzmot, który źle ją nastraja.

Gdy była dzieckiem, nie było żadnych władców wiatru. Wtedy najwyższe były wieże silosów. Wielkie, lśniące metalowe cylindry, jeden lub dwa na gospodarstwo. Myślała o nich zwykle jak o srebrnych wieżach, które cicho strzegły pól, gospodarstw i ludzi. Teraz te wieże są liliputami w porównaniu do władców wiatru, skurczonymi, podobnie jak wiele innych rzeczy z dzieciństwa.

Mattias wziął ją kiedyś na górę silosu. Zdarzyło się to przed zaginięciem Billy'ego, w czasie, gdy Mattias był jeszcze jej najlepszym przyjacielem, a ona nie chciała, by lato się skończyło. Poczekali, aż Billy usnął w południe, nie chcieli, by ten mały skarżypyta za nimi biegał.

Jeszcze pamięta to uczucie, gdy wdrapywała się na zardzewiałą drabinę. Wibracje ciepłego metalu, napięcie wynikające z robienia czegoś zabronionego i zaufania, którym obdarzył ją Mattias.

„Patrz w górę, Vera. Patrz tylko w górę”, powiedział.

Słuchała jego rad. Nie rozglądała się dookoła, dopóki nie weszli na niestabilny wierzchołek silosu, a wysokość przemieniła jej żołądek w supeł strachu i podniecenia.

Mattias wszystko jej pokazywał. Kościelną wieżę we wsi, oddalonej o kilka kilometrów. Łąkę, przejętą przez wujka Haralda po dziadku, na której stało trzy razy więcej srebrnych wież niż u innych gospodarzy. Grzbiet górski i Las Północny, który jak ciemna, ciernista kreska w oddali przysłaniał widok. Gdy obróciła głowę i patrzyła na południe, nie było takich przeszkód. Aż po horyzont nic, tylko kołdra zszyta z żółtych i zielonych pól, a nad nimi

niebieskie niebo, które wydawało się nie mieć końca. Wtedy po raz pierwszy pojęła, jak wielki jest świat. Pierwszy raz, gdy opanowało ją to pełzające, niespokojne uczucie.

Ptasie gniazdo było zbudowane z patyków, gałęzi i kawałków grubego papieru z worków na ziarno. Tkwiło zaklinowane między dwoma podporami dachu silosu, ukryte pod na pół zdartą blachą, która ochraniała je przed wiatrem, wilgocią i wronami. Pośrodku leżały trzy zielononiebieskie jajka.

„Jastrząb gołębiarz”, powiedział Mattias z całkowitą pewnością. „Poluje na kury i kaczki. Bażanty też, tak mówi wujek Harald. Złodziej”. Splunął ponad krawędzią silosu i skinął głową w jej stronę. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiała, o co mu chodzi. Co chciał, żeby zrobiła.

Potem przysięgła, że nigdy nikomu o tym nie powie. Że to będzie ich tajemnicą na wieczną wieczność. Ledwie zeszli i ujrzeli swojego młodszego brata biegnącego w stronę domu, tak szybko, jak tylko nogi go niosły, zrozumieli, że tak nie będzie.

Radio w samochodzie trzeszczy, waha się między szumem a muzyką, w końcu wybiera to pierwsze. Veronica obraca gałką, aż znajduje lokalny kanał grający stare, dobre kawałki. Trafiała akurat na środek przeboju Abby, więc nastawia głośniej radio. Następnie opuszcza trochę boczną szybę. Jej samochód nie ma klimatyzacji, szuka zatem takiego rozwiązania, które dawałoby maksymalny chłód, a jednocześnie szum wiatru nie zagłuszałby muzyki.

Hasta mañana 'til we meet again.

Ledwo pamięta dwie pierwsze godziny jazdy samochodem z wczorajszego wieczoru. Ma tylko mgliste wspomnienia, że wrzuciła do torby najpotrzebniejsze rzeczy, zbiegła ze schodów i wpadła do auta. Przypomina sobie, że minęła Södertälje i zrozumiała, że jedzie na południe. Zatrzymała się w Linköping, całkowicie wyczerpana. Spędziła noc w bezosobowym pokoju hotelowym z hałasującym klimatyzatorem i tanią pościelą. Mimo to uważała, że to i tak lepsze, niż zostać w domu. Ktoś mógł być w mieszkaniu. Intruz, który wszedł przez okno od podwórka i przeszukał jej rzeczy, tak cicho i ostrożnie, że prawie nie zostawił śladów. Gdyby nie stółek i przesunięte pudełko, prawie dałaby się

przekonać, że nigdy go tam nie było. Że jej dom nadal był bezpiecznym miejscem.

On musiał być zaskoczony, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Skradał się na korytarz, żeby się przekonać, czy dobrze słyszał, i zrozumiał, że zamknęła się w toalecie, a potem opuściła ją biegiem.

Mogła zadzwonić do Mattiasa i wszystko mu opowiedzieć – że naprawdę ktoś tam był, że sobie tego nie wyobraziła. Że zostawił ślady, których nawet on nie mógłby zanegować. Ale Mattias już nie jest jej najlepszym przyjacielem. I ma teraz własne tajemnice, takie, którymi nie dzieli się z nią. Ta myśl psuje jej nastrój, pogłównia więc radio i śpiewa razem z zespołem:

– *Don't know where, don't know when...*

To jedna z ulubionych piosenek mamy. Była na jednym z longplayów, który mama puszczała dla niej, zanim urodził się Billy. Zastanawia się, czy te płyty jeszcze są w szafce pod gramofonem. Prawdopodobnie tak. Tata niczego nie rusza. Przede wszystkim rzeczy mamy. Płyty z pewnością jeszcze tam stoją, obok albumów Jamesa Lasta, które dawali mu z Mattiasem na każdą gwiazdkę po Billym, i których prawie nigdy nie słuchał. Ostatni raz Veronica była w domu, gdy tata kończył pięćdziesiąt trzy lata. Chce wierzyć, że to było w ubiegłym roku albo może jeszcze rok wcześniej. W rzeczywistości minęło pięć lat. Pół dekady. Trochę dłużej, niż żył Billy. Albo może nie.

Piosenka się kończy. Następują reklamy, więc ścisza radio.

W podróży miała sporo czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Ułożyć puzzle tak, żeby powstał wzór, który wydawał się w jakiś sposób logiczny.

Fakt: w chwili włamania właściwie powinna była prowadzić grupową rozmowę terapeutyczną w centrum terapii, zatem mieszkanie powinno stać puste.

Wniosek: intruzem jest ktoś, kto zna jej zwyczaje. Ktoś, kto ją kontrolował, wręcz nadzorował.

Myśli o mężczyźnie palącym papierosa na ulicy przed domem. O tym, że nie widziała go wchodzącego lub wychodzącego z którejś z bram. Wszystko, co zdołała spoznać, to ciemna sylwetka, żar

z papierosa, a potem kilka niedopałków w rynsztoku. Czerwone prince'y, wystarczająco dużo, by można sobie wyobrazić, że palacz stał tam wiele razy w ostatnim czasie. Palił w ciszy, być może patrząc w stronę jej okna.

Blondyn pali. Powinien być wczoraj na terapii, tak samo jak ona. Poza tym ma około dwudziestu pięciu lat, no i wspomnienia, które pasują zarówno do zaginięcia Billy'ego, jak i ogrodu w jej domu rodzinnym. Jeśli doda się ten osobliwy pociąg, który do niego czuje, nie wspominając o niezwykłym podobieństwie do zdjęcia z symulacji komputerowej – jaki wniosek odważy się z tego wyciągnąć?

Prześledziła już ten ciąg myślowy kilka razy, mimo to trudno jest jej to zaakceptować. Jeśli Isak jest Billym – myśli „jeśli”, żeby chociaż próbować się kontrolować – przewróci to do góry nogami całą jej egzystencję. Przewróci to do góry nogami całą **ich** egzystencję, co jest najważniejszym powodem, dla którego w ogóle udała się w tę podróż. Mogła przecież dziś rano pojechać do swojego mieszkania. Wymienić zamki w drzwiach, założyć alarm, zadbać o porządne zamknięcie okna wychodzącego na podwórko. Ale nie zrobiła tego.

Oczywiście myślała o Billym w ostatnich latach. Zastanawiała się, kim mógłby zostać, gdyby dane mu było dorosnąć. Czy byłby tak wysportowany jak Mattias, czy lubiłby pisać, jak mama lub ona sama. Może Billy odziedziczyłby delikatność ojca, jego zainteresowanie gotowaniem i roślinami ogrodowymi? Marzenia i spekulacje, w każdym razie do teraz. Bo nagle się okazuje, że na te pytania prawdopodobnie będzie mogła uzyskać odpowiedzi.

Pierwszą rzeczą, którą zrozumiała, gdy obudziła się na twardym hotelowym łóżku, było to, że musi porozmawiać z tatą. Opowiedzieć mu, że jego najmłodszy syn prawdopodobnie żyje i odtąd być może nie wszystko będzie dobrze, ale w każdym razie dużo lepiej. I musi mu to powiedzieć w cztery oczy, jak dobra córka. Ze względu na tatę, wmawia sobie, z pewnością po raz dziesiąty. Chociaż wie, że to nie jest cała prawda.

– *Hasta mañana* – nuci pod nosem. Podnosi głos, żeby przekrzy-
czeć szum dochodzący z bocznego okna. – *Till we meet again.*

Lato 1983

Månsson wstał zza biurka. Miał właśnie zamiar zakończyć dzień pracy, gdy ktoś zapukał w uchylone drzwi.

Na progu stała sekretarka, Brita. Zdjął kurtkę z oparcia krzesła, aby dać jej do zrozumienia, że nie ma czasu, ale Brita nie miała zamiaru ustąpić.

– Ktoś do pana – oznajmiła lakonicznie.

Månsson rozłożył ręce.

– Teraz? Właśnie wychodzę. Od dwóch tygodni nie jadłem obiadu z rodziną. Ani kolacji.

Na kolację miał być dorsz w sosie musztardowym. Cieszył się na to danie przez cały dzień, a także na wieczór z żoną i synami. Na kilka godzin bez myślenia o mrocznej pompowni i jej makabrycznej zawartości.

Brita skinęła głową.

– Jednak chyba będzie lepiej, jeżeli pan od razu się tym zajmie – powiedziała.

Månsson westchnął.

– W takim razie musi pani wyświadczyć mi przysługę. Proszę zapukać za pięć minut i powiedzieć, że mam pilny telefon z komendy wojewódzkiej.

Månsson odwiesił kurtkę na oparcie podniszczonego biurowego fotela i usiadł. Myślał o tym, że może spóźnić się na kolację. Uświadomił sobie, że Brita nie powiedziała, kto przyszedł, i że powinien był o to zapytać, zanim zgodził się na przyjęcie interesanta.

Ktoś znów zapukał w drzwi. Zanim zdążył powiedzieć „proszę”, do biura wszedł Harald Aronsson.

– Chcę się z nim widzieć – rzucił ostro, bez żadnych wstępnych grzeczności.

Månsson wyprostował plecy.

– Aha... Jednak... – zaczął, lecz Aronsson mu przerwał:

– Chcę się widzieć z Tomem Roothem. W tej chwili. – Skrzyżował ramiona na piersiach i wyzywająco spojrzął policjantowi w oczy.

– Aha – powtórzył Månsson, żeby trochę zyskać na czasie. Kątem oka spojrzął na drzwi, z nadzieją, że za chwilę stanie w nich Brita i wybawi go z kłopotliwego położenia.

Aronsson nadal wpatrywał się w niego jak drapieżny ptak w upatrzoną zdobycz. Månsson wbrew woli poruszył się niespokojnie. Ponownie pomyślał o czekającej na niego kolacji, o Malin i chłopcach.

– Dobrze, ale żeby to nie trwało długo – powiedział.

Månsson wciskał powoli cyfry kodu przy solidnych drzwiach oddzielających areszt od pomieszczeń biurowych. Już idąc w ich kierunku przez krótki korytarz, zdał sobie sprawę z tego, że głupio postąpił. Należało twardo odmówić Aronssonowi i wyprosić go z biura. Było już jednak za późno. Dobrze byłoby mieć teraz w pobliżu Burga i Borgia, pomyślał. Gdyby któryś z nich stanął twarzą w twarz z Aronssonem, sytuacja łatwiej by się rozwiązała. Niestety, przez cały dzień nie widział kolegów z województwa.

Harald Aronsson miał w sobie coś, czego Månsson się obawiał. Cała jego pewność siebie zniknęła, gdy napotykał wzrok tego wysokiego mężczyzny. Zresztą nie tylko on to odczuwał. Niewielu mieszkańców wsi potrafiło sprzeciwić się Aronssonowi, ale w zaistniałej sytuacji nie było to dla Månssona wielką pociechą.

Policjant nazwiskiem Kant, który siedział w oszklonej dyżurce, pełniąc obowiązki strażnika aresztu, podniósł się na widok obu mężczyzn. Postąpił kilka kroków do przodu, wyraźnie zdziwiony. Månsson dał mu znać ruchem ręki, że wszystko jest w porządku. Należało zachować spokój, nie dopuścić do zamieszania.

– Rooth – powiedział. – Która cela?

– Jakiś problem? – Kant patrzył to na Månssona, to na Aronssona.

– Nie, chcemy tylko do niego zajrzeć – odparł Månsson. – W której celi siedzi?

Kant zmierzył Månssona niepewnym spojrzeniem.

– Pod czwórka.

Månsson obejrzał się przez ramię i skinął na Aronssona. Szedł powoli po szarym linoleum, tak wolno, jak tylko mógł.

Areszt składał się z czterech cel; ta, w której umieszczono Rootha, znajdowała się na końcu korytarza. Komisarz zatrzymał się przed jej drzwiami. Odczekał chwilę i zajrzał przez judasza.

Rooth siedział na pryczy między nagimi ścianami. Wyglądał na przygnębitego, arogancki wyraz znikł bez śladu z jego twarzy. Na widok Månssona wyprostował plecy, a w jego oczach pojawił się lekki błysk przekory.

Månsson odwrócił się i wskazał głową na wizjer, jednocześnie opierając się plecami o drzwi i klamkę.

– Proszę – rzekł do Aronssona. – Tu go masz.

Harald Aronsson, wyższy o głowę od policjanta, patrzył na niego palącym wzrokiem drapieżnego ptaka. Nie próbował zajrzeć do celi. Månsson zaczynał rozumieć, o co tu chodzi i co się zdarzy, jeżeli jeszcze raz ustąpi.

Oparł podbródek o pierś i złożył ramiona na krzyż, a potem podniósł wzrok na Aronssona. Przez wszystkie odory aresztu przebijała się woń potu. Månsson wiedział, że to jego własny pot.

Aronsson wciąż patrzył na niego bez słowa.

Po skroni Månssona spłynęła kropla. Zaciśnął wargi i zmusił się całą siłą woli, by nadal patrzeć Aronssonowi w oczy. Nie wolno było się poddać.

– Tu siedzi – powiedział. – Chciałeś go zobaczyć, nie?

Aronsson zachowywał kamienną twarz. Czas mijał powoli, można było niemal usłyszeć tykanie niewidzialnego sekundnika. Månsson liczył jego ruchy w myślach, a pot powolną strużką spływał mu po plecach.

Gdy doliczył do ośmiu, Aronsson nagle schylił się i zajrzał przez judasza. Potem z wolna się wyprostował. Zacięty wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

– Masz, co chciałeś? – spytał Månsson. Jego mundur był teraz tak mokry od potu, że niemal przyklejał się do drzwi celi.

Kąciaki ust Aronssona uniosły się w grymasie, który można byłoby uznać za uśmiech, ale nie padło ani jedno słowo. Odezwał się dopiero przy drzwiach komendy.

– Dziękuję ci, Krister – powiedział.

– W porządku. – Månsson udawał, że wszystko naprawdę było w porządku, że całe to zajście w areszcie było zupełnie normalnym zdarzeniem.

Czekał, aż Aronsson wyjdzie z komendy, ale on nie popchnął oszklonych drzwi. Przez chwilę stał bez ruchu, w końcu wyciągnął rękę do Månssona. Policjant zawahał się, ale ją uścisnął. Był to zdecydowany, męski uścisk dłoni. Harald zatrzymał przez sekundę rękę Månssona w swojej, skinął głową i spojrzał policjantowi w oczy z wyrazem, którego ten w pierwszej chwili nie pojął. Nagle zrozumiał. Było to coś, na czym mu bardzo zależało, ale wątpił, czy kiedykolwiek uda mu się to zdobyć.

Szacunek.

Wyprostował się, odchrząknął i mocniej uścisnął dłoń Aronssona.

– Wykonywałem tylko swoje obowiązki – powiedział.

Zbliża się do skrzyżowania, widzi tablicę i zdejmuje stopę z pedału gazu. Od razu czuje się zdenerwowana. Minęło pięć lat. Mimo to nie ma wrażenia, że to było tak dawno temu. Może dlatego, że wszystko wygląda tak podobnie. Najpierw czworokątne skrzynie przetwórnicy groszku Ärta pośrodku pól. Samochody zmiany weekendowej stoją na parkingu. Dziesięć, dwanaście, nie więcej. Dużo mniej, niż gdy sama tam pracowała w czasie wakacji. Pewnie większość prac wykonują teraz maszyny. Efektywniej, taniej. Więcej pieniędzy dla udziałowców. Logo na fladze właściciela jest nowe, ale tablica nad ścianą pokrytą fałdowaną blachą pozostała ta sama: „Przetwórnica groszku Ärta – dumny sponsor konkursu piękności Miss Groszku od 1965 roku”.

Myśli o mamie, która jako pierwsza została Miss Groszku, mając zaledwie siedemnaście lat. Wbrew temu tytułowi i staroświeckiej idei konkursów piękności pamięta, jak w pierwszych klasach szkoły podstawowej była z tego dumna. Z tego, że jej mama była ładniejsza od innych mam. Ale teraz nie przyzna się do tego nikomu, nawet sobie samej.

Za skrętem w lewo na skrzyżowaniu znajduje się duży czerwony budynek cegielni Reftinge. Z daleka jest całkiem ładny, dopiero gdy się do niego podejdzie, widać zabite gwoździami okna i połamany płot z drutu kolczastego z poprzyczepianymi doń foliowymi torebkami, powiewającymi na wietrze. Na kruszejącej betonowej płycie leżą długie białe cylindry; czekają, aż zostaną złożone w nowe turbiny wiatrowe. Należą do warsztatu mechanicznego Strida, który sąsiaduje ścianą w ścianę z cegielnią i od lat osiemdziesiątych specjalizuje się w budowie wiatraków.

Veronica bardzo dobrze pamięta braci Stridów, dwóch zwalistych mężczyzn z karkami zapaśników, którzy na przyjęciach u wujka Haralda zwykle rozpychali się przy stole z grogiem i od czasu do czasu – gdy myśleli, że nie widzi – rzucali długie spojrzenia w kierunku mamy. Ile ona sama miała lat, gdy mężczyźni zaczęli tak

na nią patrzeć? Piętnaście, może szesnaście. W każdym razie nie więcej.

Zaraz za warsztatem i stacją benzynową jest stadion z drewnianą trybuną, która w latach osiemdziesiątych była ulubionym miejscem młodocianych palaczy i obmacujących się parok. Przestrzeń pod trybuną była zamknięta, ale można było się tam łatwo dostać, wspinając się na furtkę stojącą w półmroku. Veronica przypomina sobie podniecenie, smak i zapach papierosów, zapach drugiego człowieka. Poczucie, że robi się coś zabronionego, coś, co nie podobałoby się tacie i mamie. Że miało się przed sobą całe życie i że wszystko było możliwe. Uśmiecha się lekko do tego wspomnienia, ale strząsa je z siebie, zanim dociera do stromego wzgórza, które prowadzi w dół, do samego osiedla.

Wieś Reftinge leży w dolinie, długim geologicznym uskoku, który przecina równinę. W jednym końcu dolina wznosi się prawie niezauważalnie i około dziesięciu kilometrów na południe od osiedla osiąga poziom równiny. W drugim końcu zwęża się, ginie w Lesie Północnym i kończy wysoko jako stromy wąwóz w grzbiecie górskim, gdzie kiedyś wydobywano węgiel kamienny. Kopalnia jest przyczyną, dla której w godle gminy Reftinge obok kłosa zboża znajduje się górniczy kilof. Veronica usłyszała to wyjaśnienie przy okazji jakiegoś lokalnego święta i teraz, zwracając się do wstecznego lusterka, próbuje powiedzieć to zdanie lekko nosowym tonem swojej nauczycielki ze średnich klas szkoły podstawowej. Brzmi to na tyle podobnie do oryginału, że wywołuje delikatny uśmiech na jej twarzy.

Dnem doliny, prosto przez osiedle przepływa niemrawa rzeczka, właściwie strumień, równoległe do której przebiega linia kolejowa. Zachodnią i wschodnią część Reftinge łączy krótki, ledwie dziesięciometrowy most.

U podnóża wzniesienia, na początku głównej ulicy, która oczywiście nosi nazwę Główna, widać dwa niemal identyczne szyldy wiszące naprzeciw siebie: „Pizza – Kebab – Sałatki”. Gdy chodziła do szkoły, większy z tych dwóch lokali należał do rodziny jej klasowej koleżanki Lidii. Lidia była zbyt puszysta i pospolita, by interesowali się nią chłopcy, a jednocześnie tak pewna siebie i pyskata, że nikt nie odważył się jej zaczepić. Poza tym miała

w domu magnetofon, syfon i maszynkę do robienia popcornu, co wraz z darmową pizzą, na którą jej ojciec zawsze chętnie zapraszał, czyniło z Lidii jedną z najpopularniejszych osób w klasie.

Veronica zastanawia się, co Lidia teraz robi. Czy jest jedną z tych, którzy tu zostali, czy raczej wyjechała? Prawdopodobnie to drugie.

Trochę dalej, za szeregiem trzypiętrowych czynszowych domów, znajduje się centrum wsi. Urząd Gminy, posterunek policji, przychodnia, biblioteka i szkoła. Za nimi rynek z miejscową gospodą, kwiaciarnia i jedyny ocalały sklep spożywczy. Jest prawie pewna, że nadal prowadzą go pani Berit i pan Sören. Trudno jej sobie wyobrazić, że zajmują się czymś innym. Gdy przejeżdża obok, sklep wydaje się jej dużo mniejszy, niż go zapamiętała. Może zawodzi ją pamięć, a może po prostu zmniejszono jego powierzchnię. Powoli spuszczano z tonu, tak jak i w reszcie wsi. Bank i poczta zniknęły na początku lat dziewięćdziesiątych, nie ma już fotografa, który wykonywał rodzinne portrety z jej żałobnej kolekcji. Sklep meblowy został zamknięty, gdy w mieście otworzyła się IKEA. Długi budynek mieści teraz pchli targ klubu sportowego, otwarty w piątki w nieparzyste tygodnie, o czym informuje napis drukowanymi literami na kartonowym szyldzie, umieszczonym w oknie.

Veronica opuszcza szybę i wystawia łokieć przez okno. Ulica przed nią jest pusta, jeśli nie liczyć staruszka, który pedałuje na swojej damce tak powoli, że wydaje się to fizyczną niemożliwością. W sobotnie popołudnie w środku lata nie dzieje się w Reftinge zbyt wiele. Szczerze mówiąc, kiedy indziej również.

Na końcu ulicy Głównej, przed stacją kolejową, na której pociągi nie zatrzymują się już od lat siedemdziesiątych, stoi budka z grillem, który jest właściwym centrum wsi. Widać tu przynajmniej oznaki ludzkiego życia.

Na zwirowym placu przed budką zlicza dwa traktory i trzy furgonetki, wszystkie w tym samym zielonym kolorze. Logotypy na drzwiach pojazdów są jej dobrze znane. Farmy Aronssona, przedsiębiorstwo wujka Haralda, którego nazwę zmienił po powrocie ze swojego wyjazdu szkoleniowego do Ameryki w końcu lat osiemdziesiątych. Od tamtego czasu do każdego rodzinnego obiadu

został dodany stały temat rozmów: „A w Ameryce, wiecie, to...”.

Kilku mężczyzn we flanelowych koszulach z podwiniętymi rękawami tłoczy się w cieniu pod wysuniętym dachem budki. Gapią się na jej samochód. Pracownicy wujka Haralda pracują w upale, mimo soboty. Zboże nie rozróżnia dni tygodnia. Tutaj lato i jesień to długi łańcuch zbiorów, od truskawek i młodych ziemniaków w czerwcu, po buraki cukrowe w listopadzie.

Przejeżdża przez most, mija małą remizę strażacką i jedzie dalej wzdłuż szeregów stojących przy drodze, podobnych do siebie jednokondygnacyjnych domów jednorodzinnych, zbudowanych z czerwonej cegły z Reftinge, której już się nie wytwarza. Za pierwszym szeregiem jest drugi, złożony z jedno- lub półtorakondygnacyjnych budynków z lat siedemdziesiątych o ciemniejszych, bardziej ponurych fasadach. Mieszkała w nich mniej więcej połowa jej dawnych kolegów klasowych. Reszta była równo podzielona na gospodarstwa wiejskie i domy czynszowe.

Kościelne wzgórze zabiera ją z powrotem na równinę. „Biały kościółek, balansujący na wschodnich grzbietach niecki, pochodzi z dwunastego wieku” – mówi w jej uchu przemądrzały głos nauczycielki ze średnich klas podstawówki. Szybko pogłośnia radio, żeby przerwać te bzdury. Trafia na *Self Control* Laury Branigan, jedną z jej ulubionych piosenek.

Chodzili do kościoła co niedzielę, całą rodziną Nilssonów-Aronssonów. Ona, mama, tata, Billy, a nawet wujek Harald. Schludni i wystrojeni, tak jak chciała mama. Nikt nie odważył się protestować. Zatem ona i Mattias odsiadawali psalmy i kazanie, zerkając na niewielkie malowidło na suficie, które można było dojrzeć tylko z pierwszych rzędów ławek. Głowa kozła z wygiętymi rogami. Prawdopodobnie jeden z osiemnastowiecznych rzemieślników, którzy wybielali wapnem wszelkie ślady katolicyzmu, postanowił pozostawić tę straszną główkę. Być może jako żart. Tak w każdym razie sądzili wówczas, ona i Mattias. Ale ta szyderczo uśmiechająca się głowa równie dobrze mogłaby być ostrzeżeniem. Przypomnieniem, że przeszłość można ukryć, ale nie da się jej wymazać.

Tata przestał chodzić do kościoła zaraz po zniknięciu Billy’ego, od

tęgo czasu była tam zatem tylko kilka razy: na pogrzebie mamy i ślubie Mattiasa. Różne uroczystości, ale w rzeczywistości podobnie straszne.

Znowu myśli o mamie i o lodzie. Pogłównia jeszcze radio, żeby wypędzić te myśli. Przez krótką chwilę jest znowu w przyjemnej ciemności pod trybuną. Wypełnia ją uczucie, że jest młoda i pełna oczekiwań. Nieśmiertelna.

You take my self, you take my self control.

Jadąc po esowatej drodze obok kościoła, uświadamia sobie, że powinna stanąć na chwilę przy grobie mamy. Ale jeszcze zanim jej noga puści pedał gazu, decyduje, że przesunie to na następny dzień.

Gdy mija plebanię i dom parafialny na samym wierzchołku wzgórza, wyjeżdża ze wsi i znów znajduje się na równinie. Droga się zwęża, zbliża do linii środkowej i powoli prostuje. Staje się długim jak wieczność odcinkiem między polami porośniętymi zbożem i gigantycznymi władcami wiatru.

Gdzieś widać żwirowe odnogi odchodzące od asfaltowej drogi i zielone skrzynki na listy, świadczące o tym, że między wsią a jej rodzinnym gospodarstwem są też inne domy. Gdy była mała, skrzynek na listy było dziesięć, gdy się stąd wyprowadzała – siedem. Teraz są cztery. Widzi wiele pracujących na polach kombajnów i traktorów. Prawie wszystkie w tym samym kolorze i z tym samym logotypem, co pojazdy przed budką z grillem. Imperium wujka Haralda najwyraźniej się rozrasta.

Przeszło trzy kilometry za wsią dostrzega koślawy słup z dobrze jej znaną skrzynką na listy. Zwalnia. Skręca trochę zbyt szybko i samochód wpada w lekki poślizg na żwirze. Dach odległego o kilkaset metrów budynku mieszkalnego pobłyskuje przez korony drzew rosnących w zagajniku. To jest teraz najwyższy punkt w gospodarstwie Backa. Silos, na którym przed laty razem z Mattiasem znalazła gniazdo jastrzębi, został rozebrany już dawno temu.

Na żwirowej drodze prowadzącej do zagrody mija jeszcze jedną zieloną furgonetkę. Kierowca ma na głowie bejsbolówkę, na nosie słoneczne okulary pilota i rozmawia przez komórkę. Pozdrowia ją skinieniem głowy, gdy samochody mijają się w odległości

kilkudziesięciu centymetrów. Rozpoznaje go jak przez mgłę. Patrik-coś-tam. Jeden z dawnych kolegów z klasy Mattiasa. Teraz powracają inne wspomnienia z młodości lat. Zapach pomieszczenia w piwnicy, jakaś pościelowa z płyty. Smak śliny, tytoń i alkohol, ręce, które obmacują jej ciało. Ma trochę takich wspomnień, ale udaje jej się zmusić mózg do zmiany torów, zanim je przywoła.

Pola między drogą a zagrodą są już skoszone. Wielkie bele słomy leżą porozrzucane po ostrym ściernisku. Linia horyzontu faluje od gorąca, po niebie, w oparach ciepłego powietrza krążą dwie kanie. Zataczają okręgi, spoglądając w dół za zdobyczą. Veronica znów myśli o głowie kozła, tłumi dreszcze. Najwyższy czas się pozbierać. Rozkręca się, jak przed terapią grupową. Podniecenie, oczekiwanie. Może po prostu napięcie. Robi to dla taty, próbuje to sobie wmówić.

Wjeżdża w cienie alei kasztanowej, która prowadzi do zagrody. Wydaje się, że kilka drzew na poły obumarło. Ich zimne, nagie gałęzie wyciągają się ku niebu.

Budynki wokół dziedzińca rozmieszczone są na planie litery U. Dom stojący na małym wzniesieniu sąsiaduje z budynkami, które dawniej mieściły oborę i stodołę, ale od dwudziestu pięciu lat stoją puste, za wyjątkiem wiaty, gdzie tata parkuje samochód, i warsztatu wewnątrz. Veronica patrzy na zabudowania. Drzwi do obory dostały stalowy rygiel z mocną, błyszczącą kłódką. Nie może się oprzeć, by nie pomyśleć o małej dojarni wewnątrz obory. Zapach, ciemność, surowe powietrze. Panika, gdy zauważyła, że nie można otworzyć drzwi.

Kalenica dachu stodoły obniżyła się o kilkadziesiąt centymetrów. Dachówki są szare i stare, co sprawia, że budynek wygląda, jakby był zmęczony i zrezygnowany. Żdźbła słomy i liście wystają gdzieś z rynnien, a przy narożnikach rosną wysoko trawy i chwasty.

Jej spojrzenie przyciąga zbiornik na ropę z logotypem farmy Aronssona. Nie było go tutaj podczas jej ostatniej wizyty. Metalowy zbiornik irytuje ją, nie pasuje do otoczenia, wygląda na zbyt przemysłowy i technicznie zaawansowany. Jeszcze jeden znak, że wujek Harald jest wszędzie.

Drzwi wejściowe do budynku mieszkalnego są zamknięte. Puka do nich kilka razy, ale nikt nie otwiera, co ją trochę niepokoi. Tata wie, że ma przyjechać jego córka, dzwoniła dziś rano z hotelu. Nie ma zwyczaju zamykać drzwi na klucz, gdy jest w domu.

Zapasowy klucz leży tam gdzie zwykle, z przodu doniczki z kwiatami, która wisi pod najbliższym oknem. Otwiera drzwi. Wciąga w nozdrza dobrze znany zapach. Zapach, który w ułamku sekundy zmienia ją z Veroniki Lindh w Verę Nilsson. Zapach domu. Nie cierpi tej przemiany, lub raczej próbuje nie cierpieć. Właśnie dziś jest to trudniejsze niż zwykle.

– Cześć, tato! – rzuca w głąb domu.

Brak odpowiedzi. Wchodzi, zamyka drzwi za sobą i przekręca klucz w zamku.

Mimo wysokiej temperatury na zewnątrz powietrze w starym kamiennym domu jest chłodne; przez nagłą zmianę temperatury dostaje gęsiej skórki.

Na lewo jest palarnia, gdzie w tapetach w dalszym ciągu jest uwięziony zapach papierosów dziadka. Idzie na prawo, za salonem z ciężkimi, ciemnymi meblami i pianinem mamy, które stało nieużywane przez dwadzieścia lat, przez jadalnię dochodzi do kuchni. Na kuchennym stole leży rozłożona gazeta, a obok stoi do połowy pełna filiżanka zimnej kawy. Taty nie ma.

W domu jest cicho, prawie jak makiem zasiał. Ciszę przerywa jedynie tykanie zegara ściennego dochodzące z jadalni i bzyczenie muchy plujki na kuchennym oknie. Mucha uderza raz za razem w szybę, nie rozumiejąc, dlaczego nie może się wydostać. Od czasu do czasu spada na parapet i leży tam wyczerpana, zanim zbierze wystarczająco siły, żeby ponownie podjąć daremną próbę ucieczki.

Zagląda do biurka. Na biurku leżą sterty papierów i dokumentów. Na większości znajduje się logo farmy Aronssona, na pozostałych – logotypy zakładów energetycznych lub gminy. Kilka z nich wygląda na umowy lub dokumenty dotyczące pozwolenia na budowę.

Zniszczona skórzana kanapa tak jak dawniej stoi wzdłuż ściany, ale nieforemny telewizor jest nowy. Duży ekran w nowym panoramicznym formacie, do którego jeszcze się nie przyzwyczała.

Zastanawia się, kiedy tata go kupił. Obok kanapy piętrzy się sterta koców i poduszek, a na jednym z oparcí stoi słoiczek z lekarstwem. Nie może opanować pokusy, by przyjrzeć się mu bliżej. Tabletki na sen, zapisane przed niespełna miesiącem. Dziwne, o ile wie, tata nigdy nie miał problemów ze snem. Próbuje sobie przypomnieć, jak to było zaraz po Billym, ale pamięta tylko mamę. To wokół niej wszyscy chodzili na paluszkach. Mama nie była w stanie wyjść z łóżka i to ze względu na nią musieli mówić szeptem. Robili tak nawet kilka tygodni po tym, jak mamę przeniesiono do domu opieki. Za wszelką cenę miało się to tak właśnie nazywać – dom. W okolicy nie używano nigdy innej nazwy na ten typ instytucji. Szpital psychiatryczny.

Okno jest trochę uchylone, Veronica słyszy słaby dźwięk dochodzący z ogrodu. Wysokie topole, które rosną na jego obrzeżach, prawie się nie ruszają. Nawet dalej, na równinie, jest wyjątkowo bezwietrznie. Dźwięk, który przed chwilą usłyszała, powtarza się, jest teraz trochę głośniejszy. Metalowe narzędzie, które uderza w ziemię i kamień.

Wraca do kuchni, otwiera kuchenne wejście i idzie w kierunku podwyższonego tarasu, który biegnie wzdłuż tylnej ściany domu. Zostawia drzwi uchylone, żeby dać plujce ostatnią szansę wydostania się na wolność.

Widzi stąd większą część ogrodu. Dziko rosnąca trawa, drzewa owocowe, domek, który zbudowali razem z Mattiasem i wydrążony wiąz, o którym mówił blondyn na terapii grupowej. W dalszym ciągu trudno jest jej o nim myśleć jako o Isaku, ale nie jest też gotowa, by nazywać go inaczej.

Za drzewami owocowymi są zarośla, które ciągną się aż po krańce ogrodu, a za nimi – jak się domyśla – leżą pola kukurydzy. Na horyzoncie widać białe wierzchołki władców wiatru, tych najpierwszych we wsi, które wujek Harald kazał postawić ledwie kilka miesięcy po zaginięciu Billy’ego. Schodzi z tarasu, by ich nie widzieć.

Na prawo znajduje się otoczony murem ogród różany. Ogród wychodzi na południe i jeśli dobrze sobie przypomina, to pradziadek założył go jako ogród kuchenny. Tata go potem rozbudował

i przerobił wiosną po ślubie z mamą. Postawił wybielony murek, żeby go lepiej chronił przed wiatrami wiejącymi z równiny. Zbudował inspekty i altanę, dołożył kamienne ganki i na koniec zasadził różane krzewy – jako spóźniony prezent na rozpoczęcie małżeństwa. Mama kochała róże. W ten sposób miała je widzieć i czuć ich zapach zaraz po otwarciu okien sypialni.

Veronica lubiła tę historię. Myślała o tym, że ogród różany symbolizował miłość taty do mamy. Po zaginięciu Billy’ego i śmierci mamy ogród stał się dla taty miejscem schronienia. Kryjówką. Może będzie mogła to teraz zmienić?

Drewniana furtka w dłuższym boku muru jest zamknięta, ale dochodzą stamtąd dźwięki, a klamka znajduje się w innej pozycji, niż powinna. Uchyła drzwi i zagląda do środka. Uderza ją zapach róż, tak ciężki, że aż przystaje. Właśnie tak pachniała sypialnia mamy.

Spoza wysokich murów okalających ogród nie widać zaniedbanej pozostałej części obejścia. W prościutkich rabatach rosną dobrze przycięte róże, które wspinają się po murku albo są podtrzymywane przez metalowe podpórki. Nie ma żadnych chwastów wyrastających między płytami na ganku, a na krótszym boku ogrodu, obok domu, stoi altana, prawie całkowicie zanurzona w doskonałej, dobrze utrzymanej zieleni. Domek nie ma dachu, tylko kilka poprzecznych belek, wokół których gęsto wiją się róże.

Za altaną, w narożniku pod oknem sypialni mamy, Veronica dostrzega tatę pełzającego na czworakach. Wczołgał się prawie do połowy pod jeden z największych krzewów w ogrodzie.

Stoi w ciszy i obserwuje go przez kilka sekund. Jej ojciec ma dopiero pięćdziesiąt osiem lat, ale jego ruchy od pogrzebu mamy są zwykle powściągliwe, powolne, jakby wiązały się z wielkim wysiłkiem. Teraz porusza się jednak szybko, prawie zręcznie. Jego ręce w ogrodowych rękawicach wysuwają się w przód i cofają, wrywają drobne chwasty i wrzucają je do wiadra, które ma przy sobie. Przeciąga grabkami po grubym żwirze. Wyrównuje każdą fałdę, aż kamienie leżą doskonale. Są równie białe jak kreda i błyszczące, podobnie jak róże nad jego głową.

Veronica rozwiera szerzej furtkę, robi krok w głąb ogrodu i otwiera usta, by go zawołać, lecz uprzedza ją jeden z żelaznych zawiasów,

który wydaje głośne skrzyknięcie.

Nagły dźwięk powoduje, że tata energicznie się odwraca. Oczy ma szeroko otwarte, ale wyraz zdumienia znika z jego twarzy w tej samej chwili, w której pojmuje, że to ona. Zmienia się w łagodny uśmiech, tak dobrze jej znany.

– Cześć, Vera, jesteś już? Nie miałaś być raczej po południu?

Podnosi się na kolana, a potem z pewnym wysiłkiem staje na nogach. Strząsa ziemię ze spodni i idzie jej na spotkanie małym gankiem. Jego ruchy znowu są ciężkie i pełne wysiłku.

– Jest prawie druga – mówi Veronica, obejmuje tatę i całuje go w policzek. Tata pachnie ziemią, wodą po goleniu i jeszcze czymś, co ją niepokoi. Może jest to zapach starego mężczyzny.

– Oj, chyba straciłem poczucie czasu. Jadłaś czy mam coś ugotować?

– Nie, dziękuję, wystarczy filiżanka kawy – odpowiada Veronica, a jej dialekt, jak zwykle, zmienia się, choć ona wcale o tym nie myśli.

Tata obejmuje ją ramieniem i ostrożnie prowadzi w stronę furtki. Ale ona jeszcze nie ma ochoty opuszczać ogrodu. Staje przed rosnącym tuż przy altanie krzewem obsypanym błyszczącymi różami, którego zieleń wije się wokół poprzecznych belek altany.

– Jak ten krzew wypiękniał – mówi. – I urósł.

Patrzy na małą mosiężną tabliczkę, wbitą w ziemię przed krzewem. „Magdalena”. Róża należąca wyłącznie do mamy, którą tata wyhodował. Którą pielęgnował przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Ta biała również jest piękna – dodaje.

Wskazuje na wielki krzew, który tata przed chwilą gorliwie opiełał. Wie, że jest dumny ze swego ogrodu, i pochwały są prostym i w pełni akceptowanym sposobem na poprawienie mu humoru.

– Ta również jest twoja, prawda?

– Mhm – przytakuje tata z zadowoleniem.

Wyczuwała jego smutek z dużej odległości, była w stanie go poczuć już od furtki, może nawet jeszcze będąc za murem. Nie jest on jednak dla niej żadnym źródłem energii, bo jego smutek jest również jej smutkiem. Tata pozwolił, by smutek stał się całą jego egzystencją. Ukrył go za murami ogrodu, gdzie czule i starannie go

pielęgnuje, tak jak różę. Ona sama preferuje smutek innych ludzi.

Od razu zauważa, że brak jej terapii grupowej. Jest to pewnego rodzaju abstynencja, którą odczuwa wyraźniej, gdy stoi obok taty i wdycha zapach róż. Odwraca wzrok, zamyka oczy, próbuje pozbyć się tego uczucia. Jego ręka niezdarnie dotyka jej pleców. To pomaga, przynajmniej trochę. Otwiera oczy, kładzie głowę na ramieniu taty i obserwuje go, trochę ukradkiem.

On zachowuje się jak zwykle. Mimo to było coś dziwnego w jego twarzy, gdy się odwrócił, na chwilę przed tym, zanim zrozumiał, że to ona stoi w furtce. Veronica nie może sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej widziała taki wyraz jego twarzy, ale dopuszcza też możliwość, że to cienie pod krzakiem splątały jej figła.

Zaczynają iść w stronę domu, a gdy są już na miejscu, przy drzwiach kuchennych, prawie zdołała przekonać samą siebie, że tak właśnie jest. Że to było tylko złudzenie, wytwór jej mózgu.

Bo gdyby nie wiedziała lepiej, sądziłaby, że ujrzała w jego oczach strach.

Lato 1983

Månsson dotrwał do deseru bez wspomniania o sprawie Billy'ego. Pochłoniął trzy porcje dorsza, słuchając uważnie, kiedy Malin i Johan opowiadali o dniu w szkole. Udało mu się nawet zadać kilka uprzejmych pytań. Telefon, który parę dni wcześniej odważył się włączyć, nie dzwonił.

Był to w sumie wspaniały wieczór, chociaż Månsson życzyłby sobie, aby Jakob okazał się trochę bardziej rozmowny. Próbował ostrożnie wysondować, czy koledzy mniej dokuczają jego synowi, odkąd Tom Rooth siedzi na dołku, ale nie uzyskał wyraźnej odpowiedzi.

Jakob miał wkrótce skończyć czternaście lat, a w tym wieku raczej nie przejawia się skłonności do zwierzania się rodzicom. Månsson uważał jednak, że stara się być dobrym ojcem. Kupował chipsy i colę, kiedy wieczorami Jakob grał z kolegami w gry w pokoju zabaw urządzonym w piwnicy. Starał się doceniać monotonną, mechaniczną muzykę, której chłopak słuchał, i nie dopytywał się, po co mu ten cienki, długi kosmyk włosów na karku. Mimo to, gdy próbował porozmawiać z Jakobem, chłopiec wznosił oczy w górę i odpowiadał niewyraźnymi mruknięciami. Dowiedział się od Malin, że po zakończeniu sezonu Jakob przestanie grać w piłkę nożną. Dla Månssona było to rozczarowaniem, zwłaszcza że trenował szkolną drużynę piłkarską. Zastanawiał się, co się stało z małym chłopczykiem, który zabierał do łóżka pistolet zabawkę i chciał łapać przestępców tak jak tata; teraz żałował, że nie skorzystał lepiej z tamtych lat.

Tego wieczoru Månsson nie chciał jednak rozważać swoich ojcowskich niedociągnięć. Cieszył się z tego, że nareszcie może spędzić kilka spokojnych chwil z rodziną.

– Jak wam idzie? – spytała Malin, gdy chłopcy odstawili talerzyki deserowe i usiedli w salonie przed telewizorem.

– Dobrze. Czekamy na wyniki badań próbek z pompowni i z samochodu Rootha, ale to właściwie formalność. Mamy sprawcę.

Månsson uświadomił sobie, że powtórzył słowa Burga albo Borga. Myślał teraz z większą sympatią o swoich kolegach z miasta. Odczuwał też coś w rodzaju niechętnego szacunku dla nich, odkąd postanowili, że nie będą namawiać nadkomisarza, aby przeniósł Rootha do aresztu wojewódzkiego; Månsson był pewien, że będą zabiegać o przewiezienie podejrzanego, by zabrać go spod władzy prowincjonalnej policji i zebrać laury za rozwiązanie sprawy.

– Rooth prawdopodobnie miał zamiar szantażować Aronssona – podjął. – Chciał wymusić rekompensatę za utratę prawa do polowania i inne sprawy, w których jego zdaniem Aronsson go oszukał. Coś jednak poszło nie tak i mały Billy umarł. Przypuszczam, że zwłoki są zakopane gdzieś w lesie za pompownią. Ciągłe ich szukamy.

– A Rooth dalej się nie przyznaje? – Malin nałożyła na jego talerzyk jeszcze jedną gruszkę w czekoladzie.

Månsson pokręcił głową.

– Myślę, że nigdy się nie przyzna.

– Dlaczego?

– Dlatego, że pewne zbrodnie są tak ohydne, że sprawca się do nich nie przyznaje, chociaż są niezbite dowody jego winy. Nie robi tego z dwóch powodów. – Odłożył łyżeczkę i uniósł wskazujący palec, tak jak to zrobił Burg, kiedy wyjaśniał mu to zagadnienie. – Po pierwsze, jeżeli ktoś przyznaje się do czegoś tak potwornego, jak zamordowanie dziecka, to przyznaje jednocześnie, że jest potwornym człowiekiem. Złym człowiekiem. Jego krewni i przyjaciele nie mają innego wyboru, jak tylko odciąć się od niego i zerwać z nim wszelkie kontakty. Taki człowiek w jednej chwili traci resztki sympatii, które inni jeszcze dla niego mieli.

– Ale krewni i znajomi i tak poznają dowody zbrodni. Jeżeli sąd uznaje kogoś za winnego, to na ogół ten człowiek jest winny.

– Tak, ale tu chodzi o uczucia, nie o logikę. Bardzo trudno jest zrozumieć, że ktoś, kogo się dobrze zna, czasem nawet ktoś, z kim ma się dzieci, był w stanie popełnić coś tak potwornego, że można było zadawać się z kimś takim, żyć z nim pod jednym dachem

i niczego nie zauważyć. – Sięgnął po kubek i wypił łyk kawy.
– Dopóki nie ma przyznania się do winy, można sobie wmawiać, że wyrok był niesłuszny. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– Mhm. – Malin nalala sobie kawy. – To rozumowanie opiera się na tym, że w powszechnym mniemaniu ludzie są albo dobrzy, albo na wskroś źli, że nie można być jednocześnie dobrym przyjacielem, dobrym mężem i przestępcą. A to przecież jest możliwe.
– Zabrzmiało to trochę jak stwierdzenie, trochę jak pytanie.
– Złodziej może być kochającym ojcem. Morderca może być lojalnym przyjacielem.

– Pewnie, że tak. – Månsson skinął głową.

– W każdym razie to chyba nie strach przed utratą bliskich powstrzymuje Rootha przed przyznaniem się do winy? – Malin lekko uniosła jedną brew. – On przecież nie ma przyjaciół ani prawie żadnych krewnych, którzy by go wspierali. Pół wsi uważało go za winnego, zanim go zaarrestowaliście.

– Zgadza się – potwierdził Månsson. – Rooth należy do drugiej kategorii.

– To znaczy? – spytała Malin, zanim zdążył unieść palec.

– To znaczy, że zbrodnia, o którą jest podejrzany, jest tak straszna, że nie potrafi przyznać się do niej nawet przed samym sobą. Tak się często dzieje z ludźmi, którzy mają przesadnie wysoką samoocenę, takimi jak Rooth.

Malin postawiła kubek z kawą na stole.

– Chcesz powiedzieć, że niezależnie od wszelkich dowodów, jakie przedstawię, Rooth nigdy nie powie, co zrobił z Billym Nilssonem, bo wtedy musiałby przyznać się sam przed sobą, że jest zwyrodnialcem, który zamordował dziecko?

Månsson skinął głową. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w tej chwili do kuchni wszedł Jakob. Trzymał w ręku pustą salaterkę i lekko nią kołysał.

– Są jeszcze chipsy? – spytał.

– W kredensie – odparła Malin. – Weź też dla Johana, dobrze?

Jakob wymamrotał coś w odpowiedzi. Månsson popatrzył na plecy syna i nagle postanowił go o coś zapytać.

– Jakob?

– Mmm?

– Znasz rodzeństwo Nilssonów? Mattiasa i Verę?

Jakob dalej szperał w kredensie. Odwrócił się po kilku sekundach.

– A co?

Månsson walczył ze sobą, aby nie dać się sprowokować niemiłym tonem głosu syna. Jakob przez chwilę arogancko patrzył mu w oczy, ale po chwili ustąpił.

– Wiem, jak wyglądają, ale się z nimi nie kumpluję, jeżeli o to ci chodzi – powiedział.

– Jacy oni są?

Jakob wzruszył ramionami.

– Mattias to taki maniak sportu.

– Aha. A Vera?

Kolejne wzruszenie ramion, tym razem jakby wyrażające zakłopotanie.

– Co: Vera?

– Jaka ona jest?

Jakob trochę się skrzywił.

– Dość wyraźnie ją widać i słyszać. Serial za chwilę się zaczyna, nie chcę...

Niezdecydowanie postąpił krok w stronę drzwi.

– Czy Vera jest lubiana w szkole? – ciągnął Månsson.

Jakob zatrzymał się na progu.

– Przez dziewczyny nie. – Znów trochę się skrzywił. – Ale chłopaki ją lubią.

Kochanie,

wyjedziemy stąd, gdy skończy się lato. Obiecałeś mi to dawno temu, pamiętasz? Obiecałeś, że będziemy ze sobą na zawsze. Tylko Ty i ja.

Wiem, że czasem spotykasz się z innymi kobietami. Czuję ich zapach na Twojej skórze. To nie ma żadnego znaczenia. W każdym razie usiłuję to sobie wmawiać, ale przychodzi mi to z coraz większym trudem. Nie przychodzisz już tak często w nasze umówione miejsce i coraz rzadziej zdarza mi się wsiadać do twojego samochodu. Jesteś mną znużony? Nie chcę w to wierzyć. Ty nie jesteś taki. A może jesteś? Może wszystko to było jedną wielką pomyłką?

– Vera! Vee-raa!

Budzi ją głos mamy. Veronica siada natychmiast, w pół oddechu. Przez kilka chwil rozgląda się wokół siebie, zdezorientowana. Serce łomocze z radości, z tęsknoty. Następnie dogania je mózg. Znajduje się najpewniej w pokoju, który był dawniej jej i Mattiasa. Ale nie jest już dzieckiem. A zimą minie dwudziesta rocznica śmierci mamy.

Wcześniej długo siedziała z tatą w kuchni. Próbowwała zdobyć się na pokazanie mu symulacji komputerowej i opowiedzenie o swoich wnioskach na temat blondyna. Jednak z miejsca opuściła ją odwaga, wymieniali więc mnóstwo pustych zdań o niczym. O letnim upale, o żniwach, o tym, jak długo trwała jej podróż. Byli jak dwoje narciarzy, usiłujących ostrożnie się wyminąć. Posuwali się krótkimi, ostrożnymi krokami, żeby nie skruszyć cienkiego lodu, który dzieli ich od zimnej, czarnej głębin.

Gdy tata zaproponował, żeby poszła na górę i trochę odpoczęła po podróży, a on w tym czasie pojedzie do sklepu i kupi coś na kolację, chętnie się zgodziła. Wmówiła sobie, że lepiej będzie, jeśli porozmawiają wieczorem, gdy oboje zdążą do siebie przywyknąć.

Nie ma pojęcia, jak długo spała. Na starym radiu z zegarem wyświetlają się dwa podwójne zera. Zastanawia się, czy powinna spróbować nastawić zegar, ale uświadamia sobie, że zapomniała, jak się to robi. Wszystko w pokoju wygląda jak zawsze, jest tylko mniejsze i smutniejsze, podobnie jak we wsi. Zakurzony model samolotu Mattiasa ciągle stoi na półce, a ponad nim, przy listwie sufitowej, wybrzusza się trochę tapeta. Plakat, który kiedyś, w połowie lat osiemdziesiątych, przykleiła nad biurkiem i nigdy nie zdobyła się na to, by go zdjąć, wyblakł, a jeden z jego górnych narożników smętnie zwisa.

Po przyjsciu na świat Billy'ego dzieliła łóżko piętrowe z Mattiasem. Zostało tak na lata po tym, jak Billy zaginął, mimo że jej stary pokój był znowu wolny. Nikt nie zaproponował czegoś innego, ani tata, ani Mattias, ani ona sama. Później, gdy Mattias

zaczął naukę w Wyższej Szkole Policynnej, łóżko piętrowe i pokój przeszły na jej własność, poza tymi weekendami, w których przyjeżdżał do domu. Chociaż trzeba uczciwie przyznać, że wówczas najczęściej spał u Cecylii, co jest jeszcze jednym powodem, dla którego ona nie cierpi tej głupiej krowy.

Próbowała otworzyć drzwi do pokoju Billy'ego i sypialni mamy. Są zamknięte, jak zawsze. Tata przeniósł się na skórzaną kanapę w biurze tej samej nocy, kiedy zaginął Billy, bo mama potrzebowała ciszy i spokoju. Dwadzieścia lat później wciąż przebywa na dole, a drzwi do obu pokoi są nadal zamknięte. Ona sama również nie była w żadnym z nich od tamtego czasu. Przed pojawieniem się blondyna nigdy nie myślała o tych pokojach, nawet podczas swoich wizyt w domu. Zastanawia się, jak teraz wyglądają. Czy tak jak w jej wspomnieniach i czy blondyn rozpoznałby je, gdyby je zobaczył?

Przekłada nogi przez krawędź łóżka, wyjmując symulację komputerową z bocznej kieszeni swojej torby. Być może odzyskała rozsądek, bo dostrzega więcej różnic między symulacją a twarzą blondyna. A może szuka tylko wystarczającego usprawiedliwienia tego, że wciąż nic nie powiedziała tacie. Jej niepewność wzmacnia cisza panująca w domu. Odbija się echem w korytarzu o zamknięte na klucz drzwi.

Odgłos silnika samochodu przerywa jej myśli. Tata wrócił ze sklepu. Veronica słyszy, jak otwiera drzwi i stuka czymś w kuchni.

– Za pół godziny będzie coś do zjedzenia! – woła.

Mattias zjawia się w sam raz na kolację. Tym razem przyjeżdża samochodem i – co ją bardzo cieszy – bez żony i dzieci. Jego obecność czyni wszystko trudniejszym, więc Veronica decyduje się przesunąć rozmowę z tatą na jutro.

Niedużo czasu potrzebuje, by się zorientować, że Mattias i tata dość często jedzą razem kolację, tylko we dwóch. Dowiaduje się, że Mattias czasami nawet nocuje u taty, co tłumaczy obecność zwiniętego wojskowego śpiwora, który leży na łóżku polowym w ich dawnym pokoju.

Jedzą przy dużym dębowym stole, przy którym zmieściłoby się sześć osób. Mimo to siedzą niepotrzebnie ściśnięci przy krótszym boku stołu, tak jakby uczepiali się siebie za wszelką cenę, byleby

uniknąć pustej przestrzeni wokół reszty mebla. Ponad lampą zwisa spiralna łąпка na muchy. Wygląda na nową, pewnie to jedyna rzecz tutaj, którą się wymienia. Poplamiona drewniana podłoga, dywanik ze skrawków materiałów, pożółkła tapeta, lufciki kuchenne, które powinny zostać odmalowane już wiele lat temu – wszystko jest do siebie podobne. Plujka, która wcześniej próbowała wylecieć przez okno, tkwi na brunatnym papierze łąпки na muchy; w każdym razie Veronica myśli, że to ta sama mucha. Zielono-czarny owad przestał się ruszać.

W połowie filiżanki kawy zmienia zdanie. Może to koniak, którym częstuje tata, przywrócił jej odwagę.

– Śniła mi się mama – zaczyna i czuje nerwowość w gardle.

– Aha. – Głos taty brzmi jak zwykle wyczekująco.

– Często rozmawiam o niej z jedną z moich grup. Terapia po stracie. Jest tam mężczyzna, mniej więcej dwudziestopięcioletni. Blondyn, niebieskie oczy.

– Vera... – Mattias świdruje ją rozgniewanym spojrzeniem, ale ona odwraca wzrok.

– Ten mężczyzna mówi, że ma na imię Isak. Opowiada o swoich wspomnieniach z okresu dzieciństwa. Pięcioletni chłopiec, który pewnego dnia znika, ogród z domkiem na drzewie i zmurszały wiąz...

Tata spogląda w górę. Jego spojrzenie staje się czujniejsze. Ma się bardziej na baczności.

– Wszystko wydaje się zgadzać – ciągnie Veronica. – A potem zobaczyłam to.

Sięga ręką do bocznej kieszeni, czuje gorąco na policzkach.

– No wiesz, Vera...

Mattias jest teraz wściekły, ale ciepła krew krąży szybko, a ona nie daje się powstrzymać.

– Patrzcie! – Z triumfem kładzie na stole symulację komputerową. Czeka, aż obaj zdążą przeczytać tekst i zrozumieć, co przedstawia zdjęcie.

– Ten mężczyzna, Isak, on tak właśnie wygląda. Prawie jak dwie

krople wody. On wygląda tak, jakby był Billym.

Zapada cisza. Tata wyciąga okulary do czytania z kieszonki koszuli na piersi i przysuwa do siebie zdjęcie. Veronica wciąż unika wzroku Mattiasa. Serce bębni jej o żebra. Patrzy na twarz taty, czeka na reakcję, która musi nastąpić. Próbuje ją sobie wyobrazić. Radość, żal, smutek, nawet złość. Ale nic się nie dzieje.

Po chwili, która wydaje się wiecznością, lecz w rzeczywistości nie mogła trwać więcej niż kilka sekund, tata zakrywa symulację.

– To nie jest twój młodszy brat – mówi tak nieoczekiwanie twardo, że oboje z Mattiasem aż się wzdrygają. – Billy nigdy nie wróci, Vera. Pogodziłem się z tym dawno temu. Sądziłem, że ty też.

Odprowadza Mattiasa do samochodu. Tata powiedział już „dobranoc” i zamknął się w biurze. Poświata telewizora migocze w szparze drzwi. Jej kroki robią się ciężkie z rozczarowania. Nawet jeśli wmówiła sobie, że to wszystko było dla taty, to w rzeczywistości zrobiła to w równym stopniu dla siebie samej.

Chciała być dobrą córką, która znalazła Billy’ego i raz na zawsze rozwiązała zagadkę. To było idiotyczne, teraz to widzi. Potrzeba więcej niż kilku rozmazanych wspomnień i jednej komputerowej symulacji twarzy, żeby można było zapanować nad smutkiem taty. Wie przecież o smutku tak dużo, że powinna była to zrozumieć i nawet nie myśleć o zbliżeniu się do niego, zanim nie uzyska pewnych dowodów. Zamiast tego pospieszyła się i tylko go rozżłościła.

Na zewnątrz zrobiło się już prawie zupełnie ciemno. Słowik śpiewa w kasztanowej alei. Dźwięk jest melancholijny, odbija się słabym echem od podniszczonych budynków. Mattias pochyla się nad maską jeepa, wyciąga pomarszczoną paczkę papierosów z kieszeni, częstuje ją i zapala papierosa ukrytego między zwiniętymi dłońmi.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– Też nie wiedziałem. – Mattias uśmiecha się szyderczo, wydmuchuje dym przez usta. – Obiecuj, że nie powiesz Cecilii.

– O paleniu?

Mattias obdarza ją długim spojrzeniem, ale nie podejmuje

wyzwania.

– Kiedy znalazłaś tę symulację? – odpowiada pytaniem.

– Jakiś tydzień temu. – Veronica usiłuje nadać głosowi niewzruszony ton.

– Kiedy chciałaś mi o tym opowiedzieć?

– Właśnie to zrobiłam.

Mattias wzrusza ramionami i tym razem nie ucieka wzrokiem. Przez kilka sekund bawią się w wybałuszanie oczu, potem Veronica zmienia taktykę.

– Myślisz o nim czasami? O Billym? Kim by się stał?

Mattias patrzy w bok, ten ruch oznacza akceptację.

– Musisz być ostrożna, Vera – mamrocze.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że nie możesz się tak zniecka pojawiać i poruszać tak wielu spraw.

– Jak to zniecka? – odpowiada opryskliwie. – To przecież ty zaproponowałaś, żebym pojechała do domu.

– Owszem, z okazji urodzin mamy. Ale nie po to, żebyś wyrzuciła z siebie, że wierzysz, że Billy żyje.

Veronica patrzy w bok, zaciąga się ze złością.

– Wiem, że masz dobre zamiary – ciągnie Mattias. – Musisz się tylko trochę powstrzymać. Nie wyciągać pochopnych wniosków, zanim zdążyliśmy zbadać sprawę bliżej. Czasami chce się tak bardzo, by coś było prawdą, że jest się ślepym na fakty.

Veronica świdruje go wzrokiem, rozważa, czy ma się na niego dalej gniewać. Ale jego głos nie brzmi teraz pouczająco, a poza tym użył liczby mnogiej. Zdążyliśmy, czyli on i ona.

Oboje zaciągają się dymem. Veronica nie może się nadziwić, że jej brat ukradkiem pali. Mattias jest najszczerzym człowiekiem, jakiego zna. Przynajmniej taki był kiedyś. Myśli o pudełku w swojej garderobie. Natychmiast sobie wyobraża, że to Mattias je otworzył. Ale dlaczego miałyby myszковать w jej rzeczach?

– Widziałam śpiwór w naszym pokoju – mówi, nie wiedząc właściwie, dlaczego to robi. Być może chce go ukarać, ale natychmiast żałuje swoich słów. – Jak źle jest? – ciągnie bardziej miękko głosem.

– Chodzimy z Cecilią na terapię rodzinną.

– Aha – mówi Veronica, co jest kompletnie idiotyczną odpowiedzią. Ale zauważa, że cieszy się z tego, iż Mattias zwierzył się jej ze swoich problemów. Zanim zdąża wymyślić lepszą odpowiedź, on zmienia pozycję ciała, rzuca niedopałek na ziemię i przydeptuje go.

– Idź i połów się teraz. Tata zaprosił na jutrzejszy wieczór wujka Haralda, Tess i Tima z okazji urodzin mamy. Przyjedziemy też z Cecilią i dziewczynkami. Zachowuj się spokojnie i nie wyciągaj sprawy Billy’ego, bardzo cię proszę. Obiecuję, że po weekendzie dowiem się, kim jest ten cały Isak. Okej?

Veronica przytakuje. Potem stoi spokojnie i patrzy, jak tylne światła jego samochodu znikają w ciemnej alei.

Co się robi, gdy uczyniło się wszystko, co w czyjejś mocy, a mimo to poniosło się klęskę? Jeśli nie jest się w stanie przekreślić wszystkiego, tylko uczepia się czegoś lub kogoś tak długo, aż to pozostaje jedyną rzeczą, którą się jeszcze ma i która utrzymuje kogoś na powierzchni?

Veronica chciałyby znać odpowiedzi na te pytania.

Leży w półśnie, znowu na piętrowym łóżku. Dom jest cichy i ciemny. Jedynym źródłem światła są cztery błyskające zera na radiowym zegarze. Przywodzą jej na myśli automatyczną sekretarkę w jej mieszkaniu, wiadomości, których ciągle nie usunęła.

Właściwie wie, dlaczego nie może odpuścić sobie Leona. Była przed nim w innych związkach, z innymi mężczyznami. W większości wypadków wiedziała z góry, że nie będą trwać dłużej niż kilka miesięcy. Czasami nawet krócej. A gdy się kończyły, to zawsze z jej inicjatywy. Związek z Leonem był inny. To była jej pierwsza próba stworzenia czegoś poważnego i rzeczywiście się starała, żeby ta relacja dobrze funkcjonowała. Może dlatego poszło źle? Bo dawała z siebie tak dużo, że potem niemożliwe było spuszczenie z tonu, mimo że było to ewidentnie złe dla nich obojga? I jeszcze bardziej palące pytanie: czy zaczyna się właśnie jej fascynacja blondynem w miejsce Leona? Najwyraźniej czuje do niego jakiś pociąg, być może zupełnie inny niż relacja łącząca brata i siostrę. Czy o to właśnie chodzi? Nowe zauroczenie.

Najbardziej ze wszystkiego chce wracać do Sztokholmu. Mieć już za sobą tę nieudaną wycieczkę i skoncentrować się na tym, co jest ważne. Na utrzymaniu pracy, nie na porzucaniu swej kruchej egzystencji, którą z mozołem budowała. Ale nie może teraz wyjechać, nie przed urodzinami mamy, co oznacza, że utkwiała tu aż do jutrzejszej kolacji. Tata powie, że nie jest dobrze jechać na noc, że powinna zostać do następnego ranka, ale nie będzie nalegał i próbował jej zatrzymać. Mattias również nie, sądząc po ich wcześniejszych rozmowach. Jej starszy brat się zmienił. Veronica

zastanawia się, czy myśli podobnie o niej. Czy on teraz w ogóle myśli o niej. Czy to „my” nie oznaczało kogoś innego niż jego i ją.

Zamyka oczy, bierze kilka oddechów. Jej myśli wędrują w dal, trafiają w końcu gdzieś między sen a jawę.

Patrz w górę, Vera. Patrz tylko w górę.

Znów jest z Mattiasem na drabinie. On za nią, wibracje ciepłego metalu. Kolory się zlewają, dźwięki zmieniają. Głos Mattiasa staje się głosem mamy. Głośnym, wzburzonym.

„Rozumiecie, co zrobiliście? Zabiliście pisklęta!”

„Wujek Harald mówi, że w lesie jest miejsce tylko dla jednego myśliwego. Że prawdziwy myśliwy nie...” Dłoń mamy trafia w policzek Mattiasa, potem w jego ciemność. Raz, dwa razy, trzy, więcej.

„Harald nie będzie decydował, co masz robić. On nie jest twoim tatą”.

Szloch Mattiasa staje się coraz głośniejszy. Veronica kurczy się w sobie, przygotowuje się. Ale zamiast wzburzonego oddechu mamy słyszy inny dźwięk. Głębokie rżenie, które przechodzi w huk.

Natychmiast się budzi. Ostatni dźwięk nie pochodził ze snu, tego jest pewna. Podnosi się ostrożnie i podchodzi do okna. Niebieskie noce, charakterystyczne dla wczesnego lata, zastąpiła głęboka ciemność sierpniowych nocy. Gwiazdziste niebo i księżyc, prawie w pełni. Roztacza srebrny blask, który sprawia, że wysokie topole rzucają długie cienie na trawnik w tylnej części ogrodu. Ponad ciemnymi polami błyskają czerwone oczy ostrzegawczych świateł władców wiatru.

Upłynęło wiele lat od dnia, kiedy ostatni raz tam była. Już przed zaginięciem Billy’ego ta część ogrodu była miejscem, którego najchętniej unikała. Na wpół obumarłe, ostre krzaki zostawiały swędzące rany albo chwyciły kosmyki włosów. A niekiedy można było tam znaleźć na ziemi fragmenty szkieletów. Resztki zwłok zwierząt, które pochowano tam dawno temu.

Dźwięk, który ją zbudził, nie powtarza się. Odchyła ostrożnie okno, ale słyszy jedynie świerszcze i słabe pohukiwanie sowy. Wraca więc do łóżka, gdy kątem oka dostrzega jakiś ruch. Szybko obraca głowę, ale wszystko, co zdążyła ujrzeć, to ruch wśród cieni.

Prawdopodobnie jakieś zwierzę. Sarna, która wślizgnęła się do ogrodu, by zjeść trochę spadów owocowych. Albo ktoś o rudym futrze, z czarnym nosem i ostrymi zębami, kto lubi kopać w poszukiwaniu starych kości.

Nagle słyszy nowy dźwięk. Słabe zgrzytanie, które brzmi podobnie do wcześniejszego. Żelazne zawiasy w furtce ogrodu różanego. Zmienia pozycję, próbuje zobaczyć większy fragment ogrodu. Z wnętrza okiennej, w której stoi, widać tylko małą część białego muru. Wie, że z pokoju Billy'ego, a już na pewno z sypialni mamy miałyby znacznie lepszy widok, więc idzie tam i dotyka drzwi, chociaż jest pewna, że są zamknięte. Zatrzymuje się na kilka sekund w górnej części korytarza. Zegar na ścianie pokazuje kwadrans po drugiej.

Nie zapalając żadnej lampy, idzie schodami w dół i ostrożnie puka do drzwi biura. Szczelina pod drzwiami jest ciemna.

– Tato, nie śpisz?

Brak odpowiedzi. Próbuje jeszcze raz, trochę mocniej i głośniej.

– Tato, myślę, że ktoś jest w ogrodzie różanym.

W dalszym ciągu brak odpowiedzi. Puka po raz trzeci, następnie próbuje otworzyć drzwi i odkrywa ku swemu zdumieniu, że również są zamknięte na klucz. Z pokoju nie dochodzi żaden dźwięk. Tata zapewne wziął tabletki nasenne i śpi tak głęboko, że jej nie słyszy. Ale dlaczego zamknął drzwi na klucz? Myśli o przestachu, malującym się wcześniej na jego twarzy. Zewnętrzne drzwi domu były – co niezwykle – zamknięte, a teraz zamknięte są także drzwi do biura.

Przemyka do kuchni, szuka okna, z którego mogłaby lepiej dojrzeć mur ogrodu różanego. Kilka sekund trwa, zanim jej oczy przywykną do dziwnego światła na zewnątrz. Wtedy zauważa, że furtka jest uchylona.

Serce bije ciężko. Ktoś jest na zewnątrz, ktoś, kto właśnie wślizgnął się do ogrodu różanego. Intruz, tak samo jak w jej mieszkaniu. Uczucie z poprzedniego dnia powraca. Bezsilność, że nie może się bronić. Chce wracać biegiem do swojego pokoju, zamknąć drzwi na klucz i zadzwonić do Mattiasa. Ukryć się pod kołdrą do czasu, aż niebezpieczeństwo minie, tak jak wtedy, gdy była dzieckiem. Ale co

zrobi, gdy intruz zdecyduje się wejść do domu?

Nagle przypomina sobie o czymś, co jest odpowiedzią na to pytanie. Drepcze do korytarza i otwiera komórkę pod schodami. Usuwa luźną deskę w panelu i wkłada ramię do otworu. Przez chwilę szuka po omacku, niczego nie znajdując; czuje się zagrożona, bo stoi odwrócona plecami do ciemnego korytarza.

Wyciąga ramię jeszcze bardziej, tak daleko, że aż trzeszczy jej w stawach. Czuje słaby zapach smaru do broni, a potem ulgę, gdy palce dotykają drewna i zimnego metalu.

Wydobywa dubeltówkę z kryjówki i umiejętnie przełamuje lufy. Komory są puste, ale na regale przy ścianie komórki znajduje dwa śrutowe naboje w nawoskowanym pożółkłym papierze. Naboje są wytworem domowej produkcji dziadka, jeden stawia opór i Veronica musi wcisnąć go na właściwie miejsce. Broń należała do mamy, co oznacza, że tata pozostawił ją nietkniętą. Poza tym tata nie cierpi broni. Nawet nie potrafi się przemóc, by jej dotknąć.

Składa dubeltówkę, opiera kolbę na ramieniu i wygląda na korytarz. Strach znika, zastępuje go coś zupełnie innego: poczucie bezpieczeństwa i władzy, kontroli. To wujek Harald nauczył ją posługiwać się bronią. Jak oddychać, jak ją obejmować – nie ścisnąć – do strzału. Żałuje, że wczoraj wieczorem nie miała broni. Wtedy nie dałaby się wypędzić z domu strachowi. Nigdy w życiu!

Opuszcza dubeltówkę, sprawdza, czy jest zabezpieczona. Następnie przemyka do drzwi biura i puka jeszcze raz. Nadal są zamknięte na klucz.

Tak cicho, jak to tylko możliwe, idzie z powrotem do kuchni, staje i przysłuchuje się. Furtka do ogrodu różanego wciąż jest uchylona.

Pojawia się inne uczucie, tak silne, że aż krew łomocze w jej skroniach. Złość. Ktoś jest w ogrodzie różanym, ktoś, kto włamał się do domu taty. Może zdarzyło się to już wcześniej, co by tłumaczyło, dlaczego tata zamyka na klucz wszystkie drzwi. Musi brać tabletki, żeby zasnąć. Boi się.

Złość jest coraz większa. Zwykle w takiej sytuacji pomyślałaby o swoim terapeutce, użyłaby jednego z narzędzi, które trochę-zawysoki Bengt dał jej, żeby mogła się opanować. Zamiast tego decyduje się obrócić złość na swoją korzyść.

Bierze głęboki wdech i wychodzi na zewnątrz. Nocne powietrze jest wilgotne i przesycone zapachami późnego lata. Ma na sobie tylko spodnie od piżamy i koszulę i właściwie powinna marznąć. Ale adrenalina ogrzewa jej krew i wyostrza zmysły.

Wydaje jej się, że słyszy słaby dźwięk dobiegający z drugiej strony muru ogrodu różanego. Ktoś jest w środku, jest tego pewna. Ale tym razem to ona jest myśliwym, to ona – po raz pierwszy od dawna – ma kontrolę.

Jeszcze mocniej dociska kolbę do ramienia, kciuk ślizga się po bezpieczniku. Utrzymuje spojrzenie nad lufami, dokładnie tak, jak ją uczył wujek Harald. Jest boso, porusza się prawie bezszelestnie, schodząc schodkami z tarasu, idąc żwirowym gankiem i dalej, ku furtce ogrodu różanego.

Lato 1983

Månsson zrozumiał, że policjanci z Malmö nabili go w butelkę. Po decyzji sądu rejonowego o aresztowaniu Toma Rootha podejrzany powinien być pozostać w miejskim areszcie, a nie zostać przetransportowany z powrotem do Reftinge. To, co Månsson uważał za przejaw uprzejmości Burga i Borga, w istocie było ich metodą asekuracji. Nie chodziło bynajmniej o to, kto zbierze pochwały za rozwiązanie sprawy, lecz o to, by policjanci z komendy wojewódzkiej mieli pewność, że nikt się do nich nie przyczepi, gdyby wbrew oczekiwaniom nie udało się znaleźć dowodów, które w wystarczającym stopniu potwierdzałyby winę Rootha.

A teraz Månsson siedział tu sam, z żołądkiem wypełnionym kwasami i z bardzo kłopotliwym podejrzany zamkniętym w celi oddalonej o kilkanaście metrów od jego biura.

Rozerwał dwie torebki proszku przeciw nadkwasocie i wsypał ich zawartość do szklanki z wodą.

Przez ostatnie noce miał koszmary, w których pojawiał się budynek pompowni. Tom Rooth zawiózł tam Billy'ego i trzymał go przykutego do tego obrzydliwego łóżka; Månsson był tego pewien. Jednak nie znaleźli żadnych śladów chłopca, chociaż szukali przez cały tydzień. Sprowadzili cztery psy policyjne, korzystali z pomocy mnóstwa wolontariuszy, dokładnie przeczesali najpierw pobliski las, potem okoliczne pola. Las Północny rósł na wzgórzu, które zajmowało obszar o powierzchni ponad piętnastu kilometrów kwadratowych. Był on pocięty korytami strumieni, urwiskami i wąwozami, można tam było natrafić na miejsca, w których świerki rosły tak gęsto, że słońce nie docierało do dna lasu. Rooth znał te tereny jak własną kieszeń. Wiedział, gdzie można ukryć zwłoki tak, aby nikt ich nigdy nie odnalazł.

Analiza śladów krwi z pompowni i z samochodu Rootha też nie dała jednoznacznych odpowiedzi. Okazało się, że była to mieszanina

krwi wielu gatunków zwierząt. Technicy laboratoryjni nie mogli ani potwierdzić, ani wykluczyć obecności krwi ludzkiej. Laila ze stacji benzynowej, która widziała, jak Rooth próbował wywabić Billy'ego z samochodu, obstawała wprawdzie przy swoim, ale obserwowała tę scenę ze sporej odległości; prokurator miał coraz większe wątpliwości co do tego, czy sąd uwierzy, że osobą, która wówczas rozmawiała z Billym, naprawdę był Tom Rooth.

Prokurator Hammarlund, policjanci z miasta i, prawdopodobnie, również sędziowie rejonowi nie rozumieli, że tu, na wsi, ludzie byli przyzwyczajeni do patrzenia na siebie z dużej odległości. Rozpoznawali się nawzajem po sylwetkach, sposobie chodzenia, ubraniach i samochodach, nie tylko po rysach twarzy. Niestety, nie warto było nawet próbować tego tłumaczyć. Epizod na stacji benzynowej był tylko poszlaką, a nie niezbitym dowodem winy Rootha.

Rooth nadal twierdził, że nigdy nie tknął Billy'ego; poza tym nie mówił nic, mimo że Borg i Burg maglowali go po kilka godzin dziennie. Obaj policjanci coraz bardziej podnosili głos i coraz mocniej się pocili, podczas gdy Rooth siedział cicho na krześle w pokoju przesłuchań, z adwokatem przy boku i aroganckim uśmiechem na ustach. Całkowicie znikło wrażenie lęku, które pojawiło się na jego twarzy przez krótką chwilę podczas pierwszego przesłuchania, a potem jeszcze raz, gdy Aronsson zaglądał do jego celi. Czego Rooth miałby się bać?

Adwokat, przydzielony Roothowi przez sąd, podczas ich ostatniego spotkania bardzo zdecydowanym tonem wyliczył Månssonowi wszystkie oczywiste braki w wynikach dochodzenia: nie było zwłok, nie było dowodów rzeczowych, nie było świadków. Nie było niczego, co potwierdzałoby podejrzenia i mogłoby skłonić sąd do dalszego przetrzymywania Rootha w areszcie.

Przesłane telefaksem pismo, które sekretarka Brita przed chwilą położyła na biurku Månssona, wskazywało na to, że prokurator podziela opinię adwokata.

Na podstawie decyzji prokuratora rejonowego J. Hammarlunda, podjętej dnia dzisiejszego o godz. 17.12, Tom Rooth, ur. 21.10.1947, zostaje zwolniony z aresztu w trybie natychmiastowym.

Månsson wychylił szklanę z rozpuszczonym lekarstwem na zgagę, rozlewając trochę na koszulę. Życzyłyby sobie, aby płyn zawierał kilkadziesiąt procent alkoholu.

Kierował tą sprawą, Borg i Burg o to zadbali. To on musiał teraz wypuścić na wolność zabójcę dziecka. Rooth pozostawał wprawdzie podejrzanym, a dochodzenie miało się toczyć jeszcze przez kilka tygodni albo nawet miesięcy. Policja będzie brała pod uwagę wszystkie możliwości, będzie otwarta na wszelkie tropy... a on będzie musiał to powiedzieć rodzinie i dziennikarzom. Już teraz wiedział, że nie zabrzmi to przekonująco. Wszyscy zainteresowani przewidzieli taki rozwój wypadków. Tom Rooth wyjdzie na wolność, a Nilssonowie nigdy się nie dowiedzą, co się stało z małym Billym.

Månsson przymknął oczy i z trudem przełknął ślinę. Czuł, jak lekarstwo i zgaga toczą walkę w przełyku. *Kurrrrwa mać!*

Z wysiłkiem podniósł się z krzesła. Otworzył drzwi i rzucił szybkie spojrzenie w stronę recepcji. Nadeszła już pora, aby skończyć pracę i zamknąć komisariat, ale obie sekretarki najwyraźniej nie zbierały się do wyjścia; rozmawiały szeptem z dwoma policjantami. Ich miny i gesty zdradzały, że Brita zdążyła poinformować personel o treści pisma z prokuratury.

Månsson odwrócił się i ruszył w stronę aresztu, czując na karku spojrzenia podwładnych.

Dubeltówka nie jest skomplikowaną bronią. Dwie proste lufy, dwa naboje. Nie trzeba długo mierzyć do celu, wystarczy szybko wycelować i nacisnąć spust. Jeśli cel znajduje się w odległości maksimum dziesięciu metrów, bardziej prawdopodobne jest, że się trafi, niż że się chybi. I w przeciwieństwie do broni kulowej nie jest ważne, w które miejsce na ciele się trafi. Spadek ciśnienia krwi, który następuje na skutek strzału, powoduje, że serce zatrzymuje się natychmiast, a zwierzę ginie bardziej z powodu szoku niż zranienia.

Słowa wujka Haralda odbijają się echem w tyle głowy Veroniki, gdy ostrożnie zagłąda przez szparę między drewnianą ramą a otwartą furtką. Dźwięk, który słyszała wcześniej, jest teraz jeszcze wyraźniejszy, ale szczelina jest zbyt mała, by mogła się zorientować, skąd dochodzi.

Bierze głęboki oddech i prześlizguje się przez otwór. Pilnuje, by nie dotknąć furtki i nie spowodować skrzypnięcia zawiasów. Gdy jest już w środku, odpycha się plecami od muru i biegnie z bronią przez ogród różany. Panuje w nim spokój. Jedyne ruchy, które wyczuwa, pochodzą od dzwonek wietrznych, które wiszą u jednej z belek u góry altany i wydają z siebie delikatne stalowe tony. Z wyjątkiem głębokich cieni pod dużymi krzewami altana przy róży Magdalenie jest jedynym miejscem, gdzie widoczność jest częściowo ograniczona. Veronica wie, że tam w środku stoi ławka. Dobra kryjówka, może wręcz jedyna w całym ogrodzie różanym.

Porusza się powoli do przodu. Kamień z Olandii pod jej stopami jest chłodny i chropowaty. Płytki są jasnoczerwone, prawie różowe, ale światło księżyca sprawia, że wyglądają na białe.

Dźwięki wydawane przez dzwonki wietrzne znów się zmieniają, słabną, stają się nieregularne, a gdy Veronica właśnie chce okrążyć altanę, wiatr przywiewa kilka chmur. Ogród pogrąża się w prawie całkowitej ciemności. Zatrzymuje się, próbuje przywyczaić oczy do mroku, ale zanim to następuje, chmury odpływają, a ogród znowu kąpie się w księżycowym świetle. Ławkę od luf dubeltówki dzieli

zaledwie metr. Altana jest pusta. Nikogo tam nie ma.

Opuszcza broń o kilkadziesiąt centymetrów. Zaczyna się zastanawiać, czy to wszystko nie było tylko wytworem jej wyobraźni, skutkiem tego, co przeżyła w domu, i czy odgłosy, które słyszała, w rzeczywistości nie były dźwiękami dzwonek wietrznych.

Już prawie przekonała się do tej myśli, gdy naraz spostrzeża, że coś się nie zgadza. Dzwonki wietrzne prawie ucichły, ale małe metalowe rurki nadal trochę się poruszają. Wydają z siebie pojedyncze, delikatne tony. Poza tym w ogrodzie różanym jest zupełnie spokojnie, tak samo jak na zewnątrz. Nie ma najmniejszego śladu wiatru.

Wtem coś porusza się za nią, a ona się odwraca. Udaje jej się zauważyć ruch – furtka zamyka się za jej plecami. Słyszy kroki; ktoś biegnie po żwirze.

Cholera!

Veronica pędzi wzdłuż ganku, opiera bark o drewnianą ramę i odchyła furtkę na kilka centymetrów, zanim ta się zatrząskuje. Przez szczelinę widzi, że klamka blokuje wyjście. Veronica jest zamknięta od zewnątrz. Znowu głośno klnie, rozgląda się za jakąś drogą ucieczki. Odkrywa składaną drewnianą drabinę w narożniku przy inspektach.

Drabina nie sięga do samego szczytu ściany, ale jest dostatecznie wysoka, by mogła przełożyć jedną nogę przez mur i usiąść na nim okrakiem. Ogród jest pusty, ale Veronica widzi, że na najbliższych drzewach owocowych kołysze się kilka najniższych gałęzi.

Nie zastanawiając się wiele, przerzuca nogi przez krawędź. Zeskakuje na żwirową ścieżkę, z bronią w jednej ręce. Łąduje ciężko na prawie wyprostowanych nogach. Drobne kamienie kaleczą jej podeszwy stóp; ból sprawia, że wydaje z siebie jęk. Traci równowagę, musi się podeprzeć ręką i zadrapuje się w dłoń. Mimo to szybko wstaje. Już po kilku metrach biegu przez wysokie trawy jej stopy są mokre. Ma nadzieję, że to rosa, ale nie ma pewności.

Słyszy, jak gałęzie ocierają się o jakiś materiał, i biegnie co sił w nogach, trzymając w rękach uniesioną, gotową do strzału broń. Mija zegar słoneczny, kilka starych, sękatych drzew owocowych

i kontynuuje pościg między krzewami. Po raz drugi tej nocy aktywuje się pamięć jej mięśni. Wie, jak się poruszać w gęstwinie – robiła to wiele razy z wujkiem Haraldem – jak zmniejszyć powierzchnię ciała. Jeden bok wysunięty do przodu, ramiona i broń blisko ciała. Ostre gałęzie rysują czerwone pręgi na jej nagich barkach i ramionach, ale ona prawie nie odczuwa bólu.

Duży ciernisty krzak wyrasta na środku jej drogi, zbyt ostry, by mogła się przedrzeć przez jego środek. Intruz najwyraźniej nie ocenił tak sytuacji, bo kilka gałęzi jeszcze się kołysze. Okrąża krzak zygzakiem, zyskuje wiele sekund.

Księżyc znowu przysłaniają chmury; Veronica nagle obrywa w głowę gałęzią, która drapie ją w czoło i zaplątuje się we włosy. Zatrzymuje się, uwalnia lewą ręką. W chaszczach jest ciemno, że oko wykol i przedzieranie się na oślep nie jest dobrym pomysłem. Kuca zatem, kieruje dubeltówkę przed siebie i nasłuchuje.

Wszystko, co słyszy, to jej własny oddech i krew, która szumi w uszach. Ktokolwiek znajduje się przed nią w ciemnościach, również przystanął. Gęstwina musiała naznaczyć go piekącymi, bolesnymi ranami lub w inny sposób skłonić do zachowania ostrożności.

Otwiera się luka między chmurami, a w chaszczach, tuż przed nią, coś trzeszczy. Ledwo dostrzega ruch, następnie znowu zapada ciemność. Veronica odruchowo opiera kolbę o policzek, poluzowuje bezpiecznik i kładzie palec wskazujący na spuście.

Słyszysz człapanie, jakby ktoś ciągnął coś po ziemi. Następnie coś – czyjeś ubranie? – ociera się o splątane gałęzie, ale w inny sposób niż wcześniej. Bardziej miękko, nie tak ostro.

Chmury się rozpraszają i wypuszczają z zamknięcia światło księżycyca. Veronica porusza się do przodu, tak szybko, jak potrafi, z odbezpieczoną bronią; kolbę przyciska do policzka i trzyma lufy skierowane do przodu. Przebija się przez jeszcze jedną zasłonę z gałęzi, przeciska przez wąską szparę i niemal wpada na stary, zardzewiały druciany płot na końcu ogrodu.

Zatrzymuje się. Pod ogrodzeniem jest głęboka bruzda, a ledwo metr dalej stoi ciemna ściana kukurydzy. Słyszysz oddalający się, szeleszczący dźwięk – ktoś biegnie przez pole. Dystans między nimi

rośnie z każdym krokiem uciekającego, jest już bardzo duży. Opuszcza broń, zabezpiecza ją. Polowanie dobiegło końca.

Poziom adrenaliny opada i Veronica zaczyna marznąć, odczuwa ból w stopach i piekące rany na barkach i ramionach. Rozgląda się po szczelinie, w której się znajduje. Dygocze.

Miejsce, w którym znaleziono bucik Billy'ego, nie może znajdować się dalej niż rzut kamieniem, prosto przed nią, w kukurydzy. Dokładnie na drodze ucieczki intruza.

Znowu dygocze z zimna – a może przeszywają ją dreszcze – zaraz potem orientuje się, że ktoś ją obserwuje. Jakaś istota, przyczajona dziesięć czy piętnaście metrów od płotu. Obraca się, jednym płynnym ruchem podnosi i odbezpiecza broń.

Zwierzę. Małe zwierzę podobne do psa, ze spiczastymi uszami i przekręconą w bok głową. Siedzi spokojnie i patrzy na nią.

Lis.

Lato 1983

Månsson otworzył drzwi aresztu. Na jego widok policjant siedzący w oszklonej dyżurce uniósł się z krzesła.

– On wychodzi – powiedział Månsson, wskazując na celę Rootha.

Jego podwładny nie okazał zdziwienia; zapewne plotkara Brita zdążyła już do niego dotrzeć z najnowszymi informacjami.

– Skoro tak, to załatwię sprawy praktyczne – odparł.

Månsson powstrzymał go ruchem dłoni.

– Nie, sam się tym zajmę. Ty będziesz miał dyżur przez cały wieczór.

Månsson odczekał, aż za policjantem zamkną się drzwi, po czym wsunął głowę do dyżurki. Schylił się i sięgnął po pałkę policyjną, która tkwiła w rurze pod biurkiem. Założył pętelkę na kciuk, owinął dłoń sznurem i zakręcił pałką, by stabilnie ułożyła się w dłoni.

Rooth pół siedział, pół leżał na pryczy i czytał tani kryminał w sfatygowanej okładce, który zapewne wypożyczył z niezbyt dobrze zaopatrzonej biblioteczki przy areszcie. Uniósł wzrok i zamknął książkę, gdy Månsson wszedł do celi.

– Pan komisarz we własnej osobie. – Rooth mówił, jak zwykle, tonem pełnym wyższości. – Jeżeli chcesz pogadać, to zadzwoń do mojego adwokata. Nie powiem ani słowa bez...

Månsson walnął pałką w pryczę, pięć centymetrów od stopy Rootha. Aresztant podskoczył i upuścił książkę. Odgłos uderzenia odbił się od ścian celi jak strzał z pistoletu.

Rooth w pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego, ale szybko odzyskał równowagę. Wyprostował się, jego oczy się zwężyły, a usta zmieniły w cienką kreskę.

Månsson popatrzył mu w twarz. Wyobrażał sobie Rootha w pompowni. Wyobrażał sobie Billy'ego Nilssona na tym okropnym łóżku. Znow podniósł pałkę, ale z jakiegoś powodu się zawahał.

Rooth niepewnie poruszył się na pryczy.

– Ojciec mnie bił – powiedział. – Chociaż „bić” to nie jest właściwe słowo. Tłukł mnie na kwaśne jabłko. Moje pierwsze wspomnienie o ojcu jest takie, że schyla się nade mną i wali mnie pasem. Nie sądziłem, że ty też jesteś taki, Månsson.

Månsson ścisnął w dłoni pałkę, usiłując zmusić się do tego, aby nie ustąpić.

– Mój stary tłukł mnie, dopóki nie nauczyłem się mu oddawać – powiedział Rooth. – Kiedy skończyłem siedemnaście lat, sprąłem go jak się patrzy i zaciągnąłem się na statek. Tam też trzeba było się bić. Jak się człowiek nauczy, że w taki sposób rozwiązuje się sprawy, to mu to łatwo może wejść w nawyk. Ale Sailor mnie pilnował, zadbał o to, żebym się za bardzo nie wykoleił. – Zamilkł i wskazał na pałkę. – Chodzi mi o to, że jestem przyzwyczajony brać w skórę, i to solidnie. Żebyś wiedział, Månsson. Jeżeli masz zamiar mnie pobić, to musisz się do tego zabrać bardzo fachowo. Fachowo jak cholera.

Månsson przełknął ślinę. Próbował utrzymać w wyobraźni obraz małego Billy’ego Nilssona, wytrwać we frustracji i wściekłości, w nienawiści, którą czuł do Toma Rootha. Jednak opadły go wątpliwości. Czy Tom naprawdę był takim człowiekiem, za którego chciał go uważać? Stał z uniesioną policyjną pałką i wpatrywał się w Rootha. Powoli opuścił ramię i cofnął się o krok. Od razu zrobiło mu się niedobrze.

– Prokurator zdecydował, że na razie mamy cię wypuścić – wymamrotał. – Ale zostajesz podejrzanym. Nie wolno ci przekroczyć granic gminy, rozumiesz?

Rooth wstał i powoli skinął głową.

– Mogłeś tu przysłać kogoś innego – powiedział. – Nie musiałeś się tak upokarzać. Czemu tego nie zrobiłeś?

Månsson głęboko zaczerpnął powietrza.

– Cała rodzina Nilssonów jest w rozsypce – odparł. – Chcą tylko jednego: dowiedzieć się, gdzie jest Billy. Chcą, żeby wrócił do domu.

Przywołał w wyobraźni wspomnienie Jakoba i Johana, kiedy byli w wieku Billy’ego. Ściszył głos, nie musiał się wysilać, aby mówić w naturalny sposób.

– Ty przecież też jesteś ojcem, Tom. Powinieneś rozumieć, co

czują Ebbe i Magdalena. Pomyśl, co by było, gdyby zaginął twój synek. Ebbe wygląda jak żywy trup, a Magdalena zamknęła się w sypialni. Nie wychodzi stamtąd, odkąd Billy...

Coś stało się z kanciastą twarzą Rootha. Jego spojrzenie gwałtownie zmieniło wyraz. Chyba też to sobie uświadomił, bo odwrócił wzrok i przesunął po wargach czubkiem języka. Månssonowi przyszła na myśl Vera Nilsson. Ten niepokój w jej oczach.

– Zwróć im spokój, Tom – powiedział. – Tylko ty możesz to zrobić.

Rooth znów oblizał wargi. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć. Zawahał się.

Månsson przypomniał sobie Verę i Mattiasa Nilssonów. Stali w oknie i patrzyli w dół, na niego. Oczekiwali, że znajdzie ich braciszka, że pomoże im obudzić się z koszmaru.

Wstrzymał oddech.

Twarz Rootha jeszcze bardziej zmieniła wyraz; wyglądał teraz prawie tak, jakby cierpiał. Po chwili jego rysy wróciły do normalnego stanu. Potrząsnął głową.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

W jego głosie brzmiał nie tyle triumf, co raczej rezygnacja, jednak na Månssona podziałało to jak płachta na byka. Wściekłość powróciła, silniejsza niż wcześniej. Krew pulsowała mu za oczami.

Znów pomyślał o Verze Nilsson. O jej starszym bracie. O Haraldzie Aronssonie, o Malin i chłopcach. O wszystkich innych we wsi, którzy liczyli na to, że komisarz Månsson dowie się prawdy, że zadba o to, aby Billy wrócił do domu.

Pulsowanie stało się silne jak uderzenia młota.

Robię co mogę, myślał. Staram się być dobrym mężem, dobrym ojcem. Dobrym policjantem. Ale czasem... Uniósł pałkę i zacisnął na niej dłoń tak mocno, że palce zbieleły. Czasem człowiekowi nie wystarcza sił.

Veronica zwykle śpi twardo, budzi się późno i długo trwa, zanim jej ciało i mózg zaczną funkcjonować. Ale nie dzisiaj.

Na dworze wisi mgła, zalega gęsto nad trawnikiem, zakrywa kukurydziane pole i czerwone oczy władców wiatru. W domu jest zupełnie cicho. Żadne dźwięki nie dochodzą z biura ani z kuchni. Znowu miała sen, wie o tym. O tym, jak szuka Billy'ego, wykrzykuje jego imię, raz za razem, ale jedyną odpowiedzią, jaką otrzymuje, jest szelest wiatru w kukurydzianym polu. Lub może jest to odgłos kroków kogoś biegnącego przez pole.

Wymyka się do łazienki, stare rury wyją głucho, gdy odkręca kran. Jęczą i postępują przez chwilę, aż wyrzucą z siebie mizerną strużkę ciepłej wody. Wchodzi do starej wanny. Emalia na dnie jest żółta i porowata, błyszcząca powierzchnia erodowała pod wpływem milionów kąpiących kropli wody, jeszcze od czasów babci i dziadka. Na ścianie nadal wisi klepsydra z napisem: *Dwie minuty sypie piasek, każdy ząbek myj dokładnie.*

Powoli zmywa z siebie resztki nocnego polowania. Woda podrażnia jej rany na ramionach i stopach. Mimo że długo bierze prysznic, jest coś, co nie daje się spłukać. Uczucie, które przyszło wraz z polowaniem i które – wydaje się – wezbrało w niej w ciągu nocy. Wzmogło siłę pochodzącą ze snów. Nie ma dowodów na to, że wydarzenia w nocy miały choćby najmniejszy związek z włamaniem do jej mieszkania. Mimo to nie może pozbyć się wrażenia, że te dwie sprawy są ze sobą związane. Że wokół niej dzieje się coś, co nie do końca rozumie. Dziwna zabawa w chowanego – a ona nie wie, kogo lub czego właściwie szuka. Ani nawet tego, gdzie ma zacząć szukać.

Jej palce podążają za blizną na przedramieniu. Skóra jest jaśniejsza, trochę twardsza niż ta wokół blizny. To ciekawe, jak ciało leczy ranę. Jak zranienie czyni je silniejszym, niż było wcześniej. Ciało uczy się na swoich błędach, w przeciwieństwie do mózgu.

Osusza się, wkłada bieliznę, dżinsy i T-shirt z długimi rękawami. Zbiera włosy w koński ogon, a potem przemyka schodami na dół.

Jest parę minut po siódmej.

Silnik zapala przy drugiej próbie. Mgła leży na rżysku przed domem, unosi się nad żwirową drogą i wokół reflektorów. Zanim dojeżdża do głównej drogi, odkrywa szyld umieszczony przy poboczu, na który nie zwróciła uwagi wczoraj. Logo przedsiębiorstwa, które przypomina śmigło wiatraka. Widziała je na dokumentach leżących na biurku ojca.

Po drodze do wsi przygląda się uważnie wiatrakom, które mija. Na wszystkich widnieje to samo logo. Łopaty wirników obracają się niesłychanie wolno, jakby władcy wiatru dopiero się budzili.

Parkuje samochód na żwirowym placu przed kościołem. Gruby, otynkowany na biało mur otaczający świątynię przypomina ten wokół ogrodu różanego jej taty, ale ma tylko jedną trzecią jego wysokości.

Prawie nie ma wiatru. Tylko korony wysokich drzew, które chronią zmarłych przed wiatrem z równiny, poruszają się lekko. Mgła leży nisko nad cmentarną alejką, wzmacniając woń bukszpanu. Przypomina jej o pogrzebach. Idzie dookoła budynku kościoła. Za kilka godzin zacznie się msza. Myśli o uśmiechającej się szyderczo głowie kozła, umieszczonej wysoko na suficie. Zastanawia się, czy jeszcze tam jest. W sumie dlaczego miałyby jej nie być?

Nagrobek dziadka i babci jest szarym, skromnym kamieniem na środku szeregu mogił. Niczym się nie wyróżnia i jest przez to bardzo typowy dla rodziny Nilssonów. Za to grób rodziców matki to jego całkowite przeciwieństwo. Zajmuje cały narożnik cmentarza, z pewnością piętnaście do dwudziestu metrów kwadratowych obramowanych prościutkim kamiennym krawężnikiem. U węgłowia mogiły stoi duży nagrobek wykonany z czarnego metalu. Napis *Grób rodziny Aronssonów* jest wypisany tak błyszczącymi, złożonymi literami, że wujek Harald na pewno musiał niedawno kazać je odnowić. Poniżej, w dobrze zagrabionym żwirze, znajdują się trzy ciemne nagrobki: rodziców dziadka, jego niezamężnej siostry, a następnie jego własny i babci: *Rolnik Assar Aronsson. Żona Alva*.

Nagrobek mamy stoi trochę osobno, zaraz za grobem rodzinnym, bardzo blisko cmentarnego muru. Jest wykonany z różowawo

połyskującego kamienia, którego nazwy Veronica zapomniała.

Magdalena Nilsson, z domu Aronsson

21 sierpnia 1948 – 18 grudnia 1983

Po obu stronach grobu rosną dobrze utrzymane krzewy róży. Jeden biały, drugi różowy, tak samo jak w ogrodzie różanym przy domu. Tata musi odwiedzać grób mamy co najmniej kilka razy w tygodniu.

Pod imieniem i nazwiskiem mamy jest już inskrypcja:

Ebbe Nilsson

3 kwietnia 1945 –

Brakuje tylko daty zgonu. Jednak najbardziej przyciąga uwagę puste miejsce pod nazwiskami i imionami rodziców. Miejsce, w którym powinno się znajdować imię i nazwisko Billy'ego. Przed około dziesięcioma laty ktoś zasugerował, że powinni już uznać Billy'ego za zmarłego, a tata bardzo się zdenerwował, co nie zdarzało się często. Stwierdził, że mama w żadnym razie nie powinna leżeć obok pustej trumny. Od tego czasu nikt nie miał odwagi podjąć ponownie tego tematu, nawet wujek Harald.

Żałoba wymaga pełnego oddania, zanim rozdzierający serce ból przejdzie w coś łatwiejszego do opanowania. Ludzka psychika próbuje zawsze znaleźć jasne punkty, także w najciemniejszej rozpacz. Szuka promyka nadziei, której można się uchwycić. To chyba nadzieja złamała mamę. Tak długo, jak długo nie znaleziono ciała Billy'ego, pozostawała nadzieja i pytania: gdzie jest teraz Billy? Co robi? Kto otula mojego małego chłopca wieczorem, kto go pociesza, gdy płacze?

Lekarze twierdzili, że mama była na drodze do wyjścia z depresji. Veronica jednak podejrzewa, że mama zrezygnowała. Pojęła, że nigdy nie dostanie odpowiedzi i że kamienie, lód i jezioro były jedyną możliwością odzyskania spokoju.

Siada w kucki przy nagrobku. Odchrząkuje, próbuje wymyśleć, co mogłaby powiedzieć.

– Cześć, mamo, to ja. – Te słowa brzmią sztucznie, jakby pochodziły od kogoś innego. Gdy mama żyła, nigdy nie prowadziły ze sobą intymnych rozmów. Teraz takie rozmowy są naciągane, sztywne, jakby wzięte z filmu.

Podnosi się zawstydzona, strzepuje wyimaginowane ziarenka zwirow

z nogawek spodni. Natychmiast odczuwa nieodpartą potrzebę zapalenia papierosa. Nie może przeboleć, że wczoraj wieczorem, gdy miała taką szansę, nie wyżebrała kilku od Mattiasa.

Nagle dostrzega coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. Mały przedmiot na płycie nagrobka. Mały czarny kamień, bardzo płaski i zimny w dotyku, jakby oszlifowany przez miliony fal. Obraca go w dłoni. To nie tata go tutaj położył, jest tego pewna. A więc musiał pojawić się tu niedawno, w przeciwnym razie tata najprawdopodobniej by go usunął, ponieważ zaburza doskonałą symetrię tego miejsca.

Uczucie z dzisiejszego poranka powraca, teraz jeszcze silniejsze. Coś tu się dzieje. Ponadto zaczyna w niej rosnąć inna myśl, która wchłania siłę z małego kamienia w jej ręce: musi się dowiedzieć, o co w tym chodzi.

Szybkimi krokami zmierza w kierunku samochodu. Następuje krótki, nieprzyjemny moment, gdy przechodzi przez furtkę i uświadamia sobie, że ktoś stoi przy narożniku kościoła. Niemalże czuje jego spojrzenie na karku. Ale gdy się odwraca, cmentarz jest pusty, a jedynym źródłem ruchu są sroki, które skrzecząc, fruwały między gałęziami jednego z wysokich drzew.

Równo o ósmej otwiera drzwi sklepu spożywczego. Podłoga z PCV, jarzeniówka. Ściany i sufit, które od dawna wymagają odmalowania. Zapach świeżego pieczywa wywołuje burczenie w brzuchu. Chęć zapalenia jest silniejsza od głodu, ale jeszcze silniejsza jest ciekawość. Z niewielką dozą szczęścia może zaspokoić wszystkie te potrzeby za jednym razem.

– No nie, czy ja dobrze widzę? To ty, Vera?

Pani Berit wychodzi zza kasy, żeby ją uściskać. Jest dawną koleżanką szkolną mamy. Jej najlepszą przyjaciółką, jak powiedziała by Berit, ale Veronica jest pewna, że mama by się z tym stwierdzeniem nie zgodziła.

Berit wygląda prawie tak jak zwykle. Jest trochę bardziej siwa, tęższa, wokół ust przybyło jej trochę zmarszczek od palenia papierosów. Włożyła wygodne buty i praktyczną odzież, duży,

czerwony zapinany sweter z logo sklepu na piersi. Ma pięćdziesiąt pięć lat – tyle, ile miałyby mama, ale wygląda kilka lat młodziej, co tu, na wsi, nieczęsto się zdarza. Pani Berit jest typem kobiety, która mówi na jednym oddechu i dlatego musi zakończyć każde zdanie wyraźnym głębokim wdechem.

– Mój Boże, musiało minąć przynajmniej pięć lat, od kiedy tu ostatnio byłaś. Albo jeszcze dłużej?

Berit jest żoną pana Sörena, potężnego mężczyzny z półokrągłą brodą, wystającą szczęką i miękkimi oczami. Przypomina trochę pewnego aktora, który w telewizji zawsze gra miłego tatusia. Pan Sören miał zwyczaj czasami wciskać jej i Mattiasowi po lodzie, kiedy byli z mamą na zakupach, prawdopodobnie po to, by porozmawiać trochę z mamą. Jego rodzina prowadziła sklep spożywczy od trzech pokoleń, co oznacza, że jego, Berit i ich dwoje dzieci nie nazywano nigdy inaczej niż sklepikarzami, mimo że noszą nazwisko Möller. Tak to tutaj funkcjonuje. Nie jest się tylko samym sobą, lecz także swoimi rodzicami, rodzicami swojej matki i swojego ojca. Sören i Berit Sklepiarze. Erik Stolarz, Sven Listonosz, Inger Krawcowa. Ona sama zaś będzie zawsze Verą, córeczką Ebbego i Magdaleny, niezależnie od tego, co jest napisane w jej dokumentach i w ewidencji ludności.

W ciągu zaledwie kilku minut pani Berit zdążyła opowiedzieć, co najważniejsze. Jak się sama czuje (dobrze, mimo różnych dolegliwości, wdech). Jak się czują jej dzieci, których imion Veronica nie pamięta, poza tym, że zaczynają się na L (też dobrze). Chłopiec, Ludde (tak się nazywa), mieszka w Trelleborgu, jego siostra Lena została we wsi. Oboje są naturalnie w związkach małżeńskich i mają kilkoro dzieci.

Oczywiście poruszone zostają nieuniknione kwestie, że Veronica jeszcze nie ma dzieci (szkoda) i czy w ogóle ma jakiegoś partnera (po prostu nie spotkałaś tego właściwego).

Zamiast przystopować panią Berit i zacząć stawiać pytania, Veronica uśmiecha się smętnie i mamrocze coś aprobująco. Dokładnie tak, jak się od niej oczekuje. Bo tak właśnie zachowuje się córeczka Ebbego i Magdaleny.

– Czy spotkałaś się z wujkiem? – pyta pani Berit.

Potrząsa przecząco głową.

– Jeszcze nie.

– Nie, pewnie nie ma czasu, bo jest bardzo zajęty nowymi wiatrakami.

Veronica nic nie mówi, czeka na ciąg dalszy, który z pewnością nastąpi.

– Wysokie na dziewięćdziesiąt metrów, słyszałaś? Nic nie mówiliśmy, jak stawiał te inne, ale te nowe, które planuje, mają być prawie dwa razy tak wysokie. Wielkie dziwolągi, które będzie widać i słyhać prawie wszędzie. Oszpecą całą okolicę.

Pani Berit kręci głową z dezaprobatą, potem szybko rozgląda się wokół, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

– A ja naprawdę nie jestem jedyną, która tak uważa. Ludzie mówią, że chcą zaskarżyć pozwolenie na budowę. Czy twój ojciec nic o tym nie mówił?

Veronica znowu kręci przecząco głową.

– Nie, to nie jest może pierwsza rzecz, o której Ebbe chce z tobą rozmawiać. Nie przyjeżdżasz przecież zbyt często do domu.

– Nie. – Veronica przelęka również ten źle ukryty zarzut, jednocześnie próbując zbliżyć się do swojej właściwej sprawy.

Wygląda na to, że pani Berit czeka na coś, co dałoby jej pretekst, by kontynuować wątek farmy wiatrowej wujka Haralda, ale ponieważ to nie następuje, zmienia temat. Jej głos mięknie.

– Robisz się coraz bardziej podobna do swojej mamy, Vero. Tak samo ładna.

Veronica wie, że to komplement, jednak nie podoba jej się to porównanie.

Pani Berit wzdycha, przekręca głowę.

– Magda też była niespokojnym duchem. Odziedziczyłaś to po niej.

Ku zdumieniu Veroniki pani Berit głaszcze ją lekko po włosach. Dostrzega okazję, decyduje się ją uchwycić.

– Czy to dlatego mama uciekła do Kopenhagi? – pyta. – Bo była niespokojną duszą?

Pani Berit wygląda na zaskoczoną tym pytaniem. Zaciska usta, obciąga sweter, ale nie może oprzeć się pokusie odgrywania najlepszej przyjaciółki mamy.

– Twój dziadek... – Pani Berit waha się, zaczyna ponownie:
– Assar i twoja mama nie byli ulepiani z tej samej gliny. Magda nie czuła się dobrze w gospodarstwie. Ona nie była... – Znowu wahanie. Prawdopodobnie pani Berit nie wie wiele więcej. Veronice wystarcza, że nazywa mamę Magdą, żeby to zrozumieć. Mama nienawidziła tego zdrobnienia.

Veronica decyduje się zepchnąć rozmowę na właściwe tory.

– Ale mama wróciła do domu – mówi. – Wyszła za tatę.

Pani Berit przytakuje, niepokój znika.

– Ebbe był zakochany w Magdzie od czasów szkolnych. Większość chłopaków była w niej zadurzona. Oczywiście poza moim Sörenem – dodaje, trochę za szybko, aby zabrzmiało to wiarygodnie. – W przeciwieństwie do innych chłopców Ebbe nigdy nawet nie próbował zaprosić jej gdziekolwiek. Był zbyt nieśmiały, trzymał się z boku. Ale wystarczyło tylko zobaczyć, jak patrzył na Magdę, żeby zrozumieć, jak sprawy się mają. Traktował ją jak boginię, zrobiłby dla niej wszystko.

Veronica mamrocze zgodnie. To, że tata uwielbiał ziemię, po której stąpała mama, nie było również żadną nowością. Ale ona musi być cierpliwa, ostrożnie nakierować rozmowę na rok 1983.

– Wszyscy byli zdumieni, gdy Magda nagle wróciła do domu – kontynuuje pani Berit. – Sprawy poszły tak szybko: zaręczyny, wesele, narodziny Mattiasa...

Pani Berit uśmiecha się trochę krzywo, a Veronica czuje, że coś zaczyna się w niej gotować. Tę plotkę też już kiedyś słyszała. Że tata nie jest ojcem Mattiasa. Że mama zaszła w ciążę z kimś innym w Kopenhadze i że dziadek z wujkiem Haraldem przywieźli ją do domu i zadbali o to, by wyszła za męża, żeby uniknąć wstydu. Mattias jest o głowę wyższy od taty, ma szerokie ramiona, duże dłonie i ogólnie jest bardzo podobny do wujka Haralda. Trzeba się rzeczywiście wysilić, żeby znaleźć u niego coś z taty. Jednak ona wie, że to w nim jest.

Wkłada rękę do tylnej kieszeni dżinsów, maca papier i przypomina sobie, że ma tam zdjęcie z symulacją komputerową. Na kilka sekund zapada cisza.

Rozumie, że stąpa po omacku. Wciąż nie wie, czego ani kogo

szuka. Ale w całej tej historii jest jedna kluczowa postać. Osoba, która w ten czy inny sposób musi znać prawdę o Billym. Decyduje się więc zapytać wprost.

– Tom Rooth – mówi. To nazwisko wywołuje dokładnie taką reakcję, jakiej oczekiwała: pani Berit wygląda na przestraszoną, co z kolei przynosi Veronice lekkie uczucie schadenfreude. – Znała go pani, prawda?

Pani Berit znowu pociąga za sweter, rozgląda się dookoła, jakby się bała, że ktoś słucha. Sklep jest w dalszym ciągu pusty i po kilku sekundach jej instynkt plotkarki zwycięża.

– Znałam, nie znałam. Chodziliśmy razem do szkoły. On, ja i Magda. Sören, Ebbe i twój wujek również. Tom był przystojny, ale nikt go nie lubił. Nikt nigdy nie wiedział, jakie ma zamiary. Nieprzyjemny typ, pił i żył jak rozbójnik. – Ściąga usta tak, że zmarszczki wokół nich robią się głębsze. – Walnął kiedyś mojego Sörena butelką w głowę, w Parku Ludowym. Mieliśmy wtedy szesnaście, może siedemnaście lat. To się mogło bardzo źle skończyć. Tom próbował się do mnie zbliżyć, a Sören interweniował. Założyli mu osiem szwów, ale nie mieszaaliśmy w to policji.

– Nie?

Pani Berit potrząsa przecząco głową.

– Ojciec Toma przyszedł do rodziców Sörena z sarniną jako zadośćuczynieniem za rany. To nie był pierwszy raz, kiedy musiał odpokutować za swojego syna. Krótco po tym Tom zaciągnął się na statek. Krążyły plotki, że pobił ojca.

Veronica próbuje wyglądać na poważną, a jednocześnie współczującą. Myśli o zdjęciu Toma Rootha w gazecie. Mroczne, lekko niebezpieczne spojrzenie. Próbuje sobie wyobrazić, jak Tom podrywa siedemnastoletnią panią Berit, ale przychodzi jej to z trudem.

– Pewnie pan Sören był ostatnim, który widział Rootha po...
– zawiesza zakończenie zdania w powietrzu.

– Tak. Na drodze krajowej na południe, tego samego wieczora, gdy policja go wypuściła. Na prostej drodze do Trelleborga i promów za granicę. Jechał tym strasznym czerwonym volvo, jakby sam diabeł go gonił. – Pani Berit wypuszcza pogardliwie powietrze przez nos.

– To skandal, że Månsson nie mógł zatrzymać Rootha za kratkami. Że nigdy nie został ukarany za to, co zrobił z Billym.

Dźwięk tego imienia powoduje, że werwa pani Berit wygasa. Wierci się i zaczyna zdejmować z półki jakieś paczki kawy. Natychmiast wydaje się niesłychanie zajęta układaniem towaru. Temat rozmowy ją niepokoi i Veronica pojmuję, że pani Berit zacznie za chwilę przeproszać, że musi wrócić do pracy.

– Czy nikt we wsi nie utrzymywał bliższych kontaktów z Roothem?

– Robi jeszcze jedną próbę, żeby dowiedzieć się czegoś, czego jeszcze nie wie.

Pani Berit potrząsa przecząco głową, jeszcze raz poprawia kawę i trochę się prostuje.

– Tylko ten drugi alkoholik.

– Alkoholik?

Pani Berit się odwraca. Strzepuje kilka razy przód swetra, mocno, jakby próbowała pozbyć się czegoś nieprzyjemnego. Czegoś, co, mimo że niewidoczne, przyczepiło się do niej i nie chce puścić.

– Kjell Olsson – mamrocze. – Ten, co nazywają go Sailorem.

Veronica zatrzymuje się przed sklepem spożywczym, ze złością zrywa folię z paczki papierosów i właśnie ma zapalić prince'a, gdy duże czarne bmw z zaciemnionymi szybami skręca prosto na nią. Drzwi się otwierają i jakąś krągła kobieta w jej wieku wyskakuje z samochodu.

– Tak myślałam, że to ty, Vera!

To Lidia, jej dawna koleżanka z klasy, której nie widziała przynajmniej dziesięć lat. Może jeszcze dłużej, nie udaje im się tego ustalić. Nie postarzała się ani o jeden dzień. Jest ładna, dobrze ubrana, ma na sobie spodnium i buty na wysokich obcasach. Jej włosy są dobrze ułożone, paznokcie długie i zadbane. Zarówno ona, jak i jej drogi samochód nie pasują do tej wsi ani trochę, ale wydaje się to nie robić na niej najmniejszego wrażenia. Mówi głośno, śmieje się jeszcze głośniej.

– Słuchaj, Vero, czy jadłaś już śniadanie?

– Nie, jeszcze nie...

– Właśnie jadę do taty. Jedź ze mną, bardzo się ucieszysz, jak cię zobaczy.

Veronica zaczyna formułować jakąś wymówkę, ale Lidia jej przerywa, zanim ubierze ją w słowa. Poza tym zapomniała kupić coś do zjedzenia w sklepie, wsiada zatem do swojego marnego samochodu i jedzie za dużym bmw Lidii. Jest zdumiona swoją spontaniczną decyzją. To do niej niepodobne. Z drugiej strony cały ten poranek jest, delikatnie mówiąc, inny. Dziwne uczucie z cmentarza ciągle jeszcze w niej tkwi; nie ma pojęcia, co z nim robić.

Parkują przy jednej z pizzerii na obrzeżach wsi; przy wejściu wisi szyld z napisem „Pełen wyszynk”. Pamięta tatę Lidii – ma na imię Branko – dużego, hałaśliwego mężczyznę, jednego z tych, którzy przyjechali z Jugosławii w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, żeby wesprzeć szwedzki przemysł. Teraz jest znacznie mniejszy, ale w dalszym ciągu podobnie głośny.

– Gastronomiczny bypass – śmieje się i klepie po brzuchu.
– Przybyło mi czterdzieści pięć kilo. Czterdzieści pięć, to jest połowa Lidii.

– Przestań, tato! – Lidia wywraca oczami i całuje swego tatę w oba policzki.

On zaprasza je do zajęcia miejsca i choć jest wcześnie, stawia na stole mnóstwo jedzenia.

– Nie warto protestować – szepcze Lidia. – Skosztuj chociaż trochę, a będzie zadowolony.

Veronica nakłada sobie jedzenie na talerz, czym wywołuje zachwyt Branka, który wrzeszczy do swojego pracownika kilka niezrozumiałych dla Veroniki słów, po czym siada przy ich stole.

– Jak miło cię widzieć, Vero – mówi. – Jak się miewa twój tata? Dawno go tu u nas nie było.

– Dziękuję, dobrze – odpowiada zaskoczona. Czy tata jada pizzę? Zwykle woli przygotowywać sobie posiłki samodzielnie. Całkiem dobrze mu to zresztą wychodzi.

– Czy Lidia ci opowiadała? Jest prawdziwą panią Rockefeller...

– Przestań, tato – mówi Lidia. Próbuje zakryć mu dłonią usta.

Oboje przekomarzają się przez chwilę i Veronica czuje, jak na jej twarzy pojawia się zakłopotany uśmiech. Próbuje wyobrazić sobie tatę w tym miejscu.

– Tata chce powiedzieć, że założyłam kilka firm i że idzie mi całkiem dobrze – wyjaśnia Lidia. – Produkty do pielęgnacji włosów, emulsje, perfumy.

– Tutaj, w Reftinge? – pyta Veronica. Słyszy zaskoczenie w swoim głosie.

– Dlaczego nie? Reftinge jest doskonałe. Niskie czynsze, dużo siły roboczej. Mamy stronę internetową, przez którą klienci zamawiają towary. Moje dziewczyny pakują je i wysyłają pocztą. Mamy klientów w całym kraju.

Tata Lidii potwierdza, kiwając głową.

– Uczę się tego całego internetu – mówi. – Lidia twierdzi, że muszę. Ale co ja tam wiem. Starego psa nie nauczysz warować.

– Mówi się „nowej sztuczki”. I można to oczywiście zrobić, jeśli stary pies nie chce jeździć kawał drogi do miasta, żeby załatwić

swoje sprawy w banku.

Przekomarzają się znowu i Veronica odwraca wzrok. Jej uwagę przyciąga kilka fotografii wiszących na ścianie. Są to zdjęcia gości pizzerii i na jednym z nich, ku swojemu ponownemu zdumieniu, rozpoznaje tatę. Ma na nim więcej włosów, kolory są trochę przyblakłe, zgaduje zatem, że zdjęcie ma co najmniej dziesięć lat. Tata siedzi przy stole razem z innym mężczyzną, podnosi szklanke piwa w geście toastu w stronę aparatu fotograficznego. Jego towarzysz jest częściowo zasłonięty podniesionym ramieniem taty. Veronica nie rozpoznaje, kto to.

– ...salon manicure – mówi Lidia i Veronica orientuje się, że straciła początek zdania. – Mam już dwa, ale za kilka lat będę mieć franczyzobiorcę w każdym centrum handlowym w Skanii. Fast-Nails, to będzie duża firma, obiecuję.

– Fajnie – stwierdza Veronica. Nie może się powstrzymać, żeby nie zerkać na zdjęcie taty. Wygląda na zadowolonego, ale jego oczy jak zwykle są smutne.

– Tak poza tym, Branko – mówi, gdy zbiera się już do wyjścia – czy znasz Kjella Olssona, tego, którego nazywają Sailorem? – Zadała to pytanie pod wpływem impulsu i sama nie wie, jakiej odpowiedzi się spodziewa.

– Oczywiście. Sailor był moim stałym klientem, zanim nie zramolał. Przepędzili go z gospody... – Dłonią robi gest, jakby ciął powietrze, jak gdyby nie podobało mu się to, co opowiada.

– Przepędzili?

– Tak albo... jak to się mówi? – Macha do Lidii, żeby mu pomogła, ale po chwili sam znajduje właściwe słowo. – Zbojkotowali, tak to się nazywa. Nikt nie chciał z nim pić. Sailor mówił, że pluli mu do piwa.

– Bo znał Toma Rootha?

Branko się krzywi.

– Pewnie. Ludzie są pamiętliwi. Ja taki nie jestem. Życie jest zbyt krótkie. Jeśli twój tata nie ma nic przeciwko niemu, to ja też nie.

– Tata?

Lidia pociąga ojca za ramię, ale nie można go już powstrzymać.

– Ebbe i Sailor byli kumplami. Czasami wypijali razem szklaneczkę. Popatrz tutaj.

Branko podchodzi do zdjęcia na ścianie, wskazuje mężczyznę obok taty.

– O – mówi. – To jest Sailor.

Dom starców Ekhagen stoi we wschodniej części wsi, niedaleko kościoła. Veronica nie była tam od czasu, gdy dziadek jeszcze żył. Minęło co najmniej piętnaście lat, na pewno więcej, ale nie potrafi policzyć dokładnie. Musi myśleć o czymś innym. Kartka z symulacją komputerową tkwi ciągle w jej kieszeni. Wkłada do niej rękę, ostrożnie dotyka palcami papieru.

W domu starców zapach kawy unosi się nad podłogami wyłożonymi linoleum. Twarde jak kamień ludowe meble z litego drewna stoją wystawione na szersze niż pokoje korytarze. Tak samo jak malowane obrazy z chłopskich zagród, które pokrywają ściany, są pamiątkami rodzinnymi. Pozostawione samym sobie przedmioty, z poobijanymi krawędziami, pochodzące z innych czasów, o które nikt się już nie troszczy – ten opis równie dobrze pasuje do Sailora.

Veronica odczytuje z tonu głosu młodszej pielęgniarki, że nie należy on do ulubionych pensjonariuszy domu. Sailor siedzi w wózku inwalidzkim w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami. Na kolanach ma rozłożony koc, chociaż jest ciepło, przynajmniej dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Jego ciało jest zapadnięte i wynędzniałe. Nos i policzki są pokryte małymi, popękаныmi naczynkami; typowy wygląd, który zna z grup terapeutycznych dla alkoholików.

– Ma pan gościa, Kjell. To chyba miłe – mówi pielęgniarka.

Marie, jej szkolna koleżanka, której imię Veronica przypomina sobie, zanim zerka na identyfikator z imieniem, od razu ją poznaje. Wydaje się przyjmować wyjaśnienie, że Sailor jest dawnym przyjacielem jej taty, chociaż jej spojrzenie sugeruje coś innego.

Sailor świdruje wzrokiem Marie, potem Veronicę. Usta opadają mu krzywo, w jednym kąciku zebrała się grudka śliny. Wargi lekko się poruszają, wydają drobne, wilgotne odgłosy.

– Jestem Vera Nilsson – mówi Veronica. Własne nazwisko wydaje jej się trudne do wymówienia, co w sumie nie jest dziwne. W końcu nie używa go od lat. – Córka Ebbego i Magdaleny – dodaje,

ponieważ twarz mężczyzny nie zdradza najmniejszych oznak, że ją rozpoznał. – Z gospodarstwa Backa. Zna pan mojego ojca.

Nazwa gospodarstwa powoduje, że Sailor podnosi głowę. Veronica dostrzega w jego oczach błysk, mimo to starzec wciąż milczy. Jego spojrzenie przesuwa się stale między nią a pielęgniarką. Veronica odwraca się, żeby dać Marie znak, że da sobie radę sama, ale kobieta nie rozumie jej intencji.

– Jak już powiedziałam, Kjell ma demencję – mówi pielęgniarka. – Niewiele z nim można zdziałać. Zwykle coś tam tylko wpuszcza i wypuszcza.

– Okej. – Veronica patrzy dalej na Marie i po kilku sekundach pielęgniarka w końcu się orientuje, co oznaczało tamto skiniecie.

– Muszę wracać do pracy, dalej dasz sobie radę sama, Veró. – Robi wrażenie lekko niezadowolonej. Tak jakby chciała zostać z nimi jeszcze chwilę. – Kjell czasami trochę głośno i brzydko mówi, ale to nie jest niebezpieczne. Użyj dzwonka, jeśli coś będzie się działo. Poza tym weźmiemy go zaraz na obiad.

Veronica czeka, aż ucichnie odgłos sandałów Marie, następnie przysuwa krzesło i siada obok Sailora. Czuć od niego lekko moczem i jeszcze czymś słodkim – Veronica nie ma ochoty wiedzieć, co to takiego.

– Pan i Tom Rooth byliście przyjaciółmi – rozpoczyna bez ogródek.

Oczy Sailora się zwięzają.

– Jesteś córką Aronssona. – Mężczyzna na poły syczy, na poły mamrocze.

– Siostrzenicą – poprawia go. – Harald jest moim wujem.

– Ciul złamany – mówi Sailor. Następnie jego spojrzenie odwraca się ku wnętrzu, a złośliwość znika. Palce bawią się kocem.

– Mieliliście wspólne interesy z Tomem. Polowanie – mówi Veronica.

Ostatnie słowo chwyciło. Powróciła jasność wypowiedzi. I złość.

– Weź się odpiardol. I wszyscy inni też. Ciekawskie chuje. Nic nie powiem. Nasze interesy. Moje i Toma. Aronsson to ciul złamany.

– Nie lubi pan mojego wuja?

Starzec patrzy w górę i powtarza:

– Aronsson, ciul złamany.

– Tak, już pan to mówił.

Veronica siedzi dalej, czeka, czy nastąpi coś jeszcze, ale Sailor zaciska wargi.

– Tom Rooth i pan polowaliście w Lesie Północnym, prawda? Mimo że były to tereny myśliwskie mojego wuja – próbuje.

Sailor pochyla się i szyderczo uśmiecha.

– Może tak, może tak, Tom. Może las, może... – Jego spojrzenie znowu gaśnie, palce ponownie szukają koca.

Veronica wzdycha. Nie da się rozmawiać z tym starcem, to nie ma sensu. Co ona sobie właściwie myślała, że jak będzie przebiegać ta wizyta? Że dziadek wyjaśni jej, kto skrada się nocami wokół ogrodu ojca albo kto położył kamień na grobie mamy? On, który nie porusza się dalej, jak między pokojem a jadalnią?

Słyszy, że na zewnątrz dzwony kościelne biją na nabożeństwo. Chce się właśnie podnieść i wyjść, gdy nagle coś pojmuje. Dobrze jej znane uczucie, które powoduje, że wstrzymuje oddech. Odchyła się do tyłu na krześle i dokładnie taksuje wzrokiem Sailora. Jego spojrzenie, sposób, w jaki bawi się kocem. Niuanse na jego twarzy.

– Jest pan w żałobie – mówi miękko. – Jest pan w żałobie po swoim przyjacielu, Kjell, prawda?

Sailor nie odpowiada. Dalej patrzy na swoje kolana, ale palce naraz przestały dotykać koca.

– Czy Tom był dobrym przyjacielem? – pyta Veronica.

Starzec siedzi bez słowa, a ona ma wrażenie, że dostrzega coś, co można zinterpretować jako skinienie.

– Czy pan był dobrym przyjacielem, Kjell?

Tym razem skinienie jest wyraźniejsze.

– Pomagałem Tomowi, gdy po raz pierwszy wypłynął w morze. Był młodym chłopcem. Uczyłem go, dbałem o niego – mówi Sailor, po czym milknie.

Veronica żałuje, że nie wzięła ze sobą swojego notatnika.

– Czy Tom był dobrym przyjacielem? – próbuje jeszcze raz.

Sailor patrzy w górę. Jego oczy błyszczą.

– Dobry przyjaciel nie zawodzi – odpowiada głucho. – Tom nigdy taki nie był. Nigdy. Nigdy przed tamtym latem.

– Czy uważa pan, że Tom pana zawiódł? Że pana opuścił?

Starzec zwiesił głowę.

– Dbał pan o Toma. Był pan dobrym przyjacielem, a on pana tu zostawił. Zostawił wśród ludzi, którzy byli źli na niego za to, co zrobił, źli na pana, bo był pan jego znajomym. – Przerywa, chce się upewnić, czy on za nią podąża.

– Byłem dobrym przyjacielem, Tom – mamrocze Sailor. – Dobrym przyjacielem.

– Nigdy potem się nie odezwał? – Veronica czuje, jak on wstrzymuje oddech.

– Nigdy. – Sailor potrząsa głową. – Ani słowa.

Veronica zmusza się, by chwilę poczekać, nie przerywać mu pytaniem.

– Dostał, na co zasłużył – mówi Sailor nagle. Jego głos jest teraz ostrzejszy.

– Kto, Tom?

– Nie! Aronsson. Dostał dokładnie to, na co zasługiwał. Nie powinien się być awanturować. Odebrał Tomowi utrzymanie. Jego rodzinie. To Tom to zrobił. Tom... – Zdaje się, że słowa utkwily gdzieś między jego mózgiem a ustami. Spojrzenie Sailora wędruje, staje się niespokojne.

Veronica bierze głęboki wdech.

– Co zrobił Tom? – pyta.

Usta starca wydają mokre dźwięki. Jakby szukał słów i ich nie znajdował.

– Co zrobił Tom z moim młodszym bratem?

– Ch-chata – mówi starzec.

– Jaka chata?

– Dolina Popiołów. Chata myśliwska. To nie była wina Toma...

– Reszta zdania niknie w mamrotaniu.

Veronica pochyla się bliżej Sailora.

– Opowiedz o chacie.

– Odwal się od niej! – wykrzykuje Sailor tak gwałtownie, że jego ślina pryska na jej twarz i Veronica się cofa. Starzec zaczyna kołysać się do przodu i do tyłu w wózku inwalidzkim. – Tajna, chata jest tajna – powtarza. – Dlaczego nic nie powiedziałaś, Tom? Dlaczego

nie powiedziałaś, jak było?

Nagle milknie, zapada się w sobie. Jego palce znowu zaczynają bawić się kocem.

– Kjell? – próbuje Veronica. – Sailor? – Ostrożnie kładzie rękę na jego kolanie, ale on nie reaguje. Wydaje jej się, że słyszy odgłos zbliżających się sandałów.

Wtedy doznaje olśnienia, wyjmuje kartkę z symulacją komputerową, rozprostowuje ją i kładzie na kolanach starca. Kroki na zewnątrz się zbliżają. Wydaje się, że idą dwie osoby. Sailor patrzy na zdjęcie. Potem na nią.

– Poznajesz go, Sailor?

Słysząc głosy, ktoś kładzie dłoń na kłamce. Veronica podnosi zdjęcie, trzyma je bliżej twarzy starca. On omija je wzrokiem, jakby przedstawiało coś nieprzyjemnego. Jego wargi znowu się ruszają.

– Prawda jest tam, na górze – mamrocze. – Głęboko w lesie, gdzie nikt jej nie znajdzie. Powiedziałem mu to.

– Komu?

Drzwi się otwierają. Marie i jeszcze jedna pielęgniarka stają w progu.

– Czas na obiad, Kjell.

Veronica przyciąga do siebie zdjęcie, zwiija je, ale palce się ślizgają i papier ląduje na podłodze. Marie pochyla się i podnosi kartkę.

– O, znasz Przystojnego Isaka? – pyta.

– Kogo?

– Przystojnego Isaka. Tak go nazwałyśmy. Bratanka Sailora. – Marie stuka lekko w zdjęcie, odwraca je tak, by jej koleżanka także mogła je zobaczyć.

– Isak był tutaj? – Veronica czuje, jak skręca ją w żołądku. – Kiedy?

– Jakiś miesiąc temu albo coś koło tego. To nie jest facet, którego się zaraz zapomina, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Marie puszcza do niej oko, następnie odwraca się w stronę Sailora.

– No, Kjell – mówi. – Jedziemy do jadalni. Dzisiaj będą gołąbki, zazwyczaj je pan lubi.

Staruszek uśmiecha się szyderczo. Na jego twarzy nie ma nawet śladu wcześniejszego niepokoju. Veronica chce się właśnie podnieść,

ale w chwili, gdy pielęgniarka ujmuje rączki wózka i luzuje hamulce, Sailor wyciąga się i chwyta rękę Veroniki.

– Dziękuję ci, że mnie wysłuchałaś, Vera – mówi, nieoczekiwanie klarownie. – I pozdrów swojego ojca. Powiedz mu, że... – Sailor przerywa, zdaje się, że znowu zgubił wątek. Dalej obejmuje jej rękę szczupłymi palcami starego mężczyzny, tak jakby nie chciał jej puścić.

– Powiedz co? – Veronica widzi kącikami oczu, jak Marie pochyla się do przodu, żeby usłyszeć, co powie Sailor.

Jego głos jest słaby, ledwie głośniejszy od szeptu.

– Powiedz Ebbemu, że lato wkrótce się skończy.

Niektóre rzeczy z dzieciństwa pamięta się lepiej niż inne. Na przykład wciąż zna cały tekst piosenki Abby *The Winner Takes It All*. Abba rozpadła się w styczniu tego roku, w którym zaginął Billy. Wie, że to wydarzenie zasmuciło mamę, jest pewna, że to dlatego mama tak często słuchała tej piosenki na gramofonie i grała ją na nienastrojonym pianinie w salonie.

Później, gdy mama była w domu opieki, Veronica miała w zwyczaju zamykać się w pokoju, zakładać słuchawki i słuchać właśnie tej piosenki. Smutnego, jasnego głosu, który przypominał trochę głos mamy. Słów, których wtedy nie rozumiała. Które mimo to wydawały się jej w jakiś sposób prawdziwe.

Po tym, jak opuścił ją Leon, znowu jej słuchała. Słuchała jej nocami, zamiast spać, wmawiała sobie, że ta piosenka dokładnie opisuje to, jak się czuje. Że jedyne, co musi zrobić, to wyjaśnić to Leonowi i wtedy on znowu będzie jej.

Wciąż też pamięta numer rejestracyjny zielonego volvo 245, którym jeździli co niedzielę do domu opieki. KBH 278. Tak samo jak zapach, który panował w starym budynku, liczbę schodów od wejścia do pokoju mamy oraz to, ile kwadratów tworzył cień kraty na kamiennej podłodze, gdy słońce świeciło przez okno. Wszystko to potrafi przywołać w jednej milisekundzie.

Z kolei inne rzeczy – jak się odmienia niemieckie czasowniki, symbol chemiczny rtęci albo w którym roku Karolowi XII przedziurawiono czaszkę mosiężną kulą – zniknęły z jej pamięci bez śladu, chociaż kiedyś wysilała się, żeby je tam zapisać. Właściwie dowodzi to tylko tego, że mózg żyje swoim własnym życiem i nie pozwala się kontrolować, nawet samemu sobie.

Nie przypomina sobie zbyt wiele o Dolinie Popiołów, poza tym, że leży głęboko w Lesie Północnym i że kiedyś znajdowała się tam kopalnia. Drogi prowadzące do doliny zostały już dawno temu

zlikwidowane i wchłonięte przez las. Veronica ma tylko niejasne wyobrażenie o tym, jak tam dojechać.

Wreszcie, po godzinie jazdy, przypadkiem znajduje małą, w połowie zarośniętą drogę do transportu drewna, która prowadzi – jak sądzi – we właściwym kierunku. Podskakuje więc na wertepach przez mniej więcej pięćset metrów, jadąc pod górkę, a potem droga się kończy.

Wysiada z auta, bierze ze sobą latarkę, którą przechowuje w schowku wraz z taśmami ze zmiksowaną muzyką i protokołami z przeglądów samochodu. Próbuje ustalić, w którym kierunku leży Dolina Popiołów i jak daleko może się znajdować.

Udaje jej się to tylko w połowie. Kierunek się zgadza, ale musi przedzierać się prawie trzy kwadransy przez gęsty bór, dwa razy dłużej, niż myślała, zanim dotrze do lasu, w którym rosną drzewa liściaste. Jej bluza jest mokra od potu, a tenisówki wyglądają jak dwie grudy gliny, bo ciągle wpada w pełne błota koleiny pozostawione przez koła maszyn leśnych; dziury są tak głębokie, że nawet upał nie był w stanie ich wysuszyć.

Dzięki wędrowni miała czas na przemyślenia. Blondyn był we wsi. Przedstawił się jako Isak i odwiedził Sailora w domu starców. Nie mógł to zatem być przypadek, że pojawił się w jej grupie terapeutycznej.

Fragmentaryczne opowiadanie Sailora zdaje się potwierdzać, że Tom Rooth porwał Billy'ego, by zemścić się na jej wujku. Jeśli Isak rzeczywiście jest Billym, oznacza to, że Rooth go nie zabił, jak wszyscy myśleli. W takim razie co wydarzyło się po porwaniu i co Sailor miał na myśli, mówiąc, że prawda jest „tam, na górze”? Dlaczego Isak pojawia się dopiero teraz i dlaczego nie daje o sobie znać? A jeśli nie jest Billym, jak twierdzą tata i Mattias, to kim jest i czego szuka?

Jest wiele pytań, które są przynajmniej tak samo dobre – na przykład jaki to wszystko ma związek ze zdarzeniem z dzisiejszej nocy i z płaskim kamieniem na nagrobku? Nie wspominając o jeszcze bardziej palących pytaniach: dlaczego udała się tutaj, do lasu, całkiem sama? I co ma nadzieję znaleźć?

Zanim ruszy w dół, do doliny, zatrzymuje się wysoko na krawędzi, siada w kucki i próbuje stworzyć sobie obraz terenu leżącego poniżej. Zbocze jest zbyt strome dla maszyn leśnych, a porastające je drzewa liściaste i krzewy tworzą nieprzeniknione sklepienie, które uniemożliwia zapuszczenie wzroku aż do dna doliny. Z tego samego powodu ledwie można dojrzeć zarys drugiej krawędzi doliny, niemniej Veronica sądzi, że musi być ona szeroka na kilkaset metrów.

Krzywa tablica ostrzegawcza na pniu drzewa z napisem: UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO WSTRZĄSÓW GÓRNICZYCH! budzi stare wspomnienie. Słowa wujka Haralda, że nigdy nie poluje się w Dolinie Popiołów – ze strachu, że psy albo myśliwi mogliby wpaść w któreś z zapadlisk powstałych na skutek osiadania gruntu nad korytarzami kopalni.

Przez minutę głęboko oddycha, zanim zacznie ostrożnie schodzić. Ziemia jest przykryta grubą warstwą liści w różnych stadiach rozkładu, co czyni nawierzchnię śliską i nieprzewidywalną. W połowie drogi potyka się, ślizga na tyłku kilka metrów, zanim udaje jej się chwycić pień sosny i podnieść. Wreszcie widzi dno doliny. Zielony dywan mchu, trawy i ściółki, tu i tam przerwany przez zarośla i przewrócone przez wiatr drzewa, które nie dały rady utrzymać się w tej luźnej ziemi. Dostrzega też wiele różnej wielkości niecek powstałych wskutek osiadania gruntu.

Tu na dole jest prawie zupełnie cicho. Jedyne, co słyszy, to dobiegające z oddali stukanie dzięcioła. Listowie u góry zatrzymuje część światła, zmieniając słoneczny dzień w mętny, przedwieczorny półmrok. Rozgląda się dookoła, pojmuje, że prawdopodobnie znajduje się mniej więcej pośrodku wąwozu, i próbuje rozstrzygnąć, w którą stronę iść dalej.

Gdyby była Tomem Roothem albo Sailorem, jednym z dwóch kłusowników, którzy szukają bezpiecznego ustronia, by założyć w nim obozowisko, szukałaby możliwie wysoko położonego miejsca. Podąża zatem za instynktem. Zaczyna przemieszczać się na północ, ku lekkiemu wzniesieniu.

Ziemia jest miękka, przy każdym kroku jej stopa zapada się o kilka

centymetrów. Dno doliny przypomina zielony krajobraz księżycowy. Większość niecek nie jest głębsza niż metr, ale ich średnica jest mniej więcej trzy razy większa. Ziemia na ich dnie wygląda podobnie jak ta wokół nich, ale Veronica nie ma odwagi spróbować, czy ją uniesie, krąży zatem ostrożnie między zagłębieniami, wciąż zmierzając pod górę.

Po około dziesięciu minutach marszu natrafia na pierwszy znak ludzkiej aktywności – stertę powykrećanego żelastwa, do połowy przeżartego przez rdzę. Widzi koła i bloki, domyśla się, że były elementami jakiegoś rodzaju windy. Zaraz obok prawie potyka się o pokryty zielenią betonowy próg, prawdopodobnie będący niegdyś częścią jednej z budowli, które musiały się tutaj znajdować, gdy kopalnia jeszcze działała. Gdy patrzy w górę, w stronę krawędzi doliny, wydaje jej się, że dostrzega obniżenie, które mogłoby być pozostałością zwirowej drogi prowadzącej dawniej w dół. Wyżej rośnie sosnowy bór, wysoki i gęsty, co oznacza, że droga musiała zostać zlikwidowana przed wieloma laty, na długo przedtem, zanim Rooth i Sailor zaczęli odwiedzać to miejsce.

Idzie dalej w górę doliny; w pewnej chwili znajduje coś, co przypomina ścieżkę. Jest jednak zbyt wąska i mało udeptana, by mogła być wytworem ludzi. Zgaduje, że używają jej sarny, i po chwili znajduje potwierdzenie swoich przypuszczeń – odciski racic w gliniastej kałuży. Nie dostrzega żadnych śladów kopyt ani stóp. Nie ma też pozostałości po ogniskach, oznakowań na drzewach świadczących o wykonywaniu przerzedzeń drzewostanu, osłon przed wiatrem ani innych znaków świadczących o bytności ludzi. Teoretycznie może być pierwszym człowiekiem, który postawił tu stopę od czasów, gdy Sailor i Rooth opuścili to miejsce.

Mija stertę na wpół przegniłych podkładów kolejowych; obok nich leży na ziemi metalowy szkielet, który sądząc po kołach, był kiedyś wózkiem kopalnianym. Potem dochodzi do dużych, gęstych zarośli. Sarnia ścieżka prowadzi prosto przez nie, lecz ona zastanawia się, czyby nie okrążyć zarośli i poszukać dróżki po drugiej ich stronie, ale instynkt każe jej iść dalej, wprost w gęstwinę. Gdy wciska się pod gałęzie, jest zmuszona kucnąć i skłonić głowę, i wówczas niemal wchodzi do małej szopy, która kryje się trochę dalej w gąszczu

krzewów. Może znajdowała się zbyt daleko, gdy kopalnia pracowała, i już wówczas była zapomniana, a może grunt dookoła tego miejsca stał się tak niepewny, że nie mogły tutaj dojechać maszyny używane do rozbiórki budynków.

Niezależnie od przyczyny, szopa pozostała; Veronica spostrzegła jednak, że sama natura jest w trakcie jej niszczenia. To tu, to tam spomiędzy szarych desek wyrastają rośliny, a na dachu z płyt mech, liście i trawa utworzyły tak ciężką warstwę, że uginają się pod nią ściany.

Robi krok do przodu i wyczuwa coś obok stopy. Kiedy patrzy w dół, widzi pustą butelkę po wódce, do połowy zakopaną w ziemi. Znajduje jeszcze jedną, gdy skręca za narożnik szopy.

Resztki drzwi leżą na ziemi, a otwór drzwiowy zieje ciemnością. Z okapu nad wejściem zwisa coś żółto-białego. Gdy podchodzi bliżej, przekonuje się, że są to dzwoneczki wietrzne wykonane ze zwierzęcych kości i kawałków poroży, w których ktoś wywiercił otwory i które nawłókł na długi sznur ze skóry. Tłumi w sobie dreszcze, podchodzi do otworu drzwiowego i zagląda do środka.

Kiedyś, gdy była dzieckiem i bawiła się w domu w chowanego, przez przypadek zamknęła się w dawnej dojrni w oborze. Ciężkie drzwi się zatrzasnęły i minęła przeszło godzina, zanim została znaleziona i wypuszczona. Godzinę, podczas której płakała tak, że aż głos jej się załamał, waliła w drzwi tak długo i mocno, aż rozboleły ją ręce.

W zabawie uczestniczyła ona, Mattias i trzech jego kolegów. Mattias zawsze łatwiej zdobywał przyjaciół niż ona. Nic dziwnego, był otwarty, miły i lojalny, poza tym wysportowany i dobrze grał w piłkę. To zestaw cech, który sprawia, że chłopak jest popularny zarówno wśród kolegów, jak i koleżanek, przynajmniej w szkole podstawowej. Czasami, tak naprawdę nawet dość często, zazdrościła mu tego.

Tego dnia to on i jego przyjaciele ją uratowali. Wyciągnęli ją z dojrni i nie powiedzieli mamie ani tacie, co się wydarzyło. Przypomina sobie, że Mattias nawet ją pocieszał, gdy potem budziła się nocami i miała koszmary o ciemnościach, wilgoci i chłodzie. Rok później, gdy Billy podrosł na tyle, by mógł się z nimi bawić, tata założył na drzwiach kłódkę i od tej pory używał tego pomieszczenia do przechowywania opon zimowych. Jednak zapach dojrni dalej siedzi w jej głowie i pozostanie tam do końca życia. Wilgotnawy, surowy aromat, prawie dokładnie taki, jak ten w szopie. Tak podobny, że musi się kilkakrotnie zatrzymywać i przypominać sobie, że nie ma już dziewięciu lat i nie potrzebuje być ratowana ani pocieszana przez swojego starszego brata.

Przez pięć minut przeszukuje szopę. Znajduje w niej jedynie zardzewiały komin, stół drewniany i kilka pustych butelek po piwie i wódce. Na półce stoi skrzynka pełna łusek po nabojach, obok której leży opakowanie staroświeckich zapalek. Inne rzeczy, które mogły się tam znajdować, zniknęły dawno temu. Veronica oczywiście nie wie, czy szopa jest tym miejscem, którego szuka. Jednak sądząc po owych strasznych dzwoneczkach wietrznych i łuskach, jest to

opuszczona chata myśliwska, a butelki po wódce, na zewnątrz i w środku, przemawiają wyraźnym językiem. Raczej nie ma więcej chat myśliwskich w Dolinie Popiołów; przecucie mówi jej, że odnalazła właściwą. Nie może jednak znaleźć niczego, co zbliżyłoby ją do odpowiedzi na któreś z jej pytań.

Decyduje się zatem wyjść z zarośli i pójść ścieżką dalej pod górę, w coraz bardziej zwężającą się dolinę. Jest tu ciemniej i im wyżej się znajduje, tym ściany zboczy zbliżają się do siebie coraz bardziej. Poza tym stają się coraz bardziej strome i w kilku miejscach przez cienką warstwę gleby prześwituje skała. Jest czarna i porowata, przypomina popiół, co prawdopodobnie nadało dolinie nazwę.

Zatrzymuje się na skraju dużej niecki. Ma dziesięć metrów średnicy i rozciąga się w miejscu, które kiedyś było dnem doliny. Na środku tego zielonego leja znajduje się czarny otwór, w którym pluska woda. Uświadamia sobie, że dziura w ziemi prowadzi aż do chodników kopalni. Być może jest to jeden z pionowych kopalnianych szybów; w takim wypadku otwór może być naprawdę głęboki – dwadzieścia metrów, może więcej – i z pewnością wypełniony jest wodą.

Kolejna szyjka rozbitej butelki, ledwie jakiś metr od krawędzi leja. Czuje, jak jej puls przyspiesza. Ten otwór jest doskonałym miejscem, żeby pozbyć się czegoś, co nigdy nie powinno zostać znalezione. Butelka zaś świadczy o tym, że byli tutaj Rooth i Sailor.

Rozgląda się, próbuje znaleźć jakiś sposób na sprawdzenie, co jest w środku, byle uniknąć konieczności zejścia do tego spadzistego leja. Ale nie ma innej możliwości. Ziemia w leju wygląda jednak stabilnie, decyduje się zatem spróbować. Robi ostrożny krok ponad krawędzią i kilka razy delikatnie naciska stopą grunt. Nic się nie dzieje, więc zwiększa nacisk. Po kolejnych kilku próbach przemieszcza ciężar ciała i robi następny krok. Ziemia w tym miejscu jest mniej porośnięta roślinnością, wydaje się trochę twardsza niż ta wyżej. Zmierza powoli do środka leja, krok po kroku, każdorazowo przed postawieniem stopy badając grunt przed sobą. Plusk płynącej wody staje się coraz silniejszy. Czuje wilgotny zapach podziemi, który trochę przypomina metro.

Widać teraz wyraźnie przeciwległą ścianę leja. Twardo ubita

ziemia, z której wystają fragmenty korzeni przypominające włochate robaki. Pod nimi jest czarna skała i ciemność.

Stawia krótsze kroki – przesuwa stopy o jakieś dziesięć centymetrów – aż osiąga krawędź otworu. Wyjmuje latarkę, kieruje strumień światła w dół i pochyła się do przodu, by zajrzeć do czeluści. Powoli, ostrożnie...

Otwór nie jest wcale tak głęboki, jak sądziła. Widzi jego dno – może trzy, cztery metry niżej. Jest tam sterta ziemi, liści i kamieni, prawdopodobnie utworzona z materiału z zawalonego sufitu chodnika i tego, co potem naniósł do środka woda deszczowa. Dookoła tej sterty widać rozrzucone kamienie, których powierzchnia jest bezustannie żłobiona przez krople spadające z krawędzi otworu. Woda ginie w ciemności poza kręgiem światła latarki i można przypuszczać, że na dole jest jakieś pomieszczenie, znacznie większe od samego otworu.

Kręci latarką na boki, próbuje roświetlić mrok. Żarówka taniej, małej latarki jest słaba, daje niezbyt jasny, wąski stożek światła, który sięga tylko na jakiś metr, a potem łyka go ciemność. Kieruje go na prawo, dostrzega coś pobłyskującego na krawędzi płamy światła. Próbuje trzymać latarkę spokojnie, mruży oczy, żeby lepiej widzieć. Jasny patyczek wystaje ze sterty śmieci. Ale gdy pochyła się do przodu, uświadamia sobie, że to nie patyk, lecz kość.

Prawda jest tam, na górze – syczy w jej głowie głos Sailora.

Szczelina pod jej sercem rozszerza się, wypuszcza lodowaty chłód. Krew odpływa z głowy, ciało się zatacza. Krawędź otworu ugina się bez ostrzeżenia, a ona spada prosto w dół, w zimną ciemność.

Kochanie,

wczoraj próbowałam z Tobą porozmawiać; zadzwoniłam do Ciebie i nawet przejechałam samochodem koło Twojego domu. Wiem, że złamałam zasady naszej umowy, ale brak wiadomości od Ciebie doprowadza mnie do szaleństwa.

Nie mogę uwierzyć, że mnie opuściłeś, właśnie teraz, gdy tak bardzo Cię potrzebuję. Nie mogę uwierzyć, że wszystko, co mi mówiłeś, wszystkie słowa, które do mnie szeptałeś, były kłamstwem. A może wtedy wierzyłeś, że mówisz prawdę, tak jak ja wierzyłam, że naprawdę będziemy razem, Ty i ja?

Nienawidzę Cię, ale jednocześnie nadal Cię kocham, bardziej niż kiedykolwiek. To dziwne, prawda?

Otwiera oczy; leży na brzuchu na dnie leja. Woda kapie jej na twarz, czaszkę rozłupuje ból, a w ustach czuje ziemię. Musiała uderzyć się w głowę; na szczęście liście i ziemia zamortyzowały upadek – z ulgą stwierdza, że nie ma żadnych złamań. Z trudem podnosi się do pozycji siedzącej. Nie licząc kilku otarć i bólu głowy, jedynym poważniejszym obrażeniem, jakie odniosła, jest pęknięta brew. Przciska wierzch dłoni do czoła, by zatrzymać krwawienie, i jednocześnie próbuje się zorientować w swoim położeniu. Latarka wylądowała w kałuży u jej stóp i z początku nie działa. Ale gdy potrząsa nią kilka razy i uderza o dłoń, zaczyna świecić.

Oświetla przestrzeń wokół siebie. Komora czy raczej grot, w której wylądowała, jest większa, niż myślała. Ma mniej więcej siedem metrów średnicy, a sterta śmieci, na której siedzi, mieści się prawie na jej środku. Przy ścianach strop zaczyna się na wysokości około metra, ale ponad jej głową znajduje się dużo wyżej. Otwór u góry, przez który tu wpadła, nie jest już doskonałym okręgiem; na krawędzi, w miejscu, gdzie ziemia zapadła się pod jej ciężarem, pojawiła się szpara. Małe grudki ziemi i kamyki wciąż się z niego osypują, tak że woda rozbryzguje się w dużej kałuży przy jej stopach.

Oświetla ciemność na prawo i szybko znajduje to, czego szukała. Stertę z małą, wystającą z niej kością.

Kałuża ma głębokość zaledwie kilku centymetrów, a jej buty są już tak przemoczone, że ledwo zauważa wodę, gdy ostrożnie przesuwają się do przodu. Latarka oświetla to, co wydawało jej się stertą śmieci wokół kości. Odslania patykowate poroże, resztki sierści, ścięgien i racic. Zwłoki sarny, która prawdopodobnie wpadła tu przez otwór dosyć dawno temu. Napięcie w jej ciele się zmniejsza, przechodzi w strach, gdy pojmuje, w jak poważnym jest położeniu. Znajduje się w korytarzu opuszczonej kopalni, głęboko w lesie, w miejscu, do którego rzadko lub nigdy nie przychodzą ludzie.

Wspina się z powrotem na stertę. Otwór znajduje się zdecydowanie

zbyt wysoko, by mogła go dosięgnąć. Bada resztę groty, szuka czegoś, na czym mogłaby stanąć. Jedyne, co znajduje, to kilka przegniłych drewnianych stempli, które leżą zaklinowane pod stosem kamieni przy jednej ze ścian, oraz przerdzewiałe resztki blaszanej puszkii. Nie ma tu nic, co mogłoby jej pomóc wydostać się na powierzchnię.

Panika zaczyna bulgotać w klatce piersiowej, podnosi się do gardła, gdy latarka mruga kilka razy i gaśnie. Mętne światło, które przenika przez otwór u góry, rozjaśnia zaledwie metr kwadratowy dna groty, nie więcej. Reszta pomieszczenia jest czarna jak węgiel i zimna jak stara dojarnia. Lecz tym razem nie ma nikogo, kto by jej szukał. Nikogo, kto by tu po nią przyszedł.

Czuje, że jej oddech staje się nierówny, ostrzega przed nadchodzącym atakiem paniki, dlatego szybko wraca do stożka światła spływającego z otworu. Siada na stercie, wkłada głowę między kolana i próbuje się uspokoić, głęboko oddychając.

Wdech

Wydech

Wdech

Wydech

Po co, do jasnej cholery, przyjechała tutaj, po co wdała się w to bezsensowne polowanie na duchy. Utknęła tu, na dole, na amen...

Kręci jej się w głowie, krew, która spływa z pękniętej brwi, zmusza ją do przymknięcia jednego oka. Przez około sekundę myśli, że zaraz zemdleje. Wydaje jej się, że słyszy głos Ruuda: „Uspokój się, Veronico, musisz się uspokoić! To jest tylko chwilowa przeszkoda. Coś, przez co musisz przejść”.

Uderzenia młota w klatce piersiowej trochę się uspokajają. Grota, lej, cała ta przeklęta dolina jest tylko przeszkodą, którą musi pokonać. Tak samo jak Leona, Ruuda i umowę. Chwilowe przeszkody.

Udaje jej się zrobić głęboki, niepewny wdech. Potem jeszcze jeden. Panika stopniowo ustępuje.

Prostuje się, wstaje i jeszcze raz uderza latarką o wewnętrzną część dłoni. Podziałało, latarka budzi się do życia. Veronica robi krok przez kałużę i ponownie bada grootę, tym razem dokładniej. Ta jej

część, w której leży truchło sarny, musi się znajdować blisko końca wąwozu, bo grunt tam jest suchy. Jakiś metr za szczątkami zwierzęcia znajduje się płaska ściana skalna, co może oznaczać, że korytarz kończy się właśnie tutaj, gdzie skała staje się twardsza. I że grocie wydrążono w tym miejscu po to, by przechowywać w niej różne rzeczy, czego dowodem są resztki dzbanka. Jeśli faktycznie jest to koniec korytarza, to musi on prowadzić do drugiego otworu. Veronica przygląda się kałuży i dostrzega, że rozlewa się ona szerzej od środka grotu i dalej, aż do ściany z zaklinowanymi w niej drewnianymi stemplami.

Gdy tam podchodzi, orientuje się, że stemple musiały kiedyś podierać sklepienie zawalonego korytarza. Woda z łatwością sączy się między kamieniami w dół. Przesunięcie dostatecznie wielu kamieni, by móc zajrzeć na drugą stronę, zajmuje jej tylko kilka minut. Tamtejsze powietrze jeszcze silniej czuć wilgocią i podziemiami. Przeciąg wieje w jej kierunku, uświadamia więc sobie z rosnącą nadzieją, że gdzieś tam, na drugim końcu korytarza, musi znajdować się inny otwór. Wyjmuje kilka kamieni leżących trochę wyżej i świeci jeszcze raz. Pusta przestrzeń po drugiej stronie rozszerza się, przechodząc w wąski korytarz. Światło latarki odbija się od lustra wody.

Zaklinowane pod kamieniami drewniane stemple umożliwiają ostrożne rozszerzenie otworu u dołu przy ziemi i po chwili jest on już na tyle duży, że można się przezeń przecisnąć. Veronica odwraca się, zerka ku bezpiecznej plamie światła pod otworem w stropie grotu. Próbuje nie myśleć o ciemności w dołach.

Wkłada latarkę do ust i przeczolguje się przez otwór. Woda, w której musiała się zanurzyć, jest lodowato zimna, moczy jej ubranie i powoduje, że zaczyna dyszeć.

Przedostanie się na drugą stronę okazuje się łatwiejsze, niż oczekiwała. Korytarz jest wysoki na tyle, że może stanąć prawie w pełni wyprostowana. Woda, wypływająca z grotu za nią, jak również setki kropli i drobnych strug spływających po nierównych skalnych ścianach, zbierają się na dnie korytarza, tworząc lustro, w którym odbija się światło latarki. Po kilku sekundach Veronica zauważa, że powierzchnia tego zwierciadła nie jest nieruchoma

i w rzeczywistości lekko się porusza i wślizguje w ciemność przed nią.

Gdzieniedzie z wody wystają duże zardzewiałe bolce. Prawdopodobnie kiedyś były tu ułożone szyny, które zdemontowano w związku z zamknięciem kopalni. Veronica porusza się do przodu zgięta w kucki, przed przesunięciem stopy każdorazowo oświetlając drogę latarką. Woda pluska wokół niej, fale powodują, że błyszcząca powierzchnia marszczy się i wciąga w siebie światło latarki.

Co trzy metry umieszczone są przegniłe, prawie czarne drewniane stemple, zaklinowane w poprzecznych belkach w suficie. Uważa, żeby ich nie dotknąć. Nie dopuszcza do siebie myśli, ile ton ziemi i skał znajduje się ponad jej głową, i posuwa się dalej.

Korytarz opada lekko w dół i skręca trochę w lewo. Tego pierwszego jest pewna, wystarczy popatrzeć na ziemię, ale to drugie to raczej przecucie. Wyobraża sobie, że „jej” korytarz przebiega blisko tej części doliny, którą szła, oraz że jest z pewnością tylko jednym z wielu kopalnianych korytarzy, które ciągną się na różnej głębokości pod całą doliną. To uczucie ją niepokoi; niepokój jeszcze rośnie, gdy zauważa, że ze ścian spływa coraz więcej wody.

Po mniej więcej piętnastu metrach cienkie lustro wody zmieniło się w powoli płynący strumień, który sięga jej do kostek. Zatrzymuje się na kilka sekund. Korytarz dalej się obniża, z pewnością przebiega pod dnem doliny, co oznacza, że poziom wody dalej będzie rósł. W dalszym ciągu czuje słaby przeciąg, tak jak wcześniej. Gdzieś daleko z przodu znajduje się jakiś wlot powietrza, jakiegoś rodzaju otwór.

Po przebyciu następnych dziesięciu metrów woda sięga jej do kolan, co zmusza ją do zwolnienia tempa. Szemranie wody przybiera na sile. Czuje nurt na tylnej stronie ud, potem na pośladkach. Chłód jest niemal bolesny i sprawia, że jej ruchy robią się ociężałe. Gdy woda sięga jej do talii, prąd staje się silniejszy. Veronica rozumie, co to znaczy, jeszcze zanim dociera do obniżenia gruntu.

Sufit się zawalił, a korytarz niemal całkowicie zablokowały dwa duże głazy, z których każdy musi ważyć wiele ton. Może poświecić latarką w wąską przestrzeń między nimi, poczuć przeciąg i zobaczyć, że korytarz znika za rogiem z drugiej strony. Ale nie może iść dalej.

Rzuca głośnym przekleństwem, przede wszystkim po to, żeby odpedzić panikę. Zaczyna szczekać zębami i czuje mimowolne drżenie mięśni ramion i nóg. Znowu oświetla głazy i zauważa, że woda jest jak gdyby zasysana w dół, dokładnie przed nimi. Przeciska dłoń w tym kierunku i obmacuje głazy. Mniej więcej na wysokości kolan znajduje otwór i po dalszym badaniu szacuje, że jest on wystarczająco szeroki, by mogła przepłynąć pod głazami. W każdym razie z tej strony.

Dygocze, czuje, jak drżenie mięśni przechodzi we wstrząsy. Ile ma czasu, zanim chłód ją złamie? Kwadrans? Albo jeszcze mniej, jeśli zanurzy całe ciało w lodowatej wodzie. A co będzie, jeśli utknie w połowie drogi? Nie trzeba być przesadnie bystrym, żeby to sobie wyobrazić.

Po raz pierwszy rozważa na serio, czy nie powinna zawrócić. Spróbować zebrać z korytarza tyle kamieni, żeby zbudować piramidę, na którą mogłaby się wspiąć i z jej wierzchołka osiągnąć krawędzi otworu. Po chwili pojmuje, że już wybrała wszystkie kamienie, które można było wyrwać z gruzowiska, gdy chciała się wczołgać do korytarza. Gdyby nawet udało jej się zdobyć ich więcej, to byłoby i tak za mało. Jeśli nie chce usiąść w grocie w plamie światła pod otworem i wołać o pomoc, co najprawdopodobniej okaże się nieskuteczne, to jej jedyną szansą na wyrwanie się stąd jest zanurkować i przepłynąć przez otwór pod głazami, po czym przedostać się dalej, za zakręt, i dotrzeć do wlotu powietrza.

Powiew wiatru, który przepływa między głazami, przynosi ze sobą słaby zapach lasu. To powoduje, że podejmuje decyzję. Gasi latarkę i wkłada ją do kieszeni dzinsów. Robi kilka głębokich wdechów. Następnie ugina kolana i zanurza się w lodowatej, czarnej wodzie.

Prąd wciąga ją w kierunku otworu szybciej, niż się spodziewała. Woda jest tak zimna, że czuje, jakby rozsadzało jej głowę. Otwór nie jest duży, a ona posuwa się po omacku przed siebie, chwyta się jakiejś nierówności w kamieniu i przeciąga ciało do przodu. Ma szeroko otwarte oczy, choć właściwie jest to zupełnie niepotrzebne. Ciemność tu na dole jest tak samo gęsta jak w dojnarni, dlatego po chwili zaciska powieki. Koncentruje się na wyczuwaniu przestrzeni palcami.

Nowy chwyt prawą ręką winduje ją kawałek do przodu. Kopie nogą, uderza kolaniem o skałę; ból jest tak silny, że prawie się zatrzymuje. Posuwa się dalej po omacku, szuka wystającej krawędzi. Udaje jej się posunąć o kilkadziesiąt centymetrów, zanim natyka się na poprzeczną blokadę. Utkwiła, dokładnie tak jak się obawiała, i nie da rady się uwolnić, używając tylko jednej ręki. Zapas tlenu szybko się zużywa, pochłaniany przez chłód i jej coraz bardziej panikujące serce.

Udaje jej się wyswobodzić drugą rękę, po omacku szuka następnego chwytu, ale wyczuwa jedynie płaskie powierzchnie, a nierówności są zbyt małe, żeby zaczepić na nich palce. Płuca ją palą, widzi błyski na siatkówce oczu. Wydaje się jej nagle, że lewa ręka przestała funkcjonować i nie może nią poruszać tak, jak by chciała. Jest tylko kwestią czasu, kiedy to samo stanie się z prawą ręką.

Jej ciało nie przesuwają się nawet o centymetr, chociaż woda wokół niej płynie coraz szybciej. Tlen już się skończył i Veronica czuje, jakby płuca miały jej pęknąć. Na siatkówce wybuchają teraz fajerwerki, które powoli rozpływają się w czerni, jak w kineskopie starego telewizora. Ostatnią jej myślą są cztery słowa, które pulsują wewnątrz niej:

Nie

Możesz

Tutaj

UMRZEĆ!

Złość daje jej nową siłę. Wyrzuca do przodu prawe ramię, tak daleko, jak to tylko możliwe. Coś kłuje w palce, dłoń jest na dobrej drodze, żeby się zgąć, gdy czuje wyraźną krawędź. To musi być drugi koniec otworu.

Palce ma zagięte jak pazury, ale udaje jej się je zamknąć w chwyt. Ostatkiem sił zapiera się prawym ramieniem i jednocześnie obraca ciało. Ciśnienie wokół niej wzrasta, woda kipi dookoła głowy, bulgocze w uszach. Usta prawie się otwierają, by zaczerpnąć oddechu – napęlić płuca czarną kopalnianą wodą.

Zaciska zęby, sprzeciwia się, aż trzeszczy jej w szczękach, i jednocześnie dalej się obraca. I nagle oswobadza się, zostaje

wypłukana jak korek z odpływu. Czuje uderzenie w głowę, następne w kolano. Młóci nogami, udaje jej się sięgnąć do dna i odepchnąć w górę. Nie może już dłużej wstrzymywać oddechu. Usta się otwierają, bierze głęboki wdech. Napęlnia płuca – nie wodą, lecz zimnym, wilgotnym powietrzem, które ma w sobie słaby zapach lasu.

Otwór doprowadzający powietrze znajduje się zaraz za zakrętem, dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Zapadlisko powyżej utworzyło w stropie korytarza wyrwę o średnicy dziesięciu centymetrów, otoczoną dookoła luźną ziemią. Jej zmarznięte na kość palce, którymi zdrapuje kępy trawy i kamienie, są twarde jak kilofy. Zamyka oczy, chroniąc je przed pryskającą w twarz ziemią. Ciało drży z zimna w niekontrolowany sposób. Ale po trwającej około minuty pracy otwór jest już na tyle duży, że zapierając się stopami o ścianę korytarza, przeciska się na drugą stronę.

Gdy wydostała już głowę i ramiona ponad ziemię, chwytą się kęp trawy rosnącej na dnie leja. Wyciąga się do przodu, centymetr za centymetrem, aż w końcu cała jest na zewnątrz, na ciepłym powietrzu. Kula się na plecach, jej ciało dalej się trzęsie, i nagle wybucha śmiechem. Śmieje się tak, że aż łzy płyną jej po twarzy, a spazmy śmiechu mieszają się z drgawkami z wychłodzenia. Musi teraz przypominać jakąś leśną istotę, mokrego i utyłanego trolla lub inną zmore, z krwią spływającą po twarzy, wynurzającą się z wrzaskiem spod ziemi.

Atak śmiechu mija, ale ciało nadal drży z chłodu. Mimo zdrętwiałych palców udaje jej się zedrzeć z siebie przemokniętą bluzę, przynosi jej to jednak tylko chwilową ulgę. Potrzebuje ciepła, więcej ciepła, niż ta zacieniona niecka może jej dać.

Wydostaje się z leja i próbuje zorientować się w przestrzeni. Dostrzega, że znajduje się blisko zarośli, w których ukryta jest chata. Idzie zatem chwiejnym krokiem w tamtym kierunku.

Drewno na stosie w chacie jest z pewnością bardzo stare, ale leżało pod dachem, a wiatr wiejący przez deski uchronił je przed zawilgoceniem. Zapalki, które znalazła wcześniej, są na szczęście również suche. Rozpalenie ogniska w małym kominku, przy pomocy paru garści chrustu, zabiera jej zatem tylko kilka minut. Za te umiejętności, jak i za wszystko inne, co wie o lesie i naturze, powinna podziękować wujkowi Haraldowi.

Rozwiesza swoje rzeczy wokół kominka, siada w kucki, ubrana tylko w stanik i majtki, i zbliża dłonie do płomieni. Czuje kłujący ból, kiedy powoli powraca jej czucie, i znowu jest bliska wybuchnięcia śmiechem.

Czytała o tym zjawisku, gdy kształciła się na terapeutkę, ale sama nigdy go nie doświadczyła. To euforia wywołana zażegnaniem śmiertelnego niebezpieczeństwa. Uczucie to przypomina stan po zażyciu kokainy. Veronica przez kilka minut ma wrażenie, jakby była niezniszczalna. Jakby nie miała żadnych życiowych problemów. Jednak wraz z podnoszeniem się temperatury ciała również stan jej zmysłów wraca do normy.

Jaką właściwie korzyść odniosła z tej idiotycznej wycieczki? Na to pytanie można łatwo odpowiedzieć – żadnej. Oczywiście znalazła to, co prawdopodobnie było chatą Sailora i Rootha, ale nie ma nic, co świadczyłoby o tym, że Billy tutaj był. Nic, co potwierdzałoby jego śmierć lub przeciwnie, sugerowałoby, że przeżył – czego oczywiście najbardziej by sobie życzyła. Nawet jeśli otępiąlemu mózgowi Sailora udało się wyprodukować kilka zrozumiałych zdań, jego mamrotanie o prawdzie okazało się mało godne zaufania. Summa summarum nie zbliżyła się do odpowiedzi na którekolwiek z pytań krążących jej w głowie. A tożsamość Isaka pozostaje tym samym tajemnicą.

Wyłubuje kamyki z bieżnika na podeszwach swoich butów i zirytowana rzuca je w zarośla naprzeciw wejścia do chaty. Kamyki pochodzą z korytarza kopalni, są małe i czarne, można je prawie zmiażdżyć w palcach. Przypominają miał węglowy, węgiel kamienny złej jakości, który dawniej mielono i rozsypywano na boiskach i bieżniach w Skanii lub usypywano z niego hałdy. Wyrzuca jeszcze jeden kamyk. Trafia w coś ukrytego w zaroślach, co odpowiada metalicznym dźwiękiem.

Patrzy zdumiona w tym kierunku, wkłada na nogi wilgotne buty i wychodzi na zewnątrz. Rokitnik rośnie gęsto. Rzuca jeszcze jeden kamień. Kolejne brzęknięcie, tym razem głośniejsze. Coś tam jest, niewidoczne w ciernistym gąszczu. Cofa się do chaty, wciąga na siebie spodnie i koszulę, które jeszcze nie są zupełnie suche, ale przynajmniej ciepłe. Następnie zagłębia się w zarośla.

Mimo że porusza się ostrożnie, kilka cierni natychmiast wbija się w jej uda. Inne kłują ją w ramiona; wykrzywia z bólu twarz.

Zdążyła się już pokłuć wiele razy, gdy jej stopa uderza w coś twardego. Po kilku sekundach przypatrywania się odkrywa, że jest to coś dużego, przykrytego siatką maskującą.

Rozrywa siatkę; czuje, jak wraz z odsłanianiem znaleziska rośnie w niej napięcie. Siatka skrywała czworokątny metalowy keson, trochę większy niż pralka, stojący na wylanym z betonu stopniu. U góry, na pokrywie, znajduje się duży uchwyt i dwie metalowe pętle. Keson, w którym z pewnością przechowywano kiedyś dynamit, jest wystarczająco duży, żeby zmieścić dorosłego człowieka w pozycji kucznej i bez wątpienia małe dziecko.

Uderzenia młota w klatce piersiowej prawie sprawiają jej ból i zanim zabierze się za pokrywę, musi się zatrzymać na kilka sekund i oprzeć dłonie na kolanach, żeby zapobiec mdłościom. Gdy tak stoi, odkrywa coś na ziemi, tuż obok betonowego stopnia. Są to pozostałości po solidnej kłódce, która prawdopodobnie spinała ze sobą pętle na pokrywie. Podnosi znalezisko. Kłódka została zniszczona jednym cięciem, co z pewnością wymagało użycia solidnych obcęarów. Powierzchnia cięcia, tak jak i reszta kłódki, jest bardzo zardzewiała. Przedmiot z pewnością leżał na ziemi przez wiele lat.

Prostuje się. Bierze kilka głębokich oddechów, chwytając kabłąk i próbuje unieść pokrywę. Jest ciężka, gruba na co najmniej dziesięć centymetrów, ale po kilku próbach jednak ustępuje. Podnosi się na suchych, skrzypiących zawiasach.

Keson jest prawie pusty, dzięki czemu może trochę odetchnąć. Wnętrze jest obite deskami. Znajduje się tam stelaż i półka zawieszona wzdłuż jednego boku. Na półce stoi puszkę spreju, który Veronica rozpoznaje. To olej do broni strzeleckiej.

Natychmiast pojmuje, co to znaczy. To tutaj Rooth i Sailor chowali swoją broń, której używali do kłusowania. Wygluszone dubeltówki, na które nie mieli licencji i których nie odważyli się przechowywać w domu.

Coś błyska na dnie kesonu. Między listewkami utkwiała mosiężna łuska po naboju. Veronica zgina się wpróż, pochyla nad krawędzią

i wyciąga ramię tak daleko, jak tylko jest w stanie. Delikatnie poluzowuje łuskę i jednocześnie udaje jej się unieść listewki.

Pod spodem jest jeszcze jeden zbiornik. Dostrzega coś ciemnego i czworokątnego, pochyla się jeszcze bardziej. Jej stopy majtają w powietrzu i przez chwilę jest bliska upadku na twarz, prosto do kesonu. Odzyskuje jednak równowagę, odsuwa kilka listewek i wyciąga się, by sięgnąć po tajemniczy przedmiot. Jest to zielone blaszane pudełko, rozmiaru mniej więcej grubej książki. Przyciąga je do siebie i wycofuje się z kesonu.

Pudełko jest lekkie i gdy je obraca, odkrywa, że pokrywka nie jest zamknięta. Otwiera je. Puste, dokładnie tak jak przeczuwała. Jej frustracja jest tak duża, że początkowo chce je cisnąć w zarośla. Po chwili jednak odkrywa, że coś przykleiło się do spoin na dnie pudełka. Mały, biały kawałek papieru, który delikatnie odrywa. Papierek jest podwójnie złożony i ma kształt trójkąta. Gdy Veronica próbuje go rozłożyć, zauważa, że coś tkwi w środku. Coś tak cienkiego i jasnego, że ledwo można to dostrzec, ale ten widok natychmiast otwiera lodową szczelinę pod jej sercem.

Trzy krótkie blond włosy.

Jest prawie siódma wieczorem, gdy dociera ponownie do wąskiej drogi do transportu drewna, gdzie zostawiła samochód. Jej rzeczy i buty są w dalszym ciągu wilgotne i cuchną kopalnianą wodą, ale wygrzebywanie się z zapadliska i wędrówka przez las rozgrzały ją.

Trzyma pudełko w taki sposób, żeby – jak sobie wmawia – nie zniszczyć ewentualnych odcisków palców. Jest przy tym tak pogrążona w rozmyślaniach, że nie zauważa drugiego samochodu, dopóki przed nim nie staje. To zielona furgonetka z logo farmy Aronssona. Kierowca stoi pochylony nad maską jej samochodu. Odblaskowe okulary słoneczne, zielona czapka z daszkiem, ciemne spodnie robocze, flanelowa koszula z podwiniętymi rękawami. Przyciska do ucha telefon komórkowy i odwraca się w jej stronę, gdy ona wynurza się z lasu.

– Właśnie się pojawiła. Oddzwonię. – Veronica słyszy koniec rozmowy.

Rozpoznaje mężczyznę – to Patrik, spotkała go wczoraj na drodze do domu ojca. Patrik Brink, teraz sobie przypomina. Jest synem brygadzisty wujka Haralda, a także kuzynem Cecilii.

Wspomnienia, które przedtem zdławiła, znowu wynurzają się na powierzchnię. Jest rok 1986, a ona właśnie ma skończyć siedemnaście lat. Mama umarła trzy lata wcześniej, Abby nie ma równie długo, a Mattias mieszka w Sztokholmie. Impreza u kogoś w domu. Zgaszone światło, powietrze gęste od napięcia, z odtwarzacza CD płynie piosenka *Take My Breath Away*. Czyjś język w jej ustach ma posmak tytoniu i piwa. Czyjaś ręka obmacuje ją pod swetrem, rozpina jej rozporek. Veronica natychmiast wypiera resztki tego obrazu.

Patrik Brink należał wtedy do grupy szpanerów. Chłopców z prawem jazdy, których życie osiągnęło pewnie wówczas punkt szczytowy, gdzieś między szesnastym a dwudziestym rokiem życia. Od tego czasu przybyło mu dziesięć kilo, z czego większość wygląda na mięśnie, a nastroszony wąs zastąpiła kozia bródka. Poza tym

jednak niewiele się zmienił. Wydaje się równie pewny siebie jak dawniej i ma ogorzały wygląd, który bynajmniej nie jest nieatrakcyjny. Może jest jednym z tych, których krzywa rozwoju szła dalej w górę. Zdejmuje okulary słoneczne, uśmiecha się do niej szyderczo i pyta:

– Na co ty do cholery wpadłaś, Vero?

Veronica spostrzega swoje odbicie w jednej z szyb samochodu i pojmuje, że pytanie jest co najmniej uzasadnione. Jej rzeczy są ubrudzone węglem, krwią i ziemią, przez twarz przebiegają czarne smugi, a włosy zwisają, zlepione w strąki.

– Upadłam – odpowiada.

– Gdzie? I co ty tu do cholery robisz?

Veronica wzrusza ramionami. Pomija pierwsze pytanie i odpowiada od razu na drugie.

– Szukałam starej chaty, którą mieliśmy tutaj, gdy byliśmy dziećmi. Ale zabłądziłam.

Patrik patrzy na nią, jakby jej nie wierzył albo uważał, że coś z nią jest nie w porządku.

– Znalazłaś tę chatę?

– Mhm. – Zmęczyła się już tą rozmową, odwraca się w kierunku drzwi kierowcy i zaczyna szukać kluczyka do samochodu w kieszeni spodni.

– Co to jest? – Patrik wskazuje głową blaszane pudełko.

– Jedyna rzecz, jaką znalazłam.

– W chacie?

Wyjmuje kluczyki, otwiera drzwi i szybko stawia pudełko na podłodze przy miejscu dla pasażera. Gdy się odwraca, spostrzega, że Patrik zdążył się już przemieścić. Stoi dokładnie po drugiej stronie otwartych drzwi, absolutnie zbyt blisko niej. Uśmiech na jego ustach widziała już wcześniej u innych mężczyzn. Podobne spojrzenie również.

– Wszyscy cię szukają, Vero. Ludzie są niespokojni.

– Masz na myśli mojego wujka. To z nim rozmawiałaś przez telefon?

Patrik robi grymas, który ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza. Wciąż się uśmiecha.

– Jak długo dla niego pracujesz? – pyta Veronica, głównie po to, by przegonić ten szyderczy uśmiezek z jego ust.

– Od czasu, gdy skończyłem piętnaście lat. Z przerwą na służbę wojskową i studia rolnicze. To Harald mnie namówił, żebym się dalej kształcił. Opłacał mi utrzymanie i wszystko podczas studiów. Jest moim mentorem, a ja przejąłem posadę brygadzysty, gdy mój ojciec przeszedł na emeryturę. Ale to wszystko pewnie już wiesz.

Zarówno to stwierdzenie, jak i jego ton są prowokujące. Tak jakby Patrik Brink był tak niesłychanie ważną personą, że jego sława dotarła sześćset kilometrów dalej. W rzeczywistości Veronica przez całe lata nie pomyślała o nim choćby raz.

– I dlatego słuchasz jego rozkazów, tak po prostu? Rób, jak ci mówię. – Instynktownie naśladuje irytujący ton jego głosu. To działa lepiej, niż sobie wyobrażała.

– Jestem brygadzystą Haraldą, nie jakimś pomocnikiem. Farmy Aronssona nie poradziłyby sobie beze mnie nawet przez jeden cholerny dzień.

– Ach tak? Zastanawiam się, czy wujek Harald zgadza się z tym stwierdzeniem.

Patrik pochyła się do przodu. Ciągle dzielą ich drzwi, mimo to jego bliskość wydaje się jej natrętna. Jego spojrzenie przesuwa się z jej oczu na ciało. Potem znowu ku górze.

– Nie zmieniłaś się, Vero. – Wróciła jego pewność siebie. – Jesteś równie ładna jak dawniej, chociaż trochę bardziej krągła. I na pewno bardziej doświadczona niż ostatnio. Przypominasz sobie tę imprezę u Jockego?

Veronica ma nagle ochotę przyciągnąć do siebie drzwi i walnąć nimi w jego klatkę piersiową. Chwycić go za włosy, gdy on będzie z trudem łapać oddech, przycisnąć jego czaszkę do progu i zedrzyć mu z twarzy to szydercze samozadowolenie. Wie, że nie powinna myśleć w ten sposób, że trochę-za-wysoki Bengt ma rację, mówiąc, że tego rodzaju złość zwykle nie prowadzi do niczego dobrego. Zatem wzrusza tylko ramionami, wślizguje się na miejsce kierowcy i uruchamia silnik.

– Jediną rzeczą, którą pamiętam, jest to, że miałeś cholernie małego fiutka – mówi i zatrząskuje mu drzwi przed nosem.

Zmęczenie dopada ją w samochodzie. Opuszcza boczną szybę, by powiew wiatru nie pozwolił jej odpłynąć. Ciało płaci teraz cenę za wcześniejszy wysiłek i skoki adrenaliny. Wie, że musi z tym walczyć. Mimo to zauważa, że jej myśli zaczynają dryfować, a świadomość wypełnia unosząca się mgła o tym samym odcieniu co światło zmierzchu na zewnątrz.

Powieki jej opadają, podąża za nimi głowa i choć Veronica w jakiejś części pojmuje, co się dzieje, nie potrafi stawić oporu. Samochód zaczyna zataczać się po jezdni, ociera się o lewe pobocze. Opony syczą ostrzegawczo, tocząc się po żwirze. Ale w jej głowie słychać tylko *Take My Breath Away*, mama umarła, Billy zaginął, a Mattias ją opuścił. Samochód zjeżdża z jezdni, ześlizguje się z prawego pobocza, a ona całkiem wyraźnie widzi, co się dzieje, mimo że jej oczy są prawie zamknięte. Spozstrzega, że niemal zjeżdża do stromego rowu, przygotowuje się na uderzenie, lecz nie robi nic, by zapobiec wypadkowi.

Coś błyska na wprost samochodu. Dwa fosforyzujące punkty, które odbijają światło reflektorów. Oczy, które gapią się na pędzący pojazd.

W tej samej chwili budzi się jej refleks. Stopa tak mocno naciska na hamulec, że aż trzeszczy jej w stawach. Ręce dziko kręcą kierownicą i w ostatniej chwili udaje jej się uniknąć zjechania z drogi. Hamulce wyją, towarzyszy im pisk opon i syczenie asfaltu. Krótkie uderzenie w kierownicę, potem cisza i spokój.

Przez chwilę siedzi nieruchomo, z wrywającym się z piersi sercem i drżącymi rękami. Zapach gumy i rozgrzanego azbestu wnika przez opuszczoną boczną szybę i powoduje skurcze żołądka. Przełyka z trudem ślinę, otwiera drzwi. Wysiada sprawdzić, jakie zwierzę przejechała. Nad polem po prawej sterczą ku niebu trzy wiatraki. Mrugają do niej czerwonymi oczami. Skrzydła poruszają się powoli w słabym wieczornym wietrze. Władcy wiatru wydają z siebie głuchy, pulsujący grzmot.

Żołądek znowu jej się wywraca. Opiera się o maskę samochodu, obchodzi ostrożnie błotnik i przygotowuje się na najgorsze. Widziała

już wcześniej wypadki z dzikimi zwierzętami. Przypomina sobie, jak wujek Harald zwykł przeklinać słabeuszy, którzy nie potrafili dobić rannego zwierzęcia i zostawiali je na drodze, krzyczące ze strachu przed śmiercią. Wie, jak taki wrzask brzmi. Błagalnie, z przerażeniem, niemal ludzko.

Ale jedyne dźwięki, które słyszy, gdy ostrożnie obchodzi błotnik, to granie świerszczy i uderzenia serc władców wiatru. Oba reflektory są całe i nie ma śladu krwi, włosów ani wgnieceń na zderzaku. Nie ma także żadnych krwawych plam na asfalcie dookoła samochodu. Robi kilka chwiejnych kroków na bok i wymiotuje prosto do rowu.

Gdy wjeżdża na podwórko zagrody taty, zaczyna się ściemniać. W domu na górze pali się światło, a na podjeździe obok auta taty stoją jeszcze dwa samochody. Jeden z nich należy do Mattiasa, drugi to duży, błyszczący land rover. Przez chwilę się waha, następnie decyduje się nie zabierać ze sobą puszeki.

Ostrożnie otwiera drzwi wejściowe i natychmiast dociera do niej gwar wielu głosów, które szybko udaje jej się zidentyfikować. Oprócz taty słyszy Mattiasa, Cecilie i ich trzy córki, wujka Haralda i jego żonę Tess.

Wślizguje się do domu, przebiega do pralni i w dużym zlewie zmywa z siebie najgorszy brud. Układa włosy w koński ogon. W najdalej stojącej szafie znajduje stertę odłożonych rzeczy. Spodnie do joggingu, niegdyś na pewno należące do niej, i jedną ze starych bluz Mattiasa, która wprawdzie jest kilka numerów za duża, ale przynajmniej zakrywa bliznę na przedramieniu. Wkłada te ubrania, przegląda się w jednym z okien, a potem zbiera się w sobie i idzie do rodziny.

Siedzą w jadalni i wszyscy wesoło ją pozdrawiają, mimo że przychodzi tak późno. Mattias i dziewczynki wydają się szczerzy, jednak radość Cecilii jest udawana, tak samo jak jej własna.

Tess i wujek Harald mają syna, Timothy'ego. Gdy Veronica widziała go ostatnio, był małym pędrakiem. Teraz jest duży, ma pięć czy sześć lat. Chłopiec jest nieśmiały, chce na kolana do taty, kryje buzię w jego szyi. Wujek Harald trzyma go ostrożnie, tak jakby dziecko było małym ptaszkiem. Jego twarz promienieje dumą, a mimo że chłopiec ma ciemne oczy i bardzo przypomina swą tajską mamę, Veronica zaczyna myśleć o Billym. Zerka na tatę, widzi jego spojrzenie i wie, że nie jest w tym osamotniona. Szczególnie gdy Tess woła na chłopca Timmy.

Wujek Harald wygląda jak zawsze, jest tylko trochę bardziej siwy i może trochę okrąglejszy. Ostry nos dziadka i jego gęste brwi są nadal wyraźne. Oczy też się nie zmieniły, są twarde i czujne. Tylko

nie wtedy, gdy patrzą na Timothy'ego. Wtedy miękną, prawie zmieniają wujka w inną osobę.

– Przywitaj się teraz ładnie z twoją kuzynką Verą – mówi wujek do synka i mruga do niej ponad jego głową. – Była dzisiaj na wyprawie, wyobraź sobie. Jeździła i latała nad całą okolicą. Pod ziemią też była, takie przynajmniej robi wrażenie.

Przy stole Veronica próbuje złapać kontakt wzrokowy z Mattiasem. Ale on jest zbyt zajęty odgrywaniem dobrego męża, ojca i syna.

Obserwuje swojego starszego brata, próbuje zrozumieć, co się dzieje między nim a Cecilią. Czy tylko udają ze względu na dzieci? Jeśli tak, robią to całkiem dobrze. Widzi nawet, jak w pewnej chwili Mattias chwyta Cecilię za rękę. Ten gest zdumiewa ją prawie tak bardzo, jak to, że wujek Harald jest takim dumnym ojcem. Ale najbardziej ze wszystkiego zdumiewa ją to, że kolacja przebiega w tak miłej atmosferze. Mówią jedno przez drugie, wypełniają ten przeważnie cichy pokój słowami i śmiechem. Nawet tata wygląda na dosyć zadowolonego, przemyka między dużym stołem jadalnym a kuchnią, żeby przynieść więcej wina i dołożyć marchewki. Lekko się uśmiecha, gdy wszyscy wylewnie chwalą jego kuchnię. Nawet przewidywalne anegdoty wujka Haralda jej nie nudzą. Może ma to związek z winem, ale przez chwilę wszystko wydaje się takie, jakie powinno być. Prawie normalne. Nagle przypomina sobie o blaszanym pudełku w samochodzie. O papierku, w który zawinięte są jasne włosy.

Timothy ożywia się po jedzeniu, ma odwagę usiąść na jej kolanach, a ona czyta mu bajkę z wymiętoszonego albumu Disneya, zdjętego z półki. Pulchniutki małe rączki dziecka kleją się od słodczy, którymi jego mama ciągle go karmi, mimo że zjadł podwójną porcję deseru. Gdy opiera głowę o jej pierś, Veronica nie może się powstrzymać od powąchania jego ciemienia. Wciąga ten błogi zapach, który mają tylko małe dzieci i który powoduje, że lód pod jej sercem zaczyna znowu trzeszczeć. Malec wyciąga swój lepki paluszek i pokazuje jeden z obrazków w książce. Postać w rudym futrze i z chytrym uśmieszkiem na ustach.

- Lis – mówi chłopczyk. – Tata strzela do lisów. Ty też?
Wujek Harald odwraca się do nich, głaszcze chłopca po głowie.
– Jak najbardziej. Wszyscy myśliwi strzelają do lisów, jak tylko mają okazję, Tim.
– Dlaczego?
– Bo w lesie jest miejsce tylko dla jednego myśliwego. – Zerka na Veronicę ponad kieliszkiem koniaku, jakby chciał jej pokazać, że żartuje. Z jakiegoś powodu nie jest tego pewna.

Gdy nadchodzi pora, by goście rozjechali się do domów, wychodzi odprowadzić ich do samochodów. Jest prawie jedenasta. Najmłodsze dzieci zasnęły i trzeba je wynieść na rękach. Ona sama wypila trzy filiżanki kawy i weszła w stadium, w którym ciało jest wykończone, ale umysł jasny.

Dopiero na zewnątrz udaje jej się wyrwać Mattiasa tylko dla siebie.

– Mam coś, co chcę ci pokazać – szepcze. – Coś, co znalazłam w lesie. Sądzę, że to ma jakiś związek z Billym.

– Co takiego? – Jego głos jest czujny, napięty.

Otwiera usta, gdy nagle jak spod ziemi wyrasta wujek Harald.

– Miło, że jesteś w domu, Vero – mówi i brzmi to tak, jakby faktycznie miał to na myśli. – Wspaniale, że cała rodzina się zebrała.

Veronica przytakuje; nie wie za bardzo, co powinna powiedzieć.

– Bez rodziny trudno sobie poradzić na dłuższą metę. Prawda, Mattias? – pyta wujek Harald i klepie Mattiasa po plecach; Veronica widzi, że jej brat ucieka spojrzeniem. Wujek zmienia temat: – Tak poza tym, to czy zdążyłeś porozmawiać z Ebbem? Tam nie ma żadnych sztuczek. On musi tylko podpisać, my się zajmiemy resztą.

– Co podpisać? – pyta Veronica, trochę za szybko.

Zapada niezręczna cisza. Żaden z mężczyzn nie chce odpowiedzieć.

– Co tata ma podpisać? – powtarza Veronica.

Zanim którykolwiek z nich przerwie milczeniem, Tess wciska klakson w samochodzie.

– Pora jechać – mówi wujek Harald. – Jeszcze raz: przyjemnie było cię zobaczyć, Vero. Mam nadzieję, że nie upłynie tak dużo czasu do następnego razu. – Odwraca się do Mattiasa, znów klepie go po

plecach. – Zdzwonimy się jutro. I nie zapomnij porozmawiać z ojcem.

– O co chodziło? – pyta Veronica, gdy machają, żegnając wuja Haralda.

– Chce zbudować więcej wiatraków. Dwa razy wyższych. I zastąpić nimi te stare, tam. – Mattias wskazuje ciemność po drugiej stronie domu. – Tata musi podpisać zgodę na budowę.

– Chyba tego nie zrobi? Wiatraki zasłonią cały widok od tamtej strony. I będzie je słyszeć w ogrodzie.

Mattias wzrusza ramionami.

– Tak, to przykre, że będziesz musiała to wytrzymać, gdy przyjedziesz do domu na jeden weekend raz na pięć lat.

Jego słowa nie brzmią nieuprzejmie, to raczej stwierdzenie, które może świadczyć o tym, że Mattias jest na lekkim rauszu. Mimo to czuje się zasmucona.

– Idziesz, Mattias?! – woła Cecilia z samochodu.

– Muszę teraz jechać. – Nagle wydaje się skruszony, jakby zrozumiał, że przekroczył granicę. – Przyjedź jutro na komisariat koło dziewiątej, to pogadamy dłużej.

Veronica przytakuje. Stoi potem i odprowadza wzrokiem samochód brata, rozmyślając o tym, by spakować swoje rzeczy, wskoczyć do auta i zostawić to wszystko za sobą. Wybija to sobie szybko z głowy. Musi pokazać Mattiasowi pudełko, on jest tym, kto może jej pomóc ułożyć elementy tej układanki. Zapala papierosa. Pali w ciszy.

Gdzieś daleko w ciemności śpiewa samotny słowik.

Veronicę budzi uczucie zimna. Okno było uchylone i nocna wilgoć wdarła się do sypialni. Wstaje z łóżka i zamyka okno. Ciało ma wymęczone, bolą ją dłonie. Stawy i nasady palców są ciągle czarne od węglowego pyłu, który wżarł się w skórę. Rowek nad oknem dalej trochę śwędzi. Spała twardo i bez snów, mimo to nie czuje się wypoczęta.

Ogród na zewnątrz jest w dalszym ciągu zupełnie cichy. Tylko słaby wiatr porusza lekko gałęziami drzew. Południowy wiatr. Wciąż nie ma żadnych oznak jesieni, chociaż sierpień chyli się ku końcowi.

Gdy schodzi do kuchni, zastaje śniadanie przygotowane dla niej przez tatę. Bekon, jajecznica, grzanki. Nawet świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Chce mu powiedzieć o intruzie, którego widziała w ogrodzie różanym wczoraj wieczorem. Zapytać, dlaczego nie otworzył, gdy pukała do drzwi biura, i co spowodowało, że zamknął drzwi na klucz. O czym rozmawiali z Sailorem, pijąc piwo w pizzerii. Ale tata jest cały czas w dobrym humorze po wczorajszej kolacji. Opowiada o wnuczkach, uśmiecha się i głaszcze ją po włosach. Veronica decyduje się zatem odłożyć tę rozmowę na później, po spotkaniu z Mattiasem.

– Czy zostaniesz do następnego weekendu? – pyta tata. Uważa chyba, że ona ma urlop, chociaż nic takiego nie mówiła. – W sobotę będzie festyn dożynkowy w parku. Nie planowałem tam pójść, ale jeśli jesteś tutaj...

Veronica odpowiada coś dyplomatycznie, niczego nie obiecując: ani że zostanie, ani że pójdzie z tatą na festyn. Pospiesznie opuszcza dom, zanim ujrzy jego rozczarowanie.

Komisariat policji we wsi pachnie biurokracją i środkami czystości. Nigdy wcześniej tu nie była, nie może zatem stwierdzić, jak się to miejsce zmieniło na przestrzeni lat, ale tak jak oczekiwała, jest tutaj mała recepcja, z której odbiera ją Mattias.

Ściany w jego pokoju są pokryte proporczykami, umieszczonymi w ramach tablicami z wyszytymi emblematami i innymi policyjnymi pamiątkami z całego świata. Veronica zastanawia się, skąd on je wszystkie ma, czy przejął je po swoim poprzedniku, czy może rzeczywiście odwiedził wszystkie te miejsca, z których pochodzą pamiątki. Greater Manchester Police, Miami-Dade Police Department, Polizei Rheinland-Pfalz. Na biurku stoi gruby monitor komputera i policyjne radio, które od czasu do czasu warczy i wypływa z siebie kilka urwanych, trudnych do zrozumienia zdań.

Veronica zaczyna prosto z mostu – opowiada, co się stało w ogrodzie różanym. Potem mówi o spotkaniu z panią Berit, Lidią i jej tatą, i w końcu o Sailorze w domu starców. Spieszy się, by on nie mógł jej przerywać pytaniami, opowiada o chacie i blaszanym pudełku, znalezionym w zamaskowanym kesonie, który okazał się kryjówką na broń.

Opuszcza fragment, jak wpadła do korytarza kopalni, nie mówi też nic o tym, że wujek Harald prawdopodobnie nakazał Patrikowi Brinkowi, by jej pilnował. Jej opowiadanie i bez tego jest bogate. Mattias wkłada na dłonie plastikowe rękawiczki, obraca pudełko na wszystkie strony i ogląda dokładnie przez szkło powiększające papierowy trójkąt z włosami. Wygląda przy tym trochę jak staroświecki detektyw, co przywołuje na usta Veroniki lekki uśmiech.

– Narożnik – mamrocze Mattias, raczej do siebie samego niż do niej.

– Co takiego?

– Ten paperek. To jest narożnik koperty.

– Aha. – Veronica pochyła się do przodu, patrzy na paperek, który Mattias trzyma ostrożnie w palcach. Teraz widzi, że on ma rację. Robi się jej głupio, że sama tego nie zauważyła. – Jak myślisz, co to może oznaczać?

Mattias odkłada paperek.

– Nie wiemy przecież, czy to są włosy Billy’ego. Musimy wysłać je do analizy. Zanim się tego nie dowiemy...

– Ale jeśli to teraz opuścimy – przerywa mu – i wyjdziemy z założenia, że to są włosy Billy’ego...

Mattias wzrusza ramionami. Nie wygląda bynajmniej na tak zainteresowanego lub zafascynowanego, jak sobie wyobrażała.

– Okej, możemy pobawić się myślą, że to są rzeczywiście włosy Billy’ego. – Odchyła się i opiera o krzesło. – Hipoteza policji była taka, że Tom Rooth porwał Billy’ego, żeby szantażować wuja Haralda. Jeśli to byłaby prawda, narożnik koperty mógłby pochodzić z listu z żądaniami porywacza.

– Ale wuj Harald chyba nigdy nie dostał takiego listu?

– Nie, z tego co wiemy, to nie. Może jednak Rooth odciął lok Billy’emu i włożył go do koperty. Napisał list, w którym żądał pieniędzy, ale z jakiegoś powodu nigdy go nie wysłał. Może coś poszło nie tak i Billy umarł, a Rooth pozbył się listu. Wszystko, co pozostało, to ten narożnik, który przypadkiem utkwiał w pudełku.

– Albo wszystko było zupełnie inaczej. – Veronica wyjmuje kartkę z symulacją komputerową, rozkłada ją i wygładza na biurku przed Mattiasem. Widzi, jak rysy wokół jego ust twardnieją. – Mężczyzna o takim wyglądzie odwiedził Sailora w Ekhagen. Przedstawił się jako Isak i powiedział pielęgniarkom, że jest bratankiem staruszka. Dobrze go zapamiętały. A gdy pokazałam Sailorowi to zdjęcie, zareagował tak, że było jasne, że go poznał.

Mattias zerka na zdjęcie, potem przenosi wzrok na nią. Nagle wygląda na bardziej zainteresowanego. Ma właśnie coś powiedzieć, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Jakaś kobieta, na oko tuż po trzydziestce, wsuwa głowę do środka. Wyraz jej twarzy, zanim dostrzegła, że Mattias nie jest sam, powoduje, że Veronica od razu pojmuje, kim ona jest.

– O, przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa. – Kobieta zatrzymuje się w drzwiach. Jest ładna, ma ciemne oczy, a jej skóra ma prawie taki sam brązowy odcień jak skóra Leona.

– To moja siostra. – Mattias sprawia wrażenie zakłopotanego.

– Aha, dzień dobry – mówi kobieta i lekko się uśmiecha. Nie przedstawia się. Mattias również nie kwapi się do dokonania prezentacji.

– Czy masz coś ważnego? – pyta.

– Nic takiego, co nie może poczekać. Miło panią poznać. – Kobieta kiwa głową w stronę Veroniki i zamyka za sobą drzwi.

Mattias unika jej spojrzenia. Veronica nie wie, co mogłaby powiedzieć, żeby zmienić ciężki nastrój, który zapanował po wyjściu kobiety. Najwyraźniej Mattias też tego nie wie, bo nagle podnosi się z krzesła.

– Chodź, chcę ci coś pokazać.

Idzie za nim po schodach w dół, mijają rząd szaf, dwie szatnie i otwarte drzwi, które prowadzą do małej sali gimnastycznej. Idą dalej, przez cały korytarz, aż dochodzą do drzwi przeciwpożarowych z napisem „Archiwum”.

Archiwum jest prostokątnym pomieszczeniem bez okien, które, mimo że jest duże, Veronice kojarzy się ze starą dojarnią. Przyryka oczy, przełyka ślinę.

Powietrze w środku jest suche, przesiąknięte zapachem farby drukarskiej, kurzu i papierów. Alejka w środku prowadzi między szeregami regałów z półkami wypełnionymi segregatorami, zbiorami czasopism i kartonami. Czyta daty umieszczone na krawędziach regałów: 1998, 1995, 1993. Mattias idzie dalej, pewnie skręca za narożnik oznaczony datą 1983 i zatrzymuje się. Wskazuje na regał stojący najbliżej ściany. Niebieskie segregatory, może ze dwadzieścia, wszystkie z tym samym numerem akt na etykietach.

– To jest dokumentacja dochodzenia w sprawie zaginięcia Billy’ego. Dziewiętnaście pełnych segregatorów, które zostawił po sobie Månsson. Przeczytałem je wszystkie, na pewno co najmniej dziesięć razy, bardzo uważnie, każde przesłuchanie, każdą notatkę służbową, każdą adnotację. – Przeciąga palcem po segregatorach. – Co by ludzie nie mówili, Månsson robił, co było w jego mocy. Kontynuował dochodzenie w sprawie Billy’ego jeszcze długo po tym, jak prokurator umorzył sprawę. Osobiście przyjmował informacje i wskazówki od ludzi i wszystkie je sprawdzał, nieważne, jak bardzo były naciągane. Miał chyba nadzieję, że Rooth wróci kiedyś do domu.

– A wrócił? – Veronica przeczuwa odpowiedź, jeszcze zanim Mattias kręci głową.

– Ostatnim znakiem życia, jaki po sobie zostawił, jest pocztówka

bez pozdrowień, nadana w Rotterdamie i adresowana do Nilli Rooth. Nadeszła jakiś miesiąc po tym, jak Rooth zniknął. Sven Listonosz przekazał ją policji, kiedy tylko dotarła na pocztę. Sądzę, że Månsson pojechał do Nilli i ją jej pokazał. Leży gdzieś tutaj. Widziałem ją na własne oczy. – Wykonuje gest w stronę segregatorów. – Pocztówka przedstawia frachtowiec, co sugerowało, że Tom Rooth zaciągnął się na statek. Są adnotacje, że Månsson dzwonił do zagranicznych parafii Kościoła Szwecji i domów marynarza w Rotterdamie i innych miastach portowych. Rooth był mimo wszystko ich jedynym podejrzanym, jedyną osobą mającą motyw, mogę więc zrozumieć, dlaczego Månsson nie chciał się poddać. Próbował ustalić, gdzie Rooth przebywał, na wypadek gdyby znaleziono ciało Billy’ego, a sytuacja dowodowa się zmieniła. Ale ryba nigdy nie połączyła haczyka.

– A samochód? Stary amazon Rootha. Co się z nim stało?

– Nigdy go nie odnaleziono. Prawdopodobnie trafił na złom.

– Månsson?

– Wrócił do Wschodniej Gotalandii. Do Mjölby, jak sądzą. To była chyba dobra decyzja. Większość ludzi tutaj obwiniła go o to, że wypuścił Rootha, chociaż ja się z nimi nie zgadzam. Nie jestem pewien, czy na jego miejscu poradziłbym sobie lepiej. – Mattias wzrusza lekko ramionami.

– Czy on jeszcze żyje?

– Myślę, że tak. Ktoś opowiadał, że jest chory. Rak żołądka czy coś w tym rodzaju. Przypominasz sobie chyba Månssona?

Veronica kiwa głową.

– Wyglądał zawsze na trochę zakłopotanego i zabawnie mówił. W swoim dialekcie ze Wschodniej Gotalandii, używając przy tym skańskich słów. Ale przypominam sobie, że miał miłe oczy. – Oraz że mu nakłamałam, że przyszliśmy do domu jednocześnie, myśli. Abyś nie miał kłopotów. Bo w tamtym czasie ja i ty byliśmy razem przeciwko światu. – Co chciałeś przez to wszystko powiedzieć?

Mattias odwraca się w jej kierunku.

– Czy byłeś w pokoju Billy’ego od tamtego lata? Albo w pokoju mamy?

Veronica kręci głową.

– Przecież są zamknięte na klucz.

– Wiesz dlaczego?

Przeczuwa odpowiedź, ale woli udawać, że nie wie.

– Nie.

– Próbowałem nakłonić tatę do przeprowadzki. Do kupienia mieszkania z kawałkiem ziemi, gdzieś bliżej wnuczek. Wujek Harald zaproponował spore pieniądze za gospodarstwo Backa.

– Ale?

– Tata nie chce się przeprowadzić. Nawet nie chce o tym mówić. I również dlatego odmawia podpisania kilku pozwoleń na budowę dla wuja Haralda. – Zatrzymuje się, widać, że się zastanawia. – Chcę przez to powiedzieć, że wcześniej czy później trzeba przestać czepiać się przeszłości. W przeciwnym razie ryzykuje się, że się w niej utkwi na zawsze.

Wracają do pokoju Mattiasa. On zatrzymuje się w kuchni, żeby przynieść dwa obtłuczone kubki z kawą. W komisariacie jest prawie zupełnie cicho, słychać jedynie szmery z policyjnego radia i stukanie w klawiaturę komputera dochodzące z korytarza na dole.

– Wyślę dziś tę próbkę do laboratorium kryminalistycznego – mówi Mattias, gdy oboje wypili po łyku kawy. – Ale nawet jeśli się okaże, że to włosy Billy’ego, to i tak nie sądzę, żeby to nas do czegoś doprowadziło.

Veronica kiwa głową; doszła już do identycznych wniosków.

– I porozmawiam z domem starców Ekshagen. Poproszę kierowniczkę, żeby zadzwoniła, jeśli ten Isak znowu się pojawi – kontynuuje Mattias. – Co się zaś tyczy taty i tej osoby, którą, jak mówisz, goniłaś w ogrodzie...

– Jak to „jak mówisz”? – oburza się Veronica. – Jestem pewna. Tam ktoś był!

Mattias pochyla się i podnosi rękę.

– Przepraszam, użyłem niewłaściwego słowa. Jeśli dobrze wszystko zrozumiałem, to nikogo nie widziałaś. Podobnie jak w Sztokholmie.

– Jestem całkowicie pewna. – Próbuje nie warczeć na niego, nie

pozwolić złości wygrać. Niestety, bardzo łatwo przychodzi jej zezłościć się na Mattiasa.

– Czy to nie mogła być sarna?

– Sarna, która naciska kłamkę od furki do ogrodu różanego?

– Ja tylko pytam. – Mattias znowu podnosi rękę.

Świdrują się wzajemnie wzrokiem przez kilka sekund, potem on kapituluje.

– Na początku lata mieliśmy kilka włamań do samotnie położonych domostw. Może złodzieje znowu się pojawili. Postaram się, żeby nocny patrol skręcił do taty od czasu do czasu.

– Dobrze – mówi Veronica. – Dziękuję – dodaje trochę uprzejmiejszym tonem.

Znowu zapada cisza.

– Zostaniesz do weekendu? Będą dożynki w parku. Wujek Harald zaprasza całą okolicę na poczęstunek. Będzie też muzyka na żywo.

– Co się z nim stało? Dlaczego stał się taki wspaniałomyślny?

Mattias uśmiecha się szyderczo.

– Przez całą tę historię z nowymi wiatrakami stracił na popularności. Próbuje zatem zaplusować u ludzi dobrą biesiadą.

– To wyjaśnia sprawę. – Veronica ostrożnie odpowiada na jego uśmiech. Czuje, jak atmosfera w pokoju się rozluźnia. – Jak idzie...

– robi ruch głową w stronę drzwi – terapia rodzinna?

Uśmiech Mattiasa przechodzi w grymas.

– Niespecjalnie dobrze, jeśli mam być szczerzy. Robię, co mogę, ale to skomplikowane. Znamy się z Cecilią od czasów gimnazjum. Mamy razem dom i dzieci. Nie mogę tak po prostu zrezygnować.

Veronica myśli o Leonie, waha się, czy opowiedzieć Mattiasowi o tym, co się wydarzyło, teraz, gdy on ponownie jej zaufał.

– Czy ty ją kochasz? – pyta zamiast tego. Dopiero po chwili dostrzega dwuznaczność tego pytania.

Mattias wzrusza ramionami.

– Są różne rodzaje miłości.

Veronica kiwa głową, drapie się po bliźnie na ramieniu.

– Czy wujek Harald wie, że macie problemy?

Mattias potrząsa przecząco głową.

– Opowiadałem o tym tylko tacie. Próbujemy z Cecilią ukrywać to

wszystko. Ze względu na dziewczynki.

Ale również dlatego, że wiesz, co wujek Harald o tym powie, myśli Veronica. Wiesz, że będzie na ciebie wywierał naciski, żebyś został z Cecilią, żebyś robił to, co on uważa za słuszne. I że będzie ci się bardzo trudno sprzeciwić. Bo ty jesteś grzecznym chłopcem. Chłopakiem Ebbego i Magdaleny.

Veronica decyduje się zmienić temat rozmowy, wykorzysta chwilę bliskości i zaufania i zapytać o coś, co nosiła w sobie aż nadto długo.

– Czy myślisz... czy myślisz, że mama nas kochała, Mattias? Mnie się wydaje... – mówi dalej, uprzedzając jego protest – że utrata dziecka to najgorsze, co się może przydarzyć człowiekowi. Ale ona w dalszym ciągu miała nas. Dlaczego to nie wystarczyło?

– Dlaczego?

To pytanie zawisa w powietrzu, podczas gdy oni w ciszy piją kawę.

– Czy czujesz się w jakiś sposób winna? – pyta Mattias, niespokojnie wierząc się na krześle. – Billy potrafił przecież być wielkim utrapieniem. Na przykład wtedy, kiedy naskarżył mamie o jajkach jastrzębi. A mama traktowała go zawsze inaczej, jakby był jakiś...

– Szczególny.

– Właśnie. Jakby jego dotyczyły jakieś inne zasady. – Mattias uśmiecha się niezgrabnie; w tym jego uśmiechu jest coś, co poprawia jej nieco humor.

– To Billy zaczął ich nazywać mamą i tatą, pamiętasz? My mówiliśmy zawsze „matka” i „ojciec”.

– Oczywiście, że pamiętam. – Mattias się śmieje. – Zaczęliśmy ich nazywać mamą i tatą dopiero po...

Milknie, patrzy w dal.

Veronica bierze głęboki wdech. Decyduje się rzucić wyzwanie lodowi pod sercem.

– Byłam zła na Billy’ego tamtego wieczoru. Myślałam, że schował się w którejś z naszych kryjówek i zasnął. Że zaniepokoił mamę i że ty powinieś dostać karę, bo wróciłeś do domu zbyt późno. I że będzie tak, jak z jajkami jastrzębia. Szukałam wszędzie, w stodole i oborze, przeklinałam go w każdy możliwy sposób, zarówno głośno, jak i po cichu, w głowie. Czasami dalej o tym śnię. Że go szukam

i nie znajduję.

Veronica przerywa, próbuje rozstrzygnąć, czy nie powiedziała zbyt dużo. Ale twarz Mattiasa nic nie zdradza.

– A ty? – pyta. – Jak ty się czujesz?

Myśli o tych wszystkich segregatorach z aktami w piwnicy. O tym, że Mattias czytał je wielokrotnie, strona po stronie, żeby znaleźć w nich coś, czego nikt wcześniej nie odkrył. Coś, co może wszystko wyjaśnić, chociaż wie, że to niemożliwe. Coś, co mogłoby wyjaśnić niewyjaśnialne. Czy ona jest podobna? Czy to o to w tym wszystkim chodzi? Chce powiedzieć „nie”, wmówić sobie, że jest między nimi różnica.

– Czasami... – zaczyna Mattias. Pociera lekko kark. – Czasami mam wrażenie, że tamto lato nadal trwa. Że w jakiś sposób żyjemy w nim dalej. Tata, ty i ja. Cała wieś...

Przerywa mu telefon. Nieoczekiwany, ostry sygnał, który powoduje, że się wzdryga. Miękkość w jego oczach znika.

– Halo? Tak, cześć...

Veronica poznaje po jego głosie, że dzwoni Cecilia. Rozumie, że ich rozmowa się skończyła.

Veronica ledwie pamięta zagrodę Rootha. Kilka podniszczonych budynków stojących tuż przy skraju Lasu Północnego, przykrytych szarymi dachami z eternitu, które można było dostrzec z szosy. Ale gdy jedzie kilka razy w tę i z powrotem drogą, która wydaje się tą właściwą, nie może odnaleźć ani drogi dojazdowej do zagrody, ani dachów. Na polu leżącym przy drodze stoi jaskrawozielony traktor z pługiem talerzowym doczepionym na końcu. Traktorzysta wyskoczył z kabiny i dłubie przy przewodach hydraulicznych z tyłu ciągnika. Veronica zatrzymuje samochód i podchodzi do niego. Mężczyzna ma około trzydziestu lat, jego twarz nic jej nie mówi, nie zna go.

– Czy wie pan, gdzie jest zagroda Rootha? – pyta.

Traktorzysta uśmiecha się do niej i lekko potrząsa przecząco głową, po czym mówi:

– *Only speak English.*

Próbuje jeszcze raz, po angielsku, ale mężczyzna mówi z akcentem, który trudno zrozumieć. W końcu wskazuje drugi koniec pola, kawałek przed lasem, gdzie kilka drzew tworzy zagajnik.

– *Maybe there!*

Veronica idzie przez ściernisko. Zagajnik jest dalej, niż jej się wydawało, z pewnością siedemset do ośmiuset metrów, a wymęczone ciało daje się we znaki. Słaby wiatr uspokoił się od rana, słońce stoi wysoko i gdy wreszcie dochodzi do cienia pod drzewami, jest porządnie spocona.

Wbrew temu, co powiedział traktorzysta, w zagajniku nie stoją żadne rozpadające się zabudowania. Jest tylko polana, która przypomina w połowie zarośnięty podjazd. Z drugiej strony rozciąga się ściernisko, aż do odległego o kilkaset metrów lasu. W którąkolwiek stronę spojrzeć, nie widać żadnych budynków.

Przeklina głośno traktorzystę, lecz po chwili jej oczy przyzwyczajają się do słabego światła pod drzewami i stwierdza, że jednak miał rację. Na środku polany ziemia jest nadal tak ubita, że

trawa nie miała szansy wyrosnąć. W kilku miejscach widać resztki konstrukcji z kamieni, a w narożniku polany leży sterta cegieł. Gdy powiększa teren poszukiwań i kopie wśród chwastów, znajduje kilka zardzewiałych sztućców, kawałki desek i resztki płyt dachowych. Bez wątplenia stała tu kiedyś zagroda Rootha. Teraz jej nie ma. Została zburzona, jakby ktoś chciał ją zmieścić z powierzchni ziemi.

Coś na tej ciemnej polanie źle ją nastraja i po chwili odkrywa, co to jest. Cisza. Żadnego śpiewu ptaków, żadnego szelestu liści. Słyszcąc jedynie słabe, odległe pykanie silnika traktora. Nie wie dobrze, skąd pochodzi to wrażenie, nie należy do tych, którzy wierzą w zabobony, ale uzmysławia sobie, że coś się zdarzyło w tym miejscu. Coś, co nadal trwa.

Traktor podjeżdża bliżej, ale gdy Veronica odwraca się i patrzy w kierunku pola, odkrywa, że dźwięk, który słyszy, to warkot silnika zielonego land rovera, jadącego prosto na nią przez ściernisko.

Poznaje samochód, wychodzi mu naprzeciw. Zatrzymuje się dokładnie przy zagajniku, a wujek Harald wysiada. Trochę się wyprostowuje.

– Szukasz przygód, jak widzę.

– Szukam zagrody Rootha.

– Tak sobie pomyślałem. – Wujek Harald robi kilka kroków do przodu. – Skąd to nagłe zainteresowanie Tomem Roothem?

Veronica ignoruje pytanie, wyciąga rękę w kierunku polany.

– Co się stało z zagrodą?

– Bank ją przejął.

Wuj Harald wyjmuje fajkę z przedniej kieszonki koszuli, napełnia ją starannie przed zapaleniem.

– Rooth zalegał z rachunkami. Bank zagroził licytacją, a on potrzebował pieniędzy. Dlatego zrobił to, co zrobił.

Wuj Harald milknie, zaciąga się głęboko. Dym pachnie słodko i jednocześnie mocno. Widziała go palącego tę fajkę z tysiąc razy.

– A co z rodziną?

– Wynieśli się stąd rok później. Roothowie od początku nie byli zbyt popularni, a po tym, co się stało z Billym... – Nie kończy zdania, ale ona potrafi bez problemu dopowiedzieć sobie resztę.

– Ale Nilla i dzieci chyba nie zrobiły nic złego?

– Kto tam wie, co Nilla wiedziała, a czego nie wiedziała.
– Wzrusza ramionami. – Słyszałem, że służby socjalne w Malmö
zabrały jej dzieci. Może to jest odpowiedź na twoje pytanie.

– Zaciąga się dymem.

– A ty kupiłeś gospodarstwo od banku?

Przytakuje.

– Pięćdziesiąt mórg najlepszej ziemi w Skanii.

– A zabudowania?

– Kazałem je zburzyć. – Jeszcze raz wzrusza ramionami, ale
słysząc zmianę tonu jego głosu.

– Czy były w tak złym stanie?

– Nie, zagrodę można było wyremontować, gdyby się chciało.

– Dlaczego zatem ją zburzyłeś?

Wuj Harald wyjmując fajkę z ust, patrzy na nią. Spojrzenie jego
głęboko osadzonych oczu ciemnieje.

– Za względu na Magdalenę. – Chrząka, jakby głos miał mu się
załamać; Veronica zastanawia się, czy to ze złości, czy ze
zmartwienia. A może z obu powodów. – Przypominasz sobie mojego
ojca? Twojego dziadka, Assara?

– Tylko trochę, miałam osiem lat, kiedy umarł. – Ta nagła zmiana
tematu nieco ją dziwi. – Mama i on nie pasowali do siebie, to
w każdym razie pamiętam. Dlaczego pytasz?

Wuj Harald uśmiecha się krzywo.

– Nie, z Assarem nie było łatwo dojść do ładu. Chociaż był starej
daty, nie bał się nowych idei, nie obawiał się też korzystać z okazji.
Zrozumiał, że zanoszą się na wojnę, wydedukował, że trzeba będzie
transportować więcej towarów niż wcześniej. Żywności, paliwa,
ludzi... Zatem zainwestował wszystkie swoje oszczędności i zastawił
majątek, żeby kupić kilka starych ciężarówek i busów i wyposażyć je
w agregaty na gaz.

Wuj Harald żuje ustnik fajki, wypuszcza trochę dymu i kontynuuje:

– A gdy wybuchła wojna, był przygotowany. Podpisywał umowy
zarówno z wojskiem, jak i z pobliskimi gminami. Pracował dzień
i noc. Pieniądze, które zarabiał, wydawał na zakup nieruchomości
i ziemi uprawnej. Rozumiał, że prędzej czy później produkcja na
dużą skalę musi wziąć górę. Że trzeba patrzeć do przodu. Próbować

uprawy nowych zbóż, nowych metod. To dzięki twojemu dziadkowi na długo przed innymi odważyłem się zainwestować w elektrownie wiatrowe.

– Czy nie krążyły o nim różne pogłoski? – pyta Veronica. – O tym, że pod koniec wojny w magazynach wojskowych brakowało mnóstwa drewna do wytwarzania gazu generatorowego i że wszystkie nowe opony w ciężarówkach zostały wymienione na stare i zużyte? O tym, że dziadek miał klucze do magazynów i dlatego był głównym podejrzanym, ale opłacił kogoś innego, żeby poszedł za niego do więzienia?

Dokładnie tak, jak się spodziewała, z twarzy wuja Haralda natychmiast znika zadowolona mina.

– To były tylko plotki. Kłamstwa i oszczerstwa rozpowszechniane przez ludzi, którzy zazdrościli dziadkowi. Ludzie opowiadają mnóstwo głupot.

Wygląda na to, że fajka zgasła. Wujek Harald puka nią o obcas kalosza. Następnie wdeptuje resztki tytoniu w ziemię.

– Przyjeżdżasz tutaj bardzo rzadko, Vero, dlatego nie oczekuję, żebyś to rozumiała. Ale ważne jest, by działać jak w Ameryce. Cały czas patrzeć do przodu. Nie tkwić w tym, co było kiedyś. Ci, którzy tego nie rozumieją...

– Masz na myśli tych, którzy nie popierają twoich planów, by zmienić całą okolicę w wielką farmę wiatrową?

Wujek Harald wydaje z siebie coś pośredniego między pełnym pogardy parsknięciem a wybuchem śmiechu.

– Czasami tak przypominasz swoją matkę, że to aż straszne. Jesteś tak samo zarozumiała, tak samo przekonana o swojej mądrości; myślisz, że jesteś mądrzejsza niż wszyscy inni. Że zawsze masz rację. – Kręci głową i wkłada fajkę do kieszonki na piersi. – Przyszłość zawsze nadejdzie, Vero. Czy się tego chce, czy nie. Natomiast przeszłość nie wróci nigdy.

Robi pół obrotu, już prawie zmierza w stronę samochodu.

– Pomyśl, że Tom Rooth być może nie zabił Billy’ego – wyrzuca z siebie Veronica. – Pomyśl, że być może wydarzyło się coś zupełnie innego, a Billy żyje.

Wujek Harald zatrzymuje się w pół ruchu. Veronica oczekuje, że

się oburzy. Że zapyta, o czym ona, na Boga, mówi. On jednak tylko parska.

– Tak, słyszałem, że masz na ten temat różne pomysły. Że biegasz po okolicy i pokazujesz ludziom jakieś zdjęcia.

Robi krok w jej stronę, przekrzywia trochę głowę i zmiękcza głos, co od razu powoduje, że jest jej trudniej się na niego złościć.

– Billy nigdy nie wróci, Vero. Tom Rooth go zabił i uszło mu to na sucho. Jednocześnie odebrał życie twojej matce, mojej młodszej siostrze. W odróżnieniu od twojego ojca nie należę do ludzi, którzy sadzą róże. Myślałem, że w tym punkcie jesteśmy do siebie podobni, ty i ja.

Coś w tonie jego głosu powoduje, że Veronica musi zareagować. Z powodu namiastki zawodu i tego, że nie wie, co powinna z nią zrobić.

– Twój młodszy brat spoczywa gdzieś w lesie – kontynuuje wuj.
– Zupełnie sam, w nieoznaczonym grobie, zamiast na cmentarzu, obok twojej matki. To Tom Rooth go tam złożył. I mam nadzieję, że płonie za to w piekle, przeklęty drań.

Podchodzi do niej bliżej, kładzie rękę na jej ramieniu. W pierwszym odruchu Veronica chce się odsunąć, ale jego gest wydaje się prawdziwy, podobnie jak troska w spojrzeniu.

– To wszystko należy już do przeszłości. A teraz musimy patrzeć do przodu. Ty, twój ojciec, ja, cała okolica. Rozumiesz, co mam na myśli, Vero?

Gdy Veronica wraca do domu, zastaje znowu drzwi zamknięte, ale tata jak zawsze wyłożył zapasowy klucz. Brama, w której zwykle parkuje samochód, ziele pustką, prawdopodobnie pojechał więc do wsi po zakupy. Veronica wchodzi do biura i dzwoni na swoją sekretarkę automatyczną, żeby sprawdzić, czy Ruud zostawił jakąś wiadomość.

Ma trzy nowe wiadomości, ale gdy odsłuchuje dwie pierwsze, słyszy jedynie słaby odgłos oddechu, a potem szuranie, gdy ktoś odkłada słuchawkę. Przez krótką chwilę wyobraża sobie, że to Leon, ale jest to oczywiście idiotyczna myśl. Dlaczego miałby do niej dzwonić, jeśli tak bardzo się starał o wydanie zakazu kontaktów?

Odczekuje do trzeciej wiadomości, spodziewa się, że będzie taka sama jak dwie pierwsze. Jest zdumiona, gdy słyszy głos.

– Mówi Lars. Z grupy terapeutycznej. Chciałbym z tobą natychmiast porozmawiać. Zadzwoń do mnie.

Obcesowy głos recytuje numer, zaraz potem znika, nie mówiąc nic na pożegnanie ani nie wyjaśniając, o co chodzi.

Lars to mężczyzna z brodą. Ten, którego Ruud wykluczył tymczasowo z terapii. Czego od niej chce i jak zdobył jej numer telefonu? Odsłuchuje wiadomość jeszcze raz, ale nie jest od tego mądrzejsza. Jednocześnie przegląda trochę papiery na biurku. Dokumenty dotyczące pozwolenia na budowę wiatraków leżą tam nadal, w dalszym ciągu nie są podpisane.

Nachodzi ją myśl, żeby wyciągnąć pierwszą szufladę. W jednej z przegródek na długopisy, spinacze i gumki leży staroświecki klucz. Podnosi go, waży w dłoni, myśli o tym, co powiedział Mattias o zamkniętych pokojach na piętrze. Sprawdza, czy na podwórko nie wjechał samochód taty, a potem podejmuje decyzję.

Pokój Billy'ego, który kiedyś, dawno temu, należał do niej, znajduje się na prawo od schodów. Klucz daje się przekręcić bez

problemu i Veronica wślizguje się do środka. Starannie zamyka za sobą drzwi na klucz. Pokój pachnie wykładziną podłogową i ajaxem. Żaluzja w oknie jest ściągnięta do połowy, tak że w pokoju panuje półmrok.

Na ścianie nad łóżkiem wisi duże zdjęcie Billy'ego. To samo zdjęcie z atelier fotograficznego, które ma w domu i które widziała w artykule z gazety, tyle że znacznie większe. Billy śmieje się do kamery, pokazuje swoje małe ząbki mleczne i dołeczki w miękkich policzkach, w niebieskich oczach widać błysk. Musi przełknąć ślinę, żeby zmusić chłód do powrotu do klatki piersiowej.

Przy zdjęciu wisi jeden z rysunków Billy'ego, który ma prawdopodobnie przedstawiać królika, a pod rysunkiem, na łóżku leżą pluszowe zabawki, dekoracyjnie ułożone na tle jasnoniebieskiej tapety.

Robi kilka ostrożnych kroków w głąb pokoju. Zaczyna od otwarcia drzwi garderoby. Wydaje jej się dużo mniejsza, niż ją zapamiętała, podobnie jak całe to ciemne pomieszczenie. Małe chłopięce przedmioty leżą na półkach. Zastanawia się, czy Billy przed snem sprawdzał, czy klucz w drzwiach jest przekręcony trzy razy, tak jak ona zwykła robić. Spostrzega drewniany karabin oparty o ścianę między łóżkiem a półką na książki. Jeśli dobrze sobie przypomina, Billy dostał go od wuja Haralda w prezencie na Boże Narodzenie. Uświadamia sobie, że również jej młodszy brat musiał słuchać strasznych bajek wujka Haralda i zbroił się jak tylko mógł przeciwko koszarom. Ta myśl powoduje ukłucie w jej piersi.

Na najwyższej półce stoi kilka drewnianych zabawek. Traktor z przyczepą z obracającymi się kołami i magnesami służącymi do połączenia obu pojazdów. Obok nich brona z ostrzami wykonanymi z zębów kamiennego grzebienia. Wszystkie trzy zabawki są pięknie wystrugane i dokładnie pomalowane. Wie, że tata zrobił je w swoim warsztacie. Że musiał poświęcić wiele godzin, by były takie doskonałe.

Pod zabawkami stoi szereg dziecięcych książek o Totte, które Billy dostał po niej, obok nich leży kilka muszelek i płaskich kamieni; musiał je zebrać przy którejś z nielicznych okazji, gdy byli na plaży. Morze znajduje się w odległości sześćdziesięciu kilometrów,

niespełna godzinę jazdy samochodem. Mimo to nie jeździli tam zbyt często. Morze niepokoiło mamę. Znowu myśli o płaskim kamieniu na jej nagrobku. Morskim kamieniu. Żałuje, że go nie wzięła.

Na trzeciej półce stoi kilka małych budowli z klocków Lego. Są trochę zbyt zaawansowane jak na pięciolatka. Domyśla się, że to Mattias pomógł Billy'emu je zbudować. Obok modeli stoi gramofon w plastikowym etui, które można złożyć jak walizkę. Jakaś płyta leży na talerzu. Sądząc po małej ilości kurzu i zapachu środków czyszczących, tata musiał sprzątać pokój przed kilkoma dniami. Prawdopodobnie zmienił też pościel. Ostrożnie przeciąga dłonią po poduszce. Wydaje się, że zarówno powłoczka, jak i prześcieradło są wymagłowane. W dalszym ciągu pachną płynem do płukania prania.

Na środku biurka stoi jeszcze jedna konstrukcja z klocków Lego. Nie jest ukończona. Wokół niej leży garść luźnych elementów i wygląda to niemal tak, jakby czekały na właściciela pokoju, który może w każdej chwili wrócić i odłożyć je na właściwe miejsce. Przy konstrukcji stoi wazonik z samotną białą różyczką. Pochodzi najprawdopodobniej z krzewu, który tata opielał w sobotę, gdy przyjechała. Róża jest świeża i bardzo piękna. Veronica pochyla się i wacha kwiat. Dotyka klocków Lego, podnosi konstrukcję i odkłada ją z powrotem. Przechodzi do gramofonu. Kiedyś również i on należał do niej, dostała go w prezencie na gwiazdkę od mamy i taty. Gdy potem przeprowadziła się do pokoju Mattiasa, miała już prawdziwe stereo, które kupiła za pieniądze zarobione w czasie wakacji w sklepie żelaznym. Gramofon mógł zatem zostać w tym pokoju. Stał się – jak wiele innych rzeczy – własnością Billy'ego.

Podnosi ramię gramofonu, który klika, a płyta zaczyna się obracać. Mija kilka sekund, zanim osiąga prędkość trzydziestu trzech obrotów na minutę. Opuszcza igłę na winylową płytę, słyszy słaby szmer w głośniku. Dobrze zna tę bajkę, poznaje ją natychmiast po pierwszych słowach narratora: *Mysz Wspinacz Klas i inne zwierzęta w lesie Hackebacke*.

Siada na łóżku i słucha opowiadania, zauważa, że w dalszym ciągu zna prawie każdą replikę, chociaż nie słyszała tej bajki od dzieciństwa. Zwykle słuchała jej razem z mamą, leżąc w tym łóżku.

Ty jesteś moją małą myszką, Vero. Moją własną małą Myszką

Wspinaczką.

Szpara w sercu otwiera się, staje się ciemnym przerębłem. Kładzie się, wtula głowę w poduszkę. Poza płynem do płukania wyczuwa zapach Billy'ego i mamy.

Nie płakała, gdy się dowiedziała, że mama nie żyje, na pogrzebie też nie, chociaż płakali wszyscy inni, nawet wujek Harald. Ale zapachy w poduszce, dziecięca piosenka z porysowanej płyty i ten smutny pokój czekający na małego chłopczyka powodują, że emocje wybuchają.

Płacze tak mocno, że aż pokój drży. Narrator dalej opowiada bajkę o zwierzętach w lesie Hackebacke, a gdy już skończyła płakać i łzy zastąpiło paralizujące zmęczenie, ramię gramofonu osiągnęło ostatnią ścieżkę na stronie A płyty. *Kołysanka Myszy Wspinaczki* – jej ulubiona piosenka z dzieciństwa. I przez krótką chwilę ma znowu pięć lat. Miała zły sen, budzi się z przerażeniem. Mama jest obok. Leży przy niej i szepcze jej do ucha. Koszmar blaknie.

*Luli la, luli la,
skończyła się zabawa.*

Czuje oddech mamy na karku, ciepło jej ciała, zapach jej perfum. Kuli się, słucha dalszego ciągu.

*Wszystkie myszki śpią w łódeczkach,
i ty zaśnij w swej kołysce.*

Wychodzimy na paluszkach.

Chce powiedzieć mamie, że jej nie przeszkadza. Że może zostać tak długo, jak zechce. Ale piosenka jest bardzo krótka, trwa ledwo minutę, a igła gramofonu właśnie dotarła do ostatniej ścieżki. Do słów, które zawsze przepędzają koszmary. Zamyka mocno oczy i szepcze tekst kołysanki.

*Lis już także chrapie mocno
z ogonem pod uchem.*

A gdy kołysanka się kończy, mama lekko całuje ją w policzek. Łóżko skrzypi, wykładzina wzdycha, gdy mama idzie w stronę drzwi. Czuje słaby przeciąg, potem mama znika.

Gdy się śpi w swoim starym łóżku z dzieciństwa, wydaje się ono mniejsze, a ściany i sufit są dużo bliżej, niż się pamięta. Jednocześnie zapach, dotyk prześcieradła na skórze, sposób, w jaki dźwięk odbija się od ścian pokoju, są dobrze znane. Jest tak zwyczajnie, bezpiecznie, ale mimo to niepokojąco.

Może jest to jeszcze jeden powód, dla którego nie jeździ do domu. Nie wytrzymuje tego uczucia, że już nie należy do tego miejsca i że już nigdy nie będzie do niego należeć.

Budzi ją dzwonek telefonu. Słyszy kroki taty na parterze, potem ciche „halo”.

Kilka sekund zajmuje jej uświadomienie sobie, gdzie jest. Podnosi się szybko. Gramofon się zatrzymał, a igła schowała się znowu w widełkach. Poprawia poduszkę, układa kołdrę i narzutę.

– Vera! – woła tata piętro niżej. – Jesteś tam?!

Uczucie wstydu, że została przyłapana na robieniu czegoś zabronionego, pali ją od środka. Spiesznie wychodzi na korytarz, rzuca ostatnie spojrzenie na pokój, żeby sprawdzić, czy wszystko wygląda tak jak wcześniej, zanim tam weszła. Zamyka drzwi, najciszej jak potrafi.

– Idę! – woła, trochę głośniej niż to potrzebne, i przekręca klucz w zamku.

Robi kilka kroków ku schodom, właśnie ma zamiar schować klucz w jakiejś kieszeni, gdy prawie zderza się z tatą. Zatrzymują się naprzeciwko siebie, trochę zbyt blisko, by czuć się komfortowo.

– Co się dzieje? – pyta tata. – Wyglądasz na zasapaną.

Veronica ściska klucz w dłoni, którą próbuje ukryć za plecami.

– Chyba zasnęłam na chwilę – mówi, po czym pyta: – Czy to telefon do mnie?

Wskazuje głową w kierunku korytarza, próbuje się przesmyknąć. Ale tata stoi nieruchomo. Patrzy na nią badawczo, jakby próbował

odgadnąć, czy ona kłamie.

– Czy ktoś dzwoni do mnie? – powtarza pytanie.

Tata przesuwa się trochę i odpowiada:

– Tak, to ktoś z twojej pracy.

Schodzi pospiesznie po schodach, czuje, jak tata patrzy za nią. Ma wrażenie, że słyszy, jak on naciska klamkę drzwi pokoju Billy’ego, a potem ją puszcza. Wślizguje się do biura, wyciąga szufladę biurka i odkłada klucz na miejsce. Następnie podnosi słuchawkę, która leży na jednej ze stert papierów. Na linii jest Ruud.

– Nie jest łatwo się do ciebie dodzwonić. Czy słyszałaś coś o telefonach komórkowych?

– Mhm. – Próbuje odgadnąć, jak Ruud znalazł ten numer. Czy podała go na jakimś formularzu, gdy zaczynała pracować w centrum terapii? Może w polu danych najbliższego krewnego. Prawdopodobnie tak.

– Co robisz w Skanii? – dopytuje się Ruud.

– Nic specjalnego. Taka mała wycieczka. – Przeklina w myślach, że jej otumaniony mózg nie wymyślił niczego lepszego, ale Ruud wydaje się nie reagować.

– Mam dobre wiadomości – mówi i brzmi to tak, jakby zbliżył słuchawkę do ust. – Bengt złożył raport. Zaleca, żebyś kontynuowała pracę, a ja przekonałem do tego dział personalny. Przyjedź, to opowiem ci więcej na miejscu. Zdążysz wrócić do Sztokholmu do jutra przed południem?

– Oczywiście – odpowiada Veronica. – Nie ma problemu. – Powoli odkłada słuchawkę; pojmuję, że powinna się cieszyć. Może zachować pracę, dostała nową szansę, żeby spotkać Isaka i jednocześnie zaspokoić tę część swojego wnętrza, która domaga się więcej smutku. Smutku innych ludzi, nie tego rodzaju smutku, którym jest wypełniony dom w Backa. Mimo to radość się nie pojawia.

Tata przygotowuje wczesną kolację dla nich obojga, którą ma spożyć przed wyjazdem. Omlet, który jedzą przy stole kuchennym. Czuje, że coś się między nimi zmieniło, lecz nie jest tego całkowicie

pewna. I że musi to naprawić, cokolwiek to jest, zanim wyjedzie.

– Byłam wczoraj na grobie mamy – mówi. – Ładnie tam jest. Te róże...

– Mhm – przytakuje tata, nie przerywając zucia.

Veronica próbuje wymyślić, co jeszcze może powiedzieć. Co jeszcze mogłoby go zmiękczyć.

– Ile czasu minęło od waszego ślubu? – To pytanie wymyka jej się mimochodem, ale wydaje się działać.

Tata spogląda w górę.

– Trzydzieści sześć lat minie trzynastego stycznia.

– Oczywiście... – Zagryza usta, pojmuje, że nie odezwała się w ostatnią rocznicę ślubu, i zaczyna formułować jakieś usprawiedliwienie. W tym momencie dostrzega, że tata uśmiecha się do siebie.

– Poprzedniej nocy padał śnieg i wiał silny wiatr. Przez chwilę myśleliśmy nawet, że nie dostaniemy się do kościoła. Służby drogowe nie nadążały z odsnieżaniem. Ale twój dziadek przekonał sąsiadów, żeby wyszli z domów i przyjechali traktorami.

Tata potrząsa głową.

– Marzliście? – Veronica uczepia się tematu.

– Jeszcze jak. Ja we fraku jakoś wytrzymałem, ale Magdalena miała na sobie suknię ślubną swojej matki, z cienkiego jedwabiu, więc musiała mocno marznąć. Jej ręce były zimne jak lód. Ale nie narzekała wcale, ani słowa nie powiedziała.

– A gdzie mieliście wesele?

– U jej rodziców. Nie było zbyt wielu gości. Tylko rodzina. Poczekaj chwilkę... – Tata podnosi się, wchodzi do biura i słychać, jak tam krąży.

– Tutaj, zobacz – mówi po powrocie.

Kładzie przed nią czarno-białą fotografię. Oglądała wcześniej ich ślubne zdjęcia, ale tego jeszcze nie widziała. W każdym razie nie przypomina go sobie.

Jest to rodzinne zdjęcie, wykonane w salonie w domu dziadków. Para młoda stoi na środku pokoju, rodzina panny młodej po jednej stronie, rodzina pana młodego po drugiej. Wokół nich wystawione są wazony z bukietami kwiatów.

Dziadek Assar stoi z boku za mamą, ale minę ma surową i zawziętą. Podobieństwo między nim a wujkiem Haraldem, który jest najbardziej wysunięty na prawo, już wtedy było duże. Te same zapadnięte oczy, wyraźnie zaznaczone brwi i ostry nos. Twarz babci jest trochę łagodniejsza. Uśmiecha się sztywno do kamery, wysokie kości policzkowe przypominają rysy mamy. I rysy Veroniki.

Babcia i dziadek ze strony taty wyglądają na dużo pogodniejszych. Rodzina Nilssonów to typowa, prostoduszna rodzina chłopska ze Skanii, wykarmiona sękaczem i gęsią. Kontrast między nimi a wysokimi, sztywnymi i lekko wyniosłymi Aronssonami jest uderzający.

Tata uśmiecha się szeroko, a szczęście w jego oczach jest tak prawdziwe, że zaraża nim nadal. Veronica lekko się uśmiecha.

Również mama uśmiecha się na zdjęciu, ale jest coś w wyrazie jej twarzy, co się nie zgadza. Mija chwila, zanim Veronica zauważyła, w czym rzecz. Fotografia nie jest duża, a oczy mamy są mniejsze od główki szpilki. Jednak gdy Veronica pochyła się i patrzy z bliska, rozpoznaje to spojrzenie. Widuje je we własnym odbiciu w lustrze i wie, co to znaczy. Nic dobrego.

– Mogła wybrać, kogo tylko chciała – mamrocze tata, a Veronica nie potrafi rozstrzygnąć, czy rozmawia z nią, czy z sobą samym.
– Ale wybrała mnie.

Gdy wyrusza w drogę, wszystko jest prawie takie samo jak zwykle. Obejmuje tatę, całuje go w policzek. Obiecuje, że będzie jechać ostrożnie i zadzwoni, gdy dojedzie do domu. Zaczął wiać ciepły południowy wiatr, który obraca skrzydłami wiatraków na pożegnanie, gdy Veronica zostawia równinę za sobą.

Jej stary samochód jak zwykle źle znosi wysoką temperaturę i po ponad czterech godzinach jazdy musi zatrzymać się na stacji benzynowej, żeby uzupełnić płyn w chłodnicy. Tata zaopatrzył ją w prowiant na drogę: starannie przygotowane kanapki z serem i szynką oraz termos z kawą, robi zatem przerwę.

Miała nadzieję, że podróż samochodem da jej okazję do przemyślenia tego, co się właściwie wydarzyło w ostatnich dniach.

Musi się również zdecydować, co sądzi o mężczyźnie, który każe nazywać siebie Isakiem. Czy to rzeczywiście Billy, który powrócił? Gdy jechała do Reftinge, była o tym prawie przekonana. Teraz nie jest już tego tak pewna. Uczucie, które zaprowadziło ją do Doliny Popiołów, częściowo wybrzmiało, ale pytania pozostały.

Wie, że ma szczęście, iż nie straciła pracy. Tęskni za terapią grupową. Brakuje jej dopływu energii. Najlepiej zatem byłoby skoncentrować się na pracy, wykonywać ją perfekcyjnie i czekać na to, że Isak znowu się pojawi i dostarczy jej następnych tropów.

Ta strategia brzmi rozsądnie. Opróżniwszy filiżankę kawy, decyduje, że przerwa dobiegła końca. Kiedy podnosi termos, odkrywa pod spodem kawałek taśmy maskującej. *Własność rodziny Nilssonów*, tak jest napisane na taśmie ozdobnym pismem mamy. Taśma odkleiła się trochę na krawędzi i Veronica zastanawia się, czy jej nie oderwać, ale po chwili decyduje się ją zostawić. Mama uczyła ją pisać staromodnym pismem, stawiać ładne litery, które jednak, w odróżnieniu od tych, których używa podczas terapii grupowej, nie nadają się do wsysania emocji innych ludzi. Znowu myśli o Leonie, o tych wszystkich słowach, które napisała do niego i których teraz żałuje. Słowach, o których sądziła, że pomogą, a które w rzeczywistości sprawiły coś dokładnie przeciwnego.

Może Tom Rooth myślał w podobny sposób, gdy wysłał pocztówkę z Rotterdamu? Mattias powiedział, że nie było na niej nic poza adresem. Żadnej wiadomości, żadnego wyjaśnienia ani nawet informacji, że ich zostawił. Czy Tom Rooth rozumiał to, czego ona sama nie chciała pojąć? Że czasami nie ma słów, które mogą pomóc?

Pakuje termos, przygotowuje się do dalszej jazdy. Przez chwilę siedzi bez ruchu w samochodzie z włączonym silnikiem i biegiem wrzuconym na luz. Rozpościera się przed nią równina Wschodniej Gotalandii. Płaski krajobraz rolniczy, prawie jak w domu. Okolice, z których pochodzi Krister Månsson. Krister Månsson o miłym spojrzeniu i śmiesznym sposobie mówienia.

Wyłącza silnik. Zastanawia się, czy w knajpie przy stacji benzynowej jest książka telefoniczna. Następnie wysiada z samochodu i idzie tam, żeby sprawdzić.

Krister Månsson właśnie wlał ciasto do formy, gdy słyszy, że Bella zaczyna skradać się w kierunku drzwi. Jej łapki stukają o parkiet, a po chwili, tuż przed dzwonkiem, rozlega się ożywione szczekanie. W poniedziałkowe wieczory on i Bella są w domu sami. Malin ma kółko czytelnicze ze swoimi przyjaciółkami i zamiast czekać na nią przed telewizorem, piecze zwykle ciasto, które ona następnego dnia zabiera ze sobą do kawy wypijanej w pokoju nauczycielskim. Lubi, gdy Malin wraca z pustym pojemnikiem i opowiada, jak wszyscy go pozdrawiają i chwalą jego ciasto. Ciasto z rabarbarem jest doceniane najbardziej, piecze je zatem co trzeci tydzień.

Bella wciąż szczeka przy drzwiach wejściowych. Månsson wieszka fartuch na jednym z kuchennych krzeseł i wychodzi do korytarza. Przez dekoracyjne szkło przy drzwiach dostrzega rozmazaną postać.

– Cicho, Bella – mówi, ale mała terierka jak zwykle go nie słucha, więc odpycha ją stopą przed otwarciem drzwi.

– Dzień dobry! – Oświetlona przez zewnętrzną lampę kobieta o rudoblond włosach ma około trzydziestu lat. Månsson w pierwszej chwili jest przekonany, że to jedna z koleżanek z pracy Malin. Bella szczeka dalej, a on właśnie chce powiedzieć, że Malin nie wróci do domu wcześniej niż za godzinę, gdy spostrzega, że w tej kobiecie jest coś znajomego. I w tej samej chwili, w której ona wyciąga różowy papierowy kubek z cukrem z restauracji, pojmuję, kto przed nim stoi.

– Czy wciąż zbiera pan takie rzeczy? – pyta kobieta.

Zasiadają przy sosnowym stoliku w kuchni. Bella przytula się do jego krzesła, przekręca głowę na bok i warczy od czasu do czasu, a Månsson przemycą dla niej kąski, chociaż Malin nie lubi, gdy karmi psa przy stole. Ciasto jest ciepłe i rozpuszcza się na języku, mimo to Månssonowi z trudem udaje się je przełykać.

Próbuje sobie wmówić, że miło jest spotkać Verę Nilsson po tych wszystkich latach, i choć mu się to nie udaje, naprawdę się cieszy, że najwyraźniej dobrze jej się żyje. Pytanie tylko, co ona tu robi. Właśnie teraz.

Chcąc zyskać czas do zastanowienia, opowiada całą historię o tym, jak jego rodzina przeprowadziła się tutaj w 1984 roku. Winą za to obarcza Malin, która dostała dobrą ofertę pracy, oraz dzieci, które chciały wrócić w rodzinne strony, co z pewnością jest prawdą. Nie mówi jednak o tym, że Johan i Jakob byli prześladowani w szkole. O tym, że inne dzieci szydziły z nich, że ich tata jest złym policjantem. Potem opowiada o swojej diagnozie raka jelita grubego w 1986 roku, o leczeniu i powrocie do zdrowia. O decyzji o zmianie trybu życia i zawodu.

– To nie jest pan już policjantem? – pyta Veronica i taksuje go wzrokiem w sposób, który Månsson natychmiast rozpoznaje, choć minęło wiele lat od ich ostatniego spotkania.

– Nie. Znalazłem pracę jako organizator czasu wolnego. Tutaj, w Mjölby. Dobra praca, sensowna.

Månsson sięga po jeszcze jeden kawałek ciasta, przede wszystkim po to, by uniknąć jej spojrzenia. Bella rytmicznie uderza ogonem o podłogę.

– W zeszłym roku przeszedłem na wcześniejszą emeryturę i teraz zajmuję się domem. Odbieram wnuki z przedszkola dwa razy w tygodniu i dbam o Malin po jej powrocie z pracy. Lubimy grać w golfa. – Bierze do ust duży kęs ciasta. Czuje, że żołądek protestuje, jeszcze zanim go przełknie. – A pani, Vero?

– Veronico – poprawia go. – Zmieniłam imię, gdy wyprowadziłam się z domu.

Månsson słucha, jak ona opowiada o swoich różnych pracach i studiach za granicą, o tym, że teraz mieszka w Sztokholmie i jest wykwalifikowaną terapeutką. Słucha uważnie, potakuje i wyraża zdziwienie we właściwych momentach. Ale cały czas przeszkadza mu wrażenie, jak bardzo Veronica jest podobna do swojej matki.

Gdy ciasto wystygło, a Bella potruchtała po cichu do swojego koszyka, wracają do sprawy Billy'ego. Wówczas jest już przygotowany. Zdążył przywołać w pamięci standardowe odpowiedzi, których zwykł używać przy tych rzadkich okazjach, gdy zgłaszają się do niego reporterzy: że sprawa Billy'ego traktowana jest przez policję jako wyjaśniona i że owszem, on sam jest być może rozczarowany tym, że nie doprowadzono do skazania sprawcy, ale

już dawno temu zostawił to wszystko za sobą.

Mówi to wszystko i dodaje jeszcze trochę, ubiera w słowa brzmiące prawdziwie i przekonująco. Jednocześnie próbuje odczytać wyraz jej twarzy, szuka na niej śladu złości albo oskarżeń. Ku swojej uldze nie znajduje takich oznak. Veronica tylko uśmiecha się lekko, czasami nawet potakuje ze współczuciem i dzięki temu Månsson jest już prawie gotowy odwołać alarm. Z ulgą stwierdza, że niepokoił się niepotrzebnie oraz że Veronica nie przyszła, żeby żądać od niego wyjaśnień.

Pytanie, które za chwilę słyszy, zaskakuje go całkowicie.

– Czy uważa pan, że Tom Rooth rzeczywiście zabił mojego młodszego brata? – pyta Veronica cicho.

Nie trzeba nic więcej, żeby w ciągu kilku chwil przemieścił się w czasie. Z powrotem do Skanii, do Reftinge i do tego przeklętego lata.

Lato 1983

Månsson stoi przy tylnym wejściu do komisariatu. Latarnie na ulicy już się palą, ale drzwi do aresztu toną w mroku, bo lampa nad nimi jest zepsuta. Powietrze jest ciężkie i parne; nadchodzi burza. Nad horyzontem już pojawiają się błyskawice.

Trzyma w dłoni pęk kluczy Toma Rootha, bezwiednie obraca je wokół palca. Ten tutaj to klucz do pompowni, dwa inne – do drzwi pomieszczeń w gospodarstwie Rootha. Czwarty to kluczyk do amazona stojącego kawałek dalej przy płocie. Na kółko do kluczy nawleczony jest też mały krążek wykonany z poroża sarny, w którym Rooth wywiercił dwie dziurki. Krążek błyszczący, wypolerowany na gładko przez klucze i twarde dłonie Rootha. Na jego końcu kołysze się piąty klucz, którego ani Månsson, ani policjanci z miasta nie umieli dopasować do żadnego zamka.

Månsson podnosi go na wysokość oczu. Zwyczajny, niczym się niewyróżniający klucz do kłódki, który mógłby pasować do każdej cholernej kłódki, jak stwierdził Burg albo Borg, gdy Månsson poruszył ten temat. Burg i Borg mieli sporo racji, mówiąc, że ludzie zwykle nie wyrzucają kluczy. Któryś z nich dodał, że na farmie Rootha znaleźli wielki pęk kluczy i że Månsson może go zbadać, skoro podczas dochodzenia w sprawie morderstwa tak bardzo zainteresował się kluczami.

Rozumiał, co mieli na myśli. Jednak ten niezidentyfikowany klucz w dalszym ciągu nie dawał mu spokoju. Pozostałych czterech Rooth używał codziennie. To były ważne klucze, które zawsze miał przy sobie. A ten kluczyk do kłódki umocował przy starannie wygładzonym kawałku poroża tak, że odróżniał się od reszty. To powinno coś znaczyć. Musiało coś znaczyć.

Drzwi aresztu otwierają się i staje w z nich Tom Rooth. W ręce trzyma plastikową reklamówkę ze swoimi rzeczami. Wyławia z niej papierosa i wsadza go między wargi. Månsson przygląda mu się

w milczeniu. Jest zadowolony, że potrafił się opanować, że nie poddał się impulsywnej chęci wiania Roothowi tak, żeby na zawsze popamiętał. Może nie jest szczególnie dobrym policjantem – ci z Malmö pewnie mają słuszość w tej kwestii – ale nie jest też szczególnie złym.

Rooth zapala papierosa, staje obok Månssona i zaciąga się. Wypuszcza smugę dymu w stronę okna komisariatu. Månsson podąża za nią wzrokiem i wydaje mu się, że dostrzega jakiś ruch za jednym z ciemnych okien komendy. Pewnie któryś z jego podwładnych nie oparł się pokusie i ukradkiem się przygląda; chce się przekonać, czy naprawdę doszło do czegoś tak niewiarygodnego, jak wypuszczenie na wolność mordercy dziecka.

– Proszę. – Månsson wyciąga rękę z pękiem kluczy w stronę Rootha. Prostuje ramię i zatrzymuje klucz do kłódki między kciukiem a palcem wskazującym. Nie wypuszcza go, gdy Rooth sięga po klucze, i pyta: – Do czego jest ten klucz?

– Do niczego. – Rooth wznosi ramionami. Mówi obojętnym tonem, jakby pytanie nie miało dla niego żadnego znaczenia. Jednak Månsson jest pewien, że Rooth kłamie.

Rooth stara się przez chwilę patrzeć mu w oczy. Uśmiecha się trochę krzywo, tak jak często robią ludzie próbujący ukryć, że rozmijają się z prawdą. Månsson wpatruje się w niego i usiłuje wpaść na jakiś pomysł, wymyślić coś, co pozwoli mu na nowo zamknąć Rootha w celi i uniknąć kłęski i pogardy. Pierwsze krople deszczu szmerzą na asfalcie. Rooth uparcie się uśmiecha.

– To jak, mogę jechać?

Månsson niechętnie wypuszcza z dłoni klucze.

– Jesteś w dalszym ciągu podejrzany, Tom. Nie opuszczaj okolicy, rozumiesz?

Nie rusza się z miejsca i przygląda się Roothowi, biegnącemu w stronę samochodu. Patrzy, jak czerwone volvo z włączonymi wycieraczkami znika za bramą. Strużki deszczu spływają po jego skroniach i karku. Dotyka brzucha, ujmuje w palce fałdę tłuszczu i ścisną ją dopóty, dopóki ból nie pokona wszystkich innych uczuć.

Znów rozlega się pomruk gromu. Głuchy, groźny odgłos przetacza się powoli nad wsią. Drapieznika właśnie wypuszczono z klatki.

– Stałem tam, na podwórzu komisariatu, i patrzyłem Roothowi w oczy. Może wyobrażałem sobie, że ujrzę w nich zło. Albo miałem nadzieję, że zobaczę coś innego. Jakiś ślad winy albo żalu. Wskazówkę, że to wszystko było tylko diabelskim pomysłem, który się nie powiodł. – Månsson milknie, patrzy w dół na swoje ręce.

– Ale nie zobaczył pan? – pyta miękko Veronica.

Były policjant potrząsa przecząco głową, obraca obrączkę ślubną na palcu. Jest szczuplejszy, niż go zapamiętała. Ma bardziej przerzedzone włosy, co nie dziwi, ma przecież ponad sześćdziesiąt lat. W sposobie bycia jest jednak taki jak dawniej. Zamyślony, empatyczny. Przyzwoity człowiek.

Jego smutek czuła od momentu, gdy otworzył jej drzwi. Smutek ten stopniowo rósł podczas rozmowy przy kawie i ciście, choć robił wszystko, by ją przekonać, że sprawę Billy’ego zostawił już dawno za sobą. Teraz, gdy skończył opowiadać o wieczorze, gdy był zmuszony wypuścić Toma Rootha, wydaje się, że opuścił gardę. Jego smutek tylko ją rozstraja, tak samo jak smutek taty. Może wynika to z ich podobieństwa, a może z tego, że jego smutek jest zbyt bliski jej samej. A może z obu tych powodów.

– Gdy przestał pan pracować jako policjant – mówi i dostaje długie skinienie głową w odpowiedzi – powiedział pan, że to z powodu choroby...

Robi przerwę, czeka, aż on spojrzy w górę.

– Ale były też inne powody?

Przez krótki moment wygląda na to, że będzie protestował. Veronica unosi więc prawą brew, by pokazać, że chce usłyszeć całą prawdę, a nie jakąś wyuczoną mowę obronną. Używała tego triku wcześniej, jest więc świadoma tego, że nie zawsze działa. Na szczęście Månsson odczytuje jej zachowanie dokładnie tak, jak ona tego chce. Znów spogląda w dół, robi jeszcze jeden obrót obrączką.

– Przestałem, bo już nie dawałem rady. Nie dawałem rady myśleć o tym, że wypuściłem mordercę Billy’ego. Nie spałem nocami

i analizowałem, co mogłem zrobić inaczej. – Spogląda w górę. Jego wzrok jest pusty. – Malin mówiła, że sprawa Billy’ego zjadała mnie od środka, tak jak rak. I miała rację.

Veronica przytakuje. Przez chwilę siedzi w ciszy i pozwala, by jego smutek się rozprzestrzenił.

– Mój brat Mattias jest teraz policjantem w Reftinge, wie pan o tym? – pyta.

Månsson uśmiecha się krzywo.

– Tak, słyszałem.

– Mattias przeanalizował całe dochodzenie przynajmniej dziesięć razy. Mówi, że nie było żadnego błędu w pracy policji. Że postąpiłby dokładnie tak samo, gdyby prowadził to śledztwo.

Veronica widzi, że Månsson drży, czeka, aż jego rysy zmiękną, i dopiero wtedy nawiązuje do właściwego powodu swojej wizyty.

– A co, jeśli wszyscy się myliliśmy? – pyta. – Może Billy żyje?

Opowiada Månssonowi o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Zaczyna od tego, jak Isak pojawił się na terapii grupowej. Dalej mówi o wizycie w domu, o odwiedzinach u Sailora i znalezisku w Dolinie Popiołów. Jak miło porozmawiać z kimś, kto zna tę historię, ale jest mimo wszystko poza nią. Z kimś, kto nie chce jej od razu przerywać, nie poprawia szczegółów i na końcu nie obala jej teorii. Początkowe zdumienie Månssona przechodzi w uważne skupienie, szczególnie gdy Veronica opowiada o kesonie, blaszanym pudełku i oderwanym narożniku koperty.

Veronica jest przekonana, że tajemniczy klucz Rootha, o którym niedawno opowiadał Månsson, pasował do kłódki, którą znalazła przy kesonie. Månsson zgadza się z nią, mówi, że to wyjaśnia, dlaczego Rooth kłamał na jego temat. Poza tym ten kawałek poroża, do którego był przytwierdzony klucz, wydaje się rękodziełem tego samego rodzaju, co makabryczne dzwonki wietrzne przy chacie.

Jest jednak jeden szczegół, który zgrzyta. Jeśli Rooth pojechał do Doliny Popiołów zaraz po tym, jak został wypuszczony z aresztu, i opróżnił keson z broni i listu zawierającego szantaż, to dlaczego kłódka była przecięta? Czy Rooth zamknął pusty keson po swojej

wizycie w chacie, czy ktoś był tam wcześniej? Ktoś, kto znał to miejsce i wiedział, co zawiera keson, lecz nie miał klucza do kłódki? Jediną osobą, którą można by w takim wypadku podejrzewać, był Sailor.

Månsson nie zgadza się z tym przypuszczeniem.

– Sailor był pijakiem, który najczęściej przebywał w miejscowej knajpie. Jemu i innemu idiocie udało się utopić łódź w jednej z glinianek, gdy prowadziliśmy poszukiwania przy pomocy kotwicy. Po prostu nie wierzę, że Sailor był na tyle przebiegły, by sprzątać po Tomie, w każdym razie z własnej inicjatywy. A Rooth siedział w areszcie o zastrzonym rygorze, nie mógł zatem dać Sailorowi takiego zlecenia. – Drapie się w zamyśleniu po karku. – Poza tym nie mieści mi się w głowie, że Rooth mógłby powierzyć swój los Sailorowi. Tom Rooth był inteligentny i sprytny. Używać Sailora jako pomocnika w kłusowniczym procederze czy nawet skorzystać z jego pomocy przy przestrzeleniu przedniej szyby w samochodzie twojego wuja, to jedna sprawa. Ale zaangażowanie go do porwania dziecka jest czymś zupełnie innym. To by było niepotrzebne ryzyko...

Månsson marszczy czoło, podnosi się i idzie po dzbanek z kawą.

– Ale jeśli to nie Rooth ani Sailor opróżnili keson, to kto to zrobił? – pyta po nalaniu kawy do filiżanek.

– Czy Rooth mógł mieć innego współnika?

– To niewykluczone. – Månsson pije łyk kawy. Od razu wygląda trochę inaczej. Plecy mu się prostują, a głos wyostrza i przypomina trochę głos Mattiasa. Veronica spostrzega, że jej się to podoba, i lekko się uśmiecha.

– Jeśli pani teoria jest słuszna, Veronico – mówi Månsson z namysłem – i jeśli Isak faktycznie jest Billym, toby znaczyło, że ktoś musiał się nim zajmować przez ten tydzień, gdy Rooth był w areszcie. Karmić go, poić i doglądać, by nic mu się nie stało.

– Nilla Rooth? Czy to mogła być ona?

– Hmm. Byliśmy prawie pewni, że Billy’ego przetrzymywano w pompowni, której Rooth używał jako ubojni.

– Dlaczego?

Wyraz twarzy Månssona mówi, że wolałby uniknąć zdradzania

szczegółów.

– Były tam kajdanki i stare łożko – mówi i zerka na nią, jakby chciał zobaczyć jej reakcję.

Veronica zachowuje kamienną twarz, kiwa tylko potakująco głową, zachęcając go, żeby kontynuował. Ale jej wewnątrz pozostaje chłodne.

– Gdyby Nilla Rooth była w to zamieszana, zrobiłaby wszystko, żeby pompownia pozostała dla mnie tajemnicą, i nic by mi o niej nie powiedziała. Poza tym miała przecież dzieci, także chłopca w tym samym wieku co Billy. Bardzo trudno jest mi sobie wyobrazić, że byłaby zdolna do zrobienia czegoś takiego.

– Jak wobec tego Rooth tłumaczył kajdanki i łożko? – Veronica sama się dziwi, jak rzeczowo brzmi jej głos. Månsson najwyraźniej pomyślał o tym samym, bo zaskoczony unosi brodę.

– Najpierw nic nie powiedział, potem, gdy dostał adwokata, twierdził, że spotykał się tam z kobietami. Zamężnymi kobietami, których nazwisk nie chciał ujawnić. Takie plotki zresztą o nim krążyły, ale jego wersja brzmiała raczej jak wymysł stworzony po fakcie z pomocą adwokata. – Månsson bierze jeszcze jeden łyk kawy.

– Ale ktokolwiek był jego współnikiem, mógł lub mogła wyciągnąć Billy’ego z ubojni, gdy było już jasne, że Rooth został zatrzymany. A tydzień później, gdy go wypuściliście, mógł sam pójść po Billy’ego i wywieźć go jak najszybciej na południe – podsumowuje Veronica.

Månsson kiwa głową.

– Jak najbardziej mogło tak być.

– A potem? Co się zdarzyło potem? Dlaczego Rooth miałby chcieć wywieźć Billy’ego z tej okolicy?

– Tak, warto się nad tym zastanowić.

Veronica pozwala, by Månsson i jego czujny piesek odprowadzili ją do drzwi. Po chwili wahania obejmuje go na pożegnanie. Månsson pachnie ciastem i old spice’em. Odwzajemnia jej uścisk, obiecuje, że będzie się dalej zastanawiał nad tą sprawą, i mówi, że Veronica może zadzwonić do niego, kiedy tylko będzie chciała. Brzmi to szczerze.

Miasto jest miejscem dla ludzi, którzy właściwie przynależą gdzie indziej, ale nie wiedzą gdzie.

Przeczytała to w jakiejś książce albo usłyszała w telewizji. W tym stwierdzeniu jest dużo prawdy. Ona sama mieszkała w Paryżu, Londynie i Berlinie, a teraz żyje w Sztokholmie. Mimo to nie potrafiłaby powiedzieć, że w którymś z tych miast czuła się jak w domu.

W czasie ostatnich godzin jazdy dużo myślała o Kristerze Månssonie. O tym, z jaką miłością wyrażał się o swojej żonie, o zdjęciach jego dzieci i wnuków, wiszących na ścianach w korytarzu i w salonie.

Månsson musiał być mężem Malin od co najmniej trzydziestu pięciu lat, mimo to zdawał się wyczekiwać jej powrotu do domu. Veronice brakuje czegoś takiego, brakuje jej kogoś, za kim mogłaby tęsknić. Ogólnie brakuje jej kogoś.

Otwiera drzwi wejściowe, uważnie wsłuchuje się w odgłosy ciemnego mieszkania. W środku jest cicho i spokojnie. Zapala wszystkie lampy, nie spoczywa, dopóki nie sprawdzi zakamarków w garderobie i pod łóżkiem. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak wtedy, gdy wychodziła z mieszkania; nic nie wskazuje na to, że podczas jej nieobecności ktokolwiek tu był. Otwiera jedno okno, żeby przewietrzyć stęchły zapach, i patrzy w kierunku końca ulicy. Nie widzi człowieka palącego papierosa. Jednak ćmy są tam znowu. Krążą dookoła elektrycznego słońca, powtarzają ten sam błąd.

Telefon mruga do niej z kuchennego blatu. Cztery mrugnięcia informują ją o liczbie nagranych wiadomości. W dwóch pierwszych przypadkach osoba z drugiego końca linii odłożyła słuchawkę. Trzecia wiadomość rozpoczęła się również ciszą, ale w chwili, gdy już ma przejść do następnej, w słuchawce rozlega się głos mężczyzny.

– Mówi Lars, znowu, z grupy – bełkocze, wydaje się pijany. – Nie oddzwoniła pani. Pieprzony sposób... – urywa, mamrocze coś

niezrozumiałego, po czym przerywa połączenie. Veronica na nowo się zastanawia, skąd on ma jej numer; przypomina sobie, że chciała o tym porozmawiać nazajutrz z Ruudem.

Czwarta wiadomość jest od Mattiasa.

– Cześć, to ja. Chciałem tylko sprawdzić, czy cało i zdrowo dojechałaś do domu. A więc... – Przerwa. Wyczuwa, że Mattias wierci się na krześle. – Miło było cię zobaczyć, Vera. Powinniśmy spotykać się częściej. – Kolejna przerwa. – Tak, to by było chyba wszystko. Dbaj o siebie – kończy. Brzmi to tak, jakby był trochę z siebie niezadowolony, jakby chciał powiedzieć coś innego, sensowniejszego.

Veronica wyłącza automatyczną sekretarkę. Patrzy przez chwilę na lampkę, która teraz świeci stałym, czerwonym światłem. Nie ma więcej wiadomości.

Naciska przycisk. Ostatnia wiadomość Leona jest tam nadal i tym razem odsłuchuje ją od początku.

– Z nami koniec, Veronico. Nie rozumiesz tego? Nie chcę już więcej listów ani esemesów, ani rozmów nocą. I nie wystawaj już przed moją bramą. To jest chore. – Wzdycha. – Musisz z tym skończyć, droga Veronico. Musisz z tym skończyć.

– Nie śpisz, Krister?

Głos Malin zaskakuje Månssona. Leży cicho w ciemności od prawie pół godziny, gdy cyfry zegara radiowego minęły północ. Słyszał, że oddech żony się pogłębił; jego myśli powędrowały swobodnie.

– Przepraszam, myślałem tylko o jednej sprawie. Obudziłem cię?

– Nie.

Månsson wie, że żona kłamie, że robi to z jego powodu, by nie czuł się winny. To ona musi wstać jutro rano. Czuje, jak Malin przesuwając się w jego kierunku na podwójnym łóżku, i wyciąga rękę, by mogła oprzeć głowę na jego ramieniu.

– O Verze Nilsson? – pyta.

– Veronice – mamrocze.

– Co?

– Nazywa się teraz Veronica Lindh. Veronica, nie Vera.

– Tak, mówiłeś już wcześniej. Jak myślisz, dlaczego zmieniła nazwisko?

Głaszcząc ją po plecach.

– Właściwie nie wiem. Może chciała uciec od swojej przeszłości?

– Ale już tego nie chce.

– Nie, wydaje się, że nie.

– Myślisz, że jej teoria może być prawdziwa? Że Billy Nilsson rzeczywiście żyje?

– Gdybyś mnie o to zapytała kilka lat temu, powiedziałbym, że nie. Ale po spotkaniu z Veronicą i wysłuchaniu jej opowieści... sam już nie wiem. W każdym razie to jest możliwe. Rooth mógł zabrać ze sobą Billy'ego, zostawić go u kogoś lub nawet samemu się nim zaopiekować. Pojawia się jednak pytanie, dlaczego miały to zrobić. Dlaczego zostawił swoją własną rodzinę, żeby zajmować się obcym dzieckiem?

Na kilka sekund zapada cisza. Malin dalej głaszcząc go po torsie. Podoba mu się to, lubi ją mieć blisko siebie.

– Co możesz zrobić, Krister? Co możesz zrobić, żeby pomóc Veronice dojść do prawdy?

– Jeszcze nie wiem. Myślę, żeby spróbować ustalić, co się stało z żoną i dziećmi Rootha. Czy ktoś z nich słyszał o Billym. Może wiedzą coś, co może nam pomóc.

– Dobrze – mamrocze mu do ucha. – A teraz, gdy wreszcie do tego doszedłeś, czy możemy w końcu zasnąć?

Kochanie,

kiedyś życzyłam sobie, żeby lato, ciepło i błękitne niebo trwały wiecznie. Potem tęskniłam za jesienią, bo wtedy miałeś mnie stąd zabrać.

Jak mogłam być taka głupia, by wierzyć w to, że możemy mieć wspólną przyszłość? Nie ma ulgi, nie ma litości, tylko ciągła męka pod niemiłosiernym słońcem, która będzie trwała, dopóki nie pochłonie nas ciemność i mróz.

Nie mam siły dłużej samotnie nieść naszej tajemnicy. To, co robiliśmy, było błędem, teraz to wiem. I za to musimy ponieść karę.

Następny dzień jest równie ciepły jak poprzednie. Veronica bierze długi prysznic, wkłada jak zwykle białą koszulę i czarne spodnie. Neutralnie i profesjonalnie, jak ktoś, kto traktuje swoją pracę z najwyższą powagą.

Jedzie metrem do centrum terapii, w pobliżu spotyka Ruuda, który wydaje się być w dobrym humorze, obejmuje ją i mówi, że miło ją widzieć. Idą do jego ciasnego biura. W sali zebrania krzesła są ustawione w kręgu. Veronica na sam ich widok czuje wzrastające oczekiwanie. Wyobraża sobie, że siedzi tam Isak.

W biurze Ruud opowiada z trochę zbyt dużym samozadowoleniem, jak o nią walczył. Jak zapewniał kadry, że ta nieszczęsna rozmowa telefoniczna była jednorazowym wydarzeniem, które się więcej nie powtórzy. Trochę-za-wysoki Bengt najwyraźniej mu pomógł. Powiedział, że Veronica wydaje się opanowana i świadoma swojego błędu.

– Bengt chce się z tobą jeszcze kilka razy spotkać. Prosił, żebyś jak najszybciej ustaliła z nim termin.

Ruud sprawia wrażenie, jakby to on był odpowiedzialny za jej terapię. Mimo że trochę ją to irytuje, nic nie mówi. Podpisuje tylko formularze, które Ruud przed nią położył.

– Spędziłaś weekend w Skanii – mówi Ruud, gdy już skończyli formalności. – W lecie jest tam pięknie. Pochodzisz z tamtych stron? Nie słychać tego w twoim dialekcie.

– Nie. – Veronica sili się na uśmiech. – Wyprowadziłam się z domu, gdy miałam osiemnaście lat. Można powiedzieć, że było mi śpieszno uciec.

Bierze głęboki wdech, ma nadzieję, że to nie zabrzmiało dziwnie i że Ruud nie będzie miał ochoty wypytywać jej dalej.

– Ach tak, a dlaczego? – Ruud jednak nie przestaje drążyć; w istocie jego pytanie powinno brzmieć: „Co spowodowało, że chciałaś stamtąd uciec?”.

– Nie było żadnego specjalnego powodu – kłamie Veronica. – Wieś

nie jest dla mnie. Mówi się, że istnieją dwa rodzaje ludzi dorastających na wsi. Ci, którzy zostają, i ci, którzy ruszają w świat.

– Aha – mówi Ruud. – A ty należysz do tego drugiego rodzaju? Tego, który rusza w świat?

Veronica kiwa głową, wciąż się uśmiechając. Ruud odwzajemnia uśmiech.

– A co się dzieło tutaj, z Larsem i innymi? – pyta, wychodząc z biura. Tak naprawdę chce się dowiedzieć, czy Isak był na spotkaniach, gdy była nieobecna, a Lars jest dobrym wstępem. Poza tym musi porozmawiać z Ruudem o jego telefonach.

– Lars niestety nie wróci.

– Dlaczego nie?

– W piątek rano, gdy tu otworzyłem, wyszedłem do kuchni, żeby zaparzyć kawę. Gdy wróciłem, Lars był w moim biurze. Szperał w moich papierach. Zapytałem go, co robi, a wtedy on zaczął się awanturować. Powiedział, że ma prawo wiedzieć różne rzeczy. Ja mu zatem oznajmiłem, że nie jest tu już mile widziany i jeśli jeszcze raz pokaże się w naszym centrum, to zgłoszę go na policję za włamanie.

– Oj. – To wszystko, co Veronica jest w stanie z siebie wydobyć; wie, że brzmi to trochę blado, ale daje jej przynajmniej kilka sekund czasu do namysłu. – Lars dzwonił do mnie kilka razy w ciągu weekendu i zostawił mi wiadomości.

Ruud marszczy czoło. – Czy wiesz, czego chciał? Czy ci groził?

Veronica potrząsa przecząco głową.

– Mówił tylko, że chce ze mną rozmawiać i że mam do niego zadzwonić. Czego oczywiście nie zrobiłam.

– Być może będziesz musiała zmienić numer. Odczekaj kilka dni, a jeśli się znowu odezwie, powiedz mi, a jakoś to rozwiążemy. Porozmawiam z prawnikiem, czy można to zgłosić.

Veronica zauważa, że podoba jej się to, że Ruud jest zaniepokojony z jej powodu, że się o nią troszczy.

– A ten blondyn, Isak. Był tutaj? – Patrzy na minę Ruuda i już wie, że to pytanie było błędem. – A zresztą, zapomnij o tym – dodaje szybko. Jednak mleko już się rozlało.

W drodze do domu znów myśli o Kristerze Månssonie. O tym, jak na początku się starał, by ją przekonać, że tę sprawę ma już za sobą, że nie myślał o Billym od lat. Mimo to nie minęło wiele czasu, by znowu wszedł w rolę śledczego. Przeprowadził się, zmienił pracę, wypełnił swoje życie pozytywnymi rzeczami, ale w jakiś sposób nadal żyje latem 1983 roku, tak samo jak jej rodzina. Może dlatego go lubi?

Lubi także Ruuda. Trzeba było porządnej dawki pogaduszek, żeby odtajał po tym, jak wspomniała o Isaku. Musi być ostrożna, nie może dawać mu powodów do podejrzeń. Ale co zrobi, jeśli Isak już się nie pojawi? Woli o tym nie myśleć. Czy w ogóle będzie w stanie wszystko sobie odpuścić?

Właśnie wbiła kod na domofonie, zamek w bramie przeciągle bzczy, gdy naraz ktoś chwytą ją za ramię i obraca. Jego palce są twarde, wwiercają się w jej skórę.

– No jesteś wreszcie, Veronica!

Brodąta twarz Larsa jest czerwona i opuchnięta od alkoholu. Veronica spostrzega, że utknęła wciśnięta w bramę i nie ma drogi ucieczki.

– Dlaczego nie oddzwoniasz? – pyta Lars. – Chcę tylko z tobą porozmawiać. Zmuszasz mnie w ten sposób, żebym tu przyszedł. Żebym czekał przed twoją bramą jak jakiś stalker. Nie rozumiesz, że mam lepsze rzeczy do roboty, co? – Ścisną mocniej jej ramię, przysuwa się do niej tak blisko, że Veronica czuje alkohol w jego oddechu. – Wyrzuciłaś mnie z grupy, ty dziwko. Myślisz, że jesteś kimś, ale ja wiem, czego ty chcesz.

– Lars, jak ty się zachowujesz...

– Stul pysk! – Lars celuje swoim grubym palcem wskazującym w jej twarz. – Zamknij się, rozumiesz, dziwko? Myślisz, że jesteś cholernie sprytna. Że wiesz, jak...

– Co tu się dzieje?

Głos dochodzi z bliska, ale Veronica go nie poznaje. Lars obraca tułów i patrzy do tyłu.

– O kurwa, to ty! – mówi.

– Wszystko w porządku? – Mężczyzna robi krok do przodu, a ona wreszcie go rozpoznaje.

– Spadaj – syczy Lars.

– Wszystko w porządku, Veronica? – pyta znowu Isak, na co ona intensywnie potrząsa głową. Isak kładzie rękę na ramieniu Larsa. – Hej, kolego. Powinieneś chyba zniknąć...

Zanim Isak kończy zdanie, Lars odwraca się i wali go pięścią prosto w twarz. Cios jest niespodziewany, przez co Isak traci równowagę i pada na plecy. Uderza w chodnik z głuchym odgłosem.

Przez chwilę jest cicho. Isak leży jak długi na asfalcie, Veronica zamarła z plecami przyciśniętymi do bramy. Przed nią stoi Lars, z pięścią zawieszoną w powietrzu i wykrzywioną grymasem wściekłości twarzą. Nagle jej wyraz się zmienia, przechodzi w zdumienie, a potem w strach. Opuszcza pięść, rozluźnia barki.

– Ja-a... – jąka się i milknie. Opuszcza wzrok, obraca się na pięcie i ucieka.

Veronica opada na kolana obok Isaka. Ma pękniętą wargę, z nosa spływa strużka krwi. Jest przytomny, ale jego twarz jest blada, oczy błyszczą i wydaje się, że nie może skupić wzroku na jednym miejscu. Gdy kręci głową, ukazuje się ciemnoczerwona plama, która rozprzestrzenia się po jasnym karku.

– Musimy zadzwonić po pogotowie – mówi Veronica.

Isak mruga kilka razy, wydaje się odzyskiwać przytomność.

– Żadnego pogotowia – protestuje. – Wszystko ze mną w porządku.

– Ale przecież krwawisz.

Isak chwytą się za tył głowy. Palce pokrywają się czerwienią.

– Pomóż mi wstać.

Veronica spełnia jego życzenie. On najpierw się zatacza, ale szybko odzyskuje równowagę.

– Mam zadzwonić po policję?

– Nie, nie trzeba. Jest okej – powtarza Isak, tym razem mocniejszym głosem.

Stoi z ręką na karku i patrzy prosto na nią. Coś w jego niebieskich oczach wywołuje w niej falę ciepła, ciepła, którego nie czuła od dawna.

– Kim jesteś? – pyta Veronica.

On lekko się uśmiecha. Jego twarz zaczyna odzyskiwać swój zwykły kolor.

– Miałem nadzieję, że pomożesz mi się tego dowiedzieć, Vero.

Isak siedzi na jej kanapie, odchylony do tyłu. Do potylicy przyciska opakowanie zamrożonego groszku. Rana jest powierzchowna, choć wygląda znacznie gorzej. Veronica pomogła mu zatrzymać krwawienie i założyła opatrunek. Pęknięta warga spuchła i nadała jego twarzy krzywy wyraz. Wygląda przez to tak, jakby cała ta sytuacja go bawiła.

Veronica próbuje przetrwać to, co się właśnie stało. Bardzo chciałaby mieć teraz coś mocniejszego w domu; przypomina sobie, że w jednej z szafek stoi butelka whisky. Zdaje sobie jednak sprawę, że to nie jest dobry moment, by ją wyciągać. W jej głowie kłębi się mnóstwo pytań – na przykład o to, co Isak robił przed jej bramą. Czy to on jest tym palaczem, tajemniczym intruzem lub wręcz kimś więcej, jak podejrzewa od chwili, gdy zobaczyła symulację komputerową? Być może powinna się go bać, ale z jakiegoś powodu nie odczuwa lęku.

– Od czego zaczniemy? – pyta, siadając w fotelu naprzeciwko niego.

– Chciałbym zacząć od przeprosin.

– Za co?

– Za to, że pojawiłem się w twojej grupie terapeutycznej, zamiast porozmawiać bezpośrednio z tobą. To był idiotyczny pomysł. Przepraszam. – Jego mina, mimo że zniekształcona przez spuchniętą wargę, z pewnością świadczy o tym, że jest świadomy swojej winy. – Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że nie miałem wystarczająco dużo śmiałości. Wiele razy, wieczorami, stałem tu, na ulicy, żeby zebrać się na odwagę.

Veronica chciałaby zbombardować go pytaniami, wydusić z niego odpowiedzi. Ale wie, że musi zachować spokój. Nie wolno jej ryzykować kruchego poczucia przynależności, które wywołało zajście w bramie.

– Okej – mówi. – Rozumiem. Ale musisz opowiedzieć więcej, zanim ci wybaczę. Na przykład jak się nazywasz.

On kiwa głową, ten ruch powoduje, że zamrożony groszek chrzęści w zetknięciu z jego potylicą.

– Nazywam się Isak Welin. To jest w każdym razie nazwisko, które mam w dokumentach. Dorastałem w małej wsi, około siedemdziesięciu kilometrów od Luleå. Ciemno i zimno zimą, komary w lecie i tak dalej.

Próbuje wywołać u niej uśmiech, jest najwyraźniej przyzwyczajony do tego, by korzystać ze swojego uroku.

– Tata pracował na morzu i był dużo poza domem. Czasami przez wiele miesięcy. Jeszcze zanim skończyłem dziesięć lat, wyprowadził się na dobre. Na początku odwiedziłem go kilka razy, ale potem zdarzało się to coraz rzadziej. Stopniowo traciliśmy ze sobą kontakt, a ja właściwie nie mogę powiedzieć, że tego żałowałem. – Wzrusza lekko ramionami. – Ostatniej zimy mama zachorowała. Miała problemy z nerkami i lekarze zaczęli mówić o transplantacji. W szpitalu badano mnie jako potencjalnego dawcę i okazało się, że nie ma zgodności. Mama i ja nie jesteśmy nawet spokrewnieni. Możesz sobie wyobrazić mój szok.

Veronica czuje, że jej oddech staje się krótszy.

– Mama była naprawdę chora, a ja nie chciałem stawiać jej pod ścianą. Przeszukałem natomiast mieszkanie. Przejrzałem cały rodzinny album i odkryłem, że nie ma w nim zdjęć ze mną w wieku niemowlęcym. Wcześniej się tym nie zajmowałem, ale gdy szukałem dalej, stwierdziłem, że nie ma po mnie śladów, zanim nie skończyłem sześciu czy siedmiu lat. Nie było świadectwa chrztu, żadnych zabawek, niemowlęcych ubranek czy czegoś podobnego. A poza tym pamiętałem to, o czym już opowiadałem... – Robi gest w jej kierunku. – Duży ogród, dużo większy niż ten, który był przy naszym domu. Domek, spróchniałe drzewo. Chłopiec, który zaginął. I to imię.

– Billy – mamrocze Veronica, nie mogąc się powstrzymać.

On ponownie powoli kiwa głową i odkłada torebkę z groszkiem na stół.

– W końcu poczułem, że muszę zapytać mamę, ale ona tak się zdenerwowała, że pielęgniarka musiała podać jej środki uspokajające. Zdecydowałem się więc poczekać, aż jej się polepszy.

Rokowania były dobre. Ale ubiegłej wiosny w trakcie dializowania doszło do gwałtownego spadku ciśnienia krwi. Zadzwonili do mnie, ale nie zdążyłem dojechać. – Patrzy w dal, oczy mu błyszczą. – Próbowałem odnaleźć tatę, ale w ubiegłych latach przeprowadzał się wielokrotnie i nikt nie wiedział dokąd. Prawdopodobnie był znowu na morzu. Gdy szukałem informacji o wydarzeniach z roku mojego urodzenia, zaginięciach i Billym, odkryłem artykuły o twoim młodszym bracie. Zabrzmia to może banalnie, ale dla mnie było tak, jakby otworzyły mi się w głowie jakieś drzwi. Drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

Uderzenia serca wypełniają jej gardło, prawie utrudniają oddychanie.

– Szukałeś więc dalej?

– Tak, pojechałem na południe, do Reftinge. Najpierw przede wszystkim jeździłem po okolicy, żeby sprawdzić, czy rozpoznam te strony.

– I rozpoznałeś?

– Myślę, że tak. Ale szczerze mówiąc, nie jestem całkowicie pewny. Ile pamiętasz z okresu, gdy miałaś pięć czy sześć lat?

Dużo, myśli, ale woli nie odpowiadać. Twarz mamy migocze jej na siatkówce oka. Zanim urodził się Billy, gdy ciągle jeszcze była „małą myszką” mamy.

– Przejechałem też oczywiście obok gospodarstwa Backa, ale nie odważyłem się zadzwonić do drzwi – kontynuuje Isak. – Nie miałem przecież nic konkretnego do przekazania. Spróbowałem zatem trochę się rozejrzeć, posiedziałem w barze i pizzeriach. Ktoś opowiedział mi o starym alkoholiku, którego niektórzy uważali za zamieszanego w zaginięcie Billy’ego. Pojechałem więc do domu starców, żeby się czegoś dowiedzieć. Personelowi powiedziałem, że jestem bratankiem tego dziadka.

– I? – Veronica wstrzymuje oddech. Puls łomocze jej w skroniach.

Isak potrząsa przecząco głową.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem. A przynajmniej miałem takie wrażenie. Idiotyczne było jednak to, że dziadek zareagował tak, jakbyśmy się znali.

Poprawia się trochę na kanapie, uśmiecha się i przechyla głowę

w sposób, który wydaje jej się bardzo znajomy.

Veronica wychodzi do korytarza, z szuflady biurka wyciąga symulację komputerową i podaje mu ją.

– To zdjęcie ma przedstawiać dorosłego Billy’ego – mówi. – Ale równie dobrze mógłbyś to być ty. Widziałeś je wcześniej, prawda?

Isak nie odpowiada, ale ona wie, że to prawda. Wie, że on wyciągnął z tego zdjęcia taki sam wniosek jak ona, ale nie jest jeszcze gotowy, by to wypowiedzieć. W każdym razie jeszcze nie.

– Co zdarzyło się potem? – pyta Veronica.

– A, tak. Próbowałem się dowiedzieć, jak mógłbym skontaktować się z twoją rodziną. Widziałem twój tatę we wsi, z dużej odległości, ale nie miałem odwagi, żeby do niego podejść. Co miałbym mu powiedzieć? A twój brat jest przecież policjantem. Pójście do niego też nie wydawało mi się zbyt dobrym pomysłem.

– Dlaczego nie?

Isak się waha.

– Miałem wcześniej do czynienia z policją. Głupie rzeczy, które robiłem, gdy byłem młodszy. Bałem się, że twój brat by je odszukał, gdyby zaczął szperać w mojej historii. I oceniłby mnie z góry. Czyli jedyną opcją, która mi pozostała... – urywa.

– ...byłam ja – kończy Veronica.

– Właśnie. Nie było łatwo cię znaleźć. Zapytałem jakąś bibliotekarkę, powiedziałem, że jestem twoim dawnym kolegą. Wtedy bywałem już dosyć dużo w tej okolicy, ludzie mnie już poznawali. Ludzie mnie zwykle lubią, szczególnie starsze kobiety. To jest chyba moja tajna broń. – Znowu się uśmiecha, trochę krzywo, i tym razem Veronica nie może się powstrzymać, by nie odpowiedzieć mu uśmiechem. – Bibliotekarka знаła twój ojca. Powiedziała mi, że mieszkasz w Sztokholmie i że nie przyjeżdżasz do domu zbyt często. I że zmieniłaś nazwisko. Znalazłem twoje zdjęcie w starym szkolnym albumie, a później trzeba było już tylko odszukać w książce telefonicznej wszystkie Veroniki Lindh mieszkające w okolicach Sztokholmu. Jest was w sumie pięć, byłaś drugą, którą sprawdzałem. I właśnie potrzebowałem terapeutki. Zrozumiałem, że tak chciał los. Jak tylko nawiązałem z tobą kontakt wzrokowy, uświadomiłem sobie, że jest między nami jakaś więź. Na

pewno też ją czujesz, prawda?

Patrzy na nią, spojrzenie jego niebieskich oczu przecina ją na pół. Puls bijący w skroniach rozprzestrzenia się po całym ciele. Veronica nie odpowiada; wstaje, wychodzi do kuchni i wyciąga z szafki butelkę whisky. Nalewa dużą szklanę i wypija duszkiem. Potem bierze ze sobą butelkę i dodatkową szklanę i wraca do salonu.

Budzi ją dzwonek do drzwi, ma przy tym nieprzyjemne uczucie, że śniło jej się coś ważnego, co rozbrzmiewa echem w jej głowie. Coś o zabawie w chowanego, o wiatrakach, które w nocy gapią się czerwonymi oczami ponad polami kukurydzy. Zapach róż. Próbuje zachować ten sen, ale on zamienia się w drobnoziarnisty piasek, który wysypuje się z jej głowy i pozostawia po sobie cierpki smak w ustach.

Dzwonek u drzwi odzywa się znowu. Podnosi się zaspana z łóżka, zarzuca szlafrok i chwiejnym krokiem wychodzi do korytarza. W pokoju dziennym stoi pusta butelka i równie puste szklanki. Obok nich leżą dwa kartony po pizzy i klejące się sztucce. W róg kanapy wciśnięty jest zmierzwiony koc, na nim wala się skrwawiony bandaż.

Ile właściwie opowiedziała wczoraj Isakowi? Większość, jak sądzi, i już żałuje. Powinna była zachować spokój, nie pozwolić ciągnąć się za język. Ale jego opowieść wstrząsnęła nią do głębi. A whisky dopełniła reszty.

Dzwonek ciągle brzęczy, potęguje jeszcze jej ból głowy. Veronica dociera do drzwi, uchyla je. Na zewnątrz stoi Ruud.

– C-co ty tu robisz? – wydobywa z siebie.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku.

Ruud robi gest w stronę drzwi, Veronica otwiera je i wpuszcza go do korytarza. Dźwięk dzwonka wciąż rozlega się w jej głowie, nie chce wybrzmieć.

– Rozmawiałem przed chwilą z Larsem. Spędził noc w izbie wytrzeźwień i był bardzo zły. Mówił coś o awanturze przed twoją bramą wczoraj wieczorem. Myśli, że zrobił komuś krzywdę.

Veronica zagryza wargę. Do cholery! Powinna była zadzwonić do Ruuda, jak tylko weszła wczoraj do mieszkania.

– Nic mi się nie stało. – Próbuje wymyślić, jak ma wyjaśnić to, co się wydarzyło, nie wspominając o Isaku. Dzwonek w jej głowie brzęczy coraz głośniejszym, zagłusza jej myśli. Staje się sygnałem ostrzegawczym.

– Świetnie, najważniejsze, że dobrze się czujesz.

Veronica przytakuje, ma właśnie prosić go, by poszedł za nią do pokoju, gdy dostrzega, że otwierają się drzwi łazienki. Nagle pojmuje, o czym zapomniała. Przed czym ten ustawiczny sygnał ją ostrzegał. I że to nie miało nic wspólnego ze snem.

– A, dzień dobry! – mówi Isak, wychodząc z łazienki, i staje przed nimi. Wziął właśnie prysznic, ma mokre włosy i owinął sobie jeden z jej ręczników wokół bioder. Ruud wpatruje się w Isaka, potem w nią. Veronica patrzy w bok. Przymyka oczy.

Siedzi na kanapie. Ból głowy przeszedł w mdłości, musi od czasu do czasu włożyć głowę między kolana, żeby nie wymiotować na podłogę. Ruud już sobie poszedł, Isak wyszedł krótko po nim. Obaj mniej więcej tak samo małowówni.

Nie powinna była w żadnym wypadku pozwolić Isakowi na spanie u siebie. To była zła decyzja i z ledwością sobie przypomina, że ją podjęła. Może odezwie się do Ruuda. Powie, jak jest, opowie mu całą historię. Że jest coraz bardziej przekonana, że Isak jest jej młodszym bratem, który zaginał dwadzieścia lat temu. Ale jakie właściwie ma na to dowody?

Jeśli Isak jest Billym, i to z akcentem na „jeśli”, to co się właściwie wydarzyło latem 1983 roku?

Wczorajszego wieczoru dużo rozmawiali o adopcyjnym ojcu Isaka, to sobie przypomina. O tym, czy mógłby być po prostu Tomem Roothem. Zgadza się wiek oraz to, że obaj pracowali na morzu. Isak widział stare zdjęcia Rootha w internecie, ale mówi, że jego tata miał bujną brodę i długie włosy, poza tym był dość otyły. Trudno jest mu dopatrzeć się jakiegoś podobieństwa, ale nie może wykluczyć, że to on. Poza tym pozostaje pytanie Månssona: gdzie był Billy w czasie, gdy Rooth siedział w areszcie, i kto się nim wtedy zajmował?

Sören Sklepikarz był ostatnim, który widział samochód Rootha. Czy wyjazd na południe był tylko błędnym tropem, tak jak pocztówka z Rotterdamu? Sposobem na to, by policja szukała go za granicą, podczas gdy w rzeczywistości pojechał tysiąc pięćset kilometrów na północ. Opuścił żonę i dzieci, żeby wychowywać

Billy'ego z nową kobietą pod przybranym nazwiskiem lub przekazał chłopca komuś, komu ufał. Wówczas pozostaje to jedno jedyne, arcyważne pytanie. Pytanie, na które – jakichkolwiek by szukać argumentów, jak je odwracać i obracać – trzeba odpowiedzieć.

Dlaczego?

Isak pojawia się tego samego wieczoru. Stoi w drzwiach i wygląda na trochę zawstydzonego.

– Przepraszam – mówi i wyciąga butelkę całkiem drogiego wina.
– Nie miałem zamiaru narobić ci problemów.

– To nie twoja wina – odpowiada Veronica, wpuszczając go do mieszkania.

Przechodząc obok niej w korytarzu, lekko się o nią ociera. Ładnie pachnie i porusza się w sposób, który jej się podoba. Miętko jak kot, z zaufaniem do siebie. Obrzęk na wardze trochę zmalał, dzięki czemu jego uśmiech stał się bardziej symetryczny.

Isak otwiera butelkę w kuchni i nalewa wina do dwóch sporych kieliszków.

– Praca... – zaczyna, ale ona potrząsa głową.

– Dajmy sobie z tym spokój. – Jest zdziwiona, jak łatwo przychodzą jej te słowa. Czuje się bardzo beztrosko, prawie jakby była podniecona. Wmawia sobie, że to nie ma podtekstu seksualnego, że chodzi o to, iż dzieje się coś ważnego, nie tylko dla niej; to coś stanowiącego o życiu i śmierci. Wątpliwości, które wcześniej miała, znikły w chwili, gdy napotkała jego intensywne spojrzenie.

– Co teraz zrobimy? – pyta Isak.

Rozmyślała o tym przez cały dzień. Poczyniła już nawet pewne ustalenia.

– Są testy, które można zlecić prywatnie. Wysyła się próbki krwi, twojej i mojej. Laboratorium porównuje je i w ten sposób można ustalić, czy jesteśmy spokrewnieni. To nie jest skomplikowane.

On kiwa twierdząco głową, ale nie wygląda na całkowicie przekonanego.

– Widziałem to już wcześniej. Trochę to jednak trwa, bo to

laboratorium jest chyba w Ameryce.

– Tylko około miesiąca.

Isak się krzywi.

– To długo.

Powinna powiedzieć, że upłynęło już tyle czasu, że ten dodatkowy miesiąc to pestka. Ale zgadza się z nim. Ona także nie chce czekać tak długo. A już na pewno nie po tym, co się wydarzyło w ostatnich dniach. Szczerze mówiąc, ma gdzieś pracę, Ruuda i centrum terapii. Może się również obyć bez uzależnienia od smutku. Ale musi się dowiedzieć prawdy o Billym. Teraz, zaraz. Zanim eksploduje jej głowa.

– Jest jeszcze jedna możliwość – mówi.

– Jaka?

Wstrzymuje się. Jeszcze może zmienić zdanie, jeszcze nie jest za późno, ale jego pełne nadziei spojrzenie każe jej kontynuować.

– Możemy jutro pojechać do domu, do Reftinge, razem. Porozmawiać z tatą, obejrzeć dom, zajrzeć do pokoju Billy’ego... twojego pokoju – poprawia się – i sprawdzić, czy to wywoła u ciebie wspomnienia, co się właściwie wydarzyło.

Zanim nadszedł ranek, Veronica zdążyła nieskończenie wiele razy pożałować swojej decyzji. Zastanawiała się nawet, czy nie zadzwonić do Mattiasa. Wie jednak doskonale, co jej brat by powiedział – byłby wściekły. Dzwoni zatem do Kristera Månssona. Tak jak przypuszczała, były policjant jest rannym ptaszkiem. Zdążył już wyprowadzić psa na spacer i przeczytać gazetę do połowy. Veronica niemal widzi go siedzącego przy kuchennym stole.

– Veronica! Jak miło, że dzwonisz.

Veronica streszcza mu opowieść Isaka i ich plany podróży. Spodziewa się, że Månsson jej przerwie, zacznie zadawać pytania, odradzać wyjazd – może nawet ma nadzieję, że będzie jej odradzał? – ale on tylko słucha.

– Czy sądzisz, że powinnam zrezygnować z tego wyjazdu? Że to głupi pomysł?

– A co ty myślisz? Co mówi ci twoja intuicja?

– Że Isak jest Billym – odpowiada Veronica bez najmniejszego wahania. – On może pomóc nam rozwikłać to wszystko.

– Mhmmm... – W słuchawce na kilka sekund zapada cisza. – W takim razie... – Månsson odchrząkuje. – W takim razie chyba nie masz wyboru, Veronico. Musisz tam pojechać, ze względu na Billy’ego i na siebie. Żałuję, że wtedy, w związku z tamtym kluczem, nie miałem odwagi zawierzyć swojej intuicji. Powinienem był śledzić Rootha, dowiedzieć się, dokąd pojechał, z kim się spotkał. Może sprawy potoczyłyby się inaczej.

– Okej. – Veronica nie chce jeszcze odkładać słuchawki. Wolałaby przeciągnąć tę rozmowę. Lubi słuchać głosu Månssona.

– Zacząłem dowiadywać się o rodzinę Rootha – kontynuuje Månsson. – Zadzwoniłem do paru kolegów z dawnych lat. Myślałem, że może Nilla po tamtych zdarzeniach jeszcze kiedyś spotkała się z Tomem albo przynajmniej dostała od niego jakąś wiadomość. Może ktoś zauważył, czy Tomowi towarzyszył jakiś chłopiec.

Veronica znów dostrzega, że stary ekspolicjant mówi w inny sposób, niż na początku ich poprzedniego spotkania.

– Czy sądzisz, że to ma sens? – pyta Månsson.

Veronica myśli o Mattiasie, który przeszedł już wszystkie tropy bardzo dokładnie i na pewno sprawdził rodzinę Rootha. Nie chce jednak gasić entuzjazmu Månssona.

– Nie wiem... W każdym razie warto próbować – odpowiada.

W słuchawce znów robi się cicho. Veronica uznaje, że pora zakończyć rozmowę, a Månsson najwyraźniej podziela jej zdanie.

– Może zadzwonisz do mnie po odwiedzinach w Backa, dobrze?

– Oczywiście, zadzwonię.

– Chciałem wspomnieć o jeszcze jednej sprawie. Zanim tam pojedziesz, powinnaś wiedzieć...

– O czym?

– Jesienią osiemdziesiątego trzeciego rolnicy w Reftinge ociągali się z rozpoczęciem orki. Żaden z nich nie chciał zahaczyć pługiem o szczątki małego chłopca. Nic nie wskazywało na to, że Rooth zakopał Billy’ego na jakimś polu, ale ludzie nie zawsze zachowują się racjonalnie. – Wyraźnie słyhać, że Månsson przybliży słuchawkę do ust. – Nie będzie im się podobało, że ktoś chce odgrzebywać przeszłość. W tej układance nadal brakuje istotnych fragmentów. Niektóre osoby w Reftinge mogą sobie nie życzyć, żeby prawda wyszła na jaw. Musisz zachować ostrożność, Veronico.

Veronica obiecuje, że będzie uważać. Odkłada słuchawkę. Uśmiecha się lekko do siebie. Jednak nie jest zupełnie osamotniona. Ma po swojej stronie Månssona i to ją w dziwny sposób uspokaja.

Mniej więcej po godzinie na progu jej pokoju staje Isak z wojskowym plecakiem przerzuconym przez ramię. Spojrzenie jego niebieskich oczu rozwiewa ostatnie wątpliwości, jakie jeszcze miała. Månsson ma rację. Należy udać się w tę podróż.

– Wiesz, jak poznali się twoi rodzice? – pyta Veronica, gdy wydostali się na autostradę i nareszcie jadą prosto na południe.

– Zachowały się zdjęcia z wesela albo coś w tym rodzaju?

Isak kręci głową.

– W albumie, który znalazłem, nie było ani jednego zdjęcia, na którym byliby razem. Tylko moje zdjęcia z dzieciństwa. Na paru z nich jest mama, ale ojca nie ma. Pewnie to on był fotografem. Pomyślałem, że mama pozbyła się wszystkich jego zdjęć po tym, jak nas zostawił, że nie chciała zachować żadnych wspomnień o nim. A może on celowo nie chciał być fotografowany?

Nastaje cisza. Veronica koncentruje się na prowadzeniu samochodu.

– A twój tata? – pyta Isak po chwili. – Jaki on jest?

– To dobry człowiek. Polubisz go.

– Byli szczęśliwi ze sobą, twoja mama i on? Zanim...?

– Tak sądzę. Chociaż... – Veronica próbuje znaleźć odpowiedź.

– Tata był najszcześniejszy, kiedy był z mamą.

– Była ładna, prawda?

– Taak. – Veronica przeciąga to słowo. Ma nadzieję, że nie padnie pytanie, którego się spodziewa, ale ono oczywiście zostaje wypowiedziane.

– A jak było z twoją mamą? Co ją uszczęśliwiało?

Veronica milczy przez dłuższą chwilę. Próbuje przypomnieć sobie twarz matki. Odszukuje w pamięci chwile, w których mama się uśmiechała, w których rzeczywiście wyglądała na szczęśliwą. Wyobraża ją sobie w różnych miejscach: w kościele, przy sekretarzyku, w ogrodzie.

Isak chyba sądzi, że Veronica chce przemilczeć jego pytanie. Zadaje więc następne.

– Byłyście sobie bliskie, ty i twoja mama?

Wszedł na zaminowany teren, ale Veronica uważa, że musi odpowiedzieć.

– Tak. Kiedy byłem mała.

– Potem już nie?

– Nie bardzo. Mama miała dość zdecydowane poglądy. Łatwo było ją zdenerwować.

Uświadamia sobie, że to niezbyt dobry opis. Należałoby raczej wyjaśnić, że nastrój w domu czasem zmieniał się w ciągu kilku minut, że dawało się taką zmianę wyczuć w powietrzu, zanim nadeszła; słowa nie były do tego potrzebne.

– Może inaczej: łatwo było ją zmartwić, wyprowadzić z równowagi – próbuje, ale te określenia też nie są właściwe.

– Nie mieliście lekkiego życia – zauważa Isak.

Nie podoba jej się ton jego głosu. Brzmi tak, jakby oceniał mamę na podstawie kilku słów, a to nie jest sprawiedliwe.

– Mama bardzo lubiła dzieci – mówi. – W każdą niedzielę po nabożeństwie prowadziła dla nich katechazę.

Powiedz prawdę, szepcze jakiś głos w jej głowie. Powiedz, że mama najbardziej lubiła małe dzieci, że przestała interesować się Mattiasem i tobą, kiedy podrosliście i nie można już było kontrolować każdego waszego kroku. Kiedy pojawił się ktoś, kogo łatwiej było kochać. Powiedz prawdę! Przyznaj, że mamę obchodził tylko...

Veronica czuje wzrok Isaka i uświadamia sobie, że musi spojrzeć w czarną lodową szczelinę, która otwiera się pod jej sercem.

– Spytałeś, co uszczęśliwiało moją mamę.

– Tak – odpowiada i nadal uważnie się jej przygląda.

Ze szczeliny płyną mroźne fale, zmieniają krew w lodowatą wodę jeziora.

– Billy – wydusza z siebie Veronica. – Ty ją uszczęśliwiałeś.

Zatrzymują się na stacji benzynowej w Jönköping, uzupełniają płyn w chłodnicy. Isak przejmuje kierownicę, a Veronica zapada w drzemkę na siedzeniu pasażera. Gdy się budzi, widzi, że las się przerzedził, a okolica jest bardziej równinna. Przez minutę ukradkiem przygląda się Isakowi, tak aby nie zauważył, że się obudziła. Dostrzega, że Isak mocno zaciska szczęki.

Zbliżają się do tablicy zapowiadającej zjazd z autostrady. Pozostało tylko pięćdziesiąt kilometrów jazdy po zwykłej szosie. Pięćdziesiąt kilometrów i dojadą do domu.

Isak zdejmuje jedną dłoń z kierownicy i kładzie ją na kolanie. Nerwowo prostuje i zaciska palce. Veronica nie pytała go o włamanie do mieszkania, o kamyk na nagrobku mamy ani o to, czy to jego goniła w nocy. Isak ma na szyi zadrapanie, które mogłoby pochodzić od przedzierania się przez kolczaste krzaki w odległej części ogrodu. Veronica jednak odsuwa od siebie te pytania; wmawia sobie, że nie nadeszła jeszcze właściwa chwila. Może po prostu nie

chce usłyszeć odpowiedzi? W każdym razie teraz nie chce.

Prostuje plecy i przesadnie rozciąga ramiona.

– Niedługo dojedziemy. Zmieniamy się? – mówi trochę zbyt wesołym tonem. W odpowiedzi otrzymuje tylko niewyraźne mruknięcie.

Nastrój staje się coraz bardziej napięty, w miarę jak zbliżają się do Reftinge. W końcu trudno już wytrzymać, tak że Veronica czuje się zmuszona włączyć radio, żeby trochę poprawić atmosferę. Wybiera tę samą stację co poprzednio, tę nadającą stare przeboje. Tym razem jednak muzyka nie rozprasza jej myśli. Jak właściwie wyobrażała sobie to wszystko? Czy ma po prostu poprosić ojca o klucz do pokoju Billy’ego i wpuścić tam Isaka? Liczyć na to, że widok domków z klocków Lego i drewnianego karabinu obudzi w nim wszystkie wspomnienia, że zapełnią się luki w jego pamięci, że uzyskają niezbite dowody na to, że Isak naprawdę jest jej zaginionym młodszym bratem? Dziwne, dziś rano była o tym tak bardzo przekonana. Być może zdenerwowanie Isaka jest zaraźliwe, bo kiedy wjeżdżają w aleję, a potem na podwórze, Veronicę opanowuje inne uczucie: wrażenie, że to wszystko jest jedną wielką, tragiczną pomyłką.

Długo stoją przy samochodzie, aż wreszcie ruszają w kierunku domu, połączeni jakimś milczącym porozumieniem, które pozwala im trochę zapanować nad nerwami.

Drzwi wejściowe są zamknięte na klucz. Veronica zaczyna szperać w skrzynce na kwiaty w poszukiwaniu zapasowego klucza, ale zmienia zdanie. Naciska guzik dzwonka. Przez chwilę chciałaby, aby ojca nie było w domu, tak by mogła jeszcze raz przemyśleć sobie całą sprawę. I wtedy słyszy powolne kroki w korytarzu, a potem szcęk zamka. Tata ma na sobie sweter, chociaż jest bardzo ciepło. Okulary siedzą trochę krzywo na nosie, przez co wygląda, jakby został nagle wyrwany ze snu. To wrażenie potęguje szklisty wzrok, który jednak na jej widok szybko się ożywia.

– O, Vera. Przyjechałaś.

– Cześć, tato.

Veronica nadal stoi na schodach. Nie wie, co powinna powiedzieć ani co zrobić.

– T-t... to jest Isak. – Daje mu znak, żeby się przybliżył. – Ten, o którym ci opowiadałam, kiedy byłam tu ostatnim razem. Ja... to znaczy my... myślimy, że on może być Billym.

Słowa płyną niepewnie, bez wielkich emocji i bez przekonania. Zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała.

Tata wpatruje się w nią, potem w Isaka. Z jego twarzy znika wyraz zdziwienia. Zastępuje go coś, czego Veronica zupełnie się nie spodziewała.

– Wynoś się! – syczy ojciec. – Wynoś się stąd, w tej chwili!

– Ale tato...

Ojciec robi krok do przodu, jego twarz jest teraz zbyt blisko jej twarzy. Veronica trochę się cofa.

– Billy nie żyje! Nie rozumiesz? – Ojciec grozi wskazującym palcem Isakowi. Wygląda na to, że w ogóle nie chce na niego patrzeć. – To oszust, Vero. Przywiozłaś tu oszusta, obcego faceta, który wykorzystuje naszą tragedię.

Z jego ust pryskają krople śliny, jedna spada na bluzkę Veroniki. Ojciec teraz zwraca się do Isaka.

– Wykorzystujesz śmierć małego chłopca! – krzyczy tak głośno, że Isak odskakuje do tyłu. – Szargasz pamięć mojego syna!

– Tato. – Veronica próbuje się włączyć, ale to nie ma sensu. Oczy ojca są niemal czarne.

– Wynoście się stąd oboje. Inaczej zadzwonię na policję.

Ojciec zatrząskuje jej drzwi przed twarzą; drzwi do domu jej dzieciństwa.

Stoją z Isakiem na schodach. Veronica usiłuje zrozumieć, co się stało.

– Możemy obejść dom naokoło – proponuje. – Rozejrzemy się po ogrodzie, zobaczymy, czy coś rozpoznasz.

Isak jednak kręci głową.

– Nie. Chodź, spadamy stąd.

– Przecież specjalnie tu przyjechaliśmy. Musimy...

Isak krzywi usta.

– Jeżeli się stąd nie zabierzemy, twój ojciec wezwie policję. Nie mam ochoty gadać z psami.

Podchodzi do samochodu, otwiera drzwiczki i wskakuje na siedzenie pasażera. Veronica niechętnie idzie w ślad za nim, rzucając ostatnie spojrzenie w stronę domu. Firanka w jednym z okien na piętrze lekko się porusza i Veronica dostrzega twarz ojca. Szybko odwraca wzrok.

– Chodź wreszcie! – woła Isak z samochodu.

Odjeżdżają tak szybko, że żwir pryska na błotniki. Trochę dalej, na jednym z pól, stoi zielona furgonetka, ale odległość jest zbyt duża, by dało się zauważyć, czy ktoś siedzi w środku.

Veronica uważnie patrzy na drogę, Isak wygląda przez boczne okno. Żadne z nich nie mówi ani słowa. Isak przerywa milczenie dopiero wtedy, gdy minęli wieś i wyjechali na szosę wiodącą na północ.

– Za jakieś dziesięć kilometrów będzie restauracja – mówi zmęczonym, niemal ponurym głosem. – Zatrzymajmy się tam, proszę cię. Muszę ci coś powiedzieć.

Restauracja to tania przydrożna knajpa, położona w połowie drogi między wsią a zjazdem na autostradę: stacja benzynowa, jadłodajnia i motel w jednym budynku. Veronica jechała o wiele za szybko, wskaźnik temperatury silnika jest blisko czerwonego pola na skali, a silnik warczy ostrzegawczo podczas parkowania.

Isak znajduje wolny stolik w kącie sali. Poplamione obrusy w kratkę, menu w plastikowych okładkach poznaczonych odciskami palców. Veronica uświadamia sobie, że nie jadła od wielu godzin. Głód wzmacnia uczucie przygnębienia.

Jedzenie szybko pojawia się na stole. Smakuje głównie tłuszczem do smażenia. Gdy skończyli się posilać, Isak odchyła się na oparcie krzesła. Głęboko wciąga powietrze, przez chwilę sprawia wrażenie, jakby miał się rozpląkać. Odzyskuje jednak panowanie nad sobą.

– Muszę ci powiedzieć o paru rzeczach. – Robi nieokreślony gest, jakby chciał zyskać na czasie. – Nazywam się Isak Welin i naprawdę spędziłem dzieciństwo w okolicach Luleå. To, że ojciec nas opuścił i że niedawno dowiedziałem się o tym, że jestem adoptowany, to też prawda. – Znów bierze głęboki wdech. – Ale twój tata ma rację. Nie jestem twoim bratem. Nie jestem Billym.

Coś zaciska gardło Veroniki, nie może wypowiedzieć żadnego sensownego słowa. Isak wzdycha, kręci się na krześle, wygląda na to, że z trudem zmusza się do mówienia.

– Więc... Zawsze fascynował mnie przypadek Billy'ego, od dzieciństwa. Czytałem o nim wszystko, co tylko udało mi się znaleźć. To wynikało chyba z tego, że Billy i ja byliśmy w tym samym wieku, urodziliśmy się w tym samym roku i miesiącu. Poza tym byliśmy dość podobni do siebie. Ludzie to czasem komentowali.

Isak wyjmuje portfel, pokazuje jej zdjęcie małego lnianowłosego chłopca. Veronica dostrzega podobieństwo, faktycznie jest wyraźne. Ale zdjęcie z całą pewnością nie przedstawia Billy'ego. Nagle robi jej się niedobrze.

– Na tym zdjęciu mam sześć lat. To było zaraz po tym, jak

Welinowie mnie adoptowali, ale dowiedziałem się o tym, dopiero gdy po śmierci mamy przejrzałem jej papiery. Miała segregator ze wszystkimi dokumentami. Była w nim moja metryka, zaświadczenie o adopcji, nazwisko moich biologicznych rodziców, wszystko. A mój adopcyjny ojciec nie zagiął ani nie zaciągnął się na statek. Jest księgowym i mieszka w Sundsvall ze swoją nową rodziną.

Isak odwraca wzrok, jego twarz wyraża ból. Veronica czuje się coraz gorzej.

– A twoje wspomnienia: ogród, spróchniały wiąz? – udaje jej się wreszcie powiedzieć.

– Wszedłem niezauważony do ogrodu w Backa, kiedy tam ostatnio byłem. Znalazłem resztki domku na drzewie i wszystko inne. Nawet zrobiłem kilka zdjęć. Myślałem, że twój ojciec mnie zauważył, bo w domu zapaliło się światło, więc uciekłem, ale zdążyłem dostrzec dostatecznie dużo, żeby zainteresowało cię moje opowiadanie w grupie terapeutycznej.

Veronica pokonuje mdłości. Jedyne, co jest w stanie wyrzec, to:

– Dlaczego?

Isak przeczesuje włosy palcami, wpatruje się w blat stołu.

– Kiedy przeglądałem rzeczy w mieszkaniu mamy, natrafiłem na moje stare pudełko z wycinkami z gazet o Billym. Przyszło mi do głowy, że powinienem dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie. Właściwie nie wiem dlaczego.

Nadal patrzy na stół. Veronica jakos nie może pojąć jego wyznań, nie rozumie, co oznaczają.

– Mama i ja byliśmy ze sobą bardzo związani; w każdym razie tak myślałem, dopóki nie dowiedziałem się, że byłem adoptowany. Może to wszystko było jakąś próbą poradzenia sobie ze świadomością, że matka okłamywała mnie przez całe życie. Nie mogłem znaleźć odpowiedzi na bardzo wiele pytań. Może chciałem przynajmniej znaleźć odpowiedź na pytanie, co się stało z Billym. – Podnosi oczy i napotyka wzrok Veroniki. – Odziedziczyłem po mamie trochę pieniędzy, więc zwolniłem się z pracy i pojechałem do Reftinge, żeby zobaczyć, czy coś znajdę. Przez tydzień mieszkałem w motelu. To była swego rodzaju duchowa podróż, tak to chyba można nazwać.

Uśmiecha się trochę krzywo i opowiada dalej. Veronica już nie słucha, czuje się pusta w środku. Tata miał rację. Isak jest oszustem. Jest obcym człowiekiem, którego wpuściła do swego życia, odkryła przed nim swoje tajemnice. Tajemnice rodziny.

– Dziś parę razy byłem bliski tego, żeby to wszystko przerwać. Powinienem to zrobić na długo przedtem, zanim zadzwoniliśmy do drzwi twojego ojca. – Isak niespodziewanie ujmuje dłonie Veroniki. – Naprawdę jest mi przykro, Veronico – mówi. Jego oczy są tak intensywnie błękitne, że ich spojrzenie przeszywa ją na wylot.

Siedzą naprzeciw siebie w milczeniu, trzymając filiżanki z kawą. Veronica najchętniej wsiadłaby do samochodu, pojechała z powrotem do Sztokholmu i pozostawiła wszystko za sobą. Nie chce więcej widzieć Isaka, ojca, wsi i jej mieszkańców. Ale nie ma siły. Całkowicie opuściła ją energia, nie umie nawet się rozzłościć. W tym wszystkim jest tyle samo winy Isaka, co jej własnej. Jest wykwalifikowaną terapeutką, ma doświadczenie w słuchaniu opowiadań i odróżnianiu prawdy od fałszu, a jednak dała się zwabić w pułapkę, dokładnie taką, przed jaką ostrzegał ją Mattias. Ignorowała wszystkie ostrzeżenia, wszystkie luki w opowieści Isaka, wszystko, co nie potwierdzało historii, którą pragnęła usłyszeć.

Czasem tak bardzo chce się uznać coś za prawdę, że nie dostrzega się prawdy.

Tak właśnie jest. Nie widziała prawdy. I przez to straciła wszystko.

Isak wstaje i na chwilę odchodzi. Wraca z kluczem w dłoni. Kładzie go na stole przed Veronicą.

– Pokój dwieście jeden – mówi. – Ja mieszkam przy końcu korytarza, na wypadek gdybyś czegoś potrzebowała. Zrobię, co zechcesz. Jeżeli nie chcesz mnie więcej widzieć, zrozumieć to. Jutro wyjadę stąd na własną rękę.

Veronica wstaje i idzie do swojego pokoju, nie spoglądając na Isaka.

Gdy się budzi, jest ciemno. Mała lodówka mruży cicho. Siada, odszukuje lamkę stojącą przy łóżku. Jej usta i gardło są suche jak papier, ale minibarek okazuje się nadspodziewanie dobrze zaopatrzone. Zaczyna od puszki wody mineralnej, wkrótce potem sięga na półkę z miniaturowymi buteleczkami alkoholu.

Wódka pali jej gardło, wzmacnia złość, która zbiera się w jej wnętrzu. Isak ją oszukał, wykorzystał do własnych celów. Okłamywał ją, wypytywał, doprowadził do tego, że opowiedziała mu o rzeczach, których nie zdradziła nikomu innemu. Nigdy.

Byłyście sobie bliskie, ty i twoja mama?

A jak było z twoją mamą? Co ją uszczęśliwiło?

Na stoliku przy telewizorze stoi telefon. Veronica wybiera swój domowy numer, potem wstukuje kod automatycznej sekretarki. Palce trochę się osuwają. Próbuje jeszcze raz. Ma nadzieję, że tata do niej dzwonił. Tak bardzo chce usłyszeć jego głos. Usłyszeć, że wszystko jest w porządku, że już nie jest na nią zły. Zamiast tego jej niezgrabne palce wybierają dawną wiadomość od Leona.

Z nami koniec, Veronico. Nie rozumiesz tego?

Owszem, teraz rozumie. Rozumie, że Leon to tylko kolejny głupiec, który nie zasługuje na jej miłość. Po tym, jak wobec niego postąpiła, nie potrafił nawet się na nią rozgniewać. Był tylko zawiedziony, protekcyjnalny i litościwy, mniej więcej w taki sposób jak Ruud.

Veronica gwałtownie odkłada słuchawkę. Wypija jeszcze jedną miniaturową buteleczkę i wstaje z łóżka. Pokój trochę się kołysze, ale to wkrótce mija. Wychodzi na korytarz, dociera do właściwych drzwi. Puka.

Isak otwiera po kilku sekundach. Ma na sobie koszulkę i bokserki, a na twarzy zdziwienie. Veronica wchodzi bez ceregieli, zmuszając go, by się cofnął. Zamyka za sobą drzwi.

Uderza go z całej siły w brzuch. Trafia niemal dokładnie w zamierzony punkt. Isak z jękiem zgina się w pół. Veronica znów go uderza, tym razem w twarz. Jej kostki natrafiają na jego kość policzkową, wysyłając bolesny prąd aż do mózgu. Isak pada na wytartą czerwoną wykładzinę, a ona rzuca się na niego, szarpie jego koszulkę, rozdziera ją.

– Ty łajdaku, ty skurwysyński kłamco, ty świnió...

On usiłuje się bronić, ale Veronica odpycha jego ramiona. Pada na niego całym ciężarem, przyciska usta do jego ust. Gryzie go i całuje. Teraz to ona ma władzę i nigdy więcej żaden drań nie będzie się nad nią litował.

Potem leżą obok siebie w jego łóżku. Veronica nic nie powiedziała, niczego nie tłumaczyła, on jednak zdawał się rozumieć.

– Wyrównaliśmy rachunki?

Veronica milczy. Jej świat zawalił się przez jego kłamstwa. Jej wspańały, doskonały świat, złożony z zakazu kontaktów z byłym kochankiem, anonimowego mieszkania i nisko płatnej pracy, dającej nieograniczone możliwości upajania się cudzym smutkiem.

– Tak – odpowiada niewyraźnie. – Wyrównaliśmy.

Isak przesuwając palec wzdłuż jej ramienia, dociera do długiej linii blizny. W innym przypadku odsunęłaby ramię, ukryła je pod prześcieradłem. Teraz tego nie robi.

– Niewyraźna pamiątka po dawnej pomyłce – mówi Veronica.

– Co takiego?

– Blizna. Miałeś chyba zamiar o nią zapytać? – Unosi wysoko rękę.

– W zeszłym roku poznałam faceta. Miał na imię Leon. Był jednym z moich pacjentów. Sprawy trochę... – milknie. – ...trochę się pokomplikowały – dodaje po chwili zastanowienia. – Na początku wszystko było dobrze. Byliśmy tacy zakochani, planowaliśmy zamieszkać razem, mówiliśmy o dziecku...

– Ale?

Veronica robi głęboki wdech.

– Ale później mu się znudziło. Zaczął spotykać się z innymi kobietami i uważał, że nie warto mi opowiadać o takich drobiazgach.

– Jak to przyjmowałaś?

– Bynajmniej nie ze spokojem. Wcale nie. – Veronica gładzi palcem bliznę. – Miałam obsesję na jego punkcie. Dzwoniłam do niego, wysyłałam esemesy, pisałam długie listy, przychodziłam do niego do pracy... traciłam kontrolę nad swoim życiem. Wyczekiwałam wieczorami pod jego oknami. W końcu, kiedy nie było go w domu, włamałam się do jego mieszkania i zdemolowałam je. Skaleczyłam się odłamkiem szkła i zakrwawiłam cały jasny parkiet. Po prostu cholerne załamanie nerwowe.

Isak przypatruje się jej, jakby próbował odgadnąć, czy to nie żart.

– I co było potem?

Veronica znów głęboko wciąga powietrze.

– Przyjechała policja i zabrała mnie. Na ranę trzeba było założyć dużo szwów. Potem była sprawa w sądzie. Dostałam wyrok w zawieszeniu i zakaz kontaktowania się. Solemnie przyrzekłam, że będę chodzić na terapię, żeby nauczyć się kontrolować złość. Przeniesiono mnie do innej pracy. Teraz, z perspektywy czasu, wygląda to na czyste wariactwo. Oczywiście to było czyste wariactwo, ale wtedy tak nie myślałam.

– A jak wtedy myślałaś? – Isak sprawia wrażenie szczerze zainteresowanego.

– Myślałam o tym, że Leon mnie zdradził. Że za wszelką cenę musi ponieść karę za to, co zrobił.

Isak sprawia wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale uniemożliwia mu to głośny dźwięk. Z korytarza dobiega monotonne wycie, tak głośne, że przenika przez ściany. Isak wyskakuje z łóżka, wciąga spodnie i otwiera drzwi. Do pokoju napływa woń dymu i zaniepokojone głosy.

– Alarm pożarowy – rzuca Isak przez ramię. – Musimy wyjść. Szybko, to wygląda na coś poważnego.

Razem z innymi gośćmi motelu mijają recepcję i wychodzą na parking.

– Proszę trzymać się prawej strony! – woła mężczyzna w odbłaskowej kurtce, dzierżący w rękach wielką latarkę.

Z oddali słychać zbliżające się syreny wozów strażackich. Na prawo od motelu widać płomienie. Pali się jakiś samochód. Szyby w jego oknach popękały od gorąca, z wnętrza wydobywają się języki ognia, gęsty, czarny dym zasnuwa parking. Dopiero po dłuższej chwili Veronica zdaje sobie sprawę z tego, że to jej samochód.

Ugaszenie ognia zajmuje strażakom dziesięć minut; przez kolejne dwadzieścia sprawdzają budynek i wreszcie ogłaszają, że zagrożenie minęło. Personel motelu zaopatrzył w koce nielicznych gości, którzy zebrali się przy szczytowej ścianie budynku. Mimo koca Veronice

jest tak zimno, że szczęka zębami.

– To pani samochód – stwierdza policjant trzymający w ręku notes.

– Tak. – Veronica zastanawia się, czy ten mężczyzna to podwładny Mattiasa, czy może teren, na którym stoi motel, należy do innego rejonu.

– Czy samochód był niesprawny? – pyta policjant.

– Silnik łatwo się przegrzewał. Trzeba było od czasu do czasu uzupełniać płyn w chłodnicy.

– Aha. – Policjant coś zapisuje. – Nie ma pani żadnych wrogów? Czy ktoś mógł podpalić samochód?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Policjant notuje jej nazwisko, adres i PESEL. Gdy kończy spisywać dane, podchodzi do nich facet w odblaskowej kamizelce.

– Okej, można wracać do motelu. Naprawdę bardzo nam przykro...

Isak pojawia się przy Veronice. Trzymał się z daleka, kiedy rozmawiała z policjantem.

– Co powiedział ten gliniarz?

Idą w kierunku wejścia do motelu.

– Tylko spisał moje dane. Pytał, czy miałam jakieś problemy z samochodem.

– Aha. Szczęście w nieszczęściu, że to się zdarzyło tutaj, a nie na autostradzie.

Veronica kiwa głową. Znów ogarnia ją nieodparte zmęczenie, takie, jakie czuła wieczorem. Właściwie powinna martwić się tym, co stało się z autem, ale w tej chwili czuje tylko wyczerpanie i pustkę w głowie.

– Co teraz zrobisz? Jak wrócisz do Sztokholmu? – pyta Isak.

Veronica wzrusza ramionami.

– Rano chyba pojedę autobusem do miasta, a stamtąd pociągiem.

– To może pojedziemy razem?

Veronica nie nadała z odpowiedzią. Stoją już przy jej pokoju; drzwi są uchylone, a przy zamku widać świeże zadrapania.

Spoglądają po sobie. Isak popycha drzwi. Ubrania leżą porozrzucane na łóżku. Veronica przerzuca je, przeszukuje zewnętrzną kieszeń walizki.

– Cholera jasna!

Isak znika w głębi korytarza. Wraca po krótkiej chwili.

– Mój pokój też obrobili. Portfel, klucze, komórka, wszystko poszło w diabły.

Gdy dochodzi wpół do ósmej rano, Veronica daje za wygraną i dzwoni do Mattiasa. Długo się nad tym zastanawiała; w końcu doszła do wniosku, że nie ma wyboru.

Ponownie zjawił się policjant – ten sam, z którym rozmawiała o spalonym samochodzie. Stwierdził, że włamano się w sumie do czterech pokoi i że nie tylko Isak i ona padli ofiarą włamywaczy. To niewielka pociecha. Nie ma pieniędzy ani karty kredytowej, ani samochodu, nie może nawet zapłacić za nocleg w motelu. Nie może zadzwonić do taty, nie po jego wczorajszym wybuchu gniewu, numeru Lidii nie pamięta, poza tym nie są zbyt bliskimi przyjaciółkami. Pozostaje tylko Mattias.

Niestety, jej brat nie odbiera komórki, a Veronica nie chce dzwonić na domowy numer; woli nie narażać się na konieczność rozmowy z Ceciliją. Siada zatem przy recepcji z kubkiem darmowej kawy w ręce i usiłuje wymyślić, co ma zrobić.

– Vera, wszystko w porządku? – słyszy nagle.

Podnosi wzrok. Stoi przed nią Patrik Brink. Wygląda jak zawsze: ciemne robocze spodnie, flanelowa koszula, czapka z daszkiem. Tym razem jednak się nie śmieje.

– W porządku, a co?

– Przejeżdżałem tędy. Rozpoznałem twój samochód.

Patrik wskazuje kciukiem przez ramię na parking, gdzie nadal stoi wypalony wrak jej samochodu. Strażacy przesunęli go na większą odległość od motelu i postawili przy wjeździe.

– Co się stało? – W głosie Patrika brzmi troska, tak jakby rzeczywiście się o nią martwił. Veronica opowiada mu więc o pożarze i włamaniu.

– O, cholera – mówi, kiedy skończyła. – Znaczy, utknęłaś?

– Na to wygląda.

– Dzwoniłaś do Haralda?

– Nie.

– Czemu nie?

Veronica wzdycha. Nie znajduje właściwej odpowiedzi. Może powinna powiedzieć, że jej relacja z Haraldem nie jest typową relacją siostrzenicy z wujem.

– Poczekaj tu! – Patrik idzie do swojej furgonetki, siada za kierownicą i wyjmuje komórkę. Rozmawia przez kilka minut, potem wraca.

– Idź po swoje rzeczy – mówi do niej.

– Poczekaj chwilę...

Ale Patrik już podszedł do recepcjonistki, mówi do niej coś, czego Veronica nie słyszy. Nagle zjawia się Isak. Kręci głową.

– Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto mógłby nam pomóc – mówi.
– A tobie?

Patrik wraca, staje przed nimi.

– On jest z tobą? – pyta.

Veronica patrzy na Isaka, widzi, że on unika jej wzroku. Zastanawia się przez kilka sekund, po czym mówi:

– Tak, on jest ze mną.

– Okej – mówi Patrik. – Idźcie po rzeczy, a potem jedziemy.

Cztery domki gościnne są czerwone, z białymi ramami drzwi i okien. Stoją na trawie tuż za wielką stodołą w gospodarstwie Ång. Przed trzema z nich zaparkowane są samochody z polskimi rejestracjami, ale czwarty wygląda na niezamieszkały. Patrik otwiera drzwi, pokazuje im wnętrze domku. Dwie sypialnie z piętrowymi łózkami, łazienka z prysznicem i wspólny pokój z telewizorem. Czysto, schludnie i funkcjonalnie.

– Masz. – Podaje Veronice klucz. – Możecie tu zostać, jak długo chcecie. Nie ma tutaj telefonu, ale moje biuro jest tam, gdybyś potrzebowała zadzwonić do firmy ubezpieczeniowej czy gdzie tam jeszcze. – Wskazuje na budynek dawnej stajni, przerobiony na lokal biurowy. – Mamy tu też parę samochodów, możesz któryś pożyczyć.

Veronica nie bardzo wie, co powiedzieć, ale ostatecznie wydusza z siebie słowa podziękowania:

– Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony.

– Żaden problem. Trzeba pomagać starym przyjaciołom.

Veronica spodziewa się ironicznego uśmiechu, jednak Patrik zachowuje poważny wyraz twarzy.

– Harald pojechał załatwić parę spraw, wróci za kilka godzin. Chciałby spotkać się z tobą, o ile będziesz miała czas.

Propozycja jest sformułowana bardzo uprzejmie i Veronica oczywiście musi ją przyjąć.

– No, to na razie chyba wszystko. Mam nadzieję, że będziecie się czuli dobrze na naszym małym kempingu. Polacy czasem trochę hałasują w weekendy, ale ogólnie są w porządku. Gdybyś czegoś potrzebowała, to mnie zawołaj.

– Sympatyczny gość – mamrocze Isak, gdy Patrik odjeżdża w stronę biura. – Od dawna go znasz?

– Od dzieciństwa – mówi Veronica, kładąc się na jednym z dolnych łóżek. – Ojciec Patrika był kiedyś brygadzystą u wuja, a teraz Patrik przejął to stanowisko. Mój brat jest żonaty z jego kuzynką, więc jesteśmy prawie spokrewnieni.

Isak wnosi swój plecak do drugiej sypialni.

– Twój wujek ma chyba dużo do powiedzenia w tej okolicy – mówi.

– Mhm – mruczy Veronica i zamyka oczy.

Dopiero po południu idzie do głównego budynku. Przed lunchem wykonała parę rozmów telefonicznych z biura Patrika. Rozmawiała z firmą ubezpieczeniową i z bankiem. Zamówiła u ślusarza wymianę zamków w drzwiach mieszkania. Najpierw jednak musi wrócić do Sztokholmu, a żeby to zrobić, musi porozmawiać z wujem Haraldem. Dobrze się przygotowała: przerobiła w głowie wszystkie możliwe scenariusze, przyrzekła sobie, że się nie rozżłości, że będzie odgrywać rolę wdzięcznej siostrzenicy.

Mija cztery bardzo nowoczesne obory, wdycha charakterystyczny słodkawy zapach krów, wzmocniony przez ciepłe, nieruchome powietrze między budynkami. Okrąża ogromną, przypominającą hangar zieloną halę przeznaczoną na maszyny rolnicze. Przyznaje wbrew woli, że imponują jej osiągnięcia wuja Harald. Firma transportowa, stacja maszyn, rolnictwo, leśnictwo, polowania dla

turystów, handel nieruchomościami i farma wiatrowa. Do tego pewnie inne rzeczy, o których ona nie wie.

Gospodarstwo wuja Haralda było duże już za czasów dziadka, a teraz jest największe w okolicy, i to bez porównania. Ponad dachami budynków wznosi się siedem srebrnych wież, dwa razy wyższych od starego silosa, na który kiedyś wdrapywali się z Mattiasem. Ładny dwupiętrowy dom mieszkalny z pobielonymi ścianami i czterema kominami został rozbudowany i wygląda teraz prawie jak pałac. Zbliżając się do niego, słyszy śmiech i warkot silnika. Land rover wuja Haralda stoi tuż przed domem, do jego platformy doczepiona jest rampa zjazdowa. Wujek Harald, Tess i Patrik patrzą na Tima, który jeździ po podwórzu na małym traktorku, pomalowanym w barwy firmy Aronsson Farming. Spod kół pojazdu pryska żwir, a chłopiec śmieje się w głos. Wuj Harald też się śmieje, Tess zaś wygląda na zaniepokojoną: woła do Tima, żeby uważał. Patrik stoi parę metrów dalej, za Tess i Haraldem. Przenosi spojrzenie z chłopca na jego matkę. Potem dostrzega Veronicę.

– Fajny, co? – mówi wujek Harald, wskazując na traktorek. – Dziś rano przywoziłem go z Eslöv. Specjalne zamówienie.

– Śliczny. – Veronica staje obok wuja i udaje, że podziwia, jak Tim kieruje miniaturowym ciągnikiem.

– Słyszałem, co się zdarzyło w nocy. – Wuj Harald nie odrywa wzroku od syna. – Cholernie nieprzyjemna historia. Dobrze się czujesz?

– Mhm. – Troska brzmiąca w głosie wuja dziwi Veronicę i tłumi złość, którą zawsze odczuwa w obecności Haralda.

– Czemu nie zadzwoniłaś do ojca?

Veronica kręci głową.

– Nie pasowało.

– Pokłóciliście się?

Prościej jest nie odpowiadać.

– Ebbe bywa uparty jak osioł. Cecha rodzinna, prawda? – Jeden kącik ust wuja Haralda trochę się unosi, co wywołuje lekki uśmiech również na twarzy Veroniki.

Tim wykonuje ostry skręt. Dwa koła traktorka unoszą się

w powietrze. Tess wydaje okrzyk przerażenia, ale wuj Harald tylko się śmieje.

– Patrz, Vera! Ma pięć lat, a jeździ jak zawodowiec. Niczego się nie boi. Ty byłaś podobna do niego, kiedy byłaś mała.

Veronica mamrocze coś, co ma oznaczać potwierdzenie. Patrik podchodzi do Tess. Coś do niej mówi, przywołuje Tima, pomaga mu wyłączyć silnik traktorka.

– Brawo, Tim! – Wuj Harald klaszcze w dłonie. Potem zwraca się do Veroniki i wyjmuje z tylnej kieszeni spodni gruby portfel.

– Ile potrzebujesz?

– Ja... ja jestem bardzo wdzięczna za pomoc, ale...

– Cicho. – Wuj Harald przerywa jej grzecznościowy protest.

– Kiedy byłaś dziewczynką, byliśmy najlepszymi kumplami, prawda? W każdym razie do czasu, kiedy stałaś się nastolatką.

Veronica nie odpowiada.

– Może po prostu jesteśmy zbyt podobni do siebie – kontynuuje wuj Harald. – Jak twoja matka i ja. Dwoje uparciuchów. – Milknie, opuszcza wzrok, zaczyna wyłuskiwać banknoty z portfela. – Pięć tysięcy wystarczy?

– Oddam, jak tylko dostanę nową kartę kredytową – mówi Veronica, trochę za szybko.

– Dobra jest. – Wzrok wuja, zwykle surowy, trochę łagodnieje.

Veronica bierze pieniądze, wkłada je do tylnej kieszeni. Wszystko okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała.

Przy garażu Patrik pomaga Timowi zaparkować traktorek obok srebrnego mercedesa Tess.

– Taak. To ja może... – Veronica wskazuje przez ramię, za siebie.

– Jeszcze raz dziękuję za wszystko. Naprawdę doceniam pomoc wuja.

– Cieszę się, że mogłem ci pomóc – mówi wuj Harald.

Veronica kiwa głową, odwraca się i odchodzi, ale już po kilku krokach słyszy:

– Tak przy okazji: może mogę poprosić, żebyś zrewanżowała się przysługą?

Veronica się zatrzymuje. Przemyślała taki scenariusz, ale przez krótką chwilę wierzyła, że wuj Harald pomógł jej po prostu

z życzliwości.

– Jasne. – Wymusza uśmiech i czeka na przewidywalny ciąg dalszy: wiatraki, zezwolenie na budowę, podpis taty. Ciekawe, jak ona ma to, zdaniem wuja Haralda, załatwić, skoro nie rozmawia z ojcem.

– Jutro wieczorem cała wieś będzie na festynie dożynkowym w parku – mówi wuj. – Cieszyłbym się, gdyby przyszła cała rodzina. Myślę, że twój ojciec też by się ucieszył.

Veronica nie może odrzucić zaproszenia. W pewnym sensie jest z niego zadowolona, czuje się nawet uradowana. Jednocześnie nie może pozbyć się przeczucia nadchodzącej katastrofy.

Kochanie,

nie mogę już patrzeć im w oczy. Są tacy zakłamani. Udają, że mają czyste sumienia, że wolno im potępiać tych, którzy różnią się od nich. Nienawidzę ich wszystkich za to, że zmuszali nas, abyśmy chowali się przed nimi, przemykali się ukradkiem z naszą miłością, przyciskali ją do piersi tak mocno, że nie mogła oddychać.

Udusiliśmy naszą miłość, zabiliśmy to, co było w nas najpiękniejsze. Może ja starałam się zbyt mocno, a Ty zbyt słabo. Może wszystko od początku było skazane na śmierć.

Ale wiem, że wszystko ma swój czas, i nasz czas teraz nastał. Czas, by zebrać to, co kiedyś zasialiśmy.

Jadą do ojca Lidii i zamawiają po dużej pizzy. Nie udaje im się zjeść do końca, chociaż oboje są straszliwie głodni. Dziś prawie ze sobą nie rozmawiali, jeżeli nie brać pod uwagę krótkich wymian zdań na tematy praktyczne, na przykład co i gdzie zjeść. Ograniczali się do spraw przyziemnych.

– To, co zdarzyło się wczoraj... – odzywa się Veronica.

Isak podnosi wzrok i wzrusza ramionami. Siniak na jego policzku, pamiątka jej pięści, ma już żółte obrzeże.

– Wczoraj to było wczoraj – mówi.

Uśmiecha się, a Veronica uświadamia sobie, że nadal podoba się jej jego uśmiech, mimo że ją okłamał i wykorzystał.

– To tutaj przesiadywał Sailor? – pyta Isak. – To dlatego, że nie był mile widziany w gospodzie. Wszyscy myśleli, że miał coś wspólnego z zaginięciem Billy’ego.

– Mhm. – Veronica pociąga łyk coli.

Isak milczy przez chwilę.

– Jak myślisz, co się właściwie stało z Billym? Teraz, kiedy wiesz, że ja... – urywa. Ma trochę zakłopotaną minę, jakby żałował, że poruszył ten temat.

Vera odstawia szklankę. Najchętniej nie rozmawiałyby o tym, ale pytanie jest uzasadnione. Ona też chce uzyskać odpowiedź, dla samej siebie. Co się właściwie stało?

Przez chwilę zastanawia się, czy ufa Isakowi na tyle, aby odpowiedzieć, i dochodzi do wniosku, że mimo wszystko ma do niego zaufanie. Z jakiegoś powodu minioną noc sprawiła, że ich relacja wróciła do punktu wyjścia. Zresztą wniosek, do którego doszła w sprawie Billy’ego, nie jest czymś, co zasługiwałoby na utrzymywanie w tajemnicy.

– Pozostaje tylko to pierwotne wyjaśnienie – mówi. – Tom Rooth porwał Billy’ego, żeby szantażować mojego wuja i wycisnąć z niego pieniądze. Coś poszło nie tak i Billy umarł. Rooth wyjechał z kraju. Zaciągnął się na statek i nie wrócił.

Isak marszczy czoło. Wygląda na to, że jej odpowiedź go nie zadowoliła.

– W zasadzie to brzmi logicznie, ale jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– Jaka?

– Tom Rooth zostawił rodzinę, żonę i dwoje dzieci. O ile wiadomo, nigdy się do nich nie odezwał. Czy on naprawdę był tego rodzaju człowiekiem?

Veronica ociera usta tanią papierową serwetką.

– Tak mówią.

– W takim razie dlaczego nie wyjechał wcześniej? Wtedy, kiedy stracił prawo do polowania i zrozumiał, że nie będzie mógł utrzymać gospodarstwa i rodziny? Dlaczego zdecydował się popełnić poważne przestępstwo dla pieniędzy, skoro nie zależało mu na rodzinie?

– Czy ja wiem? Może chciał zabezpieczyć się finansowo przed podróżą.

Isak kręci głową.

– Nie wierzę w to. Rooth nie był lubiany w okolicy, ale wygląda na to, że dbał o swoją rodzinę. Dlaczego więc nagle zostawił żonę i dzieci bez żadnego wsparcia?

– Dlaczego ludzie postępują tak, jak postępują? Twój przybrany ojciec, na przykład, też zostawił rodzinę.

– Zgadza się. – Isak lekko pochyła się nad stołem. – Ale płacił alimenty. Od czasu do czasu dzwonił, na urodziny i w wigilię Bożego Narodzenia. Nie przepadł bez śladu.

Veronica przygląda się Isakowi. Nie podoba jej się coś w wyrazie jego twarzy. Coś ją w niej niepokoi.

– Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek się dowiedzieli, co Rooth myślał – mówi i patrzy na ścienny zegar. – Twój autobus odjeżdża za pięć minut.

Samochód, który pożyczyła od Patrika, to duża, zielona, na oko całkiem nowa furgonetka. Ma automatyczną skrzynię biegów i pełno w niej różnych dźwigni i przycisków. W deskę rozdzielczą jest nawet wbudowany ekranik, który pokazuje jej, że znajduje się na

przystanku autobusowym w Reftinge; pewnie na wypadek, gdyby tego nie zauważyła.

Veronica zatrzymuje samochód na parkingu i wyłącza silnik. Grzebie w kieszeni i wydobywa dwa pięćsetkoronowe banknoty od wuja Haralda.

– Masz.

– Nie, wystarczy, że zapłaciłaś za bilet na autobus. Dam sobie radę.

– Nie wygłupiaj się. Bierz.

Isak jeszcze przez chwilę się waha, ale potem wkłada banknoty do kieszeni dzinsów. Wygląda na to, że nie wie, co powiedzieć.

– No to na razie – mówi po chwili i wysiada z samochodu. Zapala papierosa, nonszalancko przerzuca torbę przez ramię i rusza w kierunku stojącego na przystanku żółtego autobusu. Odwraca się i macha ręką, a potem znika w środku pojazdu.

Veronica siedzi za kierownicą. Uczucie, które ogarnęło ją w pizzerii, staje się coraz silniejsze. Udaje się jej ująć to wrażenie w słowa, dopiero gdy autobus rusza z przystanku i znika za rogiem. Isak coś przed nią ukrywa, coś, o czym nie może albo nie chce mówić. Prawdopodobnie chodzi o włamanie do jej mieszkania i o to, co zdarzyło się ostatnio w ogrodzie. To w każdym razie byłoby logiczne. Jednak jakoś nie udaje jej się przekonać samej siebie, że ma słuszność. Myśli o tym, co Månsson powiedział o brakujących elementach układanki. Nie może pozbyć się uczucia, że Isak zna właśnie taki brakujący element.

Wjeżdżając na farmę wuja Haralda, napotyka policyjnego jeepa Mattiasa. Brat zatrzymuje samochód obok jej furgonetki i opuszcza szybę. Zwraca się do niej suchym, oficjalnym tonem:

– Słyszałem, co się zdarzyło w nocy. Wszystko z tobą w porządku?

– Jak najbardziej – odpowiada Veronika.

– To dobrze. Masz wszystko, czego potrzebujesz?

– Tak. Wujek Harald bardzo mi pomógł.

Robi się dziwnie cicho. Słyszać tylko odgłos silników pracujących na jałowym biegu.

– A ty co tu właściwie robisz? – Veronica wskazuje głową na budynki farmy.

– A, rozmawiałem z wujem Haraldem o jednej sprawie.

– O wiatrakach, prawda?

Mattias prycha i potrząsa głową.

– Dobrze, że z tobą wszystko okej, Vera. Muszę jechać. – Zaczyna zamykać okno samochodu.

– Widzimy się wieczorem! – woła Vera.

Odpowiada jej zakłopotany uśmiech.

Park założono w początkach dwudziestego wieku. Jest w nim mały amfiteatr, altana z parkietem do tańca i budynek z dużą salą widowiskową. Podobno przywódca socjaldemokratów August Palm wygłaszał w niej dawno temu przemówienie, ale nikt nie wie, kiedy to było.

Wuj Harald nie żałował pieniędzy. Plac na środku parku obwieszony jest setkami kolorowych lampionów. Stragan z losami na loterię przerobiono na bar, przy którym dwaj barmani w białych kurtkach mieszają drinki – nie z bimbru, lecz z alkoholi zakupionych w sklepie monopolowym. Przy strzelnicy nalewa się z kranów wina i piwa; ustawiła się tam spora kolejka. Wieczór jest ciepły, lato jeszcze nie minęło. Według prognozy pogody ma nadejść burza, ale póki co się na to nie zanosi, jedynie powietrze jest trochę parne. Na niebie nie ma ani jednej chmury, a księżyc w pełni świeci tak, że można by go było wziąć za festynową ozdobę.

Od pięciu wielkich grillów, obsługiwanych przez taką samą liczbę spoconych kucharzy, rozchodzą się w wieczornym sierpniowym powietrzu apetyczne zapachy. Na scenie gra zespół jazzowy, po jego występie zaś – i po kolacji – w altanie zagra orkiestra do tańca, i to nie jakaś lokalna, amatorska, ale znana, którą czasami pokazują w telewizji. We wszystkich dobrze widocznych miejscach wiszą zielone transparenty informujące, kto sponsoruje imprezę.

Veronica ma z początku wrażenie, że ludzie za bardzo jej się przyglądają. Żałuje, że pod wpływem impulsu kupiła w mieście właśnie tę sukienkę; jest o wiele za krótka. Co chwilę obciąga prawy rękaw sweterka, żeby nie było widać blizny. Ale wkrótce natyka się na Lidię i kilka jej pracownic. Alkohol i muzyka robią swoje i Veronica czuje się coraz bardziej odprężona.

Spotyka panią Berit i pana Sörena, którzy witają ją nieoczekiwanie serdecznymi uściskami. Nie protestuje, gdy pani Berit ciągnie ją za sobą i przedstawia ją mnóstwu ludzi, których Veronica nie widziała od lat. Nie psuje jej humoru nawet to, że po raz dziesiąty słyszy, jaka

jest podobna do swojej mamy. Dostrzega kolejne znajome twarze: Marie, pielęgniarka z domu starców, Sven Listonosz, bracia Stridowie, ojciec Patrika Brinka, Cecilia z córkami. Veronica zachowuje się miło i uprzejmie, obdarza nawet bratową uściskiem i pyta o Mattiasa. Słyszy w odpowiedzi, że jej brat jest w pracy i zjawi się później. Tata przyszedł z Cecilią i dziewczynkami, ale jest zajęty ściskaniem dłoni i rozmowami z całą masą znajomych. Veronica czeka, aż ojciec się od nich uwolni. Potem podchodzi do niego i dotyka jego ramienia.

– Cześć, tato.

– Cześć, Vera. Więc przyszłaś. – Ojciec wygląda na zdziwionego, ale nie jest zagniewany.

Zastanawiała się, co powinna mu powiedzieć. Ćwiczyła wypowiedzi w samochodzie, wracając z miasta. W ostatniej chwili postanawia jednak zrezygnować ze wszystkich przećwiczonych kwestii i stawia na szczerość.

– Miałaś rację co do Isaka. Przepraszam cię, tato.

Ojciec patrzy na nią z powagą. Wkrótce jego twarz łagodnieje i pojawia się na niej ten charakterystyczny spokojny uśmiech, do którego nigdy nie dołączają oczy.

– Wiem, że miałaś dobre zamiary, córeczko. Czy on...

– Tak. Wyjechał.

– To dobrze.

Bez namysłu przytula się do ojca. Mocno, tak jakby miała go już nigdy nie wypuścić z objęć. Ojciec schyla się, otacza ją ramionami, gładzi po głowie.

– Moja dziewczynko... – mruczy.

Veronica kryje twarz na jego piersi, oddycha jego zapachem. On jeszcze coś mówi, coś, czego Veronica prawie nie słyszy, ale w tej chwili nie ma to znaczenia.

– Ebbe! – Głos wuja Haralda sprawia, że ojciec i córka odsuwają się od siebie.

Wujek jest najwyraźniej w świetnym humorze. Wystrojony w jasny lniany garnitur, chyba uszyty na miarę, i w elegancką, markową białą koszulę serdecznie ściska dłoń Ebbego i całuje Veronicę w policzek. Haraldowi towarzyszą Tess i Tim, za którymi jak cień stoi Patrik

Brink.

Veronica wita się ze wszystkimi. Uświadamia sobie nagle, że znajduje się w kręgu rodziny i że tym razem wcale jej to nie przeszkadza.

Wuj Harald prowadzi ich do zarezerwowanego stołu. Veronica siada pomiędzy ojcem a Patrikiem. Jedzenie jest dobre, wino również. Wuj Harald wygłasza ze sceny mowę powitalną, na szczęście krótką. Udaje mu się rozbawić słuchaczy; nagradzają jego żarty oklaskami. Podczas kolacji tata nie mówi dużo, za to Patrik opowiada o tym, co słycać u ich kolegów i koleżanek ze szkoły, i zachowuje się jak dżentelmen. Ciągłe dolewa wina do kieliszków, które chyba same się opróżniają.

Po kolacji zaczyna grać orkiestra. Veronica tańczy najpierw z ojcem, potem z Patrikiem i z wujem Haraldem.

– Pogodziłaś się z Ebbem, prawda? – pyta wuj. – Dawno go takiego wesołego nie widziałem. Powinien częściej bywać między ludźmi. Próbujemy z Mattiasem namówić go, żeby przeniósł się do wsi, zamieszkał bliżej wnuczek.

I żeby pozwolił ci budować wiatraki, myśli Veronica, ale nic nie mówi. Kątem oka widzi, że Patrik tańczy z Tess. Dostrzega, że mocno przyciąga do siebie żonę wuja Harald. Gdy wcześniej tańczył z Veronicą, nie przyciskał jej tak do siebie. Lekko odwraca głowę i zauważa, że ojciec Patrika też uważnie przygląda się tańczącej parze.

– Cieszę się, że postanowiłaś zostać – kontynuuje wuj Harald. – Dla mnie ważne jest, żeby rodzina była razem. Bardzo ważne.

Tańcząc, wuj ciągle kieruje uśmiechy i skinienia głowy do otaczających ich ludzi. Veronicę to irytuje, czuje się, jakby była czymś w rodzaju trofeum. Siostrzenica marnotrawna, która powróciła na łono rodziny i którą należy wszystkim pokazać.

– Tak – mówi Veronica – to jest dla ciebie ważne. Chcesz zademonstrować, że rodzina jest silna i zgrana.

– A co w tym złego? – Harald w dalszym ciągu nie patrzy na nią. – Co złego jest w tym, że dba się o dobro rodziny?

– Nic. Jeżeli ktoś nie umie dbać o dobro rodziny, to chyba nie potrafi też zadbać o dobro całej okolicy, prawda? – Veronica zdaje

sobie sprawę z tego, że zabrzmiało to bardziej arogancko, niż planowała, jednak bynajmniej nie żałuje swoich słów.

Wuj Harald spogląda na nią, unosząc brwi.

Nie podoba jej się ton jego głosu ani myśl, że stała się pionkiem w grze. Poza tym zaczyna jej się snuć po głowie coś innego: słowa, które przed chwilą wyszeptał ojciec, wtulając usta w jej włosy. Nagle powraca uczucie, które opanowało ją na przystanku autobusowym.

Moja dziewczynko... Nie mogłaś wiedzieć.

Czego nie mogła wiedzieć? Czego jej nie powiedzieli? Co przed nią ukrywają?

Odsuwa się od wuja Haralda.

– Jeżeli tak ci zależy na dobrej opinii rodziny, to może popatrz, z kim tańczy twoja żona. I **jak** tańczy – mów.

Odwraca się i szybkim krokiem idzie do wyjścia.

Staje przed altaną, wciąga w płuca wieczorne powietrze i tęskni za papierosem. Właśnie wtedy ktoś chwyta ją za ramię i odciąga w bok.

– Chodź – mówi Mattias i prowadzi ją za altaną. Nie puszcza jej ramienia. Zwalnia uchwyt, dopiero kiedy się zatrzymuje. – Co ty wyrabiasz, Vera?

– O co ci chodzi?

– Ten cały Isak czy jak on tam, do diabła, ma na imię. Po co go tu przywiozłaś? Zgłupiałaś na amen?

Veronica wie, że Mattias ma słuszność, ale jest trochę wstawiona, na dodatek taniec z wujem Haraldem zepsuł jej humor.

– Przynajmniej próbowałam coś zrobić, w odróżnieniu od ciebie!

– Próbowałaś? Co? Co chciałaś osiągnąć, zwierając się obcemu człowiekowi? Przywiozłaś go tu i pokazałaś ojcu, chociaż ci ostrzegałem. Chociaż ci tłumaczyłem, że... – Potrząsa głową ze złością. Reszta zdania gdzieś mu się zagubiła.

– Więc... Ja... – duka Veronica.

On nie zamierza słuchać jej wyjaśnień. W gruncie rzeczy ona też nie potrafi niczego wystarczająco dobrze wyjaśnić.

– Nie rozumiesz, jak tu jest. Nie możesz sobie tak po prostu przyjechać, zamieszać w starych brudach, a potem zwiać i oczekiwać, że będę po tobie sprzątał.

– Zwiać? Mówisz, że ktoś zwał? To ty uciekłeś i zostawiłeś mnie

tu samą. Może o tym zapomniałeś?

Mattias patrzy na nią ze zdumieniem. Rozkłada ręce.

– To było, do cholery, piętnaście lat temu. Byliśmy dziećmi. Mieliśmy dziecinne pomysły, dziecinne marzenia...

– Ale obiecałeś. – Veronica słyszy, że mówi tonem nastolatki.

Mattias wzdycha.

– Nie rozumiesz...

– Właśnie, że rozumiem. Obiecałeś, że uciekniemy stąd razem.

– Wskazuje na altanę, w której trwają tańce. – Nie dotrzymałeś słowa, pozwoliłeś, żeby cię zatrzymali: Cecilia, wuj Harald, tata...

Mattias ponownie wzdycha i kręci głową.

– Ty tego nie rozumiesz, Vera.

Wyciąga paczkę papierosów i ją częstuje. Podaje jej ogień. Odzywa się dopiero, gdy oboje zdążyli już kilka razy zaciągnąć się dymem.

– Nikt nie zmuszał mnie do powrotu – mówi Mattias. – To była moja decyzja.

Veronica uważnie mu się przygląda. Próbuje stwierdzić, czy żartuje, czy – co byłoby jeszcze gorsze – kłamie. Nie dostrzega jednak oznak ani jednego, ani drugiego.

– Wiem, co powiesz. Wiem, co o tym myślisz. Dlatego trudno mi z tobą rozmawiać. Ty mnie ciągle oceniasz. – Mattias zaciąga się papierosem. – Mam cholernie dosyć wstydu się za to, że tu zostałem, i usprawiedliwiania się przed tobą.

– W Krainie Cieni rodzą się dwa rodzaje ludzi, sam tak mówiłeś – parska Veronica. – Ci, którzy zostają, i ci, którzy odchodzą. Mieliśmy odejść razem!

– Miałem osiemnaście lat. Co, do wszystkich diabłów, wiedziałem wtedy o życiu? Odejść albo zostać, my albo oni. Tak widzi się świat, kiedy jest się młodym. Zanim człowiek zdąży się zestarzeć i trochę lepiej ten świat zrozumieć.

Veronica krzyżuje ramiona na piersiach i patrzy na brata ze złością.

– Kiedy mieszka się na wsi, to automatycznie jest się kimś gorszym – ciągnie Mattias, nie patrząc jej w oczy. – Każdy miastowy uważa człowieka ze wsi za staroświeckiego gamonia. Mówią, że brakuje ci ambicji i wyobraźni, że boisz się zmian i jesteś podejrzanym rasistą.

Trzeba znosić idiotyczne żarty o granju na banjo i o tym, że wieśniacy kwiczą jak świnie. Tak jakby wszystko co prawdziwe, mądre i ważne było tylko w miastach. W dużych miastach żyje się naprawdę, a wszystko inne to margines. – Znów odwraca się ku Veronice. – Ty też tak uważasz, prawda?

Veronica nie odpowiada. W milczeniu wpatruje się bratu w oczy. Mattias wzrusza ramionami.

– Po dwóch latach w Sztokholmie doszedłem do wniosku, że wolę mieszkać na wsi. Wolę być między ludźmi, którzy wiedzą, kim jestem, i znają imiona moich rodziców i dziadków. Uznałem, że tu jest mój dom, dlatego wróciłem. Dlatego zostałem. Nie dlatego, że ktoś mnie zmusił. – Znów zaciąga się papierosem i wydmuchuje dym przez ramię. – Pewnie powinienem był ci to powiedzieć. Powinienem był spróbować to wyjaśnić. Ale ty byłaś taka zła, tak ci się spieszyło do wyjazdu. A potem...

Potem nie byliśmy już przyjaciółmi, myśli Vera.

– To jest moje życie, Vero – wzdycha Mattias. – Możesz o nim myśleć, co chcesz, ale nie wolno ci zjawiać się nagle, bo tak ci się spodobało, robić zamieszania, a potem jeszcze mnie osądzać.

Vera rozumie, co jej brat ma na myśli. Nawet trochę się wstydzi, ale pijacka złość jest silniejsza od wstydu.

– Przecież masz rodzinę, którą możesz okłamywać – parska z irytacją. – Poza tym jak się ma to, że zdradzasz żonę, do tej gadki o domu i własnym miejscu na ziemi?

Mattias przydusza stopą niedopałek na zwirowej ścieżce.

– Idź do diabła, Vera – mówi. W jego głosie jest równie dużo smutku co złości.

Traci równowagę, idąc przez parking w pantoflach na wysokich obcasach. Kluczyki upadają na asfalt. Właściwie wypła za dużo, aby prowadzić samochód, ale tego wieczoru nikt nie będzie kontrolował trzeźwości kierowców, w każdym razie nie w Reftinge. Mattias i wuj Harald na pewno doszli do porozumienia w tej kwestii, tak jak umawiali się we wszystkich innych sprawach. Jakże ona ma dosyć tej wsi i okolicy. Dosyć tych niepisanych umów, kłamstw i tajemnic.

Nie chce wracać do gospodarstwa Äng. Nie chce spać na trzeszczącym piętrowym łóżku w anonimowym domku dla gości, nie chce słuchać odgłosów pijackiej imprezy cudzoziemskich robotników z sąsiedztwa.

Zdejmuje buty, rzuca je na siedzenie pasażera i wskakuje do samochodu. Za drugim razem udaje jej się uruchomić silnik i rusza w drogę do domu.

Zagroda Backa jest prawie całkowicie pogrążona w ciemności, gdy Veronica wjeżdża na podwórze. Pali się tylko jedna samotna lampa nad wozownią. Ojciec jest jeszcze na festynie, co Veronice bardzo odpowiada. Chce tylko zdjąć tę przeklętą sukienkę, zmyć makijaż i pójść spać. Jutro rano poprosi ojca, żeby zawiózł ją na pociąg, i już nigdy w życiu jej noga nie zostanie w tej dziurze.

Jest parno, burza wisi w powietrzu. Na niebie zebrały się ciężkie chmury, które tylko od czasu do czasu przepuszczają światło księżycy. Veronica szuka zapasowego klucza w skrzynce na kwiaty, nie znajduje go i przeklina. Jednak gdy ujmuje klamkę, zauważa ze zdumieniem, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz. Stoi przez kilka sekund w ciemnym korytarzu i próbuje sobie wmówić, że ojciec zapomniał zamknąć drzwi, ale w głębi duszy wie, że on nigdy o niczym nie zapomina. Teraz nawet drzwi do swojego biura zamyka na noc na klucz.

Wysłuchuje się w odgłosy domu. Najpierw słyszy tylko tykanie starego ściennego zegara w jadalni. Potem wydaje jej się, że z piętra dobiega jakiś szmer. Nieruchomieje. Ktoś jest na górze – może włamywacz, o którym wspominał Mattias. Wjeżdżała na podwórko z zapalonymi reflektorami, więc prawdopodobnie złodziej ją zobaczył. Wie, że stoi tu w ciemności. Sama.

Po karku przebiega jej dreszcz. Pierwszym impulsem jest odwrócić się, pobiec do samochodu, odjechać i poszukać pomocy. Ale nie wiadomo skąd pojawia się złość. Schowek pod schodami jest oddalony tylko o kilka metrów. Cztery ciche kroki na bosaka i już w nim jest. Nasłuchuje, czy nikt nie idzie po schodach. Odsuwa deskę na ścianie schowka. Jest cicho. Dubeltówka znajduje się dokładnie tam, gdzie ją umieściła. Wyjmuje ją i ostrożnie przemieszcza się do pierwszego stopnia schodów. Przykłada kolbę do policzka i kieruje lufy w górę. Słyszy ciche skrzypienie podłogi na piętrze. Włamywacz tam jest i nie ma dokąd uciec.

Przesuwa kciuk po bezpieczniku broni. Powoli wchodzi na schody,

stopień po stopniu. Omija piąty i siódmy, bo wie, że trzeszczą. Przez parę chwil znowu jest nastolatką. Cicho, uważnie skrada się na górę, żeby rano móc skłamać w wiarygodny sposób, kiedy tata zapyta, o której wróciła. To kłamstwo jest ważne dla nich obojga, z różnych powodów.

W połowie drogi znów słyszy szmer. Deska w podłodze trochę skrzypi, kiedy ktoś ostrożnie na nią następuje. Odgłos dochodzi z prawej strony piętra. Veronice mocno bije serce, ale po strachu nie ma już śladu.

Zatrzymuje się na najwyższym stopniu. Powoli omiata korytarz lufą broni. Patrzy na celownik, trzyma kciuk na bezpieczniku, a palec wskazujący na spuście. Tu na górze jest ciemniej, więc oczy potrzebują trochę czasu, żeby przywyknąć do mroku, ale kiedy już się do niego przyzwyczajają, Veronica zauważa, że drzwi do pokoju mamy są uchylone, a w ich zamku tkwi klucz.

Powoli idzie w ich kierunku. Ze środka pokoju znów dobiegają szmery. Wstrzymuje oddech i nasłuchuje. Słyszy czyjś ciężki oddech, odgłosy ocierania się jakiejś tkaniny o inną, skrzypienie wysuwanej szuflady, cichy grzechot przesuwanych przedmiotów. Prawą ręką przyciska kolbę do policzka, a lewą ostrożnie popycha drzwi.

Przez okno widać księżyc, który oświetla cały pokój srebrzystym blaskiem. Powietrze wypełnia zapach róż. To woń perfum mamy. Na chwilę niemal obezwładnia Veronicę.

Wszystko wygląda dokładnie tak jak kiedyś. Podwójne łóżko okryte kapą w kwiaty, przy nim toaletka z lustrem i taboret. Na ścianie nad sekretarzykiem mamy wisi duże zdjęcie. Mama patrzy w obiektyw i chyba się uśmiecha, ale światło księżycy zmienia wyraz jej twarzy tak, że wygląda na bardzo, bardzo smutną.

Mężczyzna w pokoju jest tak skoncentrowany na tym, co robi, że nie zauważa Veroniki. Na dłoniach ma rękawiczki, na głowę naciągnął kaptur bluzy; pochyla się nad toaletką, odwrócony do Veroniki plecami, i grzebie w biżuterii mamy. Veronica kieruje na niego lufy dubeltówki i przesuwają bezpiecznik.

– Nie ruszaj się, bo ci łeb rozwalę!

Mężczyzna drży. Unosi ramiona i wbrew ostrzeżeniu powoli się

odwraca.

Veronica przesuwa palec po spuście. Krew pulsuje jej w uszach.

– N-nie... nie strzelaj, Vera, to ja.

Rozpoznaje głos i niebieskie oczy, jeszcze zanim mężczyzna ściąga z głowy kaptur.

Stoi przed nią Isak.

– Co ty tu robisz, do cholery? – mówi Veronica, kiedy mija pierwsze zaskoczenie. Celuje w jego tors; unosi broń, kiedy on próbuje postąpić krok do przodu.

Isak podnosi ręce obronnym gestem.

– Proszę cię, daj spokój. Widok broni palnej trochę mnie denerwuje, zwłaszcza gdy jest wycelowana w moją twarz. – Próbuje nadać swojemu głosowi żartobliwy ton, ale brzmi w nim strach.

Veronica nie opuszcza dubeltówki.

– Chciałeś ukraść biżuterię mojej mamy?

On nie odpowiada. Powoli opuszcza ramiona.

– To nie tak, jak myślisz. Nie jestem złodziejem.

– Taak? – Veronica wskazuje głową na wyciągnięte szuflady toaletki. – Wiedziałaś, że podczas festynu nikogo nie będzie w domu. Wiedziałaś, gdzie jest zapasowy klucz. Jak tu przyjechałeś?

– Pożyczyłem w mieście motocykl.

– To znaczy ukradłeś?

Nie zaprzecza, wzrusza tylko lekko ramionami.

– Byłeś tu wcześniej – stwierdza Veronica. – W ogrodzie różanym. To ciebie wtedy goniłam.

Isak rozkłada ramiona w geście, który wygląda na potwierdzenie.

– W moim mieszkaniu też byłeś.

Niechętnie kiwnięcie głową.

– Zobaczyłem, że okno było otwarte. Nie miałem zamiaru niczego ukraść, ani wtedy, ani teraz.

– Nie? To co tu robisz w środku nocy?

Isak głęboko wciąga powietrze i wzdycha.

– Usiłuję dowiedzieć się prawdy. Dowiedzieć się, co naprawdę stało się z Billym.

Wydaje się, że mówi to szczerze, ale przecież wcześniej zdarzało mu się kłamać, i to w bardzo przekonujący sposób.

– Dlaczego? – pyta Veronica. – Skoro nie jesteś moim młodszym bratem, dlaczego tak cię interesuje to, co zdarzyło się dwadzieścia lat temu i z czym nie masz nic wspólnego?

Isak dość długo zastanawia się nad odpowiedzią.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że znalazłem moje dokumenty adopcyjne tej wiosny, po śmierci matki. – Znów się waha, czeka, aż Veronica potwierdzi skinieniem głowy. – To nie było dla mnie żadną niespodzianką – ciągnie. – Wiedziałem, że byłem adoptowany, ale moją biologiczną rodzinę pamiętałem bardzo słabo, jak przez mgłę. Moi rodzice adopcyjni nie chcieli rozmawiać o mojej naturalnej rodzinie. Dopiero kiedy przejrzałem papiery, zrozumiałem, dlaczego tak było. Moja biologiczna matka miała na imię Pernilla. Została bez męża, kiedy miałem pięć lat, i nie dawała sobie sama rady z wychowywaniem dzieci. Moją siostrę Åsę i mnie adoptowały dwie różne rodziny. Udało mi się odnaleźć siostrę. Mieszka w Gävle, spodziewa się pierwszego dziecka. Dobrze pamięta mnie i naszych biologicznych rodziców, chociaż bardzo starała się zapomnieć i o nich, i o mnie. Nasza matka zmarła na raka w osiemdziesiątym dziewiątym roku, a nasz ojciec...

Isak uśmiecha się lekko w swój zwykły sposób, ale Veronica dostrzega, że jest poważny. I smutny. I nagle pojmuje, co Isak ma zamiar powiedzieć. Rozumie, jaki element układanki przed nią ukrywał, rozumie też, dlaczego to robił.

– Nasz biologiczny ojciec – mówi cicho Isak – nazywał się Tom Rooth.

Veronika opuszcza dubeltówkę, zabezpiecza ją i daje Isakowi znak, żeby usiadł na łóżku.

– Åsa przeżyła szok, kiedy ją odnalazłem – opowiada Isak. – Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, zagroziła, że zadzwoni po policję, jeżeli sobie nie pójdę. Potem trochę się uspokoiła. Latem osiemdziesiątego trzeciego roku miała siedem lat i wciąż za dużo pamięta. – Zdejmuje rękawiczki, przeczesuje swoje jasne włosy palcami. – Åsa poświęciła wiele lat życia na to, żeby o tamtych zdarzeniach zapomnieć. To wcale nie dziwne. Kto chciałby pamiętać, że jego ojciec zamordował dziecko? – Znów próbuje się uśmiechnąć. – Moja wczesna młodość była dość niespokojna. Dom wychowawczy, nadzór kuratora, kilka miesięcy w więzieniu. Głównie drobne przestępstwa. Włamanie, kilka kradzieży samochodów, prowadzenie auta bez prawa jazdy. – Macha ręką. – Parę razy wdawałem się w bójki, ale zawsze czułem, że nie lubię używać przemocy. Jestem raczej gościem, którego biją, nie tym, który bije, rozumiesz?

Veronica widzi w lustrze nad toaletką odbicie swojej twarzy i stwierdza, że bardzo mocno zacisnęła szczęki, czym przypomina własną matkę. Rozluźnia mięśnie twarzy.

– Od spotkania z siostrą zacząłem się zastanawiać nad tamtymi wydarzeniami – mówi dalej Isak. – Ona od lat o tym myślała, ale dla mnie ta wiadomość o ojcu to był grom z jasnego nieba. Jeżeli nasz ojciec zamordował dziecko... – Isak urywa i spogląda na Veronicę ze zrezygnowaną miną. – Jakie cechy mogłem w takim razie po nim odziedziczyć? Jaki ojciec, taki syn?

– Dlatego postanowiłeś dowiedzieć się więcej? – odzywa się Veronica. – Przyjechałeś tu i wypytywałeś ludzi, potem odszukałeś mnie w Sztokholmie...

Isak kiwa głową.

– Może to głupio zabrzmiało, ale liczyłem na to, że odnajdę jakiś ślad... Coś, co pozwoli mi zrozumieć, dlaczego Tom zrobił to, co

zrobił. Albo, co byłoby jeszcze lepsze, że znajdę jakąś poszlakę, która wskazywałaby na to, że jednak był niewinny. Coś, co mogłoby dać trochę nadziei Ąsie i mnie.

– Dlaczego nie opowiedziałeś mi o tym wtedy w motelu? Po tym, jak...

– O mało tego nie zrobiłem, ale nie odważyłem się. Czasem łatwiej jest kłamać. Poza tym lubię cię.

Veronica bierze głęboki wdech, usiłuje uporządkować myśli. To dziwne, ale nie czuje się jakoś szczególnie wzburzona. Jest raczej pewna siebie i zadowolona, jakby naprawdę coś jej się udało. Isak powiedział teraz prawdę, tego jest pewna. Może nawet zrozumieć, dlaczego ukrywał się pod tyłoma warstwami kłamstw. Teraz, kiedy jego tajemnica wyszła na jaw, widać, jak bezbronny się czuje. Jak łatwo go zranić. Veronice jest go prawie żal. On też jest ofiarą, tak jak ona. Jeszcze jeden człowiek, który – chociaż dopiero niedawno się o tym dowiedział – żył w cieniu wydarzeń, jakie rozegrały się latem 1983 roku.

– Dlaczego położyłeś kamyczek na nagrobku mojej mamy? – pyta.

Isak wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Chciałem jakoś okazać jej szacunek. Może to było coś w rodzaju przeprosin, ode mnie i Ąsy. Wiem, że to głupio brzmi.

Isak milknie i odwraca wzrok.

– A jakie poszlaki spodziewałaś się tutaj znaleźć? – pyta Veronica.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Właściwie nie wiem. Po tym, jak mi opowiedziałaś o pokojach w tym domu, o tym, że twój ojciec zostawił je w dokładnie takim stanie, w jakim były tamtego wieczoru, kiedy Billy zaginał... chciałem po prostu tu przyjechać i zobaczyć wszystko na własne oczy. Podjąć ostatnią próbę.

Veronica podchodzi do toaletki, którą Isak przeszukiwał. Szuflady są wyciągnięte. Zamykając je, widzi puzderka z biżuterią i kawałki błyszczących tkanin. Na blacie stoi oprawiona w ramkę fotografia mamy, a przy niej wazon z dwunastoma pięknymi różami magdalenkami ułożonymi w niemal idealny bukiet. Tylko jedna róża jest trochę przekrzywiona, pewnie Isak ją potrącił. Veronica poprawia kwiat w wazonie. Jego płatki są miękkie jak aksamit.

Zapach róż jest odurzający. Veronica nie była w tym pokoju od dwudziestu lat i, tak jak w pokoju Billy’ego, ma wrażenie, że powróciła do dzieciństwa. W tym miejscu czas się zatrzymał. Drzwi garderoby są uchylone. Wiszą w niej rzędy sukienek i żakietów mamy. Veronica gładzi ubrania dłonią, pochyła się i wdycha ich zapach.

Moja mała dziewczynka. Moja mała myszka...

Isak porusza się tak cicho, że Veronica nie słyszy, kiedy wstał z łóżka; zauważa tylko ruch kątem oka. Odwraca się, gotowa znów wymierzyć w niego dubeltówkę, ale on tylko podchodzi do okna i wygląda przez nie do ogrodu. Veronica zamyka drzwi garderoby. Broń trzyma tak, żeby łatwo było unieść lufy.

– Myślisz, że nadszedł z tamtej strony? – Isak wskazuje na odległą część ogrodu. – Tom Rooth, mój ojciec. Myślisz, że szedł przez kukurydzę i porwał twojego braciszka tamtego lata?

– Może tak było. – Veronica staje za Isakiem i też spogląda na ogród. Słysząc pierwsze pomruki burzy, ale księżyc od czasu do czasu jeszcze przebija się przez ciężkie chmury. W jego blasku różane krzewy pod oknem lśnią jak wykute ze szlachetnego metalu.

– Czy masz czasem wrażenie, że coś ci umyka? – pyta Isak. – Że na twoich oczach dzieje się coś, czego nie rozumiesz, chociaż bardzo się starasz?

Veronica drga ze zdumienia. Isak opisał dokładnie to uczucie, które towarzyszy jej od kilku dni. Może to nie jest szczególnie dziwne. Oboje są częścią tej samej tragedii. Dzielią ten sam rodzaj smutku.

– Moi pacjenci pytają czasem, co można zrobić, żeby zrozumieć rzeczy niezrozumiałe – mówi. – Jak wyjaśnić to, czego nie da się wyjaśnić. Czasami po prostu nie ma dobrych odpowiedzi.

Isak powoli kiwa głową. Chmury przesłoniły księżyc i w ogrodzie panuje ciemność. Na horyzoncie widać pierwsze błyskawice. W oddali, nad polem kukurydzy, mrugają czerwone oczy olbrzymich wiatraków.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć – odzywa się Isak. – Kiedy tu byłem pierwszy raz, wszedłem do starej stodoły. Coś tam znalazłem i to mnie niepokoi.

W jego słowa wdziera się nagle warkot silnika. Do zagrody zbliża

się jakiś duży samochód, za nim jadą następne.

– Musisz stąd iść! – woła Veronica. – Natychmiast!

Podwórze oświetlone jest reflektorami samochodów. Drzwi aut otwierają się i zamykają, szare postacie idą w kierunku domu.

– Czy ktoś cię widział, kiedy tu szedłeś? – szepcze Veronica do Isaka, kiedy w pośpiechu zbiegają ze schodów.

– Chyba nie. Ale zatrzymałem się na chwilę na parkingu przy parku, żeby sprawdzić, czy wasze samochody tam stoją. Ktoś mógł mnie tam zobaczyć.

– A gdzie zostawiłeś motocykl?

– Na tej zwirowej drodze za kukurydzą.

– Dobra. Mój ojciec absolutnie nie może się dowiedzieć, że tu byłeś. Wyjdź tylnymi drzwiami, a ja postaram się ich tu zatrzymać.

Isak przytakuje i robi kilka kroków w stronę kuchni. Przystaje i odwraca się, jakby chciał coś powiedzieć.

– Spadaj stąd! – syczy Veronica i daje mu znak ręką, żeby się pośpieszył.

Szybko wstawia dubeltówkę do skrytki pod schodami. Udaje się jej wrócić na korytarz akurat w chwili, kiedy frontowe drzwi się otwierają. W progu nie stoi jednak tata. Do domu wchodzi wuj Harald i Sören Sklepikarz. Białe koszule, zawinięte rękawy, twarde spojrzenia.

– Cze-eść. Co wy tu robicie? – odzywa się Veronica. Nie udaje się jej ukryć zakłopotania, została przecież prawie przyłapana na gorącym uczynku.

– Gdzie on jest? – pyta wuj Harald.

– Kto taki?

– Twój przyjaciel. Isak Rooth, syn Toma Rootha.

Wuj przeciska się obok niej i szybkimi krokami idzie do kuchni. Sören mocno chwyta Veronicę za ramię i ciągnie ją za sobą. Kuchenne drzwi stoją otwarte na oścież. Po trawniku błędzą światełka latarek. Słychać szczekanie psów i nawoływania.

– To on! Bierz go, bierz!

Poszczekiwanie psów przechodzi we wściekłe ujadanie, miesza się

z okrzykiem bólu.

– Vera, do wszystkich diabłów, jak mogłaś?! – mówi Sören, ciągnąc ją do ogrodu. – Sprowadzić go tutaj, pozwolić mu tu wejść? Syn Rootha w domu twojej matki?!

Światła latarek przestały tańczyć po ogrodzie i zebrały się w jednym miejscu. Psy zawzięcie szczekają, ale uciszają się na głośną komendę wuja Haralda.

Veronica czuje pod bosymi stopami wysoką, mokrą i zimną trawę. Próbuje się uwolnić, ale pan Sören tylko unosi wyżej rękę, tak że Veronica musi iść na palcach. Sören popycha ją przed sobą w stronę światła latarek i puszcza dopiero, gdy docierają na miejsce.

Mężczyźni ustawili się w kręgu. Jest wśród nich Patrik Brink, trzyma na smyczach dwa największe psy wuja Haralda. Obok niego stoją bracia Stridowie. Szerokie ramiona, kanciaste sylwetki nieprzywykłe do eleganckich koszul i garniturowych spodni.

Psy szarpia smycze, szczerzą zęby w kierunku Isaka, który leży skulony w środku kręgu. Jedna nogawka jego spodni jest poszarpana i mokra, widać pod nią pokaleczoną skórę.

Veronica głęboko wciąga powietrze. Robi jej się coraz bardziej słabo.

– Wiedziałaś o tym? – warczy wuj Harald i szarpie ją za ramię, aby musiała spojrzeć mu w oczy. – Wiedziałaś, kim on jest?

– J-ja... – Veronica próbuje zyskać na czasie i znaleźć właściwą odpowiedź, ale wuj Harald na nią nie czeka.

– Mattias pobrał z pokoju gościnnego odciski palców. Mówił, że chce się dowiedzieć, kim ten twój przyjaciel właściwie jest. Dziś wieczorem przyszły wyniki. Isak Welin, złodziej i oszust z długą listą przestępstw. Na dodatek jest synem Toma Rootha. Teraz odpowiadaj, Vera. Wiedziałaś, że to syn tego bydlaka, który zamordował twojego brata?

– Poczekaj... – Isak unosi dłoń, ale Patrik wymierza mu mocnego i celnego kopniaka w brzuch.

Veronica przygląda się temu jak skamieniała. Widzi, jak bracia Stridowie chwytają Isaka i ciągną między sobą do ogrodu różanego. Przyciskają go do muru. Wuj Harald puścił jej ramię, ale Veronica i tak nie ma innego wyboru, jak podążyć za mężczyznami.

– Co chcecie z nim zrobić?

– Chcemy się dowiedzieć, po co tu przyszedł. Czego, do jasnej cholery, chciał.

Wuj Harald wygląda, jakby nagle coś zrozumiał. Kładzie rękę na ramieniu Veroniki.

– Czy on pytał o mnie? Albo o Timothy’ego?

Veronica potrząsa głową. Usiłuje sobie przypomnieć.

– Nie, chyba nie.

– Chyba? – Dłoń wuja zaciska się mocniej. – Dobrze się zastanów. Czy wspominał o Timie?

– Puść mnie, to boli!

– Dobrze się zastanów! – Twarz wuja Haralda jest teraz tuż przy jej twarzy. Jego oczy błyszczą, wargi odsłaniają zęby.

– Masz coś do Tima, ty skurwielu?! – wrzeszczy do Isaka Patrik; na ten okrzyk psy znowu zaczynają szczekać.

Jeden z braci Stridów uderza Isaka w brzuch. Raz, drugi, trzeci. Głuche odgłosy uderzeń. Drugi z braci przytrzymuje Isaka, żeby nie upadł.

– Nie! – krzyczy Veronica. – On nic nie mówił o Timie! Ani słowa!

Wuj Harald nie zwraca na nią uwagi. Puszczą jej ramię i kiwa na Sörena.

– Jak myślisz, wie?

– Po co inaczej by tu przyjechał? Jaki ojciec...

– O czym miałyby wiedzieć? – wydusza z siebie Veronica, ale mężczyźni odwracają się do niej plecami, zbijają się w grupę przy murze.

Patrik przekazał komuś innemu smycze psów. Trzyma Isaka za koszulkę i tłucze jego głową o mur. Isak wydaje się nieprzytomny, ma błędny wzrok, powieki mu opadają.

Uderzenie.

– Mów, po co tu przyjechałeś, skurwysynu!

Uderzenie.

– Masz coś do Tima? O niego ci chodzi?

Uderzenie.

I kolejne.

Na murze widać plamę krwi. W ostrej księżycowej poświacie

wydaje się czarna.

– Przestań! – krzyczy Veronica, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

– Mów, co twój stary zrobił z Billym!

Uderzenie.

Plama na murze rośnie.

– Mów, skurwysynu!

Uderzenie.

– Przestań! – wrzeszczy Veronica i wali pięścią w plecy Patrika tak mocno, jak tylko jest w stanie.

Patrik się zatrzymuje. Wszystkich pięciu mężczyzn patrzy na nią. Ich spojrzenia są puste, jakby trochę zdumione, jakby zapomnieli o obecności Veroniki.

– Przestańcie! – woła znowu, z uniesioną pięścią. – Zabijecie go!

Powietrze jest duszne, burza się zbliża, wkrótce rozpęta się nad ich głowami.

Sören Sklepikarz i jeden z braci Stridów ciągną Veronicę przez podwórze. Po drodze widzi, że pozostali mężczyźni wpychają Isaka do furgonetki. Ma zwieszoną głowę, wydaje się nieprzytomny.

– Ebbe może w każdej chwili wrócić. Chcę, żeby miał z tym jak najmniej wspólnego – mówi wuj Harald do Patrika.

– Co z nią zrobimy? – pyta Sören.

Wuj Harald rzuca mu ciężki pęk kluczy i wskazuje na oborę. Veronica jeszcze nie całkiem rozumie, co się dzieje. Pojmuje dopiero, kiedy wloką ją przez oborę do zamkniętych drzwi starej dojarni.

– Nie! – Szarpie się do tyłu, usiłuje zaprzeć się nogami o podłogę. Przerazenie dodaje jej tyle siły, że obaj trzymający ją mężczyźni muszą w końcu wezwać na pomoc wuja Haralda. Wspólnie wpychają ją w ciemność i zamykają za nią drzwi na klucz.

Veronica potyka się o coś, upada. Podłoga pod jej dłońmi jest lodowata, powietrze wokół niej – stęchłe i wilgotne, tak jak w jej wspomnieniach. Panika każe jej wstać. Rzuca się na drzwi, tłucze w nie pięściami z całych sił. Krzyczy, póki nie zabraknie jej tchu. Nic nie pomaga. Jest tu zamknięta, tak jak wtedy, gdy była mała. Zamknięta w ciemności. Coś ociera się o jej bosą stopę, coś przypominającego miękkie futro. Przez kilka sekund wszystkie jej koszmary mieszają się ze sobą. Dojarnia, ciemność, lisy... Zaczyna krzyczeć. Krzyczy aż do bólu gardła.

Kuli się na podłodze, opierając się plecami o drzwi. Wstrząsa nią nieopanowany szloch. Jest uwięziona. Uwięziona we własnych najmroczniejszych lękach.

Próbuje się uspokoić, usiłuje oddychać powoli.

Wdech

Wydech

Wdeeech

Wyyydech

To jest trudniejsze niż kiedykolwiek, prawie niemożliwe, ale po kilku minutach paniczny strach jednak trochę się zmniejsza. Właściwie nie jest tu gorzej niż w starej kopalni. Nie ma tu ani wody, ani ton ziemi i kamieni nad głową. Prędzej czy później ktoś ją stąd wypuści: wuj Harald, pan Sören albo inny z tych facetów.

Zamknęli ją. Zostawili ją tu, w ciemności, żeby im nie wchodziła w drogę. Myśleli, że ona się z tym pogodzi i będzie grzecznie czekać na ich powrót. Bo ona jest Verą Nilsson, córeczką Ebbego i Magdaleny, która, mimo że bywa trochę zadziorna i uparta, jednak robi to, co jej się każe.

A guzik!

Patrzy w górę, usiłuje zorientować się w przestrzeni. Czuje silny zapach gumy, a gdy wyciąga ręce w stronę przedmiotu, o który się potknęła, natrafia na szorstką powierzchnię opony. Tu muszą leżeć zimowe opony do samochodu taty. To coś futrzanego, o co wcześniej się otarła, okazuje się być czymś śmiesznie niegroźnym – kłębem pakuł.

Okrążając stos opon, dostrzega coś innego: cieniutkie pasemko światła sączące się przez otwór w ścianie. Veronica obmacuje źródło światła i zamiast cegieł wyczuwa deski. Przesuwa po nich dłonią i mniej więcej na środku ściany natrafia na jakiś wystający kant, coś jakby drzwiczki czy okiennicę.

Wpycha palce pod kant, usiłuje popchnąć tę klapę do góry. Drewno przesuwa się o kilka milimetrów. Veronica próbuje jeszcze raz, pcha z całej siły. Słyszy ciche skrzypnięcie i deski przesuwają się o parę centymetrów, wpuszczając do wnętrza kolejne smugi słabego księżycowego światła.

Veronica odpoczywa przez chwilę, usiłuje pozbyć się kwasu mlekowego z mięśni ramion. Podejmuje następną próbę, i jeszcze jedną. Teraz stara się, aby wściekłość nagromadzona w jej klatce piersiowej przemieściła się do ramion. Kłapa stopniowo się unosi, po kilka centymetrów, aż wreszcie otwór staje się wystarczająco duży, by się przez niego przecisnąć.

Sukienka zaczepia się o coś i coraz bardziej się rozdziera, podczas gdy Veronica wciska się w otwór w ścianie. Jego brzegi są umazane

starym smarem, który oblepia jej dłonie, twarz i włosy. Nie przejmuje się tym. Złość płonie w niej coraz jaśniejszym płomieniem, daje jej nieoczekiwaną energię. Myśli tylko o tym, żeby wydostać się z zamknięcia.

Okazuje się, że przejście prowadzi do warsztatu taty. Nie była w nim od dzieciństwa, tak jak w pokojach na piętrze. Światło, które widziała, pochodzi z okna umieszczonego wysoko pod sufitem. Mogłaby wejść na blat warsztatu i rozbić szybę którymś z narzędzi porządnie porozwieszanych na hakach. Jednak przecisnąć się przez rozbite okno, zeskoczyć i wylądować na potłuczonym szkłe – to nie jest dobry pomysł, zwłaszcza gdy jest się na bosaka.

Bada drzwi do wozowni, w której tata trzyma samochód. Są zaryglowane od zewnątrz i nie ustępują nawet na milimetr. W warsztacie są jeszcze jedne drzwi, które prowadzą do starej obory, opatrzone metalową zasuwą z kłódką. Veronica rozgląda się za odpowiednim narzędziem. Znajduje na jednym z haków solidne, dobrze nasmarowane nożyce do metalu i przecina nimi pałąk kłódki, jakby był suchą gałązką.

Wchodzi do obory przy jednej ze ścian szczytowych. Przesuwa po niej dłonią, odnajduje metalową skrzyneczkę z dźwignią. Jedno pstryknięcie i nierówny rząd jarzeniówek pod dachem zaczyna migotać. Chłodne powietrze obory jest jeszcze ciągle przesycone słodkawym zapachem krów. Podłoga i ściany zrobione są z pobielanej cegły, a przegrody po obu stronach środkowego przejścia dzielą pomieszczenie na spore boksy. Duża brama wiodąca na podwórze, przez którą ją tu wprowadzono, też jest zaryglowana od zewnątrz, a wszystkie okna są od środka pozabijane grubymi deskami, które zachodzą na siebie i których nie da się usunąć bez sporego łomu. Co prawda takie narzędzie wisi w warsztacie, tuż obok nożyc do metalu, ale Veronica ma chyba lepszy pomysł na to, jak się stąd wydostać.

Na przeciwległej szczytowej ścianie są drzwiczki, z których korzystali z Mattiasem, bawiąc się w chowanego. Można je otworzyć tylko od środka. Veronica biegnie truchtem przez środek obory. Boksy, które mija, są puste, oprócz jednego, tego największego przy drzwiach. Stoi w nim coś dużego, prostokątnego, starannie zakrytego

zielonym brezentem. Veronica przypuszcza, że to jakieś skrzynie, ale gdy dociera do drzwi, odwraca się. Nagle przypomina się jej, co Isak powiedział o oborze, zanim się rozstali.

Coś tam znalazłem i to mnie niepokoi.

Szuka jakiejś szpary w zielonym brezencie. Dostrzega czerwony metal, więc odczepia parę gumowych pasków przytrzymujących brezent i unosi go.

Pod brezentem stoi stare, czerwone volvo amazon z zamalowanymi na czarno tylnymi szybami. Veronica wie, do kogo ten samochód należał. W tej samej chwili pojmuję, co wkrótce może się stać.

Mattias nie odbiera komórki. Veronica nawet się temu nie dziwi. Zastanawia się tylko, czy jej brat wie, że to Patrik podpalił jej samochód i przy okazji okradł pokój w motelu. Tak musiało być, teraz jest to dla niej oczywiste. To, że Patrik tylko przypadkowo tamtędy przejeżdżał i rozpoznał jej wypalony samochód, wydaje się w tej chwili prawie niemożliwe. Veronica nie pojmuję, dlaczego wcześniej tego nie zauważyła. Oni chcieli zatrzymać we wsi ją i Isaka, chcieli się wreszcie dowiedzieć, kim on jest.

Właściwie chodzi nie o to, co Mattias wie, lecz o to, czego celowo się nie dowiadywał. Było chyba sporo takich rzeczy, sądząc z tego, że ma wyłączoną komórkę.

Myje twarz nad kuchennym zlewem, rozpuszcza włosy i spłukuje z nich resztki żwiru i smaru. Nie chce jej się na nowo upinać włosów. Sukienka jest przemoczona, brudna i podarta, a poza tym Veronica nie ma butów. Szuka w pralni jakiegoś starego ubrania, ale nie ma tam niczego, co by na nią pasowało. Wbiega więc na piętro, otwiera garderobę mamy i sięga po pierwszy lepszy ciuch. Okazuje się, że to czerwona sukienka, która pasuje niemal idealnie.

Zbiega po schodach i wyjmuję dubeltówkę ze schowka. Mijając duże lustro w korytarzu, doznaje lekkiego szoku. Wygląda prawie zupełnie jak jej mama: rozpuszczone włosy, czerwona sukienka i jeszcze to coś, co sprawia, że podobieństwo jest tak wyraźne: szaleństwo i wściekłość w oczach.

Słyszy jakiś odgłos dobiegający z podwórza i kieruje się do drzwi

wejściowych. Otwiera je. Na progu stoi tata i wpatruje się w nią, jakby zobaczył ducha.

– Gdzie oni go zakopali? – pyta Veronica z wymuszonym spokojem.

Ojciec nadal patrzy na nią bez słowa, jak skamieniały. Veronica robi krok do przodu i dotyka jego ramienia.

– Tom Rooth – mówi. – Gdzie oni go zakopali, tato?

Zaczął padać deszcz. Ciężkie krople uderzają o dach samochodu i zmuszają wycieraczki do pracy na coraz wyższych obrotach.

Widoczność w deszczu i w ciemności jest słaba, ale są już prawie na miejscu. Wokół nich wznoszą się wiatraki, a dalej, na małym placu, stoi krąg samochodów z zapalonymi reflektorami. W klatkach na platformie furgonetki Patrika szczekają psy, ale ich ujadanie jest zagłuszane przez huk piorunów.

Tata naciska hamulec; Veronica wyskakuje z samochodu, zanim koła się zatrzymują. Po przebiegnięciu pięciu metrów ma całkowicie przemoczoną sukienkę. Deszcz leje rześście, miliony strużek przesłaniają świat. Bracia Stridowie i Sören Sklepikarz wychodzą jej naprzeciw. Veronica podnosi dubeltówkę do ramienia.

– Zejść mi z drogi! – krzyczy.

Mężczyźni patrzą na nią i na broń, cofają się. Za nimi, w świetle samochodowych reflektorów widać wuja Haralda i Patrika. Isak siedzi skulony na ziemi przed nimi, ze zwieszoną głową. Wuj Harald trzyma w rękach fuzję, wygląda na to, że wkłada do niej nabój.

– Isak! – woła Veronica i wszyscy odwracają się w jej kierunku.

Ciemność rozświetla błyskawica, a potem rozlega się huk gromu, tak blisko, że Veronica niemal czuje jego smak. Przez moment myśli, że wuj Harald wystrzelił, że przybyła za późno, że Isak nie żyje, ale w tej samej chwili z ulgą dostrzega, że jednak się poruszył.

Wuj Harald patrzy w jej stronę i w tym momencie Isak zrywa się na nogi. W dłoni ma kamień, którym mierzy w głowę Haralda, jednocześnie próbuje wyrwać mu fuzję. Rozlega się krzyk, strzelba wypada poza krąg światła, a potem widać szybko poruszające się ciała, ręce i nogi trzech mężczyzn mocujących się ze sobą na ziemi. Pięści podnoszą się i opadają, rozlegają się odgłosy uderzeń, jęki i okrzyki bólu.

Veronica wbiega w światło reflektorów i wycelowuje w nich dubeltówkę.

– Przestańcie! – wrzeszczy, prawie nie poznając własnego głosu. –

PRZESTAŃCIE!

Zamęt ustaje. Jako pierwszy podnosi się z ziemi wuj Harald. Ma ubłoconą koszulę i twarz, z rany na czole spływa krew i miesza się z deszczem. Patrzy z niedowierzaniem, jakby zobaczył upiora. A gdy otwiera usta, Veronica rozumie, że właśnie to zobaczył. Ona jest upiorem w deszczu, ubranym w suknię zmarłej kobiety i trzymającym w rękach jej broń.

– Ma-Magdalena – jąka się wuj Harald. – Jak to...?

– Tom Rooth – odpowiada. – To wy go zabiliście, prawda?

Wuj Harald nadal się w nią wpatruje. Kilka razy zamyka i otwiera usta, aż wreszcie mówi:

– Wystarczyłoby, gdyby się przyznał. Gdyby powiedział, co zrobił z Billym. Ale Tom kpił sobie z nas, powiedział, że niczego z niego nie wydobędziemy, że możemy iść do wszystkich diabłów. Nagle przestał oddychać. Nie mieliśmy zamiaru go zabić, nie jesteśmy mordercami.

– A jednak chcecie znów zrobić to samo. – Wskazuje na leżącego na ziemi nieprzytomnego Isaka.

– On wie, co zrobiliśmy z Tomem. Przyjechał, żeby się zemścić. Musimy się bronić. Nie mamy wyboru.

Krew spływa mu z czoła, próbuje obetrzeć ją rękawem koszuli. Coś zmienia się w jego szklistym spojrzeniu, wygląda teraz na jeszcze bardziej oszołomionego.

– Ja ci już o tym mówiłem, Magdaleno. W domu opieki. Kiedy cię tam odwiedziłem. Nie pamiętasz?

Veronica nie usłyszała kroków ojca i nie ma jak zareagować, gdy on jednym susem mija ją i uderza wuja Haraldą pięścią prosto w twarz.

Wuj pada na ziemię, a ojciec staje nad nim w rozkroku, chwytając go za kołnierz i ryczy mu twarz:

– Powiedziałeś jej! Powiedziałeś Magdalenie o Tomie, chociaż obiecałeś, że tego nie zrobisz! Zabiłeś ją, Harald! Rozumiesz?! Zabiłeś ją!

Patrik wstaje i odciąga jej ojca od Haraldy. Veronica wycelowuje w niego broń, ale on już puścił jej tatę, który pada na kolana na środku kałuży. Deszcz spływa mu po twarzy i zagłusza jego szloch.

Veronica usiłuje zrozumieć, co tu się stało, co to wszystko znaczy. Ale zanim udaje jej się złożyć fragmenty w całość, dostrzega kątem oka, że pozostali trzej mężczyźni zbliżają się do niej. Przesuwa się o kilka kroków na prawo, by móc skierować lufy na wszystkich trzech jednocześnie.

– Stać spokojnie – mówi, a oni bezzwłocznie wykonują jej polecenie. Wuj Harald z trudem podnosi się z ziemi. Jego spojrzenie odzyskało zwykłą przenikliwość.

– Vera – mówi sucho. Odpluwa popękkanymi wargami trochę krwi.
– Moja ukochana siostrzenica.

Prostuje plecy i patrzy z pogardą na jej ojca, który siedzi skulony na ziemi i cicho płacze.

– Tak, Ebbe, powiedziałem jej to. Ktoś to musiał zrobić. Magdalena miała prawo się dowiedzieć, że nie żyje potwór, który porwał jej synka. Że Rooth nikogo już nie skrzywdzi. Ona była od miesięcy w tym cholernym domu opieki i jej stan ani trochę się nie poprawiał, więc uznałem, że nadszedł czas, aby poznała prawdę.

– Zaczynała czuć się lepiej – mamrocze ojciec. Mówi tak cicho, że niemal nie można go usłyszeć, a jednak te słowa wbijają się Veronice w serce jak sople lodu.

Wuj Harald potrząsa głową i spogląda na Veronicę.

– Twój ojciec to słabeusz, Vero. Sadzi róże i grzebie w ogródku. Ja robię to, co jest potrzebne, aby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

– Tak, to widać. – Veronica przesuwa lufy dubeltówki w kierunku leżącego na plecach Isaka. Jego twarz i ubranie są zaplamione krwią. Wyglądałby jak nieżywy, gdyby nie to, że klatka piersiowa powoli podnosi się i opada.

Wuj Harald chrząka i znowu spluwa na ziemię.

– On włamał się jakiś miesiąc temu do obory i znalazł volvo Rootha. Powiedział nam to właśnie, zanim się tu zjawiał. Ebbe obiecał mi dawno temu, że pozbędzie się tej cholernej fury, ale tego nie zrobił, trzymał ją w oborze przez te wszystkie lata. Powinienem być mieć więcej rozumu. – Wuj Harald potrząsa głową. – Przez Ebbego i ciebie młody Rooth odgadł, co się stało z jego ojcem, a ja, jak zwykle, muszę po was wszystkich posprzątać. Muszę zrobić to, co należy zrobić.

Veronica bezskutecznie szuka odpowiedzi. Tata dalej siedzi na ziemi ze spuszczoną głową. Wiedział, co się wtedy wydarzyło. Wiedział, kto zabił Toma Rootha.

Wuj Harald prostuje plecy i rusza przed siebie, w ciemność. Jego kompani patrzą po sobie. Wygląda na to, że nie bardzo wiedzą, co mają robić. Ulewa przeszła w miękką, łagodną mżawkę. To dobry deszcz, spokojny deszcz, deszcz pory zniw. Deszcz, który potrafi ukoić gniew.

Wuj Harald wraca do kręgu światła, trzyma w dłoniach strzelbę.

– Dla nas wszystkich będzie najlepiej, jeżeli Isak zniknie w ten sam sposób, co Tom Rooth. Nie widzę innego rozwiązania. Tam, u stóp wzgórza, jest otwarty wykop. W poniedziałek będą wylewać fundamenty. Zostanie pochowany prawie razem z ojcem. – Harald robi ruch głową w stronę najbliższego wiatraka i nabija strzelbę. – To całkiem odpowiednie, nie uważasz? Spoczną obaj w pobliżu miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Robi parę kroków w stronę Isaka. Nagle Veronica słyszy bicie serca wiatraka. Głuchy, pulsujący odgłos. Nie lubi go, nigdy go nie lubiła.

– Zapominasz o jednej rzeczy, kochany wujku – mówi, próbując naśladować ironiczny ton Harald'a, i unosi dubeltówkę. Odbezpiecza ją prawym kciukiem, nie spuszczać wzroku z celu, tak jak kiedyś uczył ją wuj. – Nie jesteś tu jedyną osobą posiadającą broń palną.

Wuj Harald przystaje i patrzy na nią. Jego wzrok jest czujny, trochę mniej w nim pewności siebie niż jeszcze przed chwilą. Veronica ma wrażenie, że wuj rozważa, czy ona mówi poważnie. Dzieli ich najwyżej pięć lub sześć metrów. Nawet niedoświadczony strzelec nie mógłby spudłować z takiej odległości.

Veronica zgina palec na spuście. Jej oddech staje się płytki, czuje uderzenia serca w całym ciele, mieszają się z rytmem wiatraków.

Żadne z nich się nie porusza.

– To strzelaj – mówi Harald. – Zastrzel mnie, bo to jedyny sposób, żeby mnie powstrzymać.

Wuj uśmiecha się szeroko, unosi strzelbę i celuje w Isaka. Chwieje się na nogach, gdy ona naciska na spust – dokładnie tak, jak ją uczył

– i trafia go w środek piersi.

Kolba uderza ją w ramię lżej, niż się spodziewała. Odgłos strzału też brzmi trochę dziwnie, a z lufy unosi się biały obłoczek dymu. Veronica wie, jaki jest tego powód, ale ma nadzieję, że strzał i tak był skuteczny. Jednak gdy wuj Harald nie upada, a tylko wypuszcza z rąk strzelbę, rozumie, że była zbyt wielką optymistką.

Twarz i tors wuja pokryte są drobnym białym proszkiem. Harald pluje, kaszle, trze oczy.

– Sól – wybucha śmiechem. Mruga i usiłuje popatrzeć jej w oczy, ale to mu się nie udaje. Białka oczu są całkiem czerwone, wygląda to strasznie. – Strzeliłaś do mnie nabojem solnym domowej produkcji mojego ojca.

Znów wypłuwa kryształki soli. Po policzkach płyną mu łzy, ale ciągle się śmieje: coraz głośniej i przenikliwiej, prawie jak szalenciec.

Pozostali mężczyźni wymieniają nerwowe spojrzenia. Patrik coś mamrocze. Wuj Harald odwraca się w jego stronę. Wygląda na to, że nadal ma trudności z nakierowaniem wzroku w jeden punkt. Isak odzyskał przytomność, z trudem próbuje wstać. Ciało nie jest mu posłuszne.

– No, na co czekacie, durnie? Niech któryś weźmie strzelbę i dokończy robotę. Ja na razie za kiepsko widzę, żeby strzelać, więc jeden z was musi to zrobić! – woła wuj Harald.

Veronica znów unosi broń i kieruje ją na mężczyzn. Żaden z nich nie rusza się z miejsca.

– Zastrzelcie go, chyba mówię wyraźnie. – Wuj Harald wskazuje na Isaka, któremu jakimś cudem udało się podnieść na klęczki. – Nie możemy pozwolić mu odejść, chyba to rozumiecie.

Mężczyźni przestępują z nogi na nogę, ale nadal żaden nie robi choćby kroku.

– Nie rozumiecie, że wszystko stracimy?! – krzyczy wuj Harald. – Wszystko, do czego tu doszliśmy. Całe poświęcenie, cała nasza praca pójdą na marne. Nasze rodziny będą obrzucane błotem.

Veronica unosi dubeltówkę i celuje w Sörena, który stoi w środku.

Wie, że ma już tylko jeden nabój.

– Do kurwy nędzy, chyba nie boicie się baby, co strzela solą?! – wrzeszczy wuj Harald, ale nikt nie reaguje. – Cholerni idioci! W takim razie sam to zrobię!

Mocno mruga oczami, robi kilka niepewnych kroków, jakby szukał na ziemi strzelby, która wypadła mu z rąk.

Wtedy podchodzi do niego Patrik. Spokojnie się schyla, podnosi strzelbę i przykłada kolbę do ramienia, nie przejmując się tym, że Veronica w niego celuje.

– Dobrze, Patrik – mówi wuj Harald. – Nareszcie ktoś rozsądny. Ktoś, kto ma odwagę robić to, co należy.

Patrik sprawia wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale przeszkadza mu odgłos silnika. Po zwirowej drodze jedzie z dużą szybkością samochód policyjny, za nim jeszcze jeden. Niebieskie światło odbija się w deszczowych kroplach, tworzy w powietrzu małe błyskawice.

– Strzelaj – mówi wuj Harald. – Strzelaj, teraz. On cię zaatakował, nie miałeś wyboru. Nasze słowa przeciw jej słowom. Czterech przeciw jednej...

Patrik lekko unosi lufę broni, patrzy na wuja Harald, potem na Isaka, który klęczy tuż przy jego stopach, a na koniec – na Veronicę. Ona trzyma palec na spuście, celuje w twarz Patrika. Napotyka jego spojrzenie nad lufami. Rytm wiatraków nasila się, jest teraz hukiem odbijającym się echem w całym ciele.

Słychać wycie syreny policyjnej. Potem cichnie i rozlega się wzmocniony przez megafon głos, który Veronica tak dobrze zna – Mattias.

Patrik nadal patrzy jej w oczy; ona nie opuszcza wzroku.

– Strzelaj, Patrik! – woła wuj Harald. – STRZELAAAJ!

Ostatnie słowo przechodzi w gardłowy wrzask w chwili, gdy Patrik opuszcza broń i ciska ją w mrok.

O wschodzie słońca Veronica siedzi z tatą w ogrodzie różanym. Karetki już zabrały Isaka i wuja Haralda, a Mattias i jego podwładni zajęli się resztą. Pozostali tylko tata i ona. Siedzą teraz bardzo blisko siebie w małej altance pod pędami róż magdalenek.

– Kiedy zrozumiałeś, że oni zamordowali Toma Rootha? – pyta Veronica.

– W jakiś tydzień po jego zniknięciu.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Twój wuj i ja znamy się od dzieciństwa. Wiem, w jaki sposób on myśli. Niczego nie może szczególnie długo przede mną ukryć. On nie jest złym człowiekiem. Myślał, że robi to, co powinien. Jedna z pracownic komisariatu zadzwoniła do niego i powiedziała, że Rooth ma wyjść na wolność. Wuj i reszta czekali na niego koło jego zagrody. Resztę znasz.

– Dlaczego nie poszedłeś na policję i nie powiedziałeś, co oni zrobili?

Tata wzdycha.

– Harald i twoja matka byli ze sobą bardzo związani. Magdalena była taka wrażliwa i krucha. Straciła już dziecko, a gdyby jeszcze jej starszy brat trafił do więzienia... – Ojciec macha ręką z rezygnacją. – Więc zawarliśmy z Haraldem umowę. Obiecałem, że utrzymam tę sprawę w tajemnicy, a on w zamian za to nigdy nie powie Magdalenie, co się stało z Tomem Roothem. To, że Harald poprosił mnie, abym zajął się samochodem, to był jego sposób na upewnienie się, że dotrzymam słowa. Mnie to nie przeszkadzało.

– Ale wuj Harald nie dotrzymał obietnicy? Powiedział wszystko mamie, na tydzień przed tym, kiedy miała być wypisana ze szpitala.

– Tak, najwyraźniej to zrobił. On tę sprawę uważał za sprawiedliwy odwet rodziny.

– Ale mama nie zgadzała się z nim. Zrozumiała, że jej brat jest mordercą, że dla niej odebrał życie innemu człowiekowi.

Veronica widzi przed sobą mamę. Widzi, jak napełnia kieszenie

zimowego płaszcza ciężkimi kamieniami i powoli rusza przed siebie. Czuje chłód lodu i wody pod nim. Jednak coś się w tej historii nie zgadza.

– A później, po tym, jak mama... Dlaczego wtedy nie poszedłeś na policję?

Tata wzrusza ramionami.

– Wtedy to już właściwie nie miało sensu. Harald kochał Magdalenę nie mniej niż ja. Jej śmierć była dla niego ciężką karą i nie widziałem powodów, żeby pogarszać sytuację. Poza tym Harald zrobił ze mnie współnika w przestępstwie.

– A rodzina Rootha? Nie myślałeś o nich? O Nilli, o Isaku i jego siostrze, którzy stracili męża i ojca i nie wiedzieli, co się z nim stało?

– Nie było dnia, w którym bym o nich nie myślał.

Tata zwiesza głowę. Przez chwilę siedzą w milczeniu. Od paru godzin deszcz już nie pada, ale z gałązek róż jeszcze od czasu do czasu skapują krople wody. Jedna spada Veronice na policzek. Tata prostuje plecy, ociera kropelkę palcem.

– Moja mała dziewczynko... – mówi. – Ile ty musiałaś wycierpieć.

Veronica przełyka ślinę i opiera głowę na ramieniu taty. Lekki powiew wiatru wprawia w ruch dzwoneczki wietrzne. Przebiega ją dreszcz.

– Zimno ci? – pyta tata.

Przytakuje skinięciem głowy.

– Ale jeszcze nie chcę iść do domu. Takie ładne są te krople deszczu na liściach. Jakby róże...

– Jakby róże płakały.

Jeszcze przez chwilę siedzą w ciszy. Potem Veronica wstaje.

– Muszę iść się przebrać. Ty też idziesz do domu?

Tata kręci głową.

– Nie. Idź, ja tu jeszcze trochę posiedzę.

Veronica wchodzi do domu. W pralni zrzuca z siebie mokrą sukienkę. Idzie do pokoju mamy w poszukiwaniu suchych rzeczy. Z okna widzi ogród różany. Przez liście dostrzega przygarbioną sylwetkę taty. Uświadamia sobie, jaki stał się stary i kruchy.

W garderobie znajduje parę dżinsów i sweter. Wkłada je. Ubrania są wyprane, ale wydaje jej się, że zachował się w nich zapach mamy. Podchodzi do sekretarzyka. Stoi na nim wazonik z jedną różą. Jest biała, tak jak róża w pokoju Billy’ego. Jakiś impuls sprawia, że Veronica wysuwa najwyższą szufladkę. Leży w niej wieczne pióro mamy i papier listowy, a w głębi – paczka listów obwiązana rzemykiem. Veronica wyjmuje pakiecik i przesuwa mały krążek z sarniego poroża, którego używano do ściągnięcia rzemyka.

Przeogląda koperty. Są w nich listy pisane ładnym pismem mamy. Podchodzi do okna, aby mieć więcej światła. Listy pachną lekko drewnem i ziemią, jakby były przechowywane w jakimś wilgotnym miejscu, zanim trafiły do sekretarzyka.

W ostatniej kopercie brakuje jednego narożnika, a z otworu coś wystaje. Kosmyk cienkich, jasnych włosów. Veronica otwiera kopertę. Widzi mały pukielek włosów, obwiązany błękitną jedwabną wstążką. Na ten widok jej serce zaczyna uderzać o lód. Rozkłada listy i zaczyna je czytać. Jeden po drugim, od pierwszego do ostatniego. A gdy czyta, czarna, zimna woda płynie potężnym strumieniem przez pęknięcie w klatce piersiowej. Wszystko, co widziała i słyszała przez ostatnie dni, zaczyna się zmieniać i przekształcać – tylko trochę, ale wystarczająco, by nabrać zupełnie nowego, przerażającego znaczenia.

Keson w lesie.

Przecięta kłódka.

Nożyce do metalu w warsztacie.

Listy, których nie powinno być.

Mogła wybrać, kogo tylko chciała. Ale wybrała mnie.

Billy nie żyje!

Ale ona w dalszym ciągu miała nas. Dlaczego to nie wystarczyło?

Jakby Billy był taki wyjątkowy.

Moja mała dziewczynko. Nie mogłaś przecież wiedzieć.

Nie

Mogłaś

Przecież

Wiedzieć

Kochanie, tak zaczyna się ostatni list.

Już podjęłam decyzję. Nie ma innego wyjścia. Jest mi smutno, ale jednocześnie się cieszę. Przecież wcześniej czy później on odszedłby ode mnie, tak jak moje starsze dzieci. I tak jak Ty. Wszyscy tak robią. Zostawiają mnie samą.

Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Dla Ciebie i dla mnie, i dla naszego Billy'ego. On i ja znajdziemy się w lepszym miejscu, gdzie nie ma bólu ani zdrad. W miejscu, gdzie nikt nie czuje się porzucony i samotny. W miejscu, gdzie zawsze będziemy razem.

Nienawidzę Cię, Tom.

Kocham Cię.

Veronica powoli wraca do ogrodu różanego. Ciało jej ciąży, każdy ruch wymaga olbrzymiego wysiłku. Siada na ławce obok taty. On nic nie mówi, nadal przygląda się różom magdalenkom nad ich głowami.

Słońce uniosło się ponad mur. Przemienia kropelki wody w płynne kryształki.

– Miałaś rację – mówi, a jej głos brzmi trochę głucho. – Nie mogłam wiedzieć, że Isak nie jest moim młodszym bratem. Nie mogłam wiedzieć, że Billy nie żyje. – Kładzie pakiet listów na kolanach ojca. – Ale ty wiedziałeś, tato.

Ojciec odwraca się w jej stronę. Jego spojrzenie jest tak smutne, że z trudem przychodzi jej oddychać.

– Mama i Tom Rooth – mówi jednak. – Wiedziałeś o wszystkim, o ich związku, o tym, że Tom był ojcem Billy'ego. A mimo to...

– Tom dawał jej szczęście – odpowiada tata cicho. – Przynajmniej na początku. Czy nie tego chce się dla ukochanej osoby? Żeby była szczęśliwa?

– Ale to, co zrobiła? Jak mogłeś?

– Vero, twoja mama cierpiała na depresję. Chorowała od wielu lat. Była chora i nieszczęśliwa, ale kochałem ją ponad wszystko na świecie i nie mogłem znieść myśli, że mogę stracić i ją, i Billy'ego.

Veronica przełyka ślinę. Musi się bardzo wysilać, aby głos jej się nie załamał.

– Co się zdarzyło, kiedy tamtego wieczoru wróciłeś do domu?

Tata znów odwraca wzrok. Wpatruje się w jedną z róż.

– Magdalena i Billy leżeli w wannie. Magdalena napełniła ją wodą i dała Billy’emu środek nasenny. Rozgniotła tabletki i wymieszała z ciepłym mlekiem. Sama też się tego napiła. Kiedy wszedłem do łazienki, dla Billy’ego nie było już ratunku, a Magdalena przestała oddychać. Ocuciłem ją, zmusiłem, żeby zwymiotowała. Zniosłem ją do jej pokoju i ułożyłem w łóżku.

– A później?

Ojciec znów na nią patrzy.

– Później zrobiłem to, co musiałem zrobić, żeby chronić moją żonę. Żeby chronić rodzinę.

– Rzuciłeś but Billy’ego na pole kukurydzy. Zadzwoiłeś na policję i powiedziałeś, że Billy zaginął.

Tata nie odpowiada.

– A listy? – pyta Veronica. Próbuje pojąć całą tę straszną opowieść.

– Magdalena z czasem zaczęła pojmować, że potrzebna jest jej pomoc lekarza, że jest chora i to, co się zdarzyło, nie stało się z jej winy. Opowiedziała mi o wszystkim, także o listach. Gdyby te listy wpadły w ręce Månssona, zrozumiałby, co się wydarzyło. Magdalena zostałaby zamknięta w zakładzie psychiatrycznym na wiele lat. Może nigdy by z niego nie wyszła. Policja przeszukała farmę Rootha i jego pompownię, więc zrozumiałem, że Tom musiał przechowywać listy w jakimś bardzo tajnym miejscu. W miejscu, które mogli znać tylko ludzie, do których miał zaufanie.

– Sailor. On ci powiedział o chacie i kesonie w Dolinie Popiołów.

Ojciec powoli kiwa głową.

– To zadziwiające, ile ludzie mogą opowiedzieć, jeżeli tylko chce się ich słuchać. Sailora nikt nie słuchał. Nikt oprócz Toma Rootha, a z czasem także mnie.

– Dlaczego nie zniszczyłeś tych listów?

Tata nic nie mówi, ale Veronica już zna odpowiedź. Nie zniszczył listów z tego samego powodu, dla którego zamknął na klucz pokoje mamy i Billy’ego i pozostawił tam wszystko tak, jak było. Z powodu, dla którego nie pozbył się samochodu Rootha.

– Bo były kiedyś ważne dla mamy – szepcze Veronica. – Były

częścią jej życia.

Przez kilka sekund panuje cisza. Słyszą tylko skapujące krople wody i cichy dźwięk wietrznych dzwoneczków. Veronica już wszystko rozumie, wszystkie tragiczne szczegóły, które łączą się ze sobą. Zamieniają się w ślady na śniegu i prowadzą na lód.

– Dlatego mama odebrała sobie życie. Bo jej starszy brat nie tylko zabił dla niej niewinnego człowieka, ale...

Veronica nie może wymówić ostatnich słów, ale one istnieją: człowieka, którego kochała. Ojca jej ukochanego dziecka.

Tata znów unosi wzrok. W jego oczach jest tyle bólu, że Veronice niemal pęka serce.

– Gdzie... – Jej głos to prawie słaby jęk. – Gdzie jest Billy, tato?

On nie odpowiada. Odwraca się i rozgląda po otaczających ich różach. Patrzy na różowe kwiaty, które biorą ich w objęcia. I nagle Veronica widzi przed sobą inną różę. Białą różę na grobie mamy, drugą – na jej sekretarzyku, i jeszcze jedną – na stoliku Billy'ego.

Powoli wstaje, bierze pakiet listów i zostawia ojca siedzącego na ławce. Minał tylko tydzień, odkąd go tu zobaczyła po przyjeździe do rodzinnego domu, a wydaje się, że było to znacznie dawniej. Przypomina sobie wyraz jego twarzy, kiedy zaskoczyła go swoją wizytą. Zdumienie i lęk.

Śnieżnobiałe żwirki pod dużym różanym krzewem w rogu ogrodu jest starannie zagrabiony, bez żadnych nierówności. Te róże także są białe i przepiękne. Równie piękne jak magdalenki, tylko trochę mniejsze. Gdy Veronica przykuca i zagląda pod krzew, dostrzega małą mosiężną tabliczkę wetkniętą w ziemię, dość głęboko między gałęziami. Pięć małych liter, których widok sprawia, że lód w jej wnętrzu ostatecznie pęka i zmienia się w rozległą, czarną wodę.

Billy

Veronica słyszy zgrzyt zawiasów przy furtce, potem kroki, brzęk kluczy przy pasie munduru. Zadzwoiła do Mattiasa z telefonu w korytarzu na górze. Nie prosiła, żeby przyjechał, w ogóle nie prosiła o nic. Jednak teraz on jest z nią.

Staje obok niej, kładzie dłoń na jej ramieniu. Nie podnosząc wzroku, podaje mu listy. On je bierze, ściska jej ramię, ale nic nie mówi.

Znów słyhać dźwięk dzwoneczków wietrznych, teraz silniejszy. Melancholijne, metaliczne tony unoszą się nad ogrodem różanym.

– On tu był cały czas – szepcze Veronica. – A jednak go nie znaleźliśmy.

– Ty go znalazłaś, Vero – mówi cicho Mattias.

Veronica unosi wzrok i napotyka spojrzenie brata. Nie ma w nim złości ani oskarżeń. Jest tylko smutek. I miłość.

Veronica kładzie dłoń na jego dłoni i mocno ją ściska. Gdzieś w odległej części ogrodu szczeka lis. Żałosna, samotna skarga, która brzmi prawie jak płacz.

EPILOG

Malin ostrożnie przesuwa szczotkę do ubrania po epoletach munduru Månssona. Poprawia ciemny krawat, pewnie już po raz trzeci; wreszcie jest zadowolona z efektu.

– No, teraz dobrze!

Månsson wkłada policyjną czapkę z daszkiem pod lewą pachę i przygląda się swojemu odbiciu w sypialnianym lustrze. Mundur wisiał na dworze przez całą noc, jednak trochę jeszcze pachnie składzikiem. Spodnie są nieco za luźne, więc musiał, ku swojej satysfakcji, założyć pasek. Ogólnie wygląda dobrze, znacznie lepiej, niż się spodziewał.

– Jesteś pewien, że nie chcesz, bym pojechała z tobą? – pyta Malin.

– Jestem pewien. Masz dosyć swojej pracy.

– Ale ty od tak dawna tam nie byłeś. Pogrzeby mogą być...

Månsson całuje żonę w policzek.

– Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz, ale poradzę sobie. Poza tym nie jadę sam. Oni w każdej chwili powinni tu być.

W tym momencie słyszy, jak małe łapki Belli stukają o parkiet, rozlega się piskliwe szczekanie, a zaraz potem dzwonek do drzwi. Månsson bierze głęboki oddech i ostatni raz mierzy wzrokiem swoje odbicie w lustrze.

– Jesteś gotowy? – pyta Malin.

Kiwa głową.

– Tak.

Veronica Lindh obejmuje go i całuje w policzek, potem wita się z Malin, jakby były przyjaciółkami od wielu lat. Månsson wyciąga rękę do jasnowłosego młodego mężczyzny, który towarzyszy Veronice.

– Pan zapewne jest Isakiem?

Mężczyzna potakuje i ściska jego dłoń. Jego ruchy są trochę

powolne. Chyba nie czuje się swobodnie w ciemnym garniturze, który ma na sobie. Jeżeli dobrze się przypatrzeć, można dostrzec na jego twarzy ślady siniaków. Månssonowi przypomina się Inianowłósy mały chłopczyk, który niegdyś, przed laty, przesłał mu nieśmiały uśmiech nad kuchennym stołem w domu Rootha. Ścisną go w gardle.

– Dużo myślałem o panu i pana siostrze – mówi, pośpiesznie pokrywając wzruszenie kaszlnięciem. – Czy siostra przyjedzie?

– Nie. – Isak kręci głową. – Ustaliliśmy z Åsą, że ja będę reprezentował naszą rodzinę. Billy był przecież naszym przyrodnim bratem – dodaje, jakby to wyjaśnienie było potrzebne.

Månsson nagle nie wie, co powiedzieć. Na chwilę zapada kłopotliwe milczenie. Słyszy, że za jego plecami Veronica rozmawia z Malin.

– Dziękuję ci za to – mówi Malin. – Dla Kristera twoje zaproszenie jest bardzo ważne. Ważniejsze, niż chce przyznać.

Månsson spogląda z ukosa na Isaka, ale o ile ten coś usłyszał, to jest na tyle taktowny, żeby udawać, że słowa Malin do niego nie dotarły.

– Spakowałem koszyk z prowiantem na drogę – mówi Månsson z braku innego tematu do rozmowy. – Jest kawa i placek z rabarbarem. Upiekłem go według własnego przepisu.

Isak lekko się uśmiecha.

– Od lat nie jadłem domowego ciasta. Przepadałem za nim, kiedy byłem mały. Za rabarbarem też.

– To dobrze. – Månsson odpowiada uśmiechem.

– To jak, wszyscy gotowi? – pyta Veronica. – Mamy przed sobą kawałek drogi.

Ujmuje Månssona pod ramię. Idą w kierunku samochodu. Isak bierze od Malin koszyk z kawą i ciastem.

– Bardzo elegancko wygląda pan w tym mundurze – mówi Veronica.

Månsson z jakiegoś powodu lekko się rumieni. Zauważył, że ona się zmieniła. Jest coś nowego w jej spojrzeniu. Podoba mu się to.

– Pomyśleć, że byłem tak blisko – mówi. – Praktycznie trzymałem w ręce klucz do całej sprawy. Gdyby Rooth powiedział... Chodzi mi

o to, że on przecież musiał rozumieć, co Magdalena zrobiła.

Veronica kiwa głową.

– Myślę, że Tom naprawdę kochał moją mamę. Wiedział, że była chora, i dlatego nie był w stanie powiedzieć o wszystkim policji. Listy na to wskazują. To znaczy, mam na myśli fakt, że przechował te listy, zamiast je po prostu zniszczyć.

– Bardzo prawdopodobne, że tak było. A jak z pani ojcem? – mówi Månsson po chwili milczenia.

– Prokurator zdecydował, że nie wniesie oskarżenia. Powołał się na szczególne okoliczności...

– To brzmi rozsądnie.

– Po pogrzebie Billy’ego spróbujemy z Mattiasem namówić tatę, żeby przeniósł się do wsi. Okaze się, jak nam z tym pójdzie.

Dochodzą do samochodu. Powietrze jest przejrzyste, nad ich głowami krąży stadko jaskółek. Wznoszą się w górę, aby znaleźć się na odpowiedniej wysokości, zanim odlecą na południe.

Månsson zatrzymuje się i kieruje wzrok ku niebu.

– Północny wiatr – mówi. – Pierwszy raz od miesiący. Pewnie wie pani, co on oznacza, pani Veronico?

– Vera – odpowiada kobieta. – Może pan mówić do mnie: „Vero”.

Månsson uśmiecha się lekko. Myśli o swojej pierwszej rozmowie z Verą, kiedyś, dawno temu w Backa. Trudno mu uwierzyć, że minęło od niej dwadzieścia lat. Tamta chwila stoi mu przed oczami tak żywo, jakby jej wspomnienie nigdy go nie opuściło.

Vera opiera głowę o jego ramię i trwają tak przez kilka sekund. Wiatr unosi jej włosy i muska nimi policzek starego policjanta.

– Co oznacza północny wiatr? – odzywa się Vera.

– Koniec lata – mówi Månsson. Jest mu dziwnie lekko na sercu.